

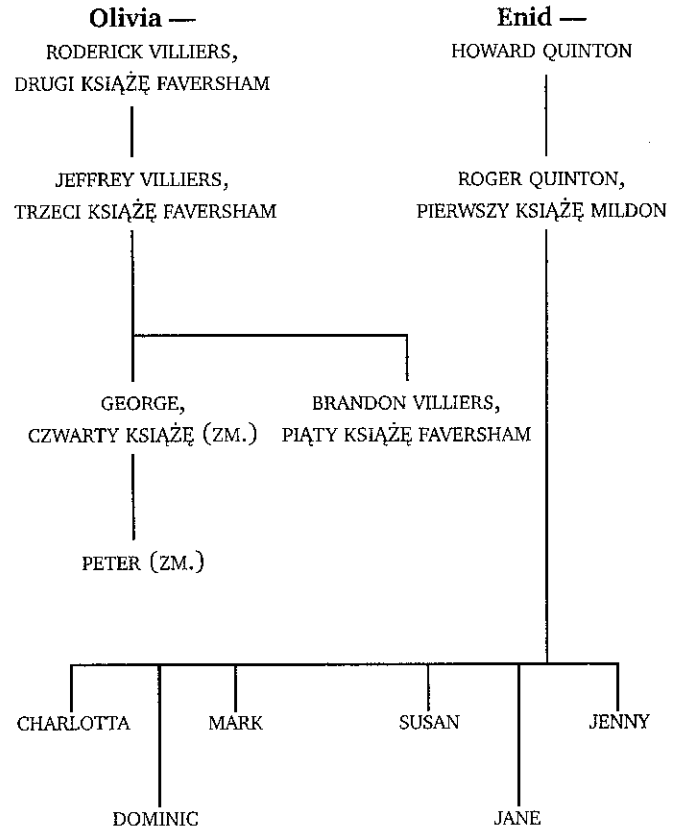
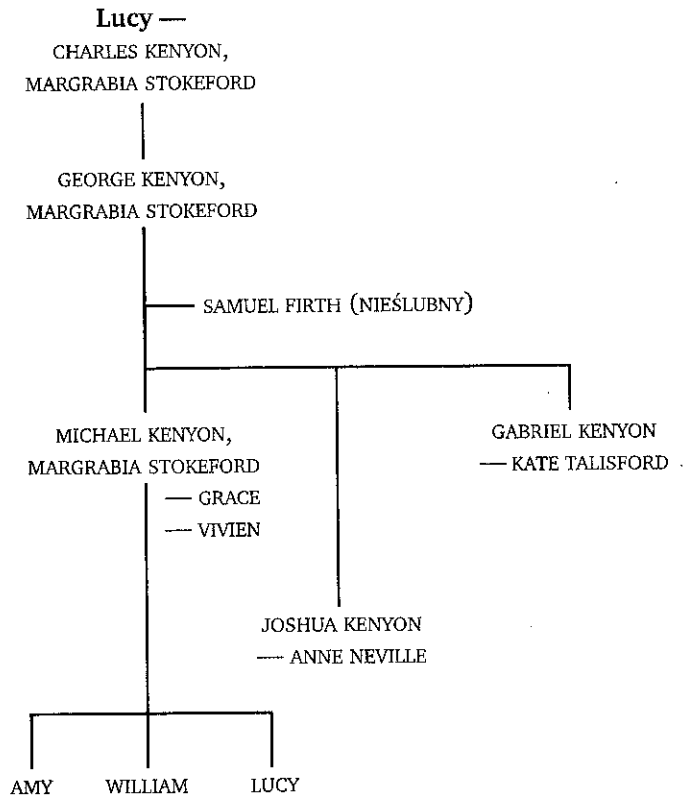
*Dla każdej kobiety, która kiedykolwiek  
kochala... i nigdy nie zapomniała*

Barbara  
Dawson  
Smith  
*zar*



ISBN 978-83-7506-114-4

## Różyczki POTOMKOWIE





## Prolog

*Londyn, styczeń 1816 r.*

Początkowo ten wieczór był taki sam jak każdy inny w stolicy. Brand Villiers, piąty książę Faversham, siedział wygodnie rozparty w przeznaczony dla specjalnych gości bawialni ekskluzywnego burdelu ze śliczną dziewczyną na kolanach, talią wytwornych kart w dłoni i kieliszkiem znakomitego bordeaux pod ręką. Wielu mężczyzn mogłoby mu pozazdrościć. A jednak Brand odczuwał nieustającą nudę, niezadowolenie, do którego sam przed sobą nawet nie chciał się przyznać.

- Życie jest cudowne jak cholera - mruknął.

Sir John Gabler skrzywił się i podniósł wzrok znad kart.

- O co chodzi? - Gabler miał piegowatą twarz i rozczochrane jasne włosy. Trzymał w ustach cygaro. Wydawał się zbyt młody na to, aby palić. Fular zawiązany miał tak, jakby nie opanował jeszcze do perfekcji sztuki wiązania skomplikowanych węzłów.

- Nie ma nic lepszego na świecie niż trzymanie w ramionach pięknej kobiety - oświadczył Brand i pogładził okryte jedwabiem plecy Jewel. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek. Jej ciemne oczy błyszczały kusząco. Była nową dziewczyną i Brand nie mógł się doczekać chwili, kiedy skorzysta z jej usług. Może wreszcie zdoła się pozbyć tego dręczącego poczucia nudy.

Jeszcze nie jest twoja. Jeszcze nie wygrałeś. - Gabler wymienił dwie karty. Kiedy spojrzał na te, które dobrał

Barbara Dawson Smith

Żar

z puli, jego jasnyniebieskie oczy zablęły. Z triumfalną miną rzucił na stół trzy asy. - Spróbuj to przebić, stary. Brand uniósł w górę jedną brew.

- Całkiem niezłe.

- Jewel, chodź tu! Dzisiaj będziesz należała do mnie. -

Gabler pokiwał na dziewczynę palcem.

Brand mocno otoczył ramieniem jej wąską talię, a drugą ręką wyłożył na pokryty zielonym sukniem stolik cztery króle.

Gabler aż otworzył oczy ze zdumienia, po czym opadł na krzesło z miną nadąsanego dziecka.

- A niech cię licha, Faversham! Powinienem być wie dzieć, że tylko naiwniak siada z tobą do gry. Masz piekiel ne szczęście.

Brand musiał przyznać, że to prawda. Od lat znacznie częściej wygrywał niż przegrywał. Od bardzo młodego wieku doskonalił swój wrodzony talent do gry w karty i kości, umiejętność odczytywania wyrazu twarzy przeciwnika, kalkulowania szans, polegania na swoim instynkcie. Wiedział, kiedy może podjąć ryzyko, a kiedy lepiej spasować. Ale powodzenie zawdzięczał nie tylko błyskotliwemu umysłowi. Został ponadto obdarzony błogosławieństwem - ktoś inny mógłby powiedzieć, że przekleństwem - nieustającego szczęścia w hazardzie. Niektórzy nawet szeptali po kątach, że zaprzedał duszę diabłu.

Nie widział powodu, żeby prostować te pogłoski. Już dawno zrozumiał, że ludzie zawsze wierzą w to, w co chcą wierzyć.

- Rozejrzyj się za inną partnerką do łóżka - poradził Gablerowi. - Ta ślicznotka jest moja. - Jewel wtuliła się w niego, tak że wyczuwał wszystkie rozkoszne krągłości jej wspaniałego ciała. Pod osłoną stołu wśliznęła dłoń w jego rozporek. - A kiedy będziesz wychodził, dokładnie zamknij za sobą drzwi. Gabler zaklął pod nosem, odsunął krzesło i ruszył do drzwi po błękitnym, puszystym dywanie. Wychodząc

Barbara Dawson Smith Żar

z gabinetu, zderzył się w drzwiach z mężczyzną, który siłą wdarł się do środka.

Strzecha siwiejących kręconych włosów otaczała ptasią twarz przybysza. Kiedy pospiesznie zbliżał się do stołu, poły surduta powiewały za nim jak krucze skrzydła.

- Faversham! Chwała Bogu, że cię znalazłem!

- Trowbridge - powitał go Brand z rozdrażnieniem. - Jeśli sam tego nie widzisz, to pragnę zauważyć, że jestem teraz zajęty.

Wicehrabia Trowbridge obrzucił Jewel przelotnym spojrzeniem, ale nie przestał trajkotać.

- Muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy. To sprawa życia i śmierci.

- Dla ciebie nawet złamany paznokieć jest sprawą życia i śmierci - odparł zrezygowany Brand i odsunął Jewel. Postanowił go wysłuchać, wiedząc, że nawet Trowbridge zazwyczaj szanuje prawo gentlemiana do prywatności.

- Pospiesz się, kochanie. - Jewel posłała mu pocałunek pełnymi, obrzmiałymi wargami. - Czekam na ciebie.

Ten miękki, zmysłowy głos jeszcze zwiększył narastające w nim podniecenie, więc Brand z rozdrażnieniem zwrócił się ku wicehrabiemu, gdy tylko wyszli razem do holu.

- O co chodzi? Jeśli to jeden z twoich kretyńskich pomysłów...

- Nie! Przysięgam. - Trowbridge wyciągnął z kieszeni zgniecioną kartkę papieru. Ręka mu drżała. - Czytaj. To przyszło z wieczorną pocztą.

Brand rozwinął kartkę i podeszedł do stojącej na stoliku lampy naftowej. Na białym papierze ktoś starannie wykaliografował dwa słowa: *Będziesz następny*.

Spojrzał ponownie na swego towarzysza.

- Cóż to jest, do diabła? Żart?

- Nie. - Trowbridge był roztrzęsiony. - To duch.

- Duch?

Wicehrabia rozejrzył się po kompletnie pustym holu, jakby obawiał się, że ktoś podgląda ich zza drzwi któregoś z gabinetów.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Duch Ligi. Nie słyszałeś?

- Słyszałem, że Mellingham zginął w pojedynku, do którego nie powinno było dojść. Wallace upił się do tego stopnia, że spadł ze schodów i skrzył kark. A Aldrich dostał ataku serca w okolicznościach, o jakich wszyscy możemy tylko pomarzyć: między nogami dziwki.

Trowbridge tak gwałtownie potrząsnął głową, że zakotłowała się jego skłębiona czupryna. Nieregularne rysy przysłonił cień trwogi.

- Ktoś chce mnie zabić, chce zabić nas wszystkich. Jednego po drugim. Wszystkich pozostających jeszcze przy życiu członków Ligi Lucyfera.

Branda przeszedł zimny dreszcz niepokoju. Odsuwając od siebie złe przecucie, wcisnął pismo do ręki Trowbridge'a.

- Przesadzasz.

- Mówię ci, że ktoś czeka na zewnątrz, żeby mnie zabić. - Z okrągłymi z przerażenia oczami złapał Branda za kłapy. - Musisz mi pomóc odkryć, kto to jest. Błagam cię!

Brand spojrział na niego z zimną pogardą.

- To tylko żart, nic więcej. Ktoś się zabawił twoim kosztem.

- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla siebie. Ty możesz być następny, zaraz po mnie.

- Idź, wypij parę drinków i zapomnij o tym. Ja właśnie to zamierzam zrobić.

Brand odwrócił się na pięcie i wrócił do gabinetu. Przez chwilę stał przy drzwiach, pocierał palcem bliznę koło ust i zastanawiał się nad własną obojętnością. Latami narastały w nim pokłady cynizmu, przybierały powoli, jak woda, której poziom podnosi się centymetr po centymetrze, aż wreszcie człowiek odkrywa, że tonie i z największym trudem walczy o haust czystego powietrza. Pod powierzchnią snuły się cienie, ale nie zadał sobie trudu, żeby się im przyjrzeć. Cienie, które ściemniały przed dziesięcioma laty, po śmierci jego brata i bratanka.

Te cienie okrywały całunem jego zbrodnię...

Głupiec! Przecież on nie należy do ludzi, którzy pozwa-

lają sobie na ekliwe uczucia. Dawno temu przyjął postawę lekceważenia i dystansu wobec tego typu konwencjonalnych nonsensów. W bardzo młodym wieku doszedł do wniosku, że łajdackie życie jest znacznie ciekawsze i że on sam bez najmniejszych wątpliwości należy do świata ciemności. Jewel objęła go miękkim ramieniem.

- Połóż się przy mnie, milordzie. Już zbyt długo na ciebie czekam.

Brand wziął ją na ręce, zaniósł na posłanie i położył się na niej. Ciepło dziewczyny rozproszyło otaczające go cienie. Zatracił się w erotyzmie i zapomniał o całym bożym świecie. Aż do następnego ranka, kiedy usłyszał mrozącą krew w żyłach nowinę:

- Lord Trowbridge nie żyje.

Barbara Dawson Smith

Żar

## Rozdział 1

### Diabelska naleźność

*Londyn,  
miesiąc później*

Przyszłam zobaczyć się z babcią - wyjaśniła lokajowi lady Charlotta Quinton. Wchodząc wpuściła do domu powiew zimnego powietrza. Postawiła w przedpokoju koszyk z Fancy i rozpięła skórzany pas.

Kudłaty brązowy pies wyskoczył z koszyka, pośliznął się na marmurowej posadzce i wpadł wprost w ramiona Charlotty, nieomal ją przewracając. Z trudem utrzymała się na zdętwiałych z zimna nogach, Mięśnie kompletnie jej zeszywniały, bo ostatnie dwa dni spędziła zamknięta w powozie z Nan, swoją potwornie gadatliwą pokojówką. Ale wszystkie te niewygody nie miały najmniejszego znaczenia, skoro babcia została ranna. Charlotta zniosłaby wszystko dla ukochanej babci, była nawet gotowa wejść do siedziby śmiertelnego wroga... Branda Villiersa, okrytego niesławą księcia Faversham.

Żołądek zacisnął jej się w twardy węzeł. Nigdy w życiu nie przyszłoby jej do głowy, że postawi kiedyś stopę w holu jego londyńskiego domu.

Szesnaście lat temu, gdy była jeszcze dzieckiem, Brand złamał jej serce. Obdarzył ją pierwszym w jej życiu pocałunkiem po to tylko, żeby zniszczyć jej romantyczne marzenia o miłości. Uciekając przed jego szyderczym śmiechem potknęła się, wpadła do kominka i oparzyła prawą rękę. Okaleczona psychicznie i fizycznie, stała się zgorzkniała i zła.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Jedenaście lat temu, kiedy skończyła osiemnaście lat i miała zostać wprowadzona do towarzystwa, była zbyt świadoma swych braków, by stawić czoło londyńskiej socjocie. Inne szlachetnie urodzone dziewczyny powychodziły za mąż i pozakładały własne rodziny. Charlotta natomiast pozostała w rodzicielskim domu w Devon.

Pięć lat temu, samolubna i niedojrzała, zaczęła wdychać do najlepszego przyjaciela Branda, Michaela Kenyona. Próbowwała zniszczyć rozwijającą się miłość Michaela do Vivien, przyrodniej siostry Branda. Ukradła naszyjnik i postarała się o to, żeby podejrzenie padło na Vivien.

Niestety, właśnie Brand odkrył jej intrygę.

Charlotta do dzisiaj kulila się na samo wspomnienie własnego szaleństwa i potępienia Branda. Za karę rodzina zesłała ją na północ Yorkshire. Dziś zdawała sobie sprawę, jakże ta banicja była jej potrzebna. Ona sama najlepiej wiedziała, jak bardzo dojrzała w ciągu ostatnich pięciu lat. I jak bardzo starała się poprawić.

W stosunku do wszystkich poza Brandem.

Przed dwoma dniami dostała pilną wiadomość, że babcia odniosła obrażenia w wypadku powozu i dochodzi do siebie akurat w londyńskim domu Branda, jakby nie było innego miejsca na ziemi. Charlotta nie miała innego wyjścia: musiała przyjechać do domu tego człowieka, chociaż w jej oczach był on diabłem wcielonym.

Przytuliła swego psa do welnianego płaszcza i obrzuciła spojrzeniem lokaja, którego końska twarz wyrażała osłupienie.

- Jestem lady Charlotta Quinton - wyjaśniła. - Lady Enid Quinton jest moją babcią. Zamieszkała tu na czas rekonwalescencji po wypadku.

Służący oderwał zażawiony wzrok od psa i uniósł w górę krzaczastą, siwą brew.

- Oczywiście, milady. Nie zostałem uprzedzony o pani przyjeździe.

- Nie było sensu wysyłać zawiadomienia, bo wyjechałam z Yorku natychmiast, po otrzymaniu tej wiadomości.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Czy moi rodzice już przyjechali? Albo któreś z moich braci czy sióstr?

-Nie, pani jest jedynym gościem jej wysokości.

Charlotta zmarszczyła brwi. Jej rodzina zawsze była wewnętrznie skłócona, ale wszyscy bardzo kochali babcię, więc Charlotta spodziewała się, że przyjadą tu z Devon. Dlaczego nie przyjechali?

- Niech pan będzie tak dobry i zaprowadzi mnie prosto do lady Enid.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Niemożliwe? Dlaczego? - Z przerażenia głos Charlotty stał się ostry i lodowaty. Z lakonicznej wiadomości od lady Stokeford dowiedziała się jedynie, że babcia i jej dwie najbliższe przyjaciółki zostały ranne w wypadku powozu. Teraz wszystkie lęki, jakie narastały w niej przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, odezwały się z nową siłą.

Czyżby babcia... zmarła?

- Nie ma powodu do obaw ~ zawołał pospiesznie stary lokaj na widok przerażenia, malującego się wyraźnie na twarzy dziewczyny. - Po prostu u ich wysokości jest teraz lekarz.

Ścisnięte serce Charlotty znów zaczęło bić spokojniej.

- Jak się miewa babcia? Czy została ciężko ranna?

- Te pytania najlepiej skierować do lekarza - oświadczył służący. - Czy mogę zabrać pani okrycie?

Kiedy podszedł bliżej i wyciągnął dłonie w białych rękawiczkach, żeby wziąć płaszcz, wtulona w ramiona Charlotty Fancy warknęła.

- Wszystko w porządku, kochanie, nikt cię nie skrzywdzi - mruknęła Charlotta, głaszcząc kudłaty łeb psa, i zwróciła się do lokaja: - Zostanę w płaszczu, dziękuję. Mogę zapytać o twoje nazwisko?

- North, proszę pani.

- Porozmawiam z doktorem, North. Proszę mnie natychmiast do niego zaprowadzić.

- Przykro mi, ale księżę wydał rozkazy...

- Lord Faversham jest tutaj? - Znów ścisnęło się jej serce, tym razem z przerażenia. Nadzieja, że Brand pojechał gdzieś do diabła ze swymi rozpustnymi kumplami, okazała się płonna. To był przecież w końcu jego dom. Charlotta wiedziała, że Brand gardzi nią z powodu jej dawnego zachowania. I w pełni to uczucie odwzajemniała.

Ale to najmniejsze zmartwienie.

- Jego lordowska mość właśnie wrócił do domu po złozeniu wizyt u przyjaciół w mieście - oświadczył North. - Jeśli pani nie zależy, bym zaprowadził ją do jej pokoju...

-Nie - oznajmiła stanowczo Charlotta. - Pokójówka rozpakuje mój bagaż, a ja w tym czasie spotkam się z babcią. Może pan powiedzieć księciu, że nalegałam.

North zawahał się, po czym wykonał sztywny ukłon. Charlotta dojrzała tonsurę siwych włosów otaczającą łysinę.

- Jak pani sobie życzy.

Poprowadził ją w górę po szerokich marmurowych schodach. Lampa, którą trzymał w ręku rzuciła drżące światło na proste, eleganckie dekoracje. Charlotta twardo postanowiła nie gapić się na piękne obrazy i wspaniałe meble. Ze względu na przyjaźń łączącą ich babcię znała Branda przez całe życie, ale choć często odwiedzała jego wiejską rezydencję w Devon, nigdy dotychczas nie widziała jego miejskiego domu, bo nie miała w Londynie debiutu.

To była wyjątkowa złośliwość losu, że babcia i jej dwie przyjaciółki ucierpiały w wypadku powozu akurat w drodze do stolicy. Charlotta próbowała łudzić się nadzieją, że nie spotka Branda do jutra.

Odgłos jej kroków zmieszał się z szuraniem stóp lokaja. Kiedy dotarli na szczyt schodów i ruszyli w głąb mrocznego korytarza, Fancy zadrżała, a jej ciemne oczy zabłyśły w gęstwinie brązowego futerka.

Może wyczuwa mój niepokój, pomyślała Charlotta i pogłaskała psa. Suczka podpasła się w ciągu tych dwóch tygodni, które minęły od dnia, gdy Charlotta uratowała ją



z rąk bandziorów w Yorku. Otoczona troskliwą opieką i dobrze odżywiana, nabrała trochę ciała i przestała już być chudym, żalonym stworzonkiem. Skoŕtuniona sierść na skutek codziennego szczotkowania zrobiła się lśniąca, a łysy placek na tylnej łapce zaczął zarastać nowym futerkiem. Jak dobrze by było, żeby babcia tę psinę polubiła...

North zatrzymał się pod rzeźbionymi drzwiami okolonymi pozłacaną framugą.

- Proszę pozwolić, że panią zaanonsuję.

Z roztargnieniem kiwnęła głową. Gdy lokaj zniknął w wnętrzu pokoju, Charlotta postawiła Fancy na podłodze i zaczęła przechadzać się po korytarzu. Pies nie odstępował jej ani na krok. Charlotta zdjęła płaszcz i rzuciła go na delikatne krzeselko. Na pokrytych tapetą w niebieskie paseczki ścianach nie było żadnego lustra, więc tylko przyglądała potargane kasztanowe włosy. Była głodna, zmęczona, rozdygotana i miała wszystkiego dosyć, ale nie mogła pozwolić sobie na wypoczynek, dopóki na własne oczy nie zobaczy, jak czuje się babcia.

Dlaczego ten North tak się guzdrze? A może obrażenia babci są poważniejsze, niż mówił?

Sięgała właśnie do klamki, kiedy drzwi ponownie się otworzyły. Pojawiła się w nich sylwetka starego lokaja, ale skinął tylko głową i powlókł się z powrotem korytarzem. Chciała wejść do pokoju, lecz została przemocą zatrzymana.

Stała twarzą w twarz z Bradem Villiersem.

Wysoki, smukły mężczyzna zablokował wejście. Jego lodowate szare oczy wyrażały rozbawienie światowca, które zawsze w równym stopniu drażniło co intrygowało. Był ubrany niemal całkowicie na czarno, jedynie szara kamizelka łagodziła nieco mroczny, szatański wizerunek.

Pięć lat nie zmieniło jego melancholijnych rysów, a maleńka blizna nadal unosiła nieco w górę jeden kącik ust, nadając im wyraz nieustającej ironii. Upływ czasu nie zniszczył mrocznej urody Branda, nie miał też wpływu na zdradzieckie ciepło, które rozlało się po całym ciełe

Barbara Dawson Smith  
Zar

Charlotty, gdy go zobaczyła. Jeśli nie liczyć kilku srebrnych nitek, które pojawiły się wśród ciemnobrązowych włosów na skroniach, wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy przyłapał ją na złośliwym kłamstwie.

Serce jej się ścisnęło. Wielkie nieba, on nadal budził w niej burzę gwałtownych uczuć. Upokorzenie z powodu bezduszości, z jaką potraktował ją zaraz po pocałunku, pierwszym pocałunku w jej życiu. Wstyd za zło, jakie wyraziła Vivien, swojej przyjaciółce a przyrodniej siostrze Branda. Urażę, że z taką przyjemnością wykorzystał okazję, by ją ukarać. I mimowolne uklucie czegoś jeszcze, czegoś delikatnego i bolesnego. Pomimo przeszłości, pomimo rozdzielającego ich gniewu, ciągle pamiętała, jak miło było przytulić się do jego twardego, męskiego ciała.

- Cóż za zły wiatr cię przywiał? - zapytał.

Charlotta zmusiła się do uprzejmego uśmiechu. Postanowiła za żadne skarby świata nie dopuścić, żeby Brand domyślił się jakie uczucia w niej budzi.

- Jesteś równie uroczy jak zwykle - stwierdziła chłodno.

- Jeśli pozwolisz, chciałabym zobaczyć się z babcią.

Nie ruszył się z miejsca. Nadal opierał się o framugę.

- Doktor kończy badanie. Mamy czas na małą pogawędkę.

- W tej chwili interesuje mnie tylko babcia. Jak ona się czuje?

- Obie nasze babcie czują się nieźle. Pohamuj więc niecierpliwość i porozmawiaj ze mną.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- W takim razie wezmę na siebie ciężar konwersacji. Może słyszałaś, że Vivien i Michael od pięciu lat są szczęśliwym małżeństwem.

Charlotta czuła, że się rumieni i nienawidziła się za to. A więc Brand nie zamierzał zapomnieć o tej sprawie. Choć popełniła okropny błąd, próbując zdobyć Michaela dla siebie, Brand nie musiał kolejny raz jej tego wypominać.

- Oczywiście. Cieszę się wraz z nimi. Z

niedowierzaniem uniósł brew.

- Powiększyli rodzinę o dwójkę dzieci.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- W takim razie życzę im wszystkim szczęścia - powiedziała ze szczerością, o jaką nigdy by jej nie podejrzewał. - Jeśli nic więcej nie masz mi do powiedzenia...

- Dopiero zacząłem.

Jego bezczelne spojrzenie lustrowało jej przemoczone ubranie i zabłocone półbuty. Charlotta żałowała przez chwilę, że nie poświęciła odrobiny czasu, żeby się odświeżyć w swoim pokoju. Powinna mieć na sobie najlepszą suknię, a nie tę pogniecioną brązową kieckę, wybraną ze względu na kurz i błoto podróży. Powinna stanąć przed Brandem z wyszczotkowanymi włosami zwiniętymi w wytworny kok. Nie dlatego, by chciała zrobić na nim wrażenie, a dlatego, że powinna odpowiednio się uzbroić dla odparcia jego pogardy.

- Bądź tak miły i przesuń się - poprosiła.

- Wszystko w odpowiednim czasie. - Spojrzał z góry na Fancy, która wyjrzała zza spódnicy Charlotty. - Widzę, że znalazłaś jednak jakąś istotę, która toleruje twoje towarzystwo. Jeśli ten kłębek sierści to naprawdę pies.

Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłaskać Fancy.

Z gardła suczki wydobywało się głuche warczenie. Choć ucieczka nie leżała w charakterze Charlotty, cofnęła się o krok. Pies trzymał się jej nóg jak przyklejony.

- Nie dotykaj jej. Ona boi się mężczyzn. - Jak jej pani?

- Nie boję się ciebie. Tylko cię nie lubię. Brand roześmiał się.

- Stara, dobra Char. Zawsze lubiłem twoją szczerość.

- Nie przyjechałam tu dla twojej przyjemności.

Jego wzrok znowu przesunął się po sylwetce Charlotty.

- Szkoda. Nie wiesz, co tracisz.

- Sądzę, że to raczej błogosławieństwo niż pech. Charlotta przepchnęła się obok niego, a ponieważ Brand

nie ruszył się z miejsca, otarł się o siebie. Wstrzymała oddech, kiedy przeszył ją dreszcz. To niemożliwe, by nadal w taki sposób na niego reagowała. A jednak krew szybciej popłynęła w jej żyłach, a serce zmyliło rytm. Wbrew zdro-

Barbara Dawson Smith  
Zar

wemu rozsądkowi zauważyła najdrobniejsze szczegóły związane z Brandem: jego korzenny zapach, męską sylwetkę, posępne usta. Podniecenie spłynęło w dół jej ciała, do brzucha i jeszcze niżej, gdzie zagnieździło się, wywołując znajomy, dokuczliwy ból.

Niech go diabli! To bezwartościowy, niemoralny drań. Dzięki Bogu, miała dość rozsądku, by woleć takich mężczyzn jak na przykład pan Harold Rountree. Uczepiła się tej myśli. Pan Rountree miał więcej skrupułów moralnych w krótko przyciętych paznokciach niż Brand Villiers w całym swoim grzesznym ciele.

Z psem drepzczącym przy nodze Charlotta przemierzyła niewielki przedpokój, w którym stało kilka krzeseł, alabastrowe popiersie na piedestale i mrugająca lampa naftowa. Ściągnęła z rąk dziecięce rękawiczki, starając się opanować niepokój. Nie powinna okazywać zdenerwowania. Musi powitać babcię z uśmiechem pełnym otuchy.

Zakładając, oczywiście, że babcia jest przytomna.

Z sypialni wyszedł szczupły mężczyzna ze skórzaną torbą w ręku.

- Jestem Charlotta Quinton, wnuczka lady Enid - powie działa, wyciągając do niego rękę. - Pan jest lekarzem?

-Doktor Spencer, do usług. - Wykonał oryginalny, dworski ukłon i zbliżył się, nie odrywając wzroku od jej dłoni.

Zapanowała nad chęcią schowania pokrytej bliznami dłoni za plecami. Ludzie często gapili się na tę okropną siatkę białych blizn, znaczących jej prawą rękę. Dobrze, że przynajmniej długi rękaw skrywał to, co nagorsze.

- Pożar - wyjaśnia. Wołała szczerość od udawania.

Lekarz zamrugał i przeniósł wzrok na jej twarz.

-Taaak... rozumiem. Jej wysokość wygodnie sobie odpoczywa. Miło będzie pani usłyszeć, że dzisiaj czuje się o wiele lepiej.

- Czy jest poważnie ranna?

- To proste złamanie. Kość powinna się zrosnąć bez żadnych komplikacji.

- Złamanie?

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Ma złamaną rękę, milady. Na stoliku przy łóżku stoi butelka laudanum. Dwie krople co cztery godziny złagodzą ból i pozwolą jej zasnąć.

- Dopilnuję, żeby je przyjmowała. - Podniesiona tą diagnozą na duchu, Charlotta minęła doktora i weszła przez otwarte drzwi.

Wewnątrz przestronnego, wysokiego pokoju płonące w kilku kandelabrach świece rzucały smugi złotego blasku, tylko po kątach czaił się cień. W kominku z jasnego marmuru palił się ogień, rozpalony przez pokojówkę, która dygnęła przed Charlotta i wycofała się do przyległego pokoju. W sypialni stały trzy identyczne, bogato zdobione łóża z identycznymi zasłonami z ciemnowiśniowego aksamitu, przewiązanego złotymi sznurami.

Charlotta zatrzymała się na ten widok. Jakie to typowe dla Różyczek, że chcą leżeć razem w jednym pokoju. Trzy starsze damy były najlepszymi przyjaciółkami przez ponad pół wieku. W czasie pierwszego sezonu, gdy zostały wprowadzone na salony jako otoczone powszechnym podziwem debutantki, nazwano je Różyczkami ze względu na ich młodość i urodę. Często z lubością wspominały dni swej chwały, ale Charlotta podejrzewała, że miały do powiedzenia o wiele więcej, niż gotowe były ujawnić.

W tej chwili jednak mogła myśleć wyłącznie o tym, jakie to szczęście, że może je znowu zobaczyć. I była wdzięczna Bogu, że przeżyły ten okropny wypadek powozu.

Po lewej stronie filigranowa lady Stokeford spoczywała wsparta o stertę puchowych poduszek. Jakby na przekór delikatnemu ciału, była obdarzona bardzo silną wolą. Miała trzech wnuków, braci Kenyonów, których Charlotta znała od dziecka. Na krzeselku u jej wezglowia siedział elegancki siwy gentleman.

Lady Faversham zajmowała środkowe łóżko. Jej szare jak metal włosy i szczupła, posępna twarz kontrastowały z białym płótnem pościeli. Była odwrócona bokiem, bo mówiła coś właśnie do lady Stokeford. Ta ponura kobieta o zaciśniętych ustach była babką Branda.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Charlotta odwróciła się w prawo i poczuła, że serce podchodzi jej do gardła na widok ukochanej babci. Tęga matrona, lady Enid Cminton, leżała pogrążona we śnie. Nawet na łożu boleści na siwiejących, niesfornych włosach nosiła turban, tym razem z żółtego jedwabiu. Złamana ręka na temblaku spoczywała na białych poduszkach.

Nie o takim pojednaniu Charlotta marzyła w samotne noce, kiedy wiatr wył pod okapem jej stojącego na odludziu domku na peryferiach hrabstwa York. Śniła, że powróci w środku lata do Quinton Lodge w Devon, a babcia powita ją z otwartymi ramionami wraz z mamą, tatą, braćmi i siostrami. Po pięciu latach wygnania i separacji od rodziny Charlotta czuła, jak jej serce wręcz puchnie z miłości do babci.

Przeszła po miękkim dywanie i stanęła przy łóżku chorej. Powitalne okrzyki lady Faversham i lady Stokeford docierały do niej jak przez mgłę. Myślała wyłącznie o babci.

Była wstrząśnięta tym, jak staro i mizernie wygląda lady Enid. Zmarszczki żłobiące pulchną twarz pogłębiły się. Skóra w świetle świec wydawała się szara. Charlotta pogładziła pomarszczone czoło babci i poczuła napływające pod powieki lzy.

Krótkie, grube rzęsy uniosły się w górę. Charakterystyczne dla rodziny brązowe oczy zamrugały trzykrotnie i wreszcie rozjaśniły się ze szczęścia.

- Charlotta? - zapytała chora drżącym głosem. - Na prawdę wróciłaś do domu? A może ja tylko śnię?

Charlotta zatkała i objęła starą kobietę, uważając, żeby nie urazić chorego ramienia. Wdychała znany sobie zapach karmelu i wanilii, a kiedy pocałowała miękkie, pomarszczony policzek babci, ogarnęła ją głęboka radość.

- Naprawdę tu jestem, babciu. Nie w domu, tylko tutaj, w Londynie, przy tobie. - Głos dziewczyny zadrzał z radości i z żalu. Miłość lady Enid była zawsze bezwarunkowa, a jednak Charlotta wystawiła ją na szwank tym jednym głupim, występnym aktem szaleństwa...

Barbara Dawson Smith  
Żar

Zdrowym ramieniem babcia oddała wnuczce uścisk i pulchnymi palcami zwichrzyła jej włosy.

- No, no, moja słodka dziewczynko. Ani mi się waź szlochać. To tylko złamana kość. Wstanę z łóżka, zanim się obejrzysz.

- Nie ma mowy - oświadczył Brand.

Oslupiała Charlotta obejrzała się i stwierdziła, że wszedł za nią do pokoju. Stał w smudze cienia w nogach łóżka swojej babci.

- Nawet u młodego człowieka zrośnięcie się kości musi trwać sześć tygodni - ciągnął Brand. - A w waszym wieku...

- Tfu, też mi gentleman! - przerwała mu lady Stokeford. - Nie musisz nam ciągle przypominać o naszym zniedołężnieniu.

- Właśnie - huknęła lady Faversham ze środkowego łóża. - Jeszcze chwila, a wstanę z łóżka i pokażę ci, w jakiej jestem formie. - Ubrana w zapinaną pod szyję skromną koszulę nocną wyciągnęła rękę po laseczkę z główką z kości słoniowej, opartą o nocną szafkę.

Brand usunął laskę poza zasięg babcinej ręki.

- Zostaniesz w łóżku, gdzie twoje miejsce. Nie połamałyś żeber, gdybyś zgodnie ze zdrowym rozsądkiem siedziała w domu i robiła na drutach, zamiast podczas zamieci gnać na złamanie karku.

- Robiła na drutach! ~ prychnęła z niesmakiem lady Faversham. - Jeśli kiedykolwiek zobaczysz mnie siedzącą w bujanym fotelu z drutami w rękę, możesz od razu zamówić trumnę.

- Zrobiłyśmy to, co musiałyśmy zrobić - dorzuciła lady Stokeford. - Ja osobiście miałam szczęście, po tym niefortunnym wypadku mam tylko kilka siniaków i zadrapań, ale w takiej sprawie chętnie znów zaryzykowałabym życie.

- Podobnie jak ja - poparła ją lady Enid. - Choćby szalała burza śnieżna.

- O jakiej sprawie mówicie? - zapytała zaskoczona Charlotta. - Dlaczego właściwie wybrałyście się w podróż z Devon do Londynu w czasie zadyмки?

Barbara Dawson Smith

Żar

- Właśnie, ja też chciałbym się tego dowiedzieć. - Brand spojrział na chwilę w oczy Charlotty, zanim znów przeniósł wzrok na trzy starsze damy. - Najwyższy czas, żebyście się wytłumaczyły.

Lady Stokeford spojrzała na przyjaciółki.

- Obawiam się, że to była moja wina...

- Dość, Lucy - przerwał siedzący u jej wezgłowia starszy pan. Pomimo surowego tonu z galanterią ucałował jej dłoń z prześwitującymi przez skórę niebieskimi żyłami. - Nie powinnaś się obwiniać.

Lady Stokeford spojrzała na niego z urazą.

- Zrobię to, na co będę miała ochotę. Och, przepraszam, jeszcze cię nie przedstawiłam Charlotte.

Dokonała prezentacji, ale Charlotta zdążyła już się domyślić, z kim ma do czynienia. To był Nathaniel Babcock, od kilku lat oddany wielbiciel lady Stokeford.

Błękitne oczy mężczyzny zablysły, kiedy wstał i pochylił się do samego pasa w staromodnym, niskim ukłonie.

- Nathaniel ma rację, Lucy, nie powinnaś być dla siebie taka surowa. - Lady Faversham wciągnęła drżący oddech i położyła rękę na bandażu, ściskającym kontuzjowane żebra. - Zrobiłaś tylko to, co każda kochająca babcia zrobiłaby na twoim miejscu.

- Jechałyśmy do Londynu, żeby nie dopuścić do ślubu Samuela - wyjaśniła lady Enid Charlotte. - Ale tuż pod miastem nasz powóz zjechał z drogi i wpadł do rowu. Na szczęście byłyśmy tylko o kilka kilometrów stąd.

- Samuela? - zapytała Charlotta. - Masz na myśli pana Firtha? - Był to nieślubny wnuk lady Stokeford, którego Charlotta nigdy nie spotkała. Był bogatym biznesmenem, który sam doszedł do majątku i najwyraźniej żywił urazę do rodziny Stokefordów. Lady Stokeford dopiero przed rokiem dowiedziała się o jego istnieniu. Ten młody mężczyzna stanowczo odrzucił jej próby włączenia go do rodziny.

- Tak - wyznała lady Stokeford z rezygnacją. - Nie miałam pojęcia o planach małżeńskich Samuela, dopóki cztery dni temu nie dostałam od niego listu.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Ślub był zaplanowany na następny dzień - dodała ponuro lady Faversham. - Nie miałyśmy więc wyjścia: musiałyśmy wyruszyć bezzwłocznie. A i tak przybyłyśmy za późno. I to w takiej kondycji, że nie mogłyśmy niczego powstrzymać.

- Powiniennem być wyruszyć z wami - oświadczył Nathaniel Babcock. - Pewnie kazałyście woźnicy jechać zbyt szybko.

- A dlaczego właściwie chciałyście zapobiec temu ślubowi? - zapytała Charlotta.

- Bo wtykają nos w nie swoje sprawy, jak zwykle - wtrącił się Brand. - Firth jest dorosłym mężczyzną. Ma prawo żenić się, z kim chce.

- Nie, jeśli dziewczyna ma zaledwie piętnaście lat - warknęła lady Faversham. - To lady Cassandra, córka księcia Chiltern. Ten nikczemnik oddał ją Firthowi, żeby spłacić dług karciany.

- Nieśmiała, wychowana na wsi panienka to nie partia dla człowieka światowego - dorzuciła lady Enid.

- Raczej dla człowieka wściekłego na cały świat - poprawiła lady Stokeford. Jej głos utonął w ataku kaszlu. - Och, to okropne londyńskie powietrze. Moje płuca naprawdę nie są w stanie nim oddychać.

Nathaniel Babcock podsunął jej szklankę wody i starsza pani z wdzięcznością wypłała łyk.

- Jeśli ten nowy specyfik od doktora nie zacznie działać - oświadczył - to natychmiast wracasz do Devon.

- Już cię tu nie będzie, żeby mi rozkazywać - oznajmiła dumnie lady Stokeford. - Jutro wyjeżdżasz do Lancashire, pamiętasz? - Odwróciła się do Branda i Charlotty i wyjaśniła: - Biedna Cassandra uciekła do ojcowskiej rezydencji. Ponieważ my, z powodu kontuzji, nie możemy się stąd ruszyć, Nathaniel zgodził się zostać naszym emisariuszem. Zorientuje się, czy można anulować to małżeństwo.

Charlotta przysiadła na skraju łóżka. W przeciwieństwie do Branda ona nie miała pretensji do starszych pań, że wtrącają się w nie swoje sprawy. Ich troska o dobro lady

Barbara Dawson Smith

Zar

Cassandry wydawała się w pełni usprawiedliwiona. I choć czasami Różyczki przesadzały, manipulując członkami swych rodzin bez opamiętania, to zawsze miały dobre intencje.

- Do diabła, to nieprawdopodobne szczęście, że wszystkie trzy jeszcze żyjecie - stwierdził Brand. Założył ręce za plecami i nerwowo spacerował po błękitno-złotym dywanie. - Trzeba mieć ptasi mózdzek, żeby wyruszać w podróż w taką zawieruchę.

- Nie klnij - pouczyła wnuka lady Faversham. - I nie krytykuj starszych.

Wytrzymał spojrzenie babki.

- Będę krytykował, ile mi się zachce. Widziałem ten powóz w stajni. Cały bok jest zmiażdżony.

- Wielkie nieba - szepnęła Charlotta i sięgnęła po pulchną dłoń babci. - W takim razie to prawdziwy cud, że żyjecie. - W każdej innej sytuacji podziwiałaby Różyczki za ich odwagę. Sama chciała być do nich podobna, czynna i pełna energii aż do późnej starości, ale teraz uzmysłowiła sobie w pełni, jak wąła jest jej babcia. - Zostanę przy tobie, dopóki nie staniesz na nogi.

- Miałam taką nadzieję - oznajmiła babcia z zadowoleniem i ucisnęła palce Charlotty. - Nie powtarzaj tego swoim braciom i siostrom, ale byłaś zawsze moją ukochaną wnuczką. Czy wiesz, że uśmiechnęłaś się do mnie pierwszy raz już w dniu swoich urodzin?

Charlotta uśmiechnęła się teraz z gardłem ściśniętym ze wzruszenia. Babcia wielokrotnie już opowiadała jej tę bujną. Charlotta podejrzewała, że w rzeczywistości zdobyła specjalne miejsce w sercu babci dlatego, że była jej pierwszą wnuczką.

Jak strasznie tęskniła za całą rodziną, za dwoma młodszymi braćmi i trzema siostrami, za swymi drogimi rodzicami, których zawsze kochała, choć czasem bywali flegmatyczni i nudni. Tata był emerytowanym marynarzem, któremu dziesięć lat temu za bohaterstwo na polu walki przyznano tytuł księcia Mildon. Od tego momentu

Barbara Dawson Smith

Zar

zaczął wieść osiadłe życie obywatela ziemskiego, nie ruszając się poza obręb swego majątku. A Charlotta zawsze marzyła, żeby się stamtąd wyrwać. W miarę dorastania coraz bardziej nie lubiła swej pozycji najstarszego spośród sześciorga dzieci. Oczekiwano, że będzie uczyć młodsze rodzeństwo i spełniać rolę mediatorki w ich nie kończących się sporach. Na wygnaniu w Yorku po raz pierwszy w życiu miała szansę zamieszkać sama.

Miała też czas do namysłu i zastanowienia. Przyjrzała się dokładnie samej sobie i doszła do wniosku, że zbyt długo pozwalała, by gorycz i użalanie się nad sobą męczyły jej myśli i zaciemniały spojrzenie. Przysięgła, że się poprawi, że położy kres dawnym błędom i poświęci się dobroczynności.

I odkryła, że straszliwie tęskni za doskonale sobie znanym, hałaśliwym i męczącym życiem rodzinnym.

- Gdzie mama i tata? - zapytała teraz. - Na pewno i im przesłałaś wiadomość.

Lady Enid lekceważąco machnęła ręką.

- Och, poradziłam im, żeby zostali w domu, w Devon. Wiesz przecież, że zdecydowanie wolą wieś. A poza tym uznałam, że ty będziesz dla mnie idealną pielęgniarką.

Charlotta cieszyła się, że tylko ona została wezwana. Oczywiście chciała zobaczyć znowu swoją rodzinę, ale wiedziała, że wtedy byłoby bardzo hałaśliwie, a babcia potrzebowała odpoczynku.

Gwałtownie odwróciła się do nocnego stolika po butelkę laudanum i niechcący trąciła nogą Fancy. Z podłogi dobiegł cichy skowyt.

Wzięła psa na rękę.

- Przepraszam, kochanie - mruknęła. - Kompletnie zapomniałam, że tu jesteś.

- Trudno się dziwić - warknął Brand. - Ten stwór bardziej przypomina miotłkę do kurzu niż psa.

Stał opierając się ramieniem o słupek baldachimu łoża i wpatrywał się intensywnie w Charlotte. Starając się nie zwracać uwagi na zdradzieckie ciepło rozchodzą-

Barbara Dawson Smith  
Zar

ce się po całym ciele, postawiła kudłate stworzonko na łóżku.

- Babciu, to jest Fancy.

- Imię też cudaczne - mruknął Brand.

-Co za słodkie, kochane zwierzątko - zawołała lady Enid z uśmiechem i pogłaskała psa. - Jest taka chudziutka. I ma łysą plamkę na nodze, biedactwo.

- Mieszkała na ulicy, kiedy ją znalazłam. Podoba ci się?

- Jeśli ty ją kochasz, to ja także będę.

Fancy obwąchała rękę babci, trzy razy okręciła się wokół własnej osi i ułożyła się przy jej boku.

- Tylko zobacz - zawołała rozradowana Charlotta. - Już ci ufa. Pomyślałam, że może zechcesz ją zatrzymać, oczywiście po moim wyjeździe.

- Zatrzymać ją? - Oczy babci były pełne troski i miłości. - Gwiazdeczko, nie mogłabym ci jej odebrać.

- To mój prezent dla ciebie. Ale nie musisz podejmować decyzji w tej chwili.

-Bardzo rozsądnie - mruknął Brand do Charlotty. -Babcia złamała rękę, a ty ofiarowujesz jej psa, z którym będzie musiała chodzić na spacer.

Charlotta rzuciła mu gniewne spojrzenie. Był naprawdę najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego знаła. Pochyliła się do psa i powiedziała poważnie:

- Pantofle, Fancy. Podaj pantofle.

Z kłębka brązowego futerka uniosło się w górę dwoje uszu. Fancy zeskoczyła z łóżka, wetknęła nos pod stół nocny, pod pobliskie krzesło i zaczęła węszyć po dywanie.

- Ciekawe, czy ona cokolwiek widzi spoza tej sierści - mruknął Brand.

Charlotta wydeła tylko usta w odpowiedzi, ściskając kciuki za to, żeby Fancy zapamiętała coś z tresury.

Pies zrobił rundkę wokół pokoju, a potem zniknął w przyległej garderobie. Po chwili pojawił się znów z dwoma różowymi kapciami w pysku. Suczka truchcikiem podbiegła do łóżka i położyła pantofle u stóp Charlotty, patrząc na swą panią i merdając ogonem.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Dobry piesek! - Charlotta z dumą podniosła i przytuliła psa. Fancy polizała swą panią w brodzie, wijąc się ze szczęścia.

Różyczki klaskały i chwaliły. Nathaniel Babcock chichotał.

- Jakież to mądre stworzonko - zawołała lady Stokeford z zachwytem. - Co jeszcze umie?

- Na razie to wszystko - wyjaśniła Charlotta. - Zaczęłam ją tresować dopiero tydzień temu. Ale jest bardzo bystra i szybko się uczy. Będzie dużą pomocą dla babci po moim wyjeździe.

- Uważam, że jest wspaniała - oświadczyła lady Enid.

- Ale mam nadzieję, że nie zamierzasz jeszcze wyjeżdżać.

- Oczywiście że nie. To będzie długa, miła wizyta. Trzeba tygodni, żeby odpowiednio wytresować Fancy.

- Doskonale - stwierdził Brand. - Do tego czasu lady Enid będzie już w pełni samodzielna.

Charlotta zacisnęła zęby i ponownie położyła Fancy na łóżku.

- Babcia będzie potrzebowała anioła stróża. Jeśli upadnie, może nie móc sięgnąć do dzwonka. Nauczę Fancy sprowadzać służbę.

Brand pozostał sceptyczny. Charlotta czuła, że jego spojrzenie aż ją pali. Cały czas była niepokojąco świadoma jego męskości.

- A jeszcze lepiej - kpił - żebyś nauczyła ją kilku procedur medycznych. Pomyśl, ile mogłabyś zaoszczędzić na doktorach.

Charlotta rzuciła mu miazdzące spojrzenie.

- Rozejrzyj się dokoła. Jestem pewna, że w pobliżu znajdziesz jakiś rynek, w którym poczujesz się jak w domu.

- Może Brandon mógłby cię jutro oprowadzić po mieście - pisnęła lady Stokeford. - Jeszcze nigdy nie byłaś w Londynie.

- Wątpię, czy chciałabym oglądać to, co on miałby mi do pokazania - powiedziała Charlotta i podeszła do babci.

- Ale nie miałabym nic przeciwko uczestnictwu w życiu towarzyskim, dopóki tutaj jestem.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Podekscytowane Różyczki wykrzykiwały jedna przez drugą:

- Zdobędziemy zaproszenia na najwspanialsze przyjęcia - zawołała lady Faversham.

- Och, jak cudownie! - stwierdziła lady Enid, a oczy aż zabłyśły w okrągłej twarzy. - Chciałabym, żebyśmy i my mogły pójść.

- Może zdołam namówić lady Jersey, żeby cię wprowadziła - dodała lady Stokeford. - Musisz zostać przedstawiona wszystkim odpowiednim gentlemanom.

- Postaram się ich ostrzec ~ stwierdził Brand półgłosem. - Powinni wiedzieć, jaką jesteś jedzą.

Gdy tak stał, opierając się o słupek baldachimu, wyglądał jak diabeł wcielony. Skrzywieniem warg i uniesieniem brwi wyrażał wątpliwość, czy w ogóle jakiś mężczyzna mógłby się nią zainteresować.

Spotkała jego przenikliwe spojrzenie i poczuła kolejne ukłucie tęsknoty. Zawsze tak było. Nawet kiedy ją obrażał, sprawiał, że jej serce biło mocniej. Z takim trudem zdobyta dojrzałość nie zniszczyła tego idiotycznego pociągu do Branda.

Charlotta odwróciła się do niego plecami i spojrzała na Różyczki.

- Z radością informuję, że już kilka miesięcy temu poznałam w Yorku wspaniałego gentlemana. Uczęszczamy do tego samego kościoła. Obecnie bawi z wizytą w Londynie i...

- Kto to jest? - zapytał Brand. - Prześlę mu kondolencje.

- Rozmawiam z babcią, nie z tobą. - Charlotta rozpaczliwie skoncentrowała całą uwagę na ciepłych, brązowych oczach babci. - To pan Harold Rountree. Ubiega się o wybór do Izby Gmin.

- Rountree? - powtórzył Brand.

Charlotta zignorowała go całkowicie.

- Pan Rountree i ja znamy się całkiem dobrze. Można powiedzieć, że doszliśmy do pewnego rodzaju... porozumienia.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Różyczki równocześnie gwałtownie złapały powietrze.  
- O, wielkie nieba! - zawołała lady Enid i uniosła głowę,  
żeby spojrzeć wnuczce prosto w oczy. - Jesteście zaręczeni?

## Rozdział 2 Tajemniczy wielbiciel

Nie miałeś prawa mnie stamtąd wyciągać - oświadczyła Charlotta, kiedy Brand wywlókł ją na korytarz. Brązowa mioteczka do kurzu dreptała tuż przy jej nodze. - Byłam w trakcie rozmowy z babcią.

Pogrążony w ponurym zamyśleniu Brand ciągnął ją w głąb korytarza.

- Mamy pewną ważną sprawę do omówienia.  
- Nie interesuje mnie nic, co mogę od ciebie usłyszeć.  
- Zainteresuje cię to, co mam do powiedzenia o twoim... ukochanym. - Ostatnie słowo rzucił z ponurym sarkazmem. Przed miesiącem, po śmierci Trowbridge'a, Brand wdrożył ciche dochodzenie, które na razie nie dało żadnych rezultatów. Szukał powodu, dla którego ktoś zamordował czterech członków rozwiązanej Ligi Lucyfera. Odnalazł kilku byłych uczestników klubu i porozmawiał z nimi.

Był wśród nich także Harold Rountree.

Czy to tylko zwykły zbieg okoliczności, że Rountree emabluje teraz Charlotte? Taki zbieg okoliczności wydawał się podejrzany.

- Pan Rountree jest godnym szacunku, ciężko pracującym, rozsądnym i zrównoważonym człowiekiem, czyli twoim przeciwieństwem - oświadczyła Charlotta. - Jest także w Yorku wziętym adwokatem. Nie mogę sobie wyobrazić, skąd możesz go znać, chyba że reprezentował cię w sądzie w jakiejś sprawie kryminalnej.

Barbara Dawson Smith  
Żar



W każdej innej sytuacji Brand wybuchnąłby śmiechem. Przed pięcioma laty omal nie nabrał się na jej fałszywe oskarżenia. Tymczasem ze wszystkich znanych mu kobiet właśnie Charlotta najlepiej do niego pasowała.

Teraz było w niej jednak coś innego i Brand starał się zrozumieć, co. Wygnanie, rozłąka z rodziną i przyjaciółmi przydały dziewczynie dojrzałości, co pozwoliło wziąć w karby swą wybuchową naturę. Kosmyki ciemnych, kasztanowych włosów Charlotty wymykały się z niestannianie zwiniętego koka. U dołu spódnicy widniały smugi błota. Najwyraźniej przestała przejmować się własnym wyglądem. Nie nosiła nawet rękawiczek, pod którymi kryła niegdyś blizny na ręce.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że rozpina na plecach jej suknię, ściąga gorset i poznaje wszystkie tajemnice jej bujnego ciała. Wyobrażał sobie jej jęki i westchnienia, jej błagania, by wziął ją do łóżka.

Bardziej prawdopodobne, że rozłożyłaby go na obie łopatki.

Do licha, widać jest w prawdziwej potrzebie! Uplłynął już miesiąc od jego krótkiego romansu z Jewel. Przedłużający się celibat był zapewne jedyną przyczyną, dla której zaczął pożądać uszczypliwej starej panny.

I dał się zbić z tropu.

- Rountree nie jest takim wzorem cnót, za jaki go uważasz - powiedział.

Zielone oczy Charlotty załśniły z oburzenia.

- Daruj sobie zawołane insynuacje. Mów jasno, albo wychodź.

- Jak sobie życzysz. Spotkałem Harolda Rountree kilka lat temu. Należał kiedyś do Ligi Lucyfera.

Charlotta stanęła u szczytu schodów, zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na Branda. -Do... czego?

- Liga Lucyfera to taki piekielny klub, który został rozwiązany cztery lata temu. Rountree był niegdyś jego aktywnym członkiem.

Barbara Dawson Smith Zar

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, które słabszego mężczyznę mogłoby zmiażdżyć.

- Takie kluby są dość rozpowszechnione. Jakie grzechy popełnił pan Rountree? Pił i grał w karty?

Brand zastanawiał się, czy powiedzieć jej prawdę. Ale byłaby zaszokowana. Musiałby mówić o dziwkach, orgiach, opium, rozpuście, o sprawach, o których dobrze wychowana dama nie powinna nic wiedzieć. Brand tylko okazynie brał udział w tamtych orgiach; był na to zbyt wybredny w doborze swoich kobiet.

- Znacznie, znacznie więcej - powiedział, pozwalając Charlotte samej domyślać się reszty. - Jeśli sobie życzysz, mogę ci opowiedzieć o działalności Ligi z najdrobniejszymi szczegółami.

- Nie, dziękuję. Nie interesują mnie twoje brudne afery. - Mocno zarumieniona, zaczęła schodzić w dół po marmurowych schodach. - Mylisz się co do pana Rountree. Musiałeś go pomylić z kim innym.

- Nie, nie pomyliłem. - Brand ruszył za nią. Trzymał się o kilka kroków z tyłu, mógł więc podziwiać widok. Do licha, Charlotta miała świetną figurę o wąskiej talii i kobiecych biodrach. Przyszły mu na myśl szalone zmagania miłosne pozbawione wszelkich zahamowań. Pragnął wyjąć spinki z jej koka, by gęste kasztanowe włosy opadły aż do pasa... - Brałem udział w ostatnim spotkaniu.

- W to akurat nie wątpię. Jednak to, co mówiłeś o panu Rountree, nie może być prawdą. Pewnie za dużo wypiliśmy i pomyliłeś go z kimś innym.

- Możesz wierzyć, w co zechcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegąłem. - Brand miał nadzieję, że Charlotta zwróci przynajmniej uwagę na jego stanowczy ton. Bo nie zamierzał ujawniać przed nią swoich podejrzeń.

Obojętnie schodziła po schodach, jakby rozmawiali o czymś równie mało istotnym jak pogoda.

- Osobiście zapytam o to pana Rountree przy najbliższym spotkaniu.

- Zaprzeczy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Więc będę miała jego słowo przeciwko twojemu - rzucała przez ramię. - Jeśli to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia, to żegnam,

Branda dręczył jakiś dziwny niepokój. Czy Charlotta została oślepią imponującą fasadą, którą Rountree przed nią roztoczył? Nie mógł dopuścić do jej konfrontacji z tym człowiekiem. Ta mała idiotka mogła narazić się na niebezpieczeństwo... i zaprzepaścić śledztwo, które prowadził.

Zbiegł na dół, stanął przed Charlottą i wyciągnął przed siebie rękę, żeby ją zatrzymać, ale ona wpadła na niego i pełne piersi na chwilę przylgnęły do jego ramienia. Jej oczy przypominały teraz dwa zielone jeziora. Drgnęła, zesztyniała, a jej policzki okryły się czerwienią.

Brand zorientował się, że wpatruje się w jej rozchylone wargi i pragnie ją pocałować. Znowu! Ale tym razem Charlotta nie była już niedojrzałą dziewczynką. Była kobietą spragnioną namiętnego dotyku mężczyzny.

- Przepraszam - powiedziała lodowatym tonem. - Tara sujesz mi drogę.

Opanował się.

- Musimy porozmawiać.

Spojrzała na niego gniewnie, jak oburzona dziewica.

- Dość już od ciebie usłyszałam jak na jeden wieczór.

- To fatalnie, że tak sądzisz, bo jeszcze nie skończyłem. - Do licha, dlaczego ona nie chce współdziałać z nim choćby ten jeden raz? - Powiedz mi, od jak dawna Rountree przebywa w Londynie?

- Ponad miesiąc. I wbrew temu, co myślisz, nie zapomniał o mnie. Pisał codziennie.

- Oczywiście. Chce twojego posagu i arystokratycznego nazwiska. - A może również czegoś więcej? Może chodzi także o powiązanie Charlotty z nim? Ta możliwość wstrząsnęła Brandem. Może to było kompletnie bez znaczenia, ale chciał mieć pewność. Jak wszyscy inni mężczyźni z Ligi Lucyfera, Rountree był podejrzany. Brand wiedział, że dopóki nie zdobędzie dowodów jego niewinności, musi zakładać, że jest niebezpieczny.

Barbara Dawson Smith  
Zar~

- Nie masz pojęcia o jego intencjach - warknęła Charlotta. - On jest niezwykle troskliwym i dobrym człowiekiem. Zależy nam wzajemnie na sobie, choć pewnie nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

Sztucznie wyprostowana sylwetka dziewczyny świadczyła o tym, że ją obraził. Zrozumiał to i zaklął pod nosem. Nic nie szło tak, jak sobie zaplanował. Opryskliwa czy nie, Charlotta była jednak kobietą, a kobiety wymagają delikatniejszego podejścia. To zawsze czyni je bardziej podatnymi na perswazję.

- Radzę ci tylko zachować ostrożność, to wszystko. Trzy maj się z dala od tego człowieka. Mnóstwo mężczyzn z towarzystwa byłoby szczęśliwych, mogąc zalecać się do tak pięknej kobiety, jak ty.

Ogromne oczy Charlotty w przyćmionym świetle korytarza wydawały się zielone jak liście. Przez chwilę gotów był przysiąc, że ją pociąga. Że pragnie, by wziął ją w ramiona i pocałował. Całe jego ciało oblała fala gorąca. Ale kiedy się odezwała, jej głos wręcz ociekał pogardą.

- Dlaczego próbujesz mi schlebiać? Z twoich komplementów robię sobie jeszcze mniej niż z innych kłamstw.

- Nigdy cię nie okłamałem, Char. Przecież wiesz. Więc bądź ostrożna i nie wspominaj mu o tej rozmowie.

- Usłyszałam wyłącznie głosowe oskarżenia. Uczciwość wymaga, żebym wysłuchała także jego wersji.

Brand zacisnął zęby. Do licha, ależ ona jest uparta! A przecież mogła przez to narazić się na śmierć. I czy mu się to podobało, czy nie, musiał uzmysłowić jej zagrożenie.

- Skoro już musisz wiedzieć - zauważył półgłosem - to ci powiem: Rountree może być winien morderstwa.

Wpatrywała się w niego z kompletnym niedowierzaniem.

- Morderstwa? To najbardziej idiotyczne, śmieszne, irracjonalne...

- Mów ciszej. Ktoś może podsłuchiwać. Dokończymy tę rozmowę na osobności.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Poprowadził ją przez hol wejściowy, jego kroki wręcz dzwoniły na jasnym, żyłkowanym marmurze. Towarzyszyło im lżejsze postukiwanie półbucików Charlotty. Jej wargi były skrzywione w znanym mu wyrazie sprzeciwu, ale przynajmniej miała dość rozsądku, by trzymać język za zębami.

Wszedł do opustoszałego salonu po drugiej stronie holu i zamknął drzwi. Wysoki zegar stojący w rogu pokoju monotonnie odmierzał upływające sekundy, a w ciemnych oknach odbijały się płomienie buzującego na kominku ognia. Gustownie udekorowany, utrzymany w stonowanych zieleniach pokój był ulubionym miejscem babci Branda, która wielokrotnie wzywała go tu na połajanki, kiedy przyjeżdżała do Londynu.

Myśl o rannej, leżącej na piętrze babci wstrząsnęła nim głęboko. Czy katastrofa powozu była tylko nieszczęśliwym wypadkiem?

To pytanie dręczyło Branda. Przed czterema laty, gdy zapadła decyzja o rozwiązaniu Ligi Lucyfera, Różyczki znajdowały się w wiejskiej rezydencji. I wówczas, wiedzione swym zwykłym wścibstwem, zetknęły się z członkami Ligi. A teraz Brand nie mógł pozbyć się niejasnego wrażenia, że to ich jedno jedyne spotkanie z piekielnym klubem mogło mieć straszliwe konsekwencje. A jeśli morderca zamierza zabić wszystkich, którzy mogą zidentyfikować członków Ligi? Pomysł dość karkołomny, ale Brand zamierzał sprawdzić to jutro z samego rana.

Charlotta opadła na ustawiony przy kominku fotel, a pies ułożył jej się na kolanach jak puchary dywanik. Brand marzył o drinku, więc podszedł do barku z różanego drewna i odkorkował butelkę wina.

Kryształ zadźwięczał, kiedy napełniał kieliszek. Spróbował, uznał, że burgund ma odpowiedni smak i nalał kolejny puchar dla Charlotty.

- Proszę, będzie ci to potrzebne.

Odmówiła ruchem ręki.

- Czekam na wyjaśnienia. I lepiej, żeby były wyczerpujące.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Postawił jej kieliszek na pobliskim stolyczku i pociągnął łyk wina.

- W takim razie przejdę od razu do rzeczy. W ciągu ostatnich miesięcy kilku członków Ligi zmarło w niezwykle okolicznościach.

- Pod jakim względem niezwykle? - Charlotta nie kryła sceptycyzmu.

Brand oparł łokieć o gzyms nad kominkiem.

- Lord Mellingham brał udział w pojedynku, ale jego broń nie wypaliła i zginął. Simon Wallace wypił za dużo i spadł ze schodów. Sir Raymond Aldrich został trafiony apopleksją, a był młodszy ode mnie.

- Jak się żyje w rozpuście, to i kończy się żałością.

Znów poczuł przypływ czarnego humoru z powodu jej pruderii, ale nie był to najlepszy czas na przekomarzanie się.

- To nie wszystko. Kilka tygodni temu przyszedł do mnie lord Trowbridge. Dostał anonimowy list, w którym były tylko dwa słowa: *Będziesz następny*.

~ Żart.

- Ja też nie uwierzyłem. Ale kiedy w kilka godzin później został napadnięty i zamordowany przez bandytów, nie mogłem już uznać tego za zwykły zbieg okoliczności. Ktoś naprawdę próbuje zabić członków Ligi.

Charlotta przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Pan Rountree nie jest mordercą - powiedziała wreszcie głosem bez wyrazu.

Brand wiedział, że musi się poruszać bardzo ostrożnie.

- To oczywiście może być prawda. Proszę cię tylko, żebyś w tej chwili nie pytała go o Ligę. Przynajmniej do czasu, aż zorientuję się w sytuacji.

- Ty? Najlepiej byłoby oddać sprawę w ręce detektywa z Bow Street.

- Człowiek z gminu nie będzie miał wstępu do towarzystwa. Ja mam o wiele większe szanse, by uzyskać od tych ludzi informacje. Chodzę na te same przyjęcia, należę do tych samych klubów.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Pan Rountree pochodzi z Yorku. Nie należycie do tego samego towarzystwa. To dowodzi, że jest niewinny.

- Ale kiedyś należał do Ligi. Wszyscy członkowie są podejrzani.

-Ty też?

Zirytowany Brand dopił wino i odstawił kieliszek.

- Nie bądź śmieszna. Po co miałbym ci to wszystko opowiadać, gdybym to ja był winowajcą?

- Żeby wplątać w to uczciwego obywatela.

- Naprawdę jest tak honorowym człowiekiem? Harold Rountree ma bardzo silny motyw morderstwa. Gdyby rozeszły się pogłoski o jego niezbyt kryształowej przeszłości, przegrałby wybory.

Charlotta siedziała w całkowitym bezruchu. Wydawała się przejęta. Najwyraźniej walczyła z rodzącymi się w niej okropnymi wątpliwościami. Brand chciał, by mu uwierzyła, by ich dawna animozja nie miała wpływu na jej osąd.

Nagle Charlotta postawiła Fancy na podłodze i gwałtownie zerwała się z fotela.

- To absurdalne oskarżenie i nie zamierzam dłużej cię słuchać!

- Lepiej posłuchaj. Byłabyś kompletną idiotką, gdybyś związała się z ewentualnym mordercą. - Brand nie mógł się powstrzymać od dodania: - Ale cóż, zawsze traciłaś głowę dla pewnego typu mężczyzn. Włącznie ze mną.

Spoczęły na nim jej szeroko otwarte oczy. Musiała pamiętać ten incydent sprzed lat, kiedy dosłownie rzuciła się na niego, błagając o pocałunek. Brutalnie rozwiązał jej romantyczne marzenia. Od tego czasu żywiła do niego pogardę.

Do diabła ze wstydem! Charlotta nie była już młodziutką dziewczyną. Była kobietą, której potrzeby nie zostały zaspokojone. To niezwykle wyzwanie: rozbudzić namiętność drzemającą w tej starej pannie.

Brand uświadomił sobie, że są całkiem sami. Cichy szept płomieni, zamknięte drzwi, mrok za oknem - to wszystko

tworzyło scenę sprzyjającą uwodzeniu. Wyobraźnia podsunęła mu obraz silnych rąk i nóg Charlotty oplecionych wokół niego w namiętym zespoleniu.

- Zrozumiały gnojek - prychnęła. - Trudno mi wyobrazić sobie kogoś, kto budziłby we mnie większy niesmak niż ty.

-Naprawdę? - Sprowokowany Brand podszedł bliżej i niemal wtoczył ją w fotel. Inna kobieta usiadłaby na poprzednim miejscu, ale nie Charlotta. Buntownicza i obdarzona silną wolą dziewczyna wytrzymała jego wzrok. Stał tak blisko, że jego nogi ocierały się o jej spódnicę. W tym momencie mógłby przysiąc, że nadal go pragnie. Wyczuwał to w bijącym od niej ciepłe, w lekkim rozszerzeniu jej źrenic, w napięciu całego ciała.

A jakie wspaniałe miała ciało - niezwykle kobiece, o pełnych piersiach i zaokrąglonych biodrach. Ale niełatwo ją będzie zdobyć.

Pochylił się i przez dłuższą chwilę wdychał jej świeży zapach.

- Nie budzę w tobie niesmaku, Char - mruknął. - Już raz ci to udowodniłem, przed laty. Pamiętasz?

Powstrzymała jęk.

- Byłam młoda i głupia. Ale na szczęście potrafię uczyć się na własnych błędach. Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie.

- Grzech bywa całkiem miły. Powinnaś sama się przekonać. - Gładził jej ramiona, potem przesunął palce na szyję, gdzie skóra była ciepła i aksamitna. - Ciekaw jestem, czy nadal całujesz jak napalona, ale naiwna dziewczynka.

Jej spojrzenie zmiękło, lecz tylko na chwilę. Gwałtownie podniosła ręce i odepchnęła go. W tej samej chwili coś ostrego wbiło mu się w nogę nad kostką.

Odskoczył do tyłu.

- Jasna cholera!

- Czy twoja reakcja nie jest przypadkiem nieco przesadna? - zapytała szydyczko. - Ledwo cię dotknęłam.

Brand schylił się i obejrzał pulsującą bólem kostkę.

Barbara Dawson Smith

Zar

Barbara Dawson Smith

Zar

- Ugryzła mnie. Ten mały kłębek futra zatopił we mnie ząbki.

Fancy schroniła się za bezpieczną zaslonę sukni Charlot-ty i groźnie nastroszona wpatrywała się w przeciwnika. Gdzieś z głębi futerka dochodziło głuche warczenie.

Charlotta opadła na kolana i przycisnęła psiaka do piersi. Pokrytą bliznami dłonią gładziła łebek tego cudacznego mopa.

- Nic ci nie jest, kochanie? Czy nie kopnęło cięto wielkie byczysko?

- Z pewnym wahaniem przerywam tę wzruszającą scenę - powiedział Brand z wyraźnym sarkazmem - ale przecież to ja zostałem poszkodowany.

Charlotta podniosła na niego wzrok. Pasowały w tej chwili do siebie: Fancy w groźnej postawie i Charlotta z surowo zaciśniętymi ustami i wyrzutem w oczach.

- Tak naprawdę to nie zrobiła ci krzywdy, prawda? Krwawisz? Uniosł nogawkę i przyjrzał się czarnej skarpetce.

- Okazuje się, że nie. Ale boli jak diabli.

- Przypuszczam, że czekasz na przeprosiny.

- O, czyżbyś nauczyła ją także mówić?!

- Bardzo śmieszne. Fancy gryzie tylko wtedy, kiedy jest przerażona. Albo gdy ktoś zagraża mnie.

Brand wyprostował się i stanął na zranionej nodze. Ból już całkiem przeszedł, ale nie miał zamiaru informować o tym Charlotty.

- Wspaniale. Ofiarowujesz babci agresywne zwierzę.

- Fancy nie lubi tylko mężczyzn. Instynktownie wie, komu nie można ufać.

- W takim razie najwyższy czas, żeby nauczyła się ufać panu tego domu.

Podniósł psa i ułożył w zagięciu ramienia. Fancy piszczała i wiała się, ale składała się prawie wyłącznie z futerka okrywającego drobniutkie ciałko, więc Brand poradził sobie z nią bez trudu.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Natychmiast postaw ją na ziemi! - Piękne rysy Charlotty wyrażały prawdziwą grozę.

- Wszystko w swoim czasie. - Mocno trzymając psiaka za skórę na karku, podsunął mu do powąchania drugą rękę. Kiedy Fancy chciała ją złapać zębami, pogładził sterczące małe uszka i chudziutką szyjkę. - Spokojnie, panienko. Nie ma powodu do paniki. Chcę się tylko z tobą zaprzyjaźnić.

Charlotta uwiesiła się jego łokcia.

- Ona się ciebie boi. Oddaj mija natychmiast.

- Nie, dopóki nie zrozumie, że nie stanowią zagrożenia. - Pod wpływem głaskania Fancy stopniowo przestała się wyrywać. A nawet zaczęła leciutko merdać ogonem. Po chwili polizała rękę Branda. - No widzisz, nie było tak źle. Trzeba cię było tylko troszeczkę zdyscyplinować.

Charlotta wydała lekceważące prychnięcie.

- Opowiadasz się za dyscypliną? Ty, który nie odróżniasz moralności od muchomora?

Brand wyszczerzył zęby bez najmniejszej skruchy i podał psiaka właścicielce.

- Tylko żadnego więcej gryzienia - ostrzegł suczkę - bo zostaniesz zesłana do stajni.

Merdając ogonkiem, Fancy pochyliła łebek na znak zgody. Brand pozwolił sobie na poczucie pewnej satysfakcji z powodu zwycięstwa nad nienawidzącą mężczyzn ulubienicą Charlotty.

- Nie martw się kochanie. Nie pozwolę mu wyrzucić cię z domu. - Z istic macierzyńską czułością Charlotta tuliła futrzanego mopa w ramionach. Kiedy tak gruchała, pies trącił ją noskiem. Z kłębowiska kłaków wysunął się różowy języczek, który złożył na smukłej szyi Charlotty i jej de likatnym policzku wilgotne psie pocałunki.

Do licha, zardroszczę psu, pomyślał Brand z niesmakiem. Żeby się czymś zająć, podszedł do barku i nalał sobie następny kieliszek wina.

- Cóż, będzie musiała przestrzegać pewnych zasad. Ta kich, jakie obowiązywały mojego psa.

Barbara Dawson Smith

Żar

Charlotta spojrzała na niego z ciekawością.

- Już nie masz Hectora?

- Umarł trzy lata temu. - Brand zdołał jakoś odpowiedzieć spokojnym głosem. Nagle uświadomił sobie wewnętrzną pustkę. Dziwne, jak bardzo ciągle jeszcze brakowało mu psa. Bywały chwile, kiedy wydawało mu się, że zaraz zobaczy wielkiego mastifa pędzącego korytarzem albo wstającego ze swego legowiska przy kominku.

- Przykro mi - mruknęła Charlotta.

Brand zmienił temat z obawy, że zdradzi się z niemiecki-mi sentymentami.

- Więc sądzisz, że zdołasz nauczyć to kudłate stworzonko następnym salonowych sztuczek?

- To nie są tylko sztuczki. Udało mi się już wytresować pięć psów, wszystkie dla osób potrzebujących pomocy, niepełnosprawnych lub starych.

- Nigdy nie przejmowałaś się nikim poza samą sobą. Co spowodowało u ciebie taki przyływ altruizmu?

Popatrzyła na Branda podejrzliwie, jakby się zastanawiała, czy obrazić się na niego za tę niegrzeczność.

- Kilka lat temu spotkałam w Yorku starszą kobietę cierpiącą na podagrę. Kiedy zobaczyłam, jak terier podaje jej kłębek włóczki, który spadł na podłogę, zrozumiałam, że psy można wyuczyć wykonywania pewnych prostych czynności.

- Na przykład palenia w kominku, podawania herbaty czy ścielenia łóżek? - powiedział Brand dla czystej przyjemności droczenia się z Charlottą.

Tym razem jednak nie chwyciła przynęty. Z dumną miną zadarła delikatny podbródek.

- Byłbyś zdumiony, ilu użytecznych czynności można nauczyć psa, na przykład odsłaniania i zaciągania zasłon, szukania różnych sztuk garderoby, zanoszenia wiadomości sąsiadom. A szczególnie pomocny może być pies dla osoby niewidomej.

-Tak?

- W Yorku jest taki pan, do którego zawsze wpadam wychodząc na spacer. Ten młody mężczyzna przedwcześnie

Barbara Dawson Smith

Żar

stracił wzrok. Siedział na frontowym ganku, bojąc się wyjść na ruchliwą ulicę. - Głaskała Fancy, jej pokryta bliznami dłoń pieszczotliwie przesuwająca się po ciele psa. -Znalazłam sporego szczeniaka collie, którego ktoś zostawił w worku na poboczu drogi. Nazwałam go Samson. Przez kilka miesięcy spacerowałam z Samsonem określonymi trasami i uczyłam go reagować na komendy, aż wreszcie mógł bezbłędnie zaprowadzić pana Snydera do kościoła i na rynek.

- Zdziwiający - mruknął Brand.

- Prawda? Też tak uważam. - Charlotta najwyraźniej nie dostrzegła, że Brand jest bardziej pod wrażeniem jej entuzjazmu niż potencjalnych możliwości psów. Zielone oczy dziewczyny błyszczały, twarz była rozpromieniona. Ten widok kompletnie go rozbroił, bo zobaczył w niej kobietę namiętą. Kobietę, która nigdy nie zaznała zmysłowych rozkoszy.

Nagle przypomniał sobie ojej złośliwej naturze i położył kres swym fantazjom. Pięć lat temu intrygowała, żeby zniszczyć rozkwitającą miłość jego przyrodniej siostry i wnuka lady Stokeford, Michaela Kenyona. Ukradła kosztowny naszyjnik i ukryła go pod poduszką Vivien, aby to ona została oskarżona o kradzież. Gdyby nie szybka interwencja Branda, jego przyrodnia siostra trafiłaby do więzienia.

Żaden obecny altruizm nie skłoni Branda do wybaczenia.

- A skąd ta filantropia? - zapytał. - Chcesz odpokutować za dawne grzechy?

Charlotta zamrugała i Brand wyraźnie widział, w którym momencie sobie przypomniła. Szttywno wyprostowała ramiona, z jej oczu zniknął blask, ustępując miejsca zimnej wzgardzie.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

- Jasne, ja doskonale cię rozumiem. Jak na inteligentną kobietę, jesteś wyjątkowo ograniczona. Szczególnie jeśli chodzi o Harolda Rountree.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Umieć doskonale ocenić charakter - stwierdziła, oglądając Branda od stóp do głów. - Wiem, że się powtarzam, ale mówię jeszcze raz: pan Rountree nie jest mordercą.

- Nie powinnaś jednak pozwalać sobie na ryzyko.

- To nie twoja sprawa.

- Dopóki mieszkasz pod moim dachem, to jest moja sprawa. - Nie wspominając już o tym, że babcia by go udusiła, gdyby wnuczce najbliższej przyjaciółki stało się coś złego.

- Oszczędź mi tych szowinistycznych tekstów - zażądała Charlotta. - Zostaw je dla jakiejś naiwnej kobieciny.

- Trzymając głowę wysoko jak księżniczka, wyszła z salonu, zostawiając go samego, zdanego na pastwę ponurych myśli.

\* \* \*

Natychmiast po wejściu do gościnnego pokoju Charlotta rzuciła się na żółtą poduszkę i przycisnęła pięści do oczu. Wreszcie mogła pograćzyc się w szoku i bólu, które zdołała ukryć przed Brandem. Czy pan Rountree należał do tej odrażającej grupy? Czy był zdolny do popełnienia morderstwa z zimną krwią?

To dziwaczne, nieprawdopodobne, niemożliwe! Pan Rountree nigdy nie zrobił ani nie powiedział nic, co mogłoby wskazywać, że był człowiekiem rozwiązłym, nie mówiąc już o morderstwach.

Był powściągliwym, rozsądnym gentlemanem. Ilekroć przychodził porozmawiać, zawsze przynosił bukiet kwiatów lub paczkę jej ulubionych migdałów w cukrze. Kiedy wyjechał z miasta, regularnie do niej pisywał. Jeśli miał w ogóle jakąś wadę, to najwyżej tę, że jego kryształowy charakter sprawiał niekiedy, iż Charlotta nie czuła się go godna.

A może ta wada tkwiła w niej?

W głębi duszy czuła, że nie zasługuje na tak przyzwoitego człowieka. Zdradziła Vivien w najobrzydliwszy sposób.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Teraz, patrząc z perspektywy czasu, Charlotta nie mogła w tamtej niegodziwej dziewczynie rozpoznać samej siebie. Na swoje usprawiedliwienie mogła tylko powiedzieć, że wcale nie chciała, aby Vivien trafiła do więzienia, chciała jedynie, by została odesłana gdzieś daleko tak, żeby to ona mogła zagarnąć Michaela dla siebie. Michael zawsze był dla niej dobry, a ona zrewanżowała mu się bezmyślnym okrucieństwem wobec kobiety, którą pokochał.

Pan Rountree nie znał tej ohydnej historii. Charlotta nie była w stanie zmusić się do wyznania mu swej zbrodni.

Zalała ją fala wyrzutów sumienia, ale przypominała sobie, że odpokutowała już za grzechy z przeszłości. Została wygnana do Yorku, gdzie wiodła żywot cichy i pożyteczny, poświęcając się dobroczynności. Teraz pragnęła jedynie stabilizacji i szacunku. Chciała wyjść za mąż za dobrego człowieka i założyć rodzinę.

Musiała wierzyć w pana Rountree. Nie mogła dopuścić, by Brand zrujnował jej życiowe plany. Zawsze to robił, wyśmiewał jej romantyczne marzenia albo rzucał jakieś uwłaczające uwagi.

Coś ciepłego i wilgotnego dotknęło jej łokcia. Fancy stała, opierając łapki o otomanę, z przechyloną na bok główką. Maleńkich uszek prawie nie było widać wśród gęstych kudłów.

Charlotta podniosła psa, posadziła go sobie na kolanach i ukryła twarz w jego futerku, by znaleźć ukojenie.

- Nienawidzę go, Fancy. Cieszę się, że go ugryzłaś. Za służył na to.

Ale tak naprawdę to nienawidziła własnych wątpliwości. Wątpliwości, które zasiał w niej Brand. Wątpliwości, które zburzyły jej wewnętrzny spokój.

Ciszę przerwał głos ze śpiewną wymową z hrabstwa York.

- Czy to pana tego domu tak pani nienawidzi?

Charlotta podniosła głowę. W drzwiach garderoby stała pokojówka. Pulchna, świeżo wyszorowana szesnastoletnia Nan wszystkiego miała w nadmiarze, i piegów na twarzy, i marchewkoworudych włosów pod białym czepeczkiem.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Obfite piersi rozpychały gorset, za nic sobie mając skromny krój sukienki. Charlotta usiadła prosto.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Mówiła pani o tym piekielnym księciu, co nie?

- Nie mówi się „co nie”, tylko „prawda?” - poprawiła od-  
ruchowo Charlotta. - I nie powinno się mówić w taki sposób o  
panu tego domu. - Choćby nie wiem jak na to miano zasługiwał,  
dodała w myślach.

- Panu piekiel raczej. - Niebieskie oczy Nan błyszczały z  
ciekawości. - Czy wyście... pani..., widziała go?

- Tak. - Nie było nad czym się rozwodzić. Nan była już i tak  
zbyt ciekawa, należało położyć temu kres dla jej własnego  
dobra. - Kto rozsiewa plotki o lordzie Faversham?

Nan bez zaproszenia przysunęła sobie stółek i usiadła obok  
Charlotty.

- Służba tak gada, psze pani. Mówią, że przespał się ze  
wszystkimi damami w Londynie. Ale nie ugania się za  
pokojówkami, niestety, co wielka szkoda. Bo ja to bym  
chciała, żeby mnie...

- Nan! Wystarczy! - Charlotta oblała się rumieńcem od  
korzonków włosów aż po same pięty. Sama nie wiedziała, czy  
ma się złościć na pokojówkę, czy na Branda za jego okropną  
reputację. - Nie powinnaś słuchać takich nieprzyzwoitych  
rozmów,

- Dlaczego? - zapytała Nan z właściwą sobie szczerością. - To  
prawda, a pani zawsze lubiła, że jestem uczciwa.

- Nie chcę, żebyś kłamała czy kradła. Ale to nie to samo co  
plotkowanie, choćby mówiło się prawdę. - Nan już otworzyła  
usta, żeby z nią dyskutować, ale Charlotta powstrzymała ją  
uniesieniem dłoni. Dziewczyna nie chodziła do szkoły i nikt nie  
próbował jej przyzwoicie wychować, nic więc dziwnego, że nie  
znała zasad i umiaru. - Poza tym, jeśli będziesz się zbyt  
zachłannie przysłuchiwać, reszta służby będzie się  
spodziewała, że w zamian opowiesz im coś o sobie. A wiesz,  
jak ważne jest ukrycie two-  
jej przeszłości.

Barbara Dawson Smith Zar

- Jasne, panienko, ale...

- Trzymaj język za zębami, zachowuj się skromnie, a zyskasz  
sobie dobre imię. W przeciwnym razie nie będę cię mogła  
zatrzymać jako mojej osobistej pokojówki. - Charlotta postawiła  
Fancy na podłodze. - Chodź, pomożesz mi zdjąć strój  
podróżny.

Nan chętnie przystała na zmianę tematu i ruszyła za  
Charlotta do przyległej garderoby, której żółte zasłony w  
oknie i delikatne francuskie krzeselka były wspanialsze niż  
umeblowanie domku Charlotty w Yorku.

- Jak długo zostaniemy w Londynie? - zapytała służąca.

- Czyjego lordowska mość wyprawia przyjęcia dla księżąt  
i księżnych?

- Zostaniemy tu, dopóki nie zrośnie się ręka mojej bab  
ci - wyjaśniła Charlotta, zastanawiając się w duchu, jakim  
cudem zdoła znieść towarzystwo Branda przez kilka tygo  
dni. - A co do przyjęć, to naprawdę nie mam pojęcia, kto  
należy do jego kręgu towarzyskiego.

- To taka przygoda! - Rozpinając zręcznymi paluszkami  
suknię Charlotty, Nan wydała pełne podniecenia westchnie  
nie. - Tyle wspaniałych gmachów widziałyśmy z powozu.  
A pałac lorda Favershama jest najokazalszy ze wszystkich.

Charlotta rozpięła guziki mankietów.

- Mieszkanie w takim luksusie może się negatywnie odbić na  
twoim charakterze.

- Ale przyjemnie popatrzeć. Jak będę miała wychodne, to  
poszukam tych ulic o złotych krawężnikach. Dick przysięgał na  
grób swojej matki, że to prawda.

- Dick opowiada bajki - stwierdziła Charlotta, wysuwając się  
z sukni i halek. - I pamiętaj, że nie powinnaś nawet wspominać  
jego imienia.

- Ale... - Odbita w lustrze gotowalni twarz Nan była wyraźnie  
nadąsana. - Ale czasami naprawdę za nim tęsknię. To świetny  
kawał chłopca.

Dick był łgarzem, złodziejem i kryminalistą. Charlotta  
drętwiała na samą myśl, że Nan mogłaby znów dostać się pod  
jego wpływ.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Mężczyzna to coś więcej niż tylko ciało. Musi być godny zaufania, silny moralnie, wierny. Nigdy o tym nie zapominaj.

Charlotta, wygłaszając tę surową perorę, czuła się jak hipokrytka. Nawet po tylu latach czuła nienormalny pociąg do Branda Villiersa, który stanowił przeciwieństwo opisanego przez nią ideału.

Przebierając się do snu, oderwała Nan od niebezpiecznych myśli, instruując ją i zapoznając ze swymi planami na nadchodzące dni. Ale własnych myśli nie była w stanie oderwać od wspomnień o Brandzie. Roztaczana przez niego aura zagrożenia, aura grzesznych rozkoszy, budziła w niej sekretny dreszcz. Miała nadzieję... obawiała się... że Brand ją pocałuje. Znowu.

„Mnóstwo mężczyzn z towarzystwa byłoby szczęśliwych, mogąc zalecać się do tak pięknej kobiety jak ty”.

Głupia gaska, oto kim jest. Tylko omdlewające podlotki biorą poważnie komplementy nikczemnika. Dojrzała kobieta wybiera gentlemana o nieposzlakowanej opinii, takiego jak pan Harold Rountree.

Charlotta zamknęła oczy i przywołała obraz sympatycznych rysów Harolda, który nie był oszalamiająco przystojny, ale miły i solidny, a jego brązowe włosy były zawsze porządnie uczesane. Przy nim czuła się pewnie i bezpiecznie, miała wrażenie, że stoi na pewnym gruncie. Nawet jego zaloty były niespieszne, stabilne i pełne szacunku.

On nie mógł być mordercą. Po prostu nie mógł.

A jednak dręczyły ją wątpliwości. Czuła, że musi jakoś dowiedzieć się prawdy.

### Rozdział 3

To wyłącznie moja wina, że jej wysokość została ranna - powiedział stangret Brandowi. Światło późnego poranka rozjaśniało mały, przytulny pokój nad stajniami. Butterfield, krzepki mężczyzna w średnim wieku, siedział na łóżku w rogu. Jego głowa owinięta była bandażem, ponad którym sterczała kępka sztywnych szpakowatych włosów. Butterfield przybrał bardzo zawstydzoną minę, ale uparcie unikał patrzenia Brandowi w oczy.

- Wiem, że pewnie nie będzie pan chciał mnie zatrzymać w służbie, ale błagam, niech mi pan pozwoli zostać, dopóki w głowie mi się kręci jak na karuzeli.

Brand był zdecydowany wydobyć od służącego szczere odpowiedzi, więc przysunął sobie twardego stołek i usiadł.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby cię zwolnić. Chcę tylko wiedzieć, co się stało.

- Obawiam się, że niewiele mogę pomóc, milordzie. Mam białą plamę w mózgu. W jednej chwili powoziłem końmi w śnieżycy, w następnej zapadła ciemność.

- Na pewno coś sobie przypominasz - podsuwał Brand. - Co się działo tuż przed wypadkiem? Może koła wpadły w koleinę? Albo wjechały na lód?

- Mogły, tak sądzę. Padał śnieg, więc namawiałem jej wysokość, żeby się zatrzymać, ale upierała się, żebyśmy jechali.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Brand pokiwał głową. Tak, babcia potrafiła obstawać przy podjętych raz decyzjach.

- Mów dalej.

- Prowadziłem zaprzęg powoli. Nie miałem zamiaru ryzykować życia dam, niezależnie od ich woli. Widzi pan, było sporo zasp po drodze. - Butterfield potarł zarośniętą szczękę i zapatrzył się w dal.

- O co chodzi?

- Właśnie coś mi się przypomniało. Było okropnie zimno, więc siedzieliśmy razem na koźle, ja i Tupper.

Brand zmarszczył czoło.

- Nie przypominam sobie, żeby moja babka zatrudniała służącego o tym nazwisku.

- On był nowy, dopiero od tygodnia na posadzie. Przedtem służył u księcia Bedford. Całkiem niezłe znał się na robocie.

- Więc było was tylko dwóch, tak?

- Tak. Tuż przed wyjazdem Hobbs dostał biegunki. I Newcasde także. W jednej chwili byli zdrowi jak ryby, a w następnej biegiem lecieli po nocnik. Damom bardzo się spieszyło, więc zostawiliśmy zasrańców.

Przypadek? A może spisek tajemniczego Tuppera?

- Powiedz, co jeszcze pamiętasz? Szczególnie tuż przed wypadkiem.

Butterfield drapał się w głowę poniżej bandaża.

- Myśli mi się płaczą. Jak zbliżaliśmy się do przedmieść Londynu, Tupper spojrzął do tyłu i zobaczył, że poluzował się rzemień przytrzymujący bagaż. Powiedział, że łoपोce na wietrze. Więc wspiał się na tył, żeby go umocować.

- A potem?

- Potem... już nic nie pamiętam. - Woźnica szeroko rozłożył muskularne ręce. - Może, jak pan powiedział, wpadliśmy w koleinę albo wjechaliśmy na lód.

-Wydaje mi się jednak, że pamiętasz więcej, przynajmniej do momentu, kiedy straciłeś kontrolę nad powozem.

Barbara Dawson Smith

Żar

Butterfield wyglądał żałośnie, jak schwytyany w pułapkę.

- Przykro mi, panie. Przypominam sobie tylko Tuppera wdrapującego się na tył, potem straszny ból...

Brand zeszytywniał.

- Uderzył cię?

- Ja... nie mogę być całkiem pewien, milordzie. I nic nie zostało skradzione. Panie nadal mają bizuterię. Więc dlaczego miałyby to zrobić?

Właśnie: dlaczego? Brand

wstał ze stolka.

- Zamienię z nim słówko.

- Proszę o wybaczenie, ale to niemożliwe. Tupper odszedł w dniu wypadku.

- Co, do diabła... Dokąd poszedł?

- Nie wiem, panie. Nigdzie nie można go było znaleźć. - Woźnica potrząsnął głową. - Ten cholerny gad uciekł i zostawił damy bez pomocy. Ja byłem nieprzytomny. Na szczęście przejeżdżał w pobliżu jakiś farmer i sprowadził pomoc.

W Brandzie narastało okropne podejrzenie.

- Rzeczywiście, na szczęście - mruknął ponuro. - Opisz mi Tuppera.

- No, wysoki, chudy, z zębami jak u królika. Niebieskie oczy, ciemnawe włosy. Na policzku ślad po ospie. Tu, w tej okolicy. - Woźnica dźgnął krótkim, szerokim palcem w policzek na wysokości ust.

- Skąd pochodzi jego rodzina?

Butterfield pokręcił głową.

-Facet trzymał język za zębami, naprawdę. Ale zaraz... mówił kiedyś, że jego ciotka ma kram z rybami na targu Billingsgate. Pan wybaczy, ale nic więcej nie wiem.

Brand, pogrążony w ponurych myślach, położył rękę na ramieniu służącego.

- Dziękuję. Pomogłeś mi bardziej, niż sądzisz.

Barbara Dawson Smith

Żar

Charlotta spacerowała z Fancy po martwym, zimowym ogrodzie, kiedy ze stajni wyłonił się Brand, prowadząc czarnego jak węgiel wierzchowca.

Pokruszone muszelki, którymi wysypana była ścieżka, chrzęściły pod butami dziewczyny, a ostry, lodowaty wiatr szarpał troczkami jej czepka. Mrużyła oczy w ostrym słońcu. Większość śniegu już stopniała, niewielkie płyty leżały jeszcze tylko w zacienionych miejscach i pod krzakami. Tu i ówdzie pojawiała się zieleń, tam, gdzie śnieg ustąpił, i delikatne roślinki mogły wychynąć z ziemi.

Kiedy Charlotta zerkała ukradkiem na Branda, ubranego w granatowy płaszcz i czarne bryczesy, wpuszczone w lśniące, wysokie do kolan buty, jej serce fikało koziołki. Wystarczył sam jego widok, by czuła w środku jakieś dziwne trzepotanie. Nie miał kapelusza i wiatr rozwiewał mu ciemnobrązowe włosy. Zajęty był poprawianiem popręgu przy siodle i chyba jej nie zauważył.

Powinna zachować milczenie. Nie wolno jej zastanawiać się nad wyrazem powagi malującym się na twarzy Branda. Powinna zostać tam, gdzie stoi i oprzeć się jego zmysłowemu magnetyzmowi.

Decyzję podjęła za nią Fancy. Merdając ogonkiem, pies pociągnął Charlotte do przyszytych żywoplotu, który oddzielał ogród od dziedzińca stajni.

- Witaj - powiedziała Charlotta, mocno trzymając smycz. - Strasznie ponuro dziś wyglądasz.

Brand podniósł wzrok.

- Charlotta. Jak miło cię widzieć w moim ogrodzie.

Sarkastyczny ton przeczył uprzejmym słowem. Jego wzrok przesunął się po niej z taką niechęcią, że zawstydziła się tego topiącego lody ciepła, które pojawiło się w niej na widok Branda. Nieważne, postanowiła, będzie uprzejma.

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczona, widząc cię na nogach przed południem. Wybierasz się po zakupy?

- Zakupy pozostawiam paniom.

- Pomyślałam, że powinnam cię zawiadomić, iż wysłałam dziś rano pierwszą pocztą list do pana Rountree z informacją o moim przyjeździe.

Rzucił jej niechętnie spojrzenie.

- Widzę, że postanowiłaś zrobić z siebie patentowaną idiotkę.

- Potrafię zadbać o siebie. Skrzywieniem ust wyraził sceptycyzm.

- Nie spotkasz się z nim w cztery oczy.

- Naturalnie. To by było niestosowne. - Nie mogła się oprzeć i dodała: - Ale ty, oczywiście, jesteś przyzwyczajony do innego rodzaju kobiet.

Jego wzrok spoczął na chwilę na piersiach Charlotty, po czym wrócił do jej twarzy.

- Tak, do kobiet, które mają więcej rozsądku.

Wskoczył na siodło. Skinął jej głową i wyjechał tylną bramą, którą stajenny przed nim otworzył.

Piersi mrowiły ją pod jego spojrzeniem. Niezadowolona ze swej reakcji Charlotta odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Jak to możliwe, że Brand wyzwała w niej takie kłębówisko emocji? Upokorzenie, tęsknotę, gniew.

I ciekawość.

Jego nienawiść była taka intrygująca. Charlotta podjęła dalszy spacer po ogrodzie. Kiedy Fancy obwąchiwała każdy krzaczek wzdłuż koncentrycznie biegnących alejek, Charlotta patrzyła w górę, na dom. Elegancka, włoska fasada miała wysokie okna umieszczone między kolumnami, biegnącymi wzdłuż kamiennych ścian barwy miodu. Nie sądziła, że jego dom przy Grosvenor Square jest tak imponujący, bo nigdy dotychczas nie miała okazji go odwiedzić.

Kiedy skończyła osiemnaście lat i powinna była mieć tradycyjny debiut towarzyski w Londynie, tak bardzo wstydziła się pokrytej bliznami ręki, że nie zgodziła się pojawić na salonach. Teraz czuła się silniejsza, mniej skrępowana. Dojrzałość dała jej mądrość, dzięki której zrozumiała, że tymi, którzy szepczą po kątach i krytykują, nie warto się przejmować.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Barbara Dawson Smith  
Zar

No i teraz miała cel.

Gdy rano wysyłała pierwszą pocztą list do pana Roun-tree, zauważyła stertę liścików, napisanych przez Różyczki do najważniejszych pań z towarzystwa. Charlotta miała nadzieję, że kiedy zaczną napływać zaproszenia, pan Rountree zechce jej towarzyszyć. Bardzo chciała zacieśnić ich znajomość i zdobyć jego uczucie. Czuła, że jeśli... kiedy... on się oświadczy, z radością wstąpi w związek małżeński i założy rodzinę.

Chyba że pan Rountree okaże się mordercą.

Nie, nie mogła w to uwierzyć. Nigdy w to nie uwierzy!

A jednak wpatrywała się w bramę, za którą zniknął Brand. Może pojechał przesłuchać kogoś z nikczemników z tego piekielnego klubu? Czy narażał się na niebezpieczeństwo? Oczywiście przejmowała się tym jedynie ze względu na jego babcię, która bardzo przeżyłaby śmierć wnuka.

- Do licha z nim - powiedziała na głos. - On nie jest wart tego, bym zaprzętała sobie nim głowę.

Fancy podniosła łebek, spojrzała w górę i zamerdała puszystym ogonem.

Charlotta wróciła z psem do domu. Szły długim korytarzem prowadzącym od frontowych drzwi. Psie pazurki postukiwały na marmurowej posadzce, mieszając się z odgłosem kroków Charlotty. Mijała posągi zdobiące nisze korytarza, obitego piękną tapetą. Posągi zdobiły nisze w pokrytych elegancką tapetą ścianach. Teraz, widząc dom w świetle dziennym, z podziwem patrzyła na stylowy wystrój wewnątrz. Brand musiał wynająć dekoratora całkiem niedawno, bo Charlotta czuła nadal unoszącą się w powietrzu mieszkankę zapachów farb i kleju do tapet. Pozwalając sobie na odrobinę wścibstwa, zaglądała do jednego pokoju po drugim, a każdy był bardziej przestronny i piękniejszy od poprzedniego - pokój muzyczny, bawialnię, biblioteka, salon.

-A, tu jesteś, pani.

Charlotta odwróciła się na pięcie i dostrzegła zbliżającego się lokaja.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- North, szukasz mnie?

Fancy warknęła, więc Charlotta rzuciła jej spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Ma pani gościa - powiedział służący. - Pana Rountree.

Serce Charlotty zadrżało. Czy mogła żywić nadzieję, że tak szybka reakcja pana Rountree na jej list była wprost proporcjonalna do siły jego zainteresowania jej osobą?

W ślad za tą uskrzydającą myślą niemal natychmiast pojawiła się bardziej trzeźwa refleksja. Jego obecność oznaczała również, że wcześniej, niż sądziła, będzie miała możliwość konfrontacji z nim.

Zdejmując ciepły płaszcz i czepek, starała się uspokoić.

- Gdzie on jest? Proszę poprosić go o jeszcze chwilę cierpliwości. - Musiała wpaść do swego pokoju, żeby poprawić włosy i włożyć jakąś ładniejszą suknię niż ta codzienna, którą nosiła.

- Za panią, milady. - North wskazał obciążoną białą rękawiczką dłońią na schody

Czy staruszek zwariował?

- Masz przekazać wiadomość ode mnie panu Rountree - przypomniała mu.

- Pan Rountree czeka na panią na górze - powiedział lokaj takim tonem, jakby to było coś najnaturalniejszego w świecie.

-Słucham?!

-Odwiedził... hm... Różyczki. Kiedy wszedłem do ich pokoju w poszukiwaniu pani, milady, damy poprosiły, żebym wprowadził go na górę.

- Ojej! No, nieważne, pójdę tam od razu.

Z psem przy nodze Charlotta ruszyła ku schodom, z trudem opierając się pokusie, by puścić się biegiem jak dziesięcioletni łobuziak. O czym Różyczki mogły rozmawiać z panem Rountree? A jeśli zadawały mu zbyt wiele osobistych pytań i go wypłoszyły? Chwała Bogu, że one nie знаły bezsensownej opowieści Branda o morderstwach, bo w przeciwnym razie wzięłyby biednego pana Rountree w krzyżowy ogień pytań jak detektywi z Bow Street.

Barbara Pawson Smith  
Zar

To przecież była bezsensowna opowieść. Zupełnie bezsensowna! Więc skąd ten węzeł napięcia, zaciskający się wokół jej serca? Choć Nathaniel Babcock niedawno wyjechał do Lancashire, to przecież ze strony pana Rountree Różyczkom na pewno nic nie groziło.

Charlotta zrezygnowała z wejścia do swojej sypialni, przyglądała tylko pospiesznie włosy i otworzyła drzwi do pokoju starszych pań. Miły ton głosu pana Rountree uspokoił ją. To był przyjazny ton towarzyskiej konwersacji.

Wszystkie Różyczki wstały już z łóżek i usadowiły się wygodnie w bawialnej części apartamentu. Lady Enid spoczywała na szezlongu, a lady Stokeford i lady Faversham siedziały tuż obok na fotelach. Jak na trzy starsze panie, które przed kilkoma dniami przeżyły katastrofę powozu, wyglądały zadziwiająco elegancko w jedwabnych szlafroczkach i ze starannie ufryzowanymi włosami. Powitały ją chórem.

Naprzeciwko nich, na prostym krześle z wysokim oparciem, siedział Harold Rountree. Był człowiekiem niezbyt imponującej postury, o sympatycznej twarzy, która wydawałaby się całkiem pospolita, gdyby nie okolone gęstymi rzęsami brązowe oczy. Jego prosty, niebieski surdut i skórzane spodnie były uszyte modnie lecz nie wyzywająco.

Zerwał się na równe nogi i szczerzy uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- O, lady Charlotta. Z ogromną radością dowiedziałem się o pani przyjeździe do Londynu.

- Jestem zaskoczona, że tak szybko zareagował pan na mój list.

- Nie mogłem się powstrzymać. - Podeszedł i ujął jej okryte rękawiczkami ręce. - Proszę pozwolić mi wyznać, że tęskniłem za panią. Ostatnich kilka tygodni bez pani było bardzo nudne.

Otoczona jego względami Charlotta rozplątywała się ze szczęścia. Ciepły dotyk jego palców sprawił, że wszelkie wątpliwości wydały jej się kompletnie niedorzeczne. Kiedy go zobaczyła na własne oczy, kiedy stała się obiektem

Barbara Dawson Smith  
Żar

jego adoracji, upewniła się co do jego charakteru. Pan Rountree nie mógł być mordercą. Nie mógł być członkiem tego okropnego piekielnego klubu.

A jeśli się myliła?

Głuchy, ostrzegawczy warkot najwyżej o pół sekundy poprzedził atak.

Charlotta zdołała tylko zawołać:

-Fancy!...

Panu Rountree wyrwało się zdławione przekleństwo. Zatoczył się do tyłu, machając rękami dla złapania równowagi, a po chwili runął na dywan.

Kątem oka Charlotta dostrzegła, że Fancy odskoczyła w bok.

- Niedobry pies! - skarciła ją, przerażona.

Fancy zwiesiła głowę i schowała się pod fotel lady Stokeford, skąd zerkała ukradkiem. Różyczki wydały okrzyki, na które Charlotta niemal nie zwróciła uwagi.

Rzuciła się na kolana przy panu Rountree, który siedział na dywanie z osłupiałą miną.

-Strasznie mi przykro! Fancy z reguły nie lubi mężczyzn. Powinam ją była zostawić w swoim pokoju.

Pan Rountree pomasaował kostkę i zdobył się na niezbyt szczerzy uśmiech.

- Wszystko w porządku. Nic strasznego się nie stało. Nie wiedziałem, że przygarnęła pani kolejnego psa.

- Wyrwałam ją z rąk gromady opryszków tego dnia, kiedy wyjechał pan z Yorku. Ugryzła pana do krwi?

Charlotta bez zastanowienia zaczęła podciągać nogawkę, żeby obejrzeć nogę, ale pan Rountree wyrwał się i splonął rumieńcem.

- To nic. Naprawdę drobiazg.

- Proszę mi pozwolić przemyć ranę. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Jeśli mi pan wybaczy, przyniosę bandażę...

- To bez sensu. Nie mogę dopuścić, żeby pani tak się mną przejmowała. - Wyglądał na trochę oszołomionego, ale wstał i doprowadził swój surdut do porządku. - Pójdę już, mój służący się tym zajmie.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Tak szybko pan wychodzi - zawołała z żalem. - Nie mieliśmy czasu porozmawiać.

- Nie chciałbym męczyć Różyczek. I tak niezwykle hojnie obdarowały mnie swym czasem.

Różyczki wymieniły ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie powinnaś zatrzymywać pana, Charlotto - powiedziała lady Faversham i lekko skinęła mu głową na pożegnanie.

- Będiesz miała wiele okazji do spotkań ze swoim adoratorem na przyjęciach - dodała babcia.

-Poczyniłyśmy przygotowania do twojego udziału w czwartkowym wieczorku muzycznym u Pomeroyów - włączyła się lady Stokeford. - Musisz dziś po południu przejrzeć swoją garderobę.

Pan Rountree pochylił się nad dłonią Charlotty.

- Będę oczekiwał z niecierpliwością następnego spotkania, miła pani.

Charlotta była rozdarta pomiędzy chęcią pozostania, by poznać opinię Różyczek o swym adoratorze, a pragnieniem krótkiego choćby sam na sam z panem Rountree. Obowiązek zwyciężył.

- Odprowadzę pana do wyjścia - powiedziała.

\* \*

- Naprawdę musimy jej o tym powiedzieć? - zapytała lady Enid, gdy tylko wnuczka zniknęła wraz z Haroldem Rountree za drzwiami.

Olivia lady Faversham sztywno wyprostowała się w fotelu mimo bólu, jaki musiały jej sprawiać połamane zębra.

- Naszym obowiązkiem jest wyprowadzić ją na prostą drogę.

- On jest kanałią najgorszego autoramentu. - Lucy lady Stokeford uderzyła drobną piąstką w oparcie fotela. - Wyobraź sobie tylko, podaje się za przyzwoitego gentlemana, choć był członkiem tego odrażającego piekielnego klubu.

Podczas ostatniego spotkania Ligi Lucyfera Różyczki szukały cennej statuetki, skradzionej przez jednego z członków klubu. Zauważyły wtedy Harolda Rountreego w grupie przebywających tam mężczyzn, chociaż dziś po raz pierwszy został im oficjalnie przedstawiony.

- Może na razie nie powinnyśmy jej nic mówić - ośmieliła się wtrącić Enid. - To okrucieństwo łamać serce mojej wnuczce. Zapłaciła za swoje grzechy i zasługuje na szczęście.

Lucy spojrzała na Enid ze współczuciem.

- Jeśli pan Rountree ukrywa swą nikczemną przeszłość, o wiele większym okrucieństwem byłoby pozwolić Charlotcie sądzić, że jest on odpowiednim kandydatem na męża.

- Może on się zmienił - powiedziała Enid z nadzieją. - Robi wrażenie takiego sympatycznego gentlemana. Jeśli oni się kochają, nie chciałabym ich rozdzielać.

- Miłość, ba! - Olivia zacisnęła palce przypominające ptasie szpony, na gałce laski. - Zapamiętaj moje słowa: jemu chodzi o jej duży posag. I o nasze stosunki towarzyskie.

Enid, z kompletnym zamętem w głowie, objęła obolałą rękę.

- Co mogłybyśmy zrobić, żeby poznać jego prawdziwy charakter? Nie możemy bawić się w śledztwo, skoro jesteśmy przykute do łóżka.

- To proste - oświadczyła Lucy. - Musimy zapytać Brandona, co on o nim wie.

- Ach tak - stwierdziła ponuro Olivia. - Tego mojego niepoprawnego wnuka. Kiedyś myślałam, że on i Charlotta...

- Westchnęła ciężko i spojrzała przez okno na zimowy smutny pejzaż.

Serce Enid wezbrało współczuciem dla przyjaciółki. Olivia nie mówiła zbyt wiele, ale nadzieja na szczęśliwe małżeństwo jej wnuka wydawała się teraz bardziej odległa niż kiedykolwiek przedtem. Miał już trzydzieści siedem lat i nie zdradzał żadnych oznak tego, że gotów jest się ustatkować i założyć rodzinę.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

- Pamiętasz, jak kiedyś szukałyśmy sposobów, żeby ściągnąć oboje pod jeden dach? - zapytała Enid ze ściśniętym gardłem. - I wreszcie się udało, ale ich drogi życiowe rozeszły się w przeciwne strony.

- Tak się zastanawiam... - Lucy wyglądała na zatopioną w myślach. Aureola białych włosów otaczała jej delikatną twarz. - Czy któraś z was zwróciła wczoraj uwagę na to, jak oni na siebie reagują?

- Klócili się - mruknęła Enid ponuro. - Zawsze się klóć. Olivia niezmordowanie gładziła dłonią okrągłą gałkę la ski, wykonaną z kości słoniowej.

- Wątpię, by ta para kiedykolwiek w czymkolwiek się ze sobą zgodziła. Gdyby jedno oświadczyło, że słońce wstaje na wschodzie, drugie natychmiast by to zakwestionowało.

- To prawda - przyznała Lucy. - A jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu...

Enid poczuła dreszcz zainteresowania na widok głębokiego zamyślenia na twarzy Lucy. - Jakiemu? Proszę, powiedz.

- Że Różyczki nigdy się nie poddają - odparła Lucy. - No, drogie przyjaciółki, ruszmy wszystkie głowami i ułóżmy plan.

Charlotte mocno trzymała psa na rękę, żeby znów nie przyszło mu do głowy rzucić się na kogoś z zębami. Po drodze do holu zdążyła już pół tuzina razy przeprosić pana Rountree.

Kamerdyner podał gościowi płaszcz i kapelusz, po czym przywołał jego powóz pod drzwi. Harold Rountree wyglądał niezwykle dystyngowanie w dwurzędowym płaszczu, wąskich spodniach i brązowych skórzanych butach. Charlotte pociągało także to, że był podporą społeczeństwa.

Latami starała się odpokutować grzechy przeszłości. Poświęciła się całkowicie dobroczynności i nagle okazało się, że dwudzieste dziewiąte urodziny przyszło jej obchodzić

Barbara Dawson Smith  
Zar

tylko w towarzystwie psa przybłądy i służącej. Stała twarzą w twarz z perspektywą spędzenia reszty życia w samotności, bez człowieka, z którym mogłaby dzielić drobne sprawy dnia codziennego, z którym siadywałyby wieczorami przy kominku, który tuliłby ją do siebie w nocy.

I który byłby ojcem jej dzieci.

Zaznała już rozgłosu. Teraz pragnęła jedynie takiego spokojnego, konwencjonalnego życia, jakim cieszyli się jej rodzice w wiejskiej okolicy hrabstwa Devon. Pragnęła stadka dzieci biegających po schodach i obdarzających ją lepkimi, słodkimi od dżemu całusami. Harold Rountree miał wszelkie dane, by zostać oddanym mężem i kochającym ojcem. Cóż więc z tego, że nie budził w niej takiej tęsknoty i zmysłowego podniecenia jak Brand? Charlotta pragnęła związku opartego na zaufaniu, a nie na namiętności. Pan Rountree był solidny, uczciwy, prawy.

Ale czy to na pewno prawda?

- Poświęci mi pan chwilę czasu? - zapytała nagle Charlotta.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Oczywiście. Może wrócę tu rano... -

Teraz. Proszę.

- Jeśli to takie ważne, to oczywiście zostanę.

Jego grzeczność jeszcze bardziej zaniepokoiła Charlotte. Kiedy się zbliżył, Fancy warknęła ostrzegawczo i pan Rountree obszedł ją szerokim łukiem, zmierzając do drzwi biblioteki. Charlotta mimowolnie przypomniała sobie, jak zdecydowanie poradził sobie z jej psem Brand.

Cóż, był on dominującym, skłonnym do przemocy łajdakiem. Z czasem pan Rountree, dobrocią i delikatnością, także obłaskawi Fancy.

Grzecznie zaczekał, aż Charlotta usadowi się na kanapie obitej materiałem w niebieskie paseczki. Zdjął kapelusz i zasiadł w stojącym naprzeciw niej fotelu.

- Jeśli obawia się pani mojej reakcji na pani obecność tutaj - powiedział - to proszę przyjąć zapewnienie, że po godziłem się z sytuacją.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Charlotta spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Pogodził się pan? Nie chce mnie pan tu, w Londynie?

- Źle mnie pani rozumiała. Miałem na myśli dom lorda Favershama. - Zacisnął usta. - Ten człowiek jest notorycznym nikczemnikiem, choć oczywiście nie podejrzewam, by taka dama jak pani wiedziała o jego aferach, o hazardzie, o... kobietach.

Jakie to dziwne, przemknęło Charlottie przez myśl. Chociaż podzielała złą opinię pana Rountree, traktowała Branda nieomal jak członka rodziny i przykro jej było słuchać, jak obcy człowiek go krytykuje. Kiedy była dzieckiem, Brand nauczył ją po męsku jeździć konno, podsuwał jej dodatkowe słodczyce do herbaty, a nawet kiedyś, dawno temu, pomógł jej uratować starą małpę z wędrownego cyrku.

Obdarzył ją pierwszym w życiu pocałunkiem. Dawno temu...

Zebrała rozbiegane myśli. Powinna raczej skupić uwagę na swoim celu. Na okropnych wątpliwościach, które Brand zasiał w jej głowie.

„Harold Rountree ma bardzo silny motyw morderstwa. Gdyby rozeszły się pogłoski o jego niezbyt kryształowej przeszłości, przegrałby wybory”.

Charlotta opanowała się.

- Jeśli to, co słyszałam, to prawda, pan nie powinien rzucać w bliźniego kamieniem.

Harold Rountree zamrugał ze zdziwienia.

- Słucham? Czyżbym w jakiś sposób panią obraził?

- Chodzą słuchy, że należał pan niegdyś do piekielnego klubu zwanego Ligą Lucyfera.

Umknął wzrokiem przed jej spojrzeniem. Rozglądał się po bibliotece, jakby chciał uciec przed jej oskarżeniami. Charlotta czekała w pełnym napięcia milczeniu, wdychając ostry zapach stojących na półkach oprawnych w skórę książek. Młde światło dzienne połyskiwało w stojącym pod oknem globusie. Dawno zmarła księżna Faversham w staromodnej krezie uśmiechała się łaskawie z olejnego

Barbara Dawson Smith  
Zar

portretu wiszącego nad kominkiem. Czy ta księżna była kiedykolwiek tak okropnie wytrącona z równowagi? Czy kiedykolwiek musiała zmierzyć się z ewentualnością, że człowiek, którego wybrała, mógł się okazać kolosem na glinianych nogach?

- Przeklęty Faversham - mruknął pan Rountree. - Ma wiele wad, ale nie sądziłem, że jest plotkarzem.

Serce Charlotty zamarto.

- Więc to prawda?

- Niestety, ku mojemu wielkiemu żalowi. - Znów na nią spojrzał z ogromnie zawstydzoną miną. - Pozwoli mi pani wytłumaczyć?

- Słucham.

Odchrząknął.

-Kilka lat temu znajomy namówił mnie do udziału w pewnym przyjęciu. To było przyjęcie wyprawiane w domu jednego z członków Ligi. Proszę zrozumieć, nie miałem zamiaru w tym uczestniczyć. Zamierzałem tylko obserwować, nie biorąc udziału... - Odetchnął głęboko i położył kapelusz na pobliskim stole. - Przekleństwo! Nie jestem w stanie znaleźć usprawiedliwienia dla swojego błędu w ocenie. Myliłem się i nieustannie tego żałuję. Mam nadzieję, że pani zdoła mi to wybaczyć.

Gdyby wystąpił z pretensjami albo się wypierał, Charlottie byłoby łatwiej dać ujście złości. Czowała się oszukana, bo uważała go za człowieka wykutego z jednej bryły. Miała żal, gdyż okazało się, że nie jest ideałem.

Hipokrytka, zwymyślała samą siebie. Kimże ona jest, by miała prawo osądzać pana Rountree? Tajemnice jej przeszłości były równie karygodne, może nawet gorsze. Powinna mu je teraz wyznać, mogliby sobie nawzajem wybaczyć i zapomnieć, może nawet razem pośmiać się z zawstydzeniem z błędów młodości.

Ale przypominała sobie o morderstwach i głośno przełknęła.

- Czy spotykał się pan potem z któryś z tych męż czyżn?

Barbara Dawson Smith  
Zar



-Absolutnie nie! Przysięgam, nie utrzymuję znajomości z niktzemnikami.

- Kto jeszcze należał do tej Ligi?

- Ludzie o fatalnej reputacji, oto kto. Sami siebie nazywają gentlemanami, ale nie są odpowiednim towarzyszem dla dam. - Rozpromienił się. - Z Favershamem włącznie.

- Proszę mi podać ich nazwiska.

Pan Rountree zdecydowanie pokręcił głową.

- Proszę nie zawracać sobie głowy tymi łajdakami.

- Ale powinnam wiedzieć, kogo mam w Londynie unikać - improwizowała Charlotta. Coś powstrzymało ją przed podzieleniem się z nim podejrzeniami Branda w kwestii morderstw. Gdyby popuścić wodze chorej wyobraźni i przyjąć, że to pan Rountree zabijał byłych członków Ligi Lucyfera jednego po drugim...

Zjeżyły jej się drobne włoski na karku. To absurd, że czuje się tak bardzo wytrącona z równowagi. W bibliotece była całkowicie bezpieczna, pół tuzina służących znajdowało się w pobliżu i ktoś usłyszałby jej krzyk. A poza tym, pan Rountree był przecież całkiem nieszkodliwy.

Spojrzała w jego słodkie, brązowe oczy i aż do bólu pragnęła uwierzyć w jego niewinność.

- Nie musi się pani bać o swą cnotę - powiedział. - Będę pani obrońcą, kiedy wejdzie pani na salony. W mojej obecności żaden łajdak nie ośmieli się pani zaczepić.

Wyglądał tak poważnie, że Charlotta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rozpaczliwie chciała zostać sama, by sobie wszystko przemyśleć.

- Dziękuję, ale nie sądzę, aby to było konieczne.

Pan Rountree kontynuował, jakby Charlotta w ogóle się nie odezwała.

- Oczywiście, istnieje problem zdobycia zaproszeń na przyjęcia w najlepszych domach. Może mógłbym nakłonić Różyczki, by użyły swych wpływów...

-Nie.

- Nie? - Zerwał się i podszedł bliżej. Fancy posłała mu z kolan Charlotty wyraźne ostrzeżenie, ale nie zwrócił na

nie uwagi. Ukłękł na jedno kolano i utkwiał przenikliwy wzrok w twarzy Charlotty. - Jest pani rozgniewana - powiedział głosem pełnym skruchy i nietypowego dla niego żaru. - Co mogę zrobić, by zasłużyć na pani przebaczenie? Jeśli da mi pani choć cień szansy, to przysięgam, że przez resztę mojego i pani życia będę starał się dowieść, że jestem pani wart.

To pełne pasji przemówienie wytrąciło Charlotte z równowagi.

- Doprawdy, panie Rountree, nie musi się pan przede mną płaszczyć...

- Owszem, muszę. Widzisz, pani, nie zniósłbym utraty pani szacunku. Szczególnie teraz, gdy nie jestem już w stanie zwlekać z wyrażeniem mych gorących uczuć do pani. - Pochwyił jej rękę i przycisnął do piersi. - Czy uczyni mi pani ten honor i zostanie moją żoną?

Charlotta siedziała oniemiała, pogrążona w kompletnym zamęcie. Nadszedł moment, o który modliła się w duchu, oświadczyń, których niecierpliwie wyglądała. Ale jego kłamstwo zmieniło wszystko. Uświadomiła sobie nagle, że dopóki morderca nie zostanie ujęty, nie będzie mogła w pełni zaufać panu Rountree.

Zanim zdążyła udzielić odpowiedzi, wydarzyła się katastrofa. Znowu.

Fancy rzuciła się na pana Rountree, szczerząc zęby.

Pan Rountree cofnął się gwałtownie. Za późno. Charlotta szarpnęła Fancy do tyłu. Rozległ się głośny trzask rozdzieranego materiału.

Oderwany kawał pięknego niebieskiego surduta zwiślał z piersi paska. W rękawie pana Rountree ziała wielka dziura.

## Rozdział 4

### Coś z ryb

Kiedy w mroku przedświt Brand opuszczał swój klub, przy oświetlonych świecami stolikach do gry pozostało już tylko kilku najbardziej zajadłych hazardzistów.

Szybkie postukiwanie kopyt wierzchowca odbijało się echem na opustoszałych ulicach. Wiatr zaciął jak lodowate ostrza, przewiewając gruby płaszcz, ale Brand nie marzył, rozgrzewany żarem niecierpliwości. Stopniowo eleganckie miejskie rezydencje Mayfair ustępowały miejsca zrujnowanym chałupom i wałącym się ruderom. Od czasu do czasu w mroku majaczyły jakieś ciemne sylwetki. Brand nie był w stanie rozpoznać, czy to ludzie, czy zwierzęta. Bacznie rozglądał się dokoła, ale najwyraźniej w tę przenikliwie zimną noc nawet złodzieje wzięli sobie wolne.

Kiedy zbliżył się do brzegu Tamizy, mroźny wiatr przyniósł zapach wodorostów. Światło pochodni i odległy gwar głosów zapowiadały targ Billingsgate. Brand przyjechał tu już poprzedniego popołudnia, ale targowisko było niemal puste i przechodzący zamiatacz ulic poradził mu, żeby wrócił nad ranem, kiedy kutry rybackie przyplývają z połowem.

Teraz rzucił srebrną monetę jakiemuś młodemu głodomorowi, otwierającemu bramę, by popilnował mu konia. Brand wmieszał się w tłum handlarzy ryb, którzy toczyli swe ręczne wózki na zatłoczony plac.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Smród był wszechobecny. Kosze i beczki zawierały ostrygi, śledzie, krewetki, sole, dorsze i setki innych gatunków owoców morza. W kącie targowiska sprzedawano przechowywane w workach ślimaki morskie, których smakowite mięso ukryte było w mulistych, żółtawych muszlach.

Ze wszystkich stron dobiegały go okrzyki handlarzy.

- Piękne małże, całe mnóstwo za jednego szylinga!
- Żywe węgorze, zostało już tylko dziesięć!
- Świeże piklingi! Komu te piękne tłuszczoszki?

Kiedy cały Londyn jeszcze spał, handlarze ryb prezentowali i zachwalali swój towar. Podtykali i pokazywali tę czy inną rybę, po czym rzucali ją znów na stragan.

Brand torował sobie drogę w tym tłumie. Czujnie rozglądał się za człowiekiem, który pasowałby do rysopisu Ralpa Tuppera. Byli tam straganiarze w zatłuszczonych czapkach - światło pochodni wydobywało z mroku ich wychudłe twarze. Po prawej stronie kilku mężczyzn głośno wyklócało się o cenę kosza homarów. Na wprost wysoki tragarz ugiął się pod ciężarem wielkiego wora ostryg, z którego kapała woda na jego ciemne palto.

Lord Faversham nie mógł tu pozostać niezauważony. Zewsząd ściagały go spojrzenia, niektóre podejrzliwe, inne jedynie zaciekawione, czego taki gentleman może wśród nich szukać. Ignorując je, Brand doszedł do krańca targu i rozpoczął śledztwo.

Podszedł do stołu, przy którym kościsty handlarz oferował wiązki turbotów ~ białe brzuchy ryb połyskiwały w blasku pochodni jak macica perłowa. Przekupień schował kilka monet od klienta do kieszeni i wyszczerzył do Branda poczerwiałe zęby.

- Najświeższe ryby, jakie pan znajdziesz. Przed godziną jeszcze pływały se w morzu. Cała fura za pięć szylingów.
- Szukam mężczyzny nazwiskiem Tupper. Jego ciotka tu handluje.
- Nigdy o takim gościu nie słyszałem.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Może znasz go pod innym nazwiskiem. Jest wysoki i chudy. Niebieskie oczy, wystające zęby. I ślad po ospie koło ust.

- Przykro mi, gubernatorze. - Handlarz stracił zainteresowanie rozmową, która nie mogła mu przynieść żadnych korzyści, i zawołał: - Kupujcie świeże turboty! Szybko się rozchodzą!

Brand metodycznie przechodził od jednego straganu do drugiego, zadawał te same pytania i otrzymywał takie same odpowiedzi: chłodne wzruszenie ramion lub pokręcenie głową. Szczególnie uważnie przyglądał się starszym kobietom, bo któraś z nich mogła być ciotką Tuppe-ra. Przynajmniej chętniej z nim rozmawiały i nie raz musiał odrzucać niedwuznaczne zaproszenia do pokoiików na zapleczu.

Niebo zaczęło szarzeć. Brand wyszedł przejściem na końcu targu i znalazł się na nabrzeżu, gdzie zobaczył maszty kutrów rybackich i czerwone czapki marynarzy: siedzieli na pokładach, palili swe długie fajeczki i przyglądali się tłumom. Kręcili się tu także sprzedawcy, zawierający transakcje. Co i rusz to rozlegały się wybuchy śmiechu, kiedy obrzucali się wzajemnie soczystymi wyzwiskami.

Brand już tyle razy podawał rysopis Tuppera, że bez problemu recytował go z pamięci. Musiał pogodzić się z faktem, że słaba od początku szansa na odnalezienie zaginionego służącego zmniejszyła się niemal do zera. Aż w końcu zagadnął przygarbionego kramarza, który wskazał kciukiem stragan na samym końcu rzędu.

- Tam go widziałem, naprawdę. Chciał mnie oszukać, żebym kupił od niego wczorajszego dorsza. Taki elegant jak pan łatwo by się dał nabrać.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Spięty ze zdenerwowania Brand podszedł do straganu, przy którym stały beczki ryb, patrzących niewidzącym wzrokiem. Stos czerwonobrazowych krewetek leżał w błotnistej kałuży, a żywe węgorze wiły się w koszu wyłożonym zwiedłymi liśćmi kapusty, żeby nie mogły uciec.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Za koślawym stołem stała kobieta ogromnego wzrostu i targowała się z klientem. Spod obszernego czepek wymykały się kosmyki kędzierzawych, czarnych, ale przyprószonych już siwizną włosów. Z kieszeni jej przybrudzonego fartucha zwisały zwiotczałe ogony kilku ryb.

Zakończyła transakcję i z głupekowatym uśmiechem zwróciła się w stronę Branda.

- Czego chcesz, panie? Pięknego dorsza? A może chciał by mnie pan przelecieć w tamtej alejce?

Brand z ledwością zdołał ukryć grymas niechęci.

- Szukam człowieka nazwiskiem Tupper. Był służącym u lady Faversham.

Kobieta zatrzepotała powiekami. Wielka głowa lekko się odchyliła, jakby handlarka z trudem powstrzymała chęć obejrzenia się za siebie. Drzwi do ciemnego zaplecza kramu stały otworem, gdzieś w głębi magazynku paliła się niewidoczna z zewnątrz pochodnia.

- A co on zrobił? - zapytała niezycliwie.

- Odszedł bez zapłaty. To mu się należy. - Brand wyjął z kieszeni złotą gwineę i podniósł ją do góry.

W oczach handlarki zapłonęła chciwość.

- To mój siostrzeniec. Oddam mu to.

Wyciągnęła rękę, żeby pochwycić złotą monetę, ale Brand zacisnął ją w dłoni.

- Oddam mu ją osobiście. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie go znajdę.

Kobieta oblizła popękane wargi.

- No, cóż. On mógł już wyjechać...

- Ciotuniu, ten cholerny kosz jest za ciężki. - Z zaplecza wyłonił się gburowaty młody mężczyzna, dźwigając kosz ryb. Blade światło świtu wydobyło z mroku jego lekko wystające przednie zęby i ślad po ospie koło ust.

Brandowi ścisnął się żołądek.

- Ralph Tupper, jak sądzę.

Tupper spojrział na niego gniewnie. Stanął za ciotką, zasłaniając się koszem jak tarczą.

- A co to pana obchodzi?

Barbara Dawson\_Smith  
Zar

- Byłeś ostatnio zatrudniony u mojej babci. Dość nagle porzuciłeś posadę.

Śmiech Tuppera przypominał pianie koguta.

- Przestała mi pasować.

- Nie pasowała ci? - wrzasnęła ciotka i złapała go za ucho. - Okłamałeś mnie w sprawie zarobków, ty cholerny draniu! Mówiłeś, że dostawaleś tylko szylinga, a jego lor-dowska mość przyniósł ci całą gwineę.

Tupper gwizdnął.

- Powiedziałem ci prawdę. Przysięgam.

- Prawdę mówiąc - oświadczył Brand - mam do ciebie kilka pytań. Jeśli szczerze na nie odpowiesz, zarobisz gwineę.

- Nie mam czasu na żadne pytania.

- Doprawdy? ~ spytał Brand z groźną miną i zrobił krok do przodu. - Kiedy rozbił się powóz mojej babci, jechałeś na koźle koło Butterfielda, prawda? Co właściwie się wtedy stało?

- Była śnieżycą i wpadliśmy do rowu. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Butterfield twierdzi, że wspiąłeś się na tył karety, żeby przywiązać obłuzowany rzemień mocujący bagaż. Ostatnią rzeczą, którą pamięta, jest ostry ból z tyłu głowy. Mógłbyś mi to wytłumaczyć?

Tupper kołysał się, przestępując z nogi na nogę.

- Stary pije, ot co. Nie chciał się panu przyznać, że był ubzdryngolony.

Brand powściągnął gniew.

- W takim razie dlaczego zniknąłeś? Dlaczego nie zostałeś, żeby udzielić damom pomocy?

- Spadłem na ziemię. Musiałem uderzyć się w głowę, bo szedłem jak otumaniony. Nic więcej nie pamiętam.

Brand wierzył w to tak samo jak w świeżość ryb na straganie.

- W takim razie pozwól, że odświeżę ci pamięć - powie dział. - Katastrofa nie była wypadkiem. Przyjąłeś posadę w Faversham House po to tylko, żeby wyrządzić krzywdę

Barbara Dawson Smith

Żar

mojej babci. Kiedy nadarzyła się sposobność, uderzyłeś w głowę Butterfielda i spowodowałeś wywrotkę powozu.

- Nie! To kłamstwo!

Brand rozsunął poły peleryny i pokazał parę wetkniętych za pas pistoletów.

- Ktoś cię wynajął, żebyś dokonał tego podłego czynu. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli podasz mi jego nazwisko.

Na widok broni Tupper aż wybałuszył oczy. Rzucił na Branda zawartość kosza, po czym rzucił się w mroczne zaplecze straganu.

Brand uchylił się przez deszczem ryb i runął za nim.

Ciotka Tuppera błyskawicznym ruchem rzuciła się do tyłu i swą imponującą postacią zabarykadowała przejście.

- Zostaw go! - zawyla. - On nic złego nie zrobił.

Branda kusilo, by zignorować babcine nauki i porządnie babie przyłożyć, zamiast tego jednak rzucił gwineę na zarzuconą odpadkami podłogę. Kiedy schyliła się, żeby podnieść monetę, prześliznął się obok niej do wnętrza budynku.

Tupper zdmuchnął pochodnię, więc w środku panowały nieprzeniknione ciemności. Odór psujących się ryb wisiał jak siekiera w dusznym pomieszczeniu. Brand wyciągnął pistolet, przystanął i nasłuchiwał. Z zewnątrz dochodziły tylko stłumione okrzyki rybaków.

Woźnica mógł się kryć za każdą stertą pudeł. Kiedy oczy Branda przyzwyczaiły się do ciemności, dostrzegł nikłą smugę światła w drugim końcu pomieszczenia. Czyżby Tupper uciekł tylnym wejściem?

Skradając się po zapleczu, Brand wypatrywał śladu człowieka. Nagle wyczuł lekki ruch z lewej strony, w niewielkiej odległości od siebie.

Odwrócił się w tamtą stronę z pistoletem w pogotowiu.

- Pokaż się. Zapłacę ci za informację, której potrzebuję.

Zmyliła go panująca cisza. Może usłyszał szczurą?

A może jednak szkodnika rodzaju ludzkiego?

Z wyostrzonymi zmysłami zagłębiał się powoli w ciemność. Został zaalarmowany ułamek sekundy przedtem,

Barbara Dawson Smith

Żar

nim runęła na niego sterta pudeł. Odskoczył do tyłu i jego uszy poraził głośny trzask. W tej samej chwili ciemna postać skoczyła w stronę tylnego wyjścia.

Brand puścił się w pogoń, odrzucając z drogi pudła. Tupper pierwszy dopadł drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Miał przewagę kilku metrów. Brand wypadł za nim na wąską, zaśmieconą odpadkami alejkę. W lewo prowadziła ona do bocznej uliczki, jednak Tupper biegł w prawo, w stronę zatłoczonego placu. Brand odwiódł kurek pistoletu, ale opuścił go ze stłumionym przekleństwem. Wokół kręciło się tylu ludzi, że nie miał odwagi strzelać.

Wepchnął pistolet za pas i rzucił się w pogoń. Wysoki woźnica wiał się jak węgorz pomiędzy handlarzami ryb.

Gnany wściekłością Brand roztrzącał handlarzy i klientów, nie bacząc na ich gniewne okrzyki. Nie spuszczał z oka ciemnej, podskakującej w tłumie głowy Tuppera. Systematycznie zmniejszał dzielącą ich odległość i wreszcie, w odległym kącie placu, złapał go za rękaw.

Woźnica rzucił mu przez ramię przerażone spojrzenie, szarpnął się, żeby się wyrwać, i wpadł na stragan. Kosze i beczki posypały się jak kręgle.

Ludzie piszczei i krzyczeli. Homary wyrwały się na wolność. Kot porwał tłustą rybę. Czerwony na twarzy handlarz obrzucił obu mężczyzn stekiem wyzwick.

Brand rąbnął Tuppera w twarz i wyrzucił ramię do góry w geście triumfu. Woźnica z zakrwawionym nosem wrzasnął i schował się pod stół. Brand złapał go za kark, wyciągnął i przyłożył mu jeszcze raz, w szczękę. Ale Tupper uderzył go w tym momencie głową w splot słoneczny i Brand na chwilę stracił oddech.

Nikczemnik przedzierał się przez dywan z dorszy. Brand podążał za nim, z bólem chwytając powietrze. Pośliznął się na czymś obrzydliwym, upadł ciężko na bok i wylądował w solance z przewróconej beczki.

Otoczyli go gapie o płonących ciekawością oczach. Czerwony na twarzy sklepikarz wygrażał mu pięściami i miotał groźby.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Brand zerwał się na nogi. Przepchnął się przez tłum gapiów, ale było już za późno.

W ciągu tych kilku sekund Tupper zniknął w gęstym tłumie.

- Jego lordowska mość jeszcze nie wrócił do domu - oznajmił North w odpowiedzi na pytanie, które Charlotta zadała mu wchodząc do pokoju śniadaniowego.

Nieobecność Branda zaskoczyła ją. Chciała z nim porozmawiać o katastrofie powozu.

- Mówił, dokąd się tak wcześnie wybiera?

Wiekowy lokaj spojrział na nią z lekkim zażenowaniem.

- Proszę o wybaczenie, milady. Nie rozmawiałem z panem od wczoraj.

- Od wczoraj? Mówisz, że... nie wrócił na noc do domu?

- Na to wygląda.

Odszedł, z dezaprobatą kręcąc głową, a Charlotta zacisnęła usta. Brand nie rezygnował ze swoich nawyków. Nawet obecność Różyczek w rezydencji nie zdołała zmienić jego rozpustnych obyczajów.

W tej chwili Brand spoczywał pewnie w objęciach jakiejś swojej ładaczniczki. Niewykluczone, że oddawał się właśnie bezecnym uczynom. Na samą myśl o tym zrobiło jej się gorąco... ze złości.

- Do diabła z nim - mruknęła pod nosem.

Weszła na górę, włożyła pelisę i naciągnęła na głowę czepek. Fancy zaskomliła, gotowa do wyjścia, więc wzięła ją na smycz i wyprowadziła na dwór.

Przez cały czas szalała w niej burza różnorodnych uczuć, spośród których na czoło wybijała się ciekawość. Charlotta miała zaledwie mgliste pojęcie o tym, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami sypialni, wystarczające jednak, by interesować się, co takiego robił Brand, iż tak wiele kobiet gotowych było dotrzymywać mu tam towarzystwa. Był przystojnym mężczyzną, to musiała przyznać, posiadał

Barbara Dawson Smith  
Żar

także pewien mroczny czar. W młodości widywała nadskakujące mu damy, widziała, jak wdzięczyły się do niego, flirtowały, próbowały zwrócić na siebie jego uwagę. Wówczas, darząc go pierwszą, niewinną miłością, stała się jedną z nich.

Teraz była mądrzejsza.

Teraz takie uniżone płaszczenie się uważała za afront wobec własnej kobiecości. Czy te kobiety nie miały dumy, szacunku dla samych siebie? Ona nie była idiotką. Nie oddałaby dziewictwa takiemu nikczemnikowi.

Pan Harold Rountree stanowił znacznie odpowiedniejszą dla niej partię, oczywiście gdyby zdołał dowieść, że jest człowiekiem wykutym z jednej bryły. Wątpliwości, które Brand w niej zasiał, ćmiły jak zepsuty ząb. W konsekwencji musiała udzielić wymijającej odpowiedzi na od tak dawna już oczekiwane oświadczenie pana Rountree. Odprawiła go z obietnicą, że udzieli mu odpowiedzi w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Prosił o odrobinę nadziei, szczególnie że Fancy wyszarpała mu kawałek najlepszego surduta.

- Ach, ci mężczyźni! - mruknęła Charlotta. - Zdecydowanie nadmiernie przejmują się drobiazgami.

Fancy w odpowiedzi zamerdała ogonem i poprowadziła swą panią do tylnych drzwi. Gdy Charlotta wyszła na werandę, spostrzegła ubranego w ciepły płaszcz i wymięty kapelusz ogrodnika, który toczył beczkę odpadków w stronę tylnej bramy. Opustoszałe chodniki wyglądały wyjątkowo smutnie w kapryśnym świetle dziennym.

Dała Fancy kilka chwil na załatwienie jej potrzeb w krzakach, po czym ruszyła do stajni. Drzwi otworzyły się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach. Mrugając, żeby szybciej przyzwyczaić oczy do półmroku, Charlotta wdychała doskonale znany zapach koni i siana. Stajenny wyszedł pośpiesznie z pokoiku na końcu długiego przejścia.

Fancy warknęła i mężczyzna o pałakowatych nogach przezornie zatrzymał się w odległości kilku kroków. Zdjął czapkę i przycisnął ją do piersi.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Milady. Nie zostaliśmy uprzedzeni, że mamy przygotować dla pani powóz.

- Nie wybieram się na przejażdżkę - powiedziała Charlotta. - Chciałabym obejrzeć powóz lady Faversham.

Jeśli stajenny był zaskoczony jej życzeniem, nie dał tego po sobie poznać. Wskazał gestem, by szła za nim. Minęli rząd końskich boksów i przeszli na tył budynku.

Brand utrzymuje stajnie na odpowiednim poziomie, pomyślała Charlotta, oglądając świeżo pomalowane białe ściany i porządnie zamiecioną podłogę. W przeciwieństwie do wielu przynależnych do miejskich domów stajni, przerobionych na kompleks mieszkalny, tutaj było dość miejsca dla dziesięciu koni i różnych powozów. Okna wpuszczały do wnętrza światło dzienne.

Stajenny wskazał pojazd zaparkowany za zamkniętymi podwójnymi drzwiami.

- To ten, milady.

Charlotta nie mogła oderwać wzroku od pogruchotanego pojazdu. Tylne koła poszły w drzazgi, oś została wygięta. Cała prawa strona wyglądała jak zgnieciony arkusz czarnego papieru, a w oknie widniało gwiaździste pęknięcie. Chwała Bogu, że Różyczki nie zostały pokaleczone odłamkami szkła.

Charlotta oparła się o powóz, żeby odzyskać równowagę. Nagle jakby zobaczyła wypadek przed oczami: przerażenie babci na skutek nagłego wstrząsu... gwałtowny przechył, kiedy pojazd przewracał się na bok... trzy podróżniczki przewracające się na siebie, bagaże fruujące w powietrzu i spadające na pasażerki. To cud, że Różyczki, poza innymi obrażeniami, nie doznały jeszcze ataku serca. Ich szok i ból musiały być przeraźliwe. Jak długo tam leżały w oczekiwaniu na pomoc?

A co z woźnicą? I stangetem? Oni także musieli zostać ranni. Gdyby spotkało ich coś bardzo złego, babcia niewątpliwie powiedziałaaby jej o tym.

Charlotta obejrzała koziół, na którym siedział woźnica. Jedna strona szerokiej ławki była uszkodzona, słoma

Barbara Dawson Smith  
Zar

wystawała z rozdartego skórzanego pokrycia. Dostrzegła zmiążdżone drzwiczki do schowka pod siedzeniem. Odruchowo sprawdziła stopień i wspięła się nań tak, że jej broda znalazła się na wysokości podłogi kozła.

W skrytce pod siedzeniem woźnicy zalsniło coś błyszczącego. Sięgnęła ręką i wyciągnęła buteleczkę ze stopu cyny z ołowiem. Odkorkowała ją i powąchała zawartość. Oczy zaszyły jej łzami od ostrej woni spirytusu.

Nagle w głowie Charlotty zrodziło się okropne podejrzenie. A może Różyczki myliły się, przypisując wypadek śnieżycy? Może woźnica był pijany?

Zaczęła się zastanawiać, czy Brand wziął tę możliwość pod uwagę. Zapewne był zbyt zajęty nocną aktywnością, by poświęcić choćby jedną myśl wypadkowi. Przy pierwszej okazji musi z nim porozmawiać. Taki służący powinien zostać przywołany do porządku, a jeszcze lepiej -zwolniony.

Jakby wyczuwając jej zdenerwowanie, Fancy zaskomliła. Charlotta zeszła na dół i pogłaskała psa.

- Wszystko w porządku, kochanie. Możesz być pewna, że obronię babcię. Mam zamiar dowiedzieć się ze szczegółami, co właściwie się wydarzyło.

Charlotta zabrała flaszeczkę i ponownie wyszła z Fancy na przejmująco mroźne powietrze. I jak poprzedniego dnia, znów dostrzegła na dziedzińcu stajni Branda.

Ważnie zsiadał z czarnego wierzchowca. I, o dziwo, ocierało się o niego kilka kotów. Fancy szczerknęła i szarpnęła smyczą, żeby je pogonić.

A może znowu chciała ugryźć Branda? Charlotta nie mogła uwierzyć, że tak łatwo ją poskromił.

Wzięła na ręce wyrywającego się psa.

- Zachowuj się grzecznie, kochanie.

Kiedy krzywonogi stajenny wprowadził konia do stajni, nie wiadomo skąd pojawił się kolejny wychudzony kot i dołączył do pozostałych. Miał dość śmiałości, by otrzeć się łebkiem o wysokie do kolan buty Branda i zamiauczeć żałośnie. Brand, niechlujny jak każdy rozpustnik po zarwanej no-

Barbara Dawson Smith  
Zar

cy, obszedł dokoła swój koci harem. Jego włosy znajdowały się w nieładzie, a fularu w ogóle brakowało. Błoto i jakieś niezidentyfikowane substancje przyłgnęły do jego płaszcza i bryczesów. Z nieogolonymi policzkami i blizną w kąciku ust wyglądał jak stuprocentowy mężczyzna... niebezpieczny mężczyzna.

Ich oczy się spotkały. Skrzywił się, jakby spotkanie z Charlotta nie należało do przyjemności.

Nieważne, i tak przejął ją dreszcz, kolana zrobiły się jak z waty, a rytm serca został zakłócony. Z wysiłkiem poskromiła własne reakcje i żwawo ruszyła w stronę Branda. Kiedy podeszła bliżej, zrozumiała, co przyciągnęło koty.

Rozsiewał wokół siebie rybi smród.

Charlotta odwróciła głowę na bok i pomachała ręką przed nosem, żeby rozwiać odór.

- Fu! Kiedy oskarżyłam cię o tarzanie się w brudach, uważałam to jedynie za figurę retoryczną!

- Oszczędź mi swoich oryginalnych spostrzeżeń.

Wzrok Branda ledwo przesunął się po niej, jakby miał do przemyślenia o wiele ważniejsze sprawy. Bez słowa ruszył w stronę domu.

Charlotta postawiła Fancy na ziemi. Suczka natychmiast rzuciła się do kotów i zmusiła je do ucieczki. Wykonawszy zadanie, Fancy podreptała za Brandem, ciągnąc Charlotte na smyczy. Kiedy dotarły do werandy, Brand otwierał właśnie tylne drzwi. Fancy stanęła u jego stóp, popatrzyła na niego w górę z niewątpliwą adoracją, z nadzieją merdając ogonem.

Nie zwrócił uwagi na psa. Z nieobecny wyrazem twarzy przytrzymał drzwi przed Charlotta.

Weszła do tylnej sieni.

- Spodziewałam się, że wrócisz do domu rozsiewając woń damskich perfum, a nie rybi smród. Gdzie byłeś?

-WBillingsgate.

- Na targu rybnym. - Kompletnie osłupiała. - Dość nisko upadłeś, skoro tam szukasz sobie kobiet.

Zamknął drzwi i wymownie spojrzał na Charlotte.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Mógłbym upaść jeszcze niżej.  
- Twój plugawy dowcip przewyższa jeszcze twój plugawy zapach. - Ścisnęła w dłoni buteleczkę i dodała: - Jeśli jesteś w stanie zachowywać się choć przez chwilę w sposób cywilizowany, muszę z tobą porozmawiać. O śmiertelnie poważnej sprawie.

Mars na jego czole pogłębił się.

- Czy stan mojej babci się pogorszył?

- Nie, wszystkie Różyczki jeszcze spały, kiedy zaglądałam do nich ostatnio.

- W takim razie twoja ważna sprawa może chwilę poczekać. - I ruszył korytarzem, zdejmując po drodze rękawiczki.

Podążyła za nim. Odgłos ich kroków zmieszał się z postukiwaniem psich pazurków na marmurowej posadzce.

- Chodzi o wypadek - powiedziała Charlotta. - O katastrofę powozu.

Gwałtownie odwrócił się do niej.

- W czym rzecz?

Tym razem Charlotecie udało się, ku własnemu zaskoczeniu, przykuć jego uwagę. Wbił w nią przenikliwe szare oczy i wpatrywał się z napięciem.

- Myślałam o tym, co się stało - stwierdziła, nieco skonfundowana jego nagłym zainteresowaniem. - I pytałam siebie w duchu, czy aby na pewno doszliśmy do odpowiednich wniosków.

- Co, do diabła, masz na myśli?

- Oczywiście, wtedy naprawdę była śnieżycą i naprawdę drogi były oblodzone. Mogły jednak zaistnieć dodatkowe okoliczności, które przyczyniły się do katastrofy.

- Na przykład?

Wyczuła w nim coś tak ponurego, że jej podejrzania jeszcze przybrały na sile. Pokazała mu flaszeczkę.

- To. Podróż z Devon była długa i mroźna, bardzo może liwe, że woźnica popijał alkohol, żeby się rozgrzać.

Brand wziął od niej butelkę, odkorkował i powąchał zawartość. Potem przechylił głowę do tyłu i pociągnął zdrowy łyk. Na jego wargach, wygiętych w wiecznie krzy-

wym uśmiechu, załśniła wilgoć. Rzucił flaszkę na pobliskie krzesło.

- Gin - orzekł. - Marnego gatunku. Osobiście wolę wino.

-Twoje preferencje są tu bez znaczenia - warknęła Charlotta. - Bardziej mnie interesują alkoholowe nawyki woźnicy. Musiał za dużo wypić.

-Alkoholu...

~ Nie słuchasz? To całkiem prawdopodobne, że był pijany. Dlatego powóz zboczył z drogi i wpadł do rowu.

- Nikt nie był pijany. Już rozmawiałem z Butterfieldem. Możesz więc przestać łamać sobie tym głowę. - Brand odwrócił się i podjął wędrówkę w głąb korytarza.

- A więc Butterfield zaprzeczył - zawołała nieustępliwie Charlotta, dotrzymując Brandowi kroku, choć równocześnie starała się nie oddychać, żeby nie wciągać w nozdrza jego ohydneho smrodu. - A ty po prostu przyjmujesz jego słowo, tak?

-Tak.

-Musiał z nim jechać jeszcze jakiś służący, albo i dwóch, którzy byli świadkami jego nadużywania alkoholu. Pomyślałeś o tym?

- Nie męcz mnie, Char. Jestem cholernie wykończony. - We frontowym holu Brand zdjął śmierzdzący płaszcz i rzucił go na mahoniową poręcz. Przeczesał włosy palcami, czym jeszcze bardziej podkreślił swój wygląd niebezpiecznego łajdaka. - Daj mi teraz spokój. I zabierz ze sobą ten kłębek futra.

Charlotta szarpnęła smycz, żeby poskromić Fancy, która skakała w górę i w dół, żeby zwrócić na siebie uwagę Branda.

-To zbyt ważne, żeby przejść nad tym do porządku dziennego. Jeśli stangret jest pijakiem, powinien zostać zwolniony. Następnym razem zabije twoją babcię. I moją. - Na samą myśl o tym ścisnęło jej się gardło.

- Zachowujesz się melodramatycznie...

- Zachowuję się rozsądnie. A jeśli ty nie zamierzasz zająć się tą sprawą, to sama się nią zajmę.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Barbara Dawson Smith  
Zar



Brand otworzył usta, żeby coś powiedział, ale w holu rozległo się szuranie stóp przygarbionego lokaja. North zmarszczył swój wrażliwy nos i przez białą rękawiczkę ujął płaszcz chlebobdawcy w dwa palce.

- Czy zamawia pan śniadanie do pokoju, milordzie?

- Tak, natychmiast.

- Oczywiście. - Kamerdyner zawahał się, ale po chwili dodał ponuro: - Zamówię także dla pana gorącą wodę do kąpieli. - I odszedł kręcąc głową i mrużąc coś do siebie.

Brand pochylił się i wziął Fancy na ręce.

- Twoja panienska wciąż jest wścibską smarkułą - oświadczył psu. - Nigdy się nie poddaje. Nie wiem, jak możesz ją tolerować.

Drapał psiaka za puszystymi uszami, ku oczywistej rozkoszy Fancy i równie niewątpliwej irytacji Charlotty.

- Mam zamiar chronić swoją babcie - oznajmiła sztywno. - Przy twojej pomocy lub bez niej.

Brand odczepił smycz od obroży Fancy i rzucił ją Charlotte.

- W takim razie nie zostawiasz mi wyboru - powiedział.

- W tej katastrofie rzeczywiście kryje się coś więcej niż to, co widać na pierwszy rzut oka. Chodź ze mną, to powiem ci, o co chodzi. - Z tymi słowami zaczął wchodzić po schodach.

Charlotte pospieszyła za nim.

- Chcesz powiedzieć, że rzeczywiście mamy do czynienia z zaniechaniem?

- Żadnych więcej pytań, dopóki nie będziemy sami - rzucił przez ramię.

Odetchnęła głośno.

- A dokąd idziemy?

- Tam, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać bez obaw, że ktoś podsłucha. - Kiedy stanęli na górze sze-rokich marmurowych schodów, Brand spojrzał na Charlotte. Jego impertynenckie spojrzenie pobiegło w dół, na jej piersi, po czym wróciło do twarzy. - Do mojej sypialni.

## Rozdział 5

### Wezwanie

Charlotte zatrzymała się na najwyższym stopniu schodów.

- Równie dobrze możemy porozmawiać gdzie indziej - zaprotestowała. - W bibliotece albo w saloniku.

- Jestem brudny. Muszę się umyć. - Wargi Branda wygięły się w szatańskim uśmiechu. - Przecież nie pierwszy raz znajdziesz się w mojej sypialni.

Ten uśmiech obudził w Charlotte wspomnienie okropnego spotkania w Faversham House przed szesnastu laty. Brand przyjechał wtedy do Devon, do domu na Boże Narodzenie, pewny siebie dwudziestojednoletni byczek, ucieleśnienie dziewczęcych marzeń. Charlotte w jednej chwili zakochała się w nim bez pamięci. Z zapalem budzącej się już kobiecości biegała za nim jak chory z miłości szczeniak i wyłaziła ze skóry, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Ale on patrzył na nią z roztargnieniem i obojętnością.

Dopóki nie przyszła gnana rozpaczą do jego sypialni i nie poprosiła go o pocałunek. Ciągle jeszcze pamiętała swą oszałamiającą radość, kiedy się zgodził, i udrekę, gdy zrozumiała, że chciał ją tym tylko upokorzyć...

- Co robisz? - zapytała, ciągle jeszcze otumaniona pierwszym w życiu prawdziwym pocałunkiem. To był głęboki, namiętny pocałunek i gdyby nie to, że siedziała na jego kolanach, na pewno ugięłyby się pod nią nogi. Wtedy on,

Barbara Dawson Smith

Zar

ku jej przerażeniu, sięgnął pod jej spódnicę i zaczął gładzić obciążoną pończochą lydę.

- Daję ci to, czego pragniesz, Char. O co błagałaś przez ostatnich kilka tygodni.

Charlotta wierciła się, przestraszona intensywnością budzącej się w niej tęsknoty, ale jeszcze bardziej przerażona, że okaże się niedojrzała i pozbawiona ogłady.

-Przezań! Wcale nie prosiłam, żebyś mi wkładał rękę pod spódnicę.

- Prosiłaś o to każdym zakotłysaniem bioder, każdym za prząającym uśmiechem. A oto, co się dzieje, kiedy dziewczyna kusi mężczyznę. - Przesunął rękę wyżej i zaczął pieścić wrażliwe miejsce pod kolanem.

Nagła rozkosz wprawiła ją w panikę. Odepchnęła go i zerwała się na równe nogi. A Brand wyciągnął się w fotelu, rozbawiony i pełen poczucia wyższości. W oczach miał tajemnice, których Charlotta nie była w stanie rozszyfrować.

- Uciekaj, mała dziewczynko - powiedział. - I niech to będzie dla ciebie nauczka.

Charlotta otrząsnęła się ze wspomnień. Gdy wróciła do rzeczywistości, zobaczyła, że Brand oddala się korytarzem. Pospieszyła, by go dogonić.

-Po jednym wstrząsającym doświadczeniu w twojej sypialni nie mogę się zgodzić na kolejne.

Brand leniwie głaskał Fancy, a suczka aż pomrukiwała z zadowolenia, ale całą uwagę skupił na Charlottcie.

- Może nie powinienem był wówczas się powstrzymać - mruknął przeciągle. - To z pewnością nie jest dla ciebie szczególnie miłe wspomnienie.

- Powinna przewidzieć, że będziesz się rozkoszować tym, jak wykorzystales naiwną dziewczynkę.

- Miałem na myśli to, co stało się potem.

Punkt dla niego. To dziwne, że ona rozdzielała w pamięci te dwa incydenty, choć były nierozdzielnie ze sobą związane. Zamiast wrócić wówczas do swojego pokoju i lizać rany, pobiegła prosto do najlepszego przyjaciela Branda, Michaela Kenyona. Żeby uleczyć zranione serce,

Barbara Dawson Smith  
Żar

flirtowała z Michaeliem. W pewnej chwili zabrała mu książkę i cofając się, podeszła zbyt blisko do kominka.

Stanęła w ogniu. Pożar objął jedną stronę jej sukni i zaczął się wspinać w górę po cieniutkim rękawie.

Czas sprawił, że to doświadczenie nabrało cech sennego koszmaru, składającego się z szeregu oderwanych od siebie scen. Syk płomieni. Pałacy żar. Echo jej rozdzierającego krzyku.

Szybki refleks Michaela ocalił jej życie. Rzucił ją na podłogę, owinał dywanem i zdusił ogień. Za późno. Jedna ręka została ohydnie spalona. Charlotta mogła tylko cieszyć się, że grube halki i spódnice uchroniły ją przed rozległymi poparzeniami.

Przez długie tygodnie bolesnej rekonwalescencji Michael często ją odwiedzał. Przynosił jej kwiaty i czytał książki. Wiedziała, że chce tylko być dla niej dobry, ale i tak przelata na niego całe młodzieńcze uczucie.

Dla Branda została jej tylko nienawiść.

- To było przed wiekami - powiedziała sztywno. - Najlepiej o tym zapomnieć.

- Może. - Brand spojrział na jej rękę. - Ale nosisz na sobie pamiątkę.

Charlotta powstrzymała dawny odruch schowania ręki za plecami, choć teraz była przecież w ciepłym zimowym odzieniu, w pelisie i rękawiczkach. Gdybyż on wiedział, że następstwa były o wiele gorsze od samego wypadku. Nosila długie rękawy nawet w najbardziej upalne letnie dni i z przewrażliwieniem łowiła każde współczujące spojrzenie i każdy szept. Zmieniła się w zgorzkniałą młodą kobietę, pełną nienawiści do całego świata.

Ale z tym koniec. Koniec!

Rzuciła mu twarde spojrzenie.

- Jeśli ludzie nie mogą mnie zaakceptować takiej, jaka jestem, to nic mi po nich.

- Zgadza się w pełni.

Dlaczego Brand się nad nią lituje? I nagle, ku własnemu zaskoczeniu, powiedziała:

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Wyjechałeś do Londynu, nie zaglądając nawet do pokoju, w którym leżałam na łożu boleści.

Uniósł brew.

- Naprawdę chciałaś mnie wtedy widzieć?

- Tylko żeby móc rzucić w ciebie nocnikiem.

- Żałuję, że pozbawiłem cię tej przyjemności. Dziwne, ale jego krzywy uśmiech złagodził jej napięcie.

Przypomniała sobie szczęśliwsze chwile, gdy należeli do jednej, wielkiej rodziny, złączonej przez Różyczki. Były kiedyś wspólnie spędzane wakacje, próby amatorskich teatrzyków i wyjazdy na pikniki. Brand, bracia Kenyonowie i rodzina Charlotty byli sobie bliscy jak kuzyni.

Iluzja koleżeństwa prysła, kiedy Charlotta skręciła za róg korytarza i dostrzegła swą pokojówkę.

Nan trzymała przed sobą na rękach sięgającą brody stertę rzeczy do prania. Wyglądało na to, że kłóciła się z odzianym w proste, brązowe ubranie osobnikiem stojącym w drzwiach i blokującym jej przejście.

Giffles, garderobiany Branda.

Skonsternowana Charlotta zwolniła kroku. Koniec złudzeń, że zdoła wśliznąć się niezauważona do sypialni Branda i wyjść stamtąd niepostrzeżenie.

- Dzień dobry, milordzie, milady - powiedział spokojnie Giffles, jakby był przyzwyczajony do widoku chlebobdawcy w niekompletnym stroju, cuchnącego rybami i prowadzącego damę do swych pokojów.

Fancy wydała niskie, ostrzegawcze warknięcie i Brand mocniej ją przytrzymał. Zachmurzył się na widok dziewczyny.

- Co tu się dzieje? Kim ty, u licha, jesteś?

- To Nan, moja pokojówka - zawołała pospiesznie Charlotta. - Nie mam pojęcia, co ona robi w tym skrzydle domu.

Nan próbowała dygnąć, co przy tym brzemieniu było niemożliwe i cały czas wpatrywała się w Branda z ostentacyjną ciekawością. - Przepraszam, psze pana. Zgubiłam się tu, słowo daję.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Weszła do pana pokoju - oświadczył Giffles z dezaprobatą. - Jakby miała prawo się kręcić, gdzie tylko ma ochotę.

Piegowata pokojówka rzuciła mu urażone spojrzenie.

- Pomyliłam się. Już to panu wyjaśniałam.

- To niedopuszczalne - oświadczył Giffles. - To siedziba księcia Faversham, a nie pasterski szałas na pustkowiach Yorkshire.

- Ha! Urodziłam się w mieście, więc proszę nie traktować mnie jak jakiejś prostaczki.

- Nan - przerwała jej Charlotta. - Dość tego.

Pokojówka zamilkła, ale w jej brązowych oczach pojaśnił się buntowniczy błysk.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i Charlotta odniosła wrażenie, że bez słów przekazali sobie jakąś wiadomość.

- Odprowadzę cię na dół do pralni - powiedział Giffles do Nan. - Żebyś znowu nie zeszła na manowce.

Ruszył korytarzem, a za nim podążyla pokojówka, parodiując jego napsuszony sposób chodzenia. Wyglądała tak komicznie z ogromnym tobołem na rękach, że Charlotta udawała atak kaszlu, żeby ukryć histeryczny śmiech.

- Poszło znakomicie - mruknęła, wchodząc za Brandem do obszernej, błękitno-złotej sypialni. - Teraz już cała służba się dowie, że tu byłam. A do wieczora będzie o tym wiedziało całe sąsiedztwo.

- Mój garderobiany nie plotkuje, martw się wyłącznie o swoją pokojówkę.

- Nan będzie trzymała język za zębami - zapewniła Charlotta.

Brand z powątpiewaniem uniósł brew. Ruchem ramion zrzucił z siebie surdut i wtedy Charlotta dostrzegła wsuniętą za pas pistolety.

W jednej chwili wywietrzały jej z głowy wszelkie myśli o skandalu.

- Wielkie nieba! Miałeś pojedynek?

- Nie, nie pojedynkowałem się od ostatniej jesieni, kiedy to utarłem nosa temu młodemu głupkowi Lambertowi,

Barbara Dawson Smith

Zar

który oskarżył mnie o oszukiwanie w kartach. - Brand postawił Fancy na podłodze, podszedł do mahoniowego biurka, zamykanego zasuwana kłapą z poziomych desz-czułek i schował pistolety do skórzanej kasetki.

Obserwująca go uważnie Charlotta połączyła ze sobą fakty i doszła do nieuniknionego wniosku. Pistolety, rybi smród, ponure zamyślenie.

-Więc dlatego byłeś na targu w Billingsgate - powiedziała powoli. - To miało jakiś związek z Ligą Lucyfera.

- Twoja przenikliwość zwala z nóg. - Zniknął w przyległej garderobie, a wraz z nim drepcząca przy jego nodze Fancy.

Charlotta, zbyt zgnębiona, żeby obrazić się za jego sarkazm, ściągnęła rękawiczki i położyła je na stole. Na mrozie rozbolały ją blizny i bezwiednie zaczęła je masować. Cały czas zmagala się z dojmującym lękiem. Aż do tej chwili zagrożenie nie wydawało jej się zbyt realne. Była zbyt pochłonięta własnymi problemami z panem Roun-tree, by przejmować się śledztwem Branda, jednak na widok tych pistoletów przeszył ją lodowaty dreszcz.

Brand ryzykował życie. Nie tylko dlatego, że tropił mordercę, ale przez sam prosty fakt, iż również należał do Ligi.

On mógł być następny.

Z garderoby dobiegły odgłosy szorowania. Charlotta poczuła gwałtowną pokusę, by tam wejść. Chciała zmusić Branda, żeby zostawił tę sprawę specjalistom. Pragnęła objąć go ramionami, poczuć na piersi spokojne bicie jego serca. Chciała błagać go, żeby trzymał się z dala od niebezpieczeństwa.

Zrobiła krok w stronę garderoby i zatrzymała się. Co za nonsens! Brand Villiers znaczył dla niej tyle co listonosz czy wikary. Był zaledwie dawnym znajomym, związanym z nią jedynie przyjaźnią łączącą ich babcie. I wspólną przeszłością.

Charlotta zaczęła miarowo oddychać, żeby wyciszyć wewnętrzny niepokój. Przez większość z dwudziestu dziewięciu lat, jakie przeżyła, Brand był dla niej jak cień

Barbara Dawson Smith  
Zar

w boku. Znała wszystkie jego wady i słabości. Jego paskudny charakter stanowił przeciwieństwo tego, czego pragnęła od życia: szacunku, normalności, małżeństwa. Ponieważ byli tak kompletnie różni, nie mogło jej na nim naprawdę zależeć.

Ale przecież nie chciała, żeby umarł.

Nie mogąc usiedzieć w spokoju, zaczęła spacerować po jego sypialni. Umeblowanie pasowało do niego - bardzo męskie, bez żadnych falbanek i plisek. Ciemnoniebieskie zasłony okalały z obu stron wysokie okna umieszczone na dwu przeciwległych ścianach - przeciąg wywiewał z pokoju rybi smród. Charlotta starannie unikała spoglądania w stronę wielkiego, dominującego w tym pomieszczeniu łoża z czterema słupkami podtrzymującymi baldachim. Podeszła natomiast do kominka z szarego marmuru, przy którym na niewielkim okrągłym mahoniowym stolczku leżało kilka książek, a obok stał niebieski fotel, sądząc z wyglądu poduszek, często używany.

Jej uwagę zwrócił twór w kształcie rury leżący na kominku. Wzięła go do ręki i uśmiechnęła się z zaskoczeniem. Luneta. Dawno temu Brand i bracia Kenyonowie lubili bawić się w lesie w piratów. Dlaczego Brand przechowywał ją przez tyle lat? Czyżby był bardziej sentymentalny, niż sądziła?

Pewnie podgląda sąsiadów.

Charlotta podniosła przyrząd do oka. Krąg wygiętego szkła powiększył srebrną tabakierkę leżącą na stoliku w drugim kącie pokoju. Zaczęła oglądać przez lunetę pokój, zatrzymała się przy łóżku z niebieską narzutą i stertą puchowych poduszek... łóżku, w którym zapewne przyjmował kochanki.

Jej myśli pobiegły dawno nie uczęszczaną ścieżką. Jakby się czuła, leżąc tu z Brandem? Pozwalając, by ją dotykał... by wkładał rękę pod spódnice?

Zarumieniła się i przesunęła lunetę na gzyms kominka. Szokujące, z jaką łatwością wyobraziła sobie siebie z Brandem. Nigdy nie miała takich lubieżnych myśli

Barbara Dawson Smith  
Zar

w odniesieniu do pana Rountree. Może niechciane żądze budzą się do życia w sypialni notorycznego rozpustnika?

Ale Charlotta była przecież rozsądną kobietą, ich babcie miały pokój na tym samym piętrze, a poza tym tego akurat rozpustnika znała niemal od urodzenia. Znalazła się tutaj tylko po to, żeby usłyszeć, co też on ma do powiedzenia o katastrofie powozu. I na tym właśnie powinna była się skupić.

Brand wyszedł z garderoby. Podwinął rękawy koszuli do łokci. Przez otwarty kołnierzyk widać było szeroką pierś, porośniętą gęstwiną ciemnych włosów. Wilgotne włosy, lśniące w porannym słońcu, sprawiały wrażenie niemal czarnych. Był na bosaka, w bryczesach opinających muskularne uda.

Chyba sam diabeł posługiwał się nim, by skusić kobiety do grzechu.

Charlotta pozazdrościła mu tego poczucia swobody. Jej serce zadrżało zdradziecko.

Brand podszedł bliżej, nie spuszczać z niej wzroku. Nie cuchnął już rybą, rozsiewał natomiast świeży, ostry, podniecający zapach mydła.

Charlotta przeszła od razu do rzeczy, żeby jak najszybciej wyjść z jego sypialni.

-Jeśli woźnica jest pijakiem, powinienes go zwolnić. A może jeden pijaczyna chroni drugiego?

- Usiądź - powiedział, wskazując jej fotel przy kominku.  
- Przez całą noc nie spałem i jestem zbyt zmęczony, żeby się z tobą kłócić.

Przysiadła na samym brzeżku. Brand rzeczywiście wyglądał na wyczerpanego, miał cienie pod oczami i ciemny cień zarostu na policzkach.

- Czekam ~ przypomniła mniej napastliwym tonem.

Oparł się o kolumnę łóżka. Fancy leżała do góry brzuchem u jego stóp, merdając ogonem. Palcami stopy leniwie gładził ją po brzuszku, ale w jego ponurym spojrzeniu nie było nic leniwego.

- To, co przytrafiło się Różyczkom, to nie był wypadek - stwierdził. - Morderca chciał je zabić.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Charlotta osłupiała.

- Co?! Chyba nie łączysz naszych babć z jakimś piekielnym klubem?

- Niestety, łączę. Cztery lata temu pomagały Kate Talisford odzyskać skradzioną statuetkę. Były wtedy świadkami rozwiązania Ligi Lucyfera.

-Kate... żonie Gabriela? - Z powodu długiego pobytu w Yorku Charlotta nigdy nie spotkała Kate, poślubionej jednemu z wnuków lady Stokeford.

- Tak. Morderca musi być przekonany, że Różyczki są w stanie wskazać na niego jako byłego członka Ligi.

Charlotcie zrobiło się nagle niedobrze.

- To niemożliwe. Musi istnieć inne wytłumaczenie.

- Nie - zaprzeczył głosem bez wyrazu. - Jestem pewien, że to prawda.

Przygnębiło ją brzmiące w jego głosie przekonanie. Brand nie kpiłby sobie z czegoś tak poważnego. Nagle przypomniała sobie wygląd powozu i ogarnęła ją prawdziwa groza.

- Wielki Boże! Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym od razu?

- Chciałem mieć pewność, że moje domysły są słuszne.

- Ale... w jaki sposób on spowodował katastrofę? Przekupił woźnicę?

- Umieścił wśród służby mojej babci swojego człowieka, niejakiego Ralpa Tuppera. Tupper poczekał na okazję i ogłuszył Butterfielda uderzeniem w głowę. Potem zniknął.

- Przecież na pewno byli tam i inni służący. Różyczki nie wybrałyby się w tak długą podróż tylko z jednym.

- Pozostali dwaj rozchorowali się kilka dni temu, akurat w chwili, gdy Różyczki wsiadały do powozu w Devon. Logika wskazuje, że Tupper miał z tym coś wspólnego.

Charlotta uderzyła pięścią w oparcie fotela, żeby jakoś rozładować emocje.

- Przeklęty facet! Próbowałeś go znaleźć?

- Prawdę mówiąc, wytropiłem go dziś rano.

- Na targu rybnym w Billingsgate? - zgadła.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Jego ciotka ma tam stragan.  
- Co powiedział? Podał nazwisko człowieka, który go przekupił?

Brand zdecydowanie pokręcił głową.

- Sukinsyn uciekł. Ale ja go znów dopadnę. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Przeszedł ją dreszcz na dźwięk jego surowego głosu. Tylko raz w życiu widziała go takim, kiedy jakiś chłopak próbował uderzyć George'a, jego starszego brata. Brand rozkwasił napastnikowi nos i zostawił go rozciągniętego na ziemi.

Nagle Charlotta poczuła w sobie taką samą determinację. Wielkie nieba, musi obronić swoją babcie!

- Podaj mi nazwiska mężczyzn, którzy należeli do Ligi Lucyfera - poprosiła. - Kiedy zostaną wprowadzona do towarzystwa, pomogę ci w śledztwie\*.

-Nie zrobisz nic takiego - stwierdził zdecydowanie Brand. - Powiedziałem ci prawdę tylko dlatego, żebyś nie rzucała oskarżeń na Butterfielda.

Charlotta nie była w stanie usiedzieć w fotelu. Zerwała się na równe nogi.

- Tak czy owak, powinieneś mi powiedzieć. Babcia ma przez tego nikczemnika złamaną rękę. I dopilnuję, żeby za to zapłacił.

Brand przyskoczył do niej.

- To nie dziecinna zabawa, Char. Ten człowiek jest po prostu niebezpieczny. Zamordował już co najmniej cztery osoby.

Wytrzymała jego lodowate spojrzenie.

-A także omal nie zabił trzech kochanych starszych pań. Nie będę się chować, kiedy znów spróbuje w nie uderzyć.

- Nie zdoła się do nich zbliżyć. Tutaj są bezpieczne.

- Tupper dostał się do twojej wiejskiej rezydencji - przypomniawszy. - Może morderca ma już swoją wtyczkę także i w tym domu.

- Nikt nowy nie został przyjęty w ciągu minionego roku.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Rysy twarzy Branda wyglądały jak wykute z kamienia.  
- Nieważne, wyznaczę kogoś, żeby stał na straży przy drzwiach. Dzień i noc.

-Kogoś godnego zaufania, mam nadzieję. Mężczyźni bywają przekupni.

- Kobiety też. Na ile możesz ufać swojej pokojówce?

Przygwożdżona jego spojrzeniem Charlotta ledwo mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. Gdyby Brand kiedykolwiek dowiedział się o kryminalnej przeszłości Nan...

~ Tak jak ty swojemu garderobianemu.

- Giffles służy mi od przeszło dwudziestu lat, a Nan nie ma więcej niż szesnaste. To smakowity kąsek, któremu bardzo łatwo zawrócić w głowie.

- Nie musisz się o nią martwić - powiedziała Charlotta z większą pewnością w głosie niż w sercu. - Jest mi wdzięczna, że została pokojówką. Nie zrobi nic, co mogłoby narazić jej pozycję na szwank.

Charlotta miała nadzieję, że to prawda.

Nagle usłyszała jakieś zamieszanie pod drzwiami. Giffles z uroczystą miną wszedł do sypialni na czele procesji pokojówek, niosących do garderoby wiadra parującej wody.

Garderobiany skłonił się przed Brandem.

- Lady Faversham życzy sobie pana widzieć, milordzie.

-Ja też pójdę - powiedziała Charlotta. - Chciałabym zajrzeć do swojej babci.

- Hm. - Giffles wyglądał na zażenowanego. - Proszę o wybaczenie, ale lady Faversham prosiła o poufną rozmowę z jego lordowską mością.

Kiedy służący zniknął dyskretnie za drzwiami garderoby, Brand podał Charlottcie rękawiczki, które zostawiła na stole.

- Idź już do siebie - powiedział. -1 nie powtarzaj nikomu, o czym tu rozmawialiśmy. Szczególnie Różyczkom.

Charlotta poczuła się dotknięta, że została odprawiona jak służąca, najpierw przez lokaja, a teraz przez Branda. A jeszcze bardziej rozwścieczyła ją sugestia, że nie jest osobą godną zaufania.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Tym trudniej było jej przyznać się do tego, do czego koniecznie musiała się przyznać. Zawahała się, ale jednak wyznała:

-Brand, powinienes coś wiedzieć. Chodzi o pana Rountree.

-Tak?

-Wczoraj, wkrótce po twoim wyjściu, przyszedł się ze mną zobaczyć. Różyczki zaprosiły go do swojego pokoju.

-A niech to wszyscy diabli! - zaklął z wściekłością Brand i zrobił krok w stronę Charlotty. - Czyś ty oszalała? Mógł je zastrzelić albo wsypać im truciznę do herbaty!

- Pan Rountree nie jest taki - zapewniła, choć czuła w głębi duszy cię wątpliwości. A jeśli to właśnie on jest tym tajemniczym mordercą? Różyczkom groziłoby wów czas śmiertelne niebezpieczeństwo.

Brand utkwiał w niej ponure spojrzenie.

-Jeśli postanowiłaś odgrywać kretynekę i darzyć tego typu zaufaniem, nie jestem w stanie cię powstrzymać -stwierdził.

- Ale nie rób tego w moim domu.

- Nie miałam w tej sprawie nic do powiedzenia - tłumaczyła się Charlotta. - Kiedy przyszedłam z ogrodu, siedział już u Różyczek.

- Mam nadzieję, że natychmiast go stamtąd wyprowadziłaś.

- Rzeczywiście, wyszedł dość szybko - przyznała. - Fan-cy go ugryzła.

Brand pochylił się i podrapał psiaka po brzuszku.

- Dobra robota, futrzaku. Masz więcej rozumu od swojej pani.

Zirytowana Charlotta nie powiedziała ani słowa o oświadczeniach pana Rountree. To by tylko dało Brandowi dodatkową amunicję do wystąpień przeciwko niej.

- A co, spodziewałaś się może, że to ja będę go gryźć?

- Mam nadzieję, że nie w obecności osób trzecich.

Nienawidziła tych jego szyderczych aluzji. Jakby opowiadał kawały, których ona nie mogła zrozumieć.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Nie chcę się powtarzać, ale przypominam, że ja nie miałam pojęcia, iż Różyczki były obiektem ataku - stwierdziła. - Nie zadałeś sobie trudu, żeby mnie ostrzec.

Uniósł w górę brew.

- W takim razie postawię kropkę nad „i”: Harold Rountree ma zakaz wstępu do tego domu. Jeśli choćby postawi stopę na progu drzwi frontowych, wpakuję mu kulę prosto w serce.

\* \*\*

- Będzie pan chciał się ogolić? - zapytał Giffles po wejściu do garderoby i podszedł do toaletki, żeby przygotować odpowiednie narzędzia.

Było to pytanie retoryczne i Brand tylko mruknął coś przyzwalająco. Dopiero co wyszedł z miedzianej wanny i miał na sobie przewiązany w pasie szkarłatny szlafrok. Para z wanny osiadła na lustrze. Lnianym ręcznikiem wycierał mokre włosy, starając się wyrzucić Charlotte z myśli.

Problem w tym, że zrobiła mu taki mętlik w głowie, jakby wypił zbyt dużo wina. Nie mógł zapomnieć stromych wzgórków piersi malujących się pod tuszującą figurę pelisą. Inteligentnego spojrzenia prosto w oczy. Zuchwałego kołysania bioder, kiedy wychodziła z jego pokoju.

Lubił, żeby jego kobiety były miękkie i zmysłowe, by wiedziały, jak zadowolić mężczyznę, jednym słowem: lubił przeciwieństwo lady Charlotty Cminton. A jednak od chwili, kiedy weszła do jego sypialni, o wiele zbyt często przychodziło mu do głowy, że chciałby zaciągnąć ją do łóżka. Pragnął przekształcić jej święte oburzenie w namiętność.

Do niego.

Zdegustowany odrzucił ręcznik, który zahaczył o nóżkę wanny i częściowo wpadł do nadal parującej wody. Powinien był wziąć lodowatą kąpiel, zamiast gorącej. Tylko chory na umyśle dureń mógłby pragnąć kobiety, która omal nie posłała do więzienia niewinnej dziewczyny.

Odgłos ostrzonej brzytwy wdarł się w jego myśli. Giffles był bardzo sztywny, czym zdradzał swoją dezaprobatę.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- No już, powiedz, co ci chodzi po głowie - warknął Brand, skwapliwie korzystając z okazji, żeby rozładować swój zły humor. - Nie powinienem był przyprowadzać tu Charlotty, tak?

- To dama - oznajmił Giffles. - I jest gościem Różyczek. Byłoby skrajnie nierozsądne uwodzić ją.

- Nie martw się. Ta dama nosi pas cnoty.

- A pan lubi wyzwania, milordzie.

- Pamiętasz lady Marchbane? Najtrudniejsza dupcia Londynu. Miała największe piersi.

Giffles z cierpiętniczą miną dolał wody do mydła do golenia.

- Liczy się czystość kobiety, a nie rozmiar jej... biustu.

Charlotta miała piękny biust, ale tę myśl Brand zatrzytał dla siebie.

- Dziewice są okropnie nudne w łóżku - powiedział.

Garderobiany wziął z kominka wilgotny ręcznik i nieco zbyt mocno owinął nim twarz Branda, żeby zmiękczyć zarost.

- Dziewictwo samo w sobie stanowi nagrodę.

Brand odsunął szmatkę.

- Nie bądź taki świątobliwy. Widziałem, w jaki sposób patrzyłeś na Nan.

Lekki rumieniec ożywił blade oblicze służącego.

- Proszę jednak zauważyć różnicę, milordzie. W moim stosunku do niej nie było nic niewłaściwego.

- Gapiełeś się na dziewczynę, lubieżnie wpatrywałeś się w jej piersi.

- Czyniłem spostrzeżenie, że ma zdecydowanie zbyt obcisły stanik sukni.

- Szkoda, że nie mogę poprosić ochmistrzyni, żeby zamówiła dla mej nowe suknie. Będziesz musiał nadal napawać się tym widokiem.

Giffles mieszał mydło do golenia tak energicznie, że trochę przelało się poza krawędź chińskiej filizanki. Ta nietypowa niezręczność zdradziła jego podniecenie.

-Dziewczyna jest zdecydowanie zbyt nieokiełznana.

Powinna nauczyć się dyscypliny i dyskrecji. Po drodze do pralni miała czelność nazwać mnie...

- No, jak? Powiedz.

- Sztywniakiem. Brand roześmiał się.

- Piekielnie trafna ocena charakteru. - Nagle spoważniał. - Można jej zaufać?

- Nie umiem powiedzieć, milordzie. - Zaintrygowany Giffles uniósł brew. - Dlaczego pan pyta?

Szczegółowo i niczego nie kryjąc Brand opowiedział mu o zagrożeniu Różyczek, nie pomijając faktu, że morderca ulokował Ralpa Tuppera wśród służby babci.

- Wiedziałem, że z pańskich związków z Ligą Lucyfera nie wyniknie nic dobrego - oświadczył Giffles, z uporem kręcąc głową. - Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Może mógłbym pogadać z garderobianymi byłych członków.

- Miałem co innego na myśli - przyznał Brand. - Nan jest jedyną nową służącą w tym domu. Chciałbym, żebyś miał ją na oku.

Giffles wyglądał tak, jakby ugryzł jabłko i trafił na robaka.

- Ale moje obowiązki wobec pana...

- Potrafię sam o siebie zadbać. - Pomimo ponurych okoliczności Brand doskonale się bawił konsternacją służącego. Odebrał Gifflesowi pędzel do golenia i namydlił sobie twarz.

- Od tej chwili masz bardzo starannie pilnować Nan. Zostań jej cieniem. Dowiedz się o niej wszystkiego, co się tylko da.



## Rozdział 6

### Zamknięta szuflada

Charlotta przykucnęła, żeby dać Fancy do powąchania mały metalowy przedmiot, który trzymała w dłoni.

- Klucz - powiedziała i kilkakrotnie wyraźnie powtórzyła to słowo. Potem położyła go na krześle w drugim końcu biblioteki. - Klucz, Fancy. Szukaj klucza.

Fancy przekrzywiła pytająco główkę, jej czarne ślepka ledwo było widać zza zasłony gęstych brązowych włosów. Potem odwróciła się i podreptała prosto do krzesła. Oparła przednie łapki o skórzane siedzenie, wywęszyła klucz i ostrożnie wzięła go w zęby. Przyniosła go Charlottce i położyła przy jej nodze.

Charlotta porwała ją w objęcia.

- Dobry pies. O ileż łatwiej tresować ciebie niż pana.

Fancy wiła się z radości i lizała Charlotte po brodzie.

Charlotta patrzyła w sufit i ze zmarszczonym czołem myślała o Brandzie i o tym, dlaczego Różyczki wezwały go do siebie. Przypuszczała, że rozpoznały Harolda Rountree i chciały zasięgnąć opinii Branda, czy należy ujawnić Charlottce prawdę.

Ale czy zdawały sobie również sprawę z tego, że wypadek był skutkiem świadomych działań? Z pewnością nie. Żeby dojść do takiego wniosku, musiałyby wiedzieć o morderstwach, a tego Brand w żadnym wypadku by im nie powiedział. W tym jednym wypadku Charlotta w pełni się z nim zgadzała: babcie niewątpliwie spróbowałyby

Barbara Dawson Smith

Zar

się w to wmieszać, co mogłoby się dla nich skończyć nawet śmiercią.

Hamując niecierpliwość, rozejrzała się po bibliotece, która służyła również za gabinet Branda. Jego nieobecność dała jej sposobność zrealizowania właściwego celu przyjscia tutaj.

Podeszła do drzwi i ukradkiem wyjrzała na korytarz. Hol wejściowy był pusty, jeśli nie liczyć kamerdynera, który wchodził po schodach ze stertą listów na srebrnej tacy. Wydawało się, że jej nie zauważył.

To świetnie.

Charlotta zamknęła drzwi i spieszenie podeszła do mahoniowego biurka. Powiedziała portierowi, że zamierza tresować Fancy i musi z nią zostać sama, więc liczyła, że przez dłuższy czas zostawiają w spokoju.

Kiedy usiadła w obszernym skórzanym fotelu, w powietrze wzbił się piękny aromat pszczelego wosku. Kilka znaczących blat biurka rys świadczyło, że było ono często używane. Brand siadywał tutaj, podpisując papiery. Nawet rozpustnik musiał czasami zajmować się sprawami majątkowymi.

Kiedy Charlotta ujęła uchwyty górnej szuflady, Fancy zaskomlała. Pies siedział przy fotelu z postawionymi uszami. Nieoczekiwanie te wpatrzone w nią oczy napęłniły Charlotte poczuciem winy.

- Szpieguję w słusznej sprawie - mruknęła, tłumacząc się bardziej samej sobie niż psu. - Przecież nie mogę dopuścić, żeby babcia ponownie została skrzywdzona, prawda? To jedyny sposób, w jaki mogę zidentyfikować pozostałych członków Ligi Lucyfera. Twój przyjaciel Brand nic mi nie powie.

Czyżby ogon zaczął wachlować odrobinę prędzej? Przecież Fancy nie mogła jeszcze reagować na jego imię... a może? Zmienne w uczuciach zwierzę postrzegало go jako kogoś w rodzaju psiego bóstwa.

Przy lekkim pociągnięciu szuflada wysunęła się na dobrze naoliwionych prowadnicach. Wewnątrz znajdował

Barbara Dawson Smith

Zar

się typowy zestaw przedmiotów: gęsie pióra, noz do ich przycinania, nożyczki, butelka czarnego atramentu i mały kluczyk, niepodobny do bogato zdobionego klucza do jej pokoju, którego używała podczas tresury Fancy. Charlotta sięgnęła głęboko do szuflady, wyjęła małą, oprawną w skórę księgę buchalteryjną i przerzuciła jej stronicę.

Dwie kolumny starannie zapisanych cyfr wyszły spod ręki Branda. Obok każdej pozycji widniała data, nazwisko i miejsce - z reguły klub dla dobrze urodzonych panów. W dłuższej kolumnie widniały znacznie wyższe sumy, a ogólny rozrachunek na dole strony przekraczał sto tysięcy funtów. Wstrząśnięta Charlotta uświadomiła sobie, że ma przed oczami listę wygranych Branda w grach hazardowych.

Nie była w stanie pojąć, co popychało mężczyzn do ryzykowania ogromnych sum pieniędzy na układ kostek do gry czy plik kart. Ilu nieszczęsnych głupców Brand puścił z torbami? Woląla nie wiedzieć.

Ale po chwili zrozumiała, że trafiła na żyłę złota. Posługując się znalezionym piórem i atramentem, skopiowała listę nazwisk mężczyzn na papeterii z wydrukowanym herbem Favershamów. Nie było gwarancji, że którykolwiek z nich należał kiedyś do Ligi, ale przynajmniej miała jakiś punkt zaczepienia.

Zamknęła księgę i schowała ją z powrotem do szuflady. Metodycznie przeszukała pozostałe szuflady, jedną po drugiej, znajdując w nich głównie pliki legalnych dokumentów, całkowicie niepotrzebnych do jej celów.

Dolna szuflada po prawej stronie była zamknięta na klucz. I ona właśnie zaintrygowała Charlotte. Przypomniała sobie o kluczyku z pierwszej szuflady, wyjęła go, włożyła do dziurki i przekręciła bez trudu.

- To nie jest zbyt przemyślna skrytka, prawda? - mruknęła do Fancy. - Po co w ogóle zawracać sobie głowę zamykaniem szuflady, skoro tak łatwo znaleźć do niej klucz?

Fancy pytająco przechyliła głowę na bok.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Szuflada była prawie pusta, zawierała tylko trochę papierów i woreczek gwinei - złote monety załśniły w porannym słońcu. Charlotta wzięła do ręki kolejny przedmiot, miniaturę w owalnej, pozłacanej ramce. Ku swemu zaskoczeniu znalazła portrecik uśmiechniętej ośmioletniej dziewczynki o miedzianych lokach i błyszczących radością oczach. Sądząc po fasonie sukienki, podobna była bardzo świeżej dacie.

Charlotta siedziała nieruchomo, wpatrując się w zaciśniętą w dłoni miniaturę. Dlaczego Brand zamyka ten obrazek na klucz? Kim jest ta dziewczynka? Jego ukochanym dzieckiem? Charlotte ogarnęła fala gwałtownych emocji, zazdrość, że Brand jest ojcem dziecka i złość, że ukrywa je jak wstydlivy sekret.

Nagle uderzyło ją coś dziwnie znajomego w tych delikatnych rysach. Rozpoznała dziecko i ogarnęła ją idiotyczna ulga. To Amy, córka Michaela Kenyona z pierwszego małżeństwa, praprawnuczka lady Stokeford. Spotkała tę dziewczynkę przed pięcioma laty.

Czy Brand jest jej ojcem chrzestnym?

Charlotta nie pamiętała, bo nie była na chrzcinach ze względu na paskudne przeziębienie. Ale to jedyne logiczne wytłumaczenie. W dzieciństwie Brand i Michael byli najlepszymi przyjaciółmi, kilka lat temu mieli jakąś sprzeczkę, ale żaden z nich nie chciał powiedzieć, o co im poszło. Pewnie dlatego Brand nie postawił tej podobizny w widocznym miejscu, na biurku. Bo ciągle miał pretensję do ojca Amy.

Nieważne. Życie prywatne Branda nie miało nic wspólnego z jej obecnym celem.

Odłożyła miniaturę dokładnie w to samo miejsce, z którego ją wzięła i pochyliła się, żeby zajrzeć w głąb szuflady. Jej uwagę zwróciła złożona kartka papieru. To była zwyczajna ulotka, pisana rozmażanym atramentem na tanim papierze.

*Pokajaj się, bo koniec jest bliski! Odkryj wiadomość o przeznaczeniu zapisaną w Piśmie Świętym! Wielebny sir John*

Barbara Dawson Smith  
Zar

*Parkinson, Kościół Prawdziwych Wyznawców, 25 lutego o ósmej wieczór.*

Charlotta zmarszczyła czoło. Tego typu ulotki podnosimy zwykle na ulicy i wrzucamy do kosza na śmieci. Ajednak Brand zabrał ją i schował do zamykanej na klucz szuflady.

W jej głowie zrodził się nieunikniony w tej sytuacji wniosek. Zapewne sir John Parkinson miał związek z Ligą Lucyfera...

Niemożliwe. Duchowny, który wygłasza wykłady na tematy religijne, nie mógł należeć do piekielnego klubu. Charlotta nie była tak naiwna, by wierzyć, że wygląd zewnętrzny człowieka zawsze odpowiada jego prawdziwemu charakterowi. Wystarczy spojrzeć na pana Rountree.

Poczuła tępe ukłucie bólu, ale zignorowała je, przyglądając się ulotce i próbując zapamiętać adres.

25 lutego.

To jutro.

Na jutro Różyczki załatwiły jej zaproszenie na wieczór muzyczny w domu lorda i lady Pomeroy. Jeśli wymyśli jakiś pretekst, żeby wymknąć się wcześniej z koncertu, powinna zdążyć na sam koniec wykładu.

\* \*

Kiedy Brand wszedł do pokoju Różyczek, wszystkie siedziały na identycznych szeszlonych, plecami do okien. W powietrzu wisiał zapach lekarstw. Z poważnych min wynioskował, że miały mu coś ważnego do powiedzenia.

Może dowiedziały się, że nie wrócił na noc do domu? A może miało to jakiś związek z ich wczorajszym gościem?

Oba tematy były dla niego równie niewygodne.

- Babciu. - Pochylił się i pocałował pergaminowy policzek starszej pani. Wyglądała tak jak zwykle, gderliwie i podejrzliwie. A jednak jego serce wezbrało uczuciem. -Widzę, że wreszcie poczułaś się na tyle dobrze, żeby wstać z łóżka.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Połamalam zebra, a nie nogi. - Lady Faversham odparła ostro jak zwykle. - Nie chcę być traktowana jak inwalidka.

~ Ale nie możemy jeszcze tańczyć na balu - oświadczyła lady Enid, opierając zabandażowaną rękę na poduszce.

-I w najbliższym czasie nie będziemy mogły- dodała lady Stokeford.

W znany sobie, konspiracyjny sposób trzy stare damy wymieniły ukradkowe spojrzenia. Brand zaczął się mieć na baczności. Cokolwiek uknuły, on znajdował się w centrum ich intrygi.

Usiadł na purpurowym podnóżku.

- No, dobrze. Do rzeczy. I szybko, jeśli łaska. Jestem zmęczony i chciałbym położyć się do łóżka.

- Rzeczywiście. - Lady Faversham ściągnęła usta w grymasie niezadowolenia. - Rozumiem, że nie było cię w domu przez całą noc. Wróciłeś przed godziną, cuchnąc rybą.

Numer pierwszy odfajkowany, dostał już reprimendę.

- To moje życie. No, dalej. Pewnie miałaś jeszcze jakiś powód, żeby mnie wezwać.

- Bardzo ważny powód - zaświergotała lady Enid. - Mamy nadzieję, że pomożesz nam w sprawie kochanej Charlotty.

- Charlotty? - powtórzył, natychmiast spięty.

- Chodzi nie tyle o nią, ile o jej wybór absztyfikanta - uściśliła lady Stokeford, której delikatna twarz wyrażała poważne strapienie. - Poznałyśmy go wczoraj, kiedy przy szedł do niej z wizytą.

Jego babcia potwierdziła to zdecydowanym kiwnięciem głową.

- Będziemy brutalnie szczerze: pan Harold Rountree to kanalia.

Więc taki był numer dwa.

- Aha. I macie na to dowód?

Różyczki ponownie wymieniły ukradkowe spojrzenia.

- Należał do tego piekielnego klubu - powiedziała lady Enid.

- Widziałyśmy go, kiedy szukałyśmy przed czterema laty skradzionej statuetki - oznajmiła lady Stokeford.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Powinieneś to wiedzieć. Ty też tam byłeś - dodała babcia Branda.

Srogie spojrzenie babci nadal miało moc zbijania go z tropu, choć skończył już trzydzieści siedem lat i był rozpustnikiem, pozbawionym zasad moralnych. Ale wytrzymał jakoś jej spojrzenie.

- Wydaje mi się, że to wy powinniście przeprowadzić tę rozmowę z Charlottą. Powiedzieć jej o nim.

- Nie chcemy łamać jej serca - stwierdziła lady Enid. - Zapłaciła już za swój błąd i czas zakończyć jej banicję. Zasługuje na odrobinę szczęścia w życiu.

- \ nie znajdzie go w małżeństwie z tym człowiekiem - dodała lady Stokeford.

Babcia spojrzała na niego znacząco.

-I tu właśnie ty wchodzisz na scenę, Brandonie.

Przez jedną obłądną chwilę sparaliżowała go myśl, że starsze panie chcą, aby to on ożenił się z Charlottą. Wszystko w nim wzdragało się na tę myśl, z wyjątkiem pewnego długiego gościa ukrytego w bryczesach, który kierował się własnym rozumem, rozumem namiętności.

Brand zerwał się na równe nogi.

- Do licha, babciu! Ja nie jestem kandydatem do że niaczki. A nawet gdybym był, Charlottą znalazłaby się na samym dole listy kandydatek.

Lady Faversham uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Uspokój się, mój chłopcze. Nie sugerowałam, żebyś ją poślubił. Choć szczerze przyznaję, że chciałabym doczekać się przed śmiercią jednego czy dwojga prawnuków. Nie wspominając już o dziedzicu tytułu.

Żołądek mu się ścisnął. Pewnie babcia wsiądzie teraz na swego ulubionego konika, a nic nie mogłoby sprawić mu większego bólu. Jego wina. Z jego winy zmarł dziedzic tytułu. Z jego winy zmarli zarówno jego brat, jak i bratanek. Zabił ich tak samo, jak gdyby przyłożył im pistolet do skroni.

Ale babcia nie wiedziała, że Brand winił siebie. I nikt nigdy się o tym nie dowie.

Wyrzucił tę myśl z głowy.

- Co w takim razie sugerujesz?

- Mam nadzieję, że to ty powiesz Charlottcie o panu Rountree - wyjaśniła lady Enid. - Ostrzeż ją, że on nie jest takim człowiekiem, za jakiego się podaje. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do twoich słów, kiedy jeszcze oboje byliście dziećmi.

- Może kiedy miała pięć lat.

Babcia spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

- Nie prosimy o nic wielkiego.

Miała rację, i jeśli to wszystko, czego oczekiwały od niego Różyczki...

- Możecie to uznać za załatwione. - Poczł taką ulgę, jak ryba, która zerwała się z haczyka. Choć one nie zdawały sobie jeszcze z tego sprawy, Charlottą już wiedziała co nieco o panu Rountree. - Jeśli to wszystko, pozwólcie, że odejdę.

- Skoro już o tym wspomniałeś, jest coś jeszcze - wyznała lady Stokeford, nie odrywając od niego błękitnych oczu. - Pomeroyowie urządzają jutro u siebie wieczór muzyczny. Charlottą weźmie w nim udział.

- I ty także - dodała lady babcia tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Znów został wbity na haczyk.

- Przepraszam, ale to niemożliwe - powiedział. - Mam już plany na wieczór. - Miał zamiar poddać sir Johna Parkinsona gruntownemu przesłuchaniu. W ciągu ostatnich kilku tygodni Brand metodycznie sprawdzał wszystkich znajomych ofiar morderstw. Przemiana Parkinsona z nikczemnika w kłeryka czyniła go głównym podejrzanym. Koniecznie musiał przyjrzeć mu się w jego otoczeniu, żeby ocenić, czy nie przekroczył on granicy szaleństwa.

- Czy nie mógłbyś zmienić planów i wyświadczyć nam tej drobnej uprzejmości? -zaapelowała lady Stokeford. -My jesteśmy niedysponowane, a biedna dziewczyna nie zna tam nikogo.

Barbara Dawson Smith  
Zar

-Potrzebny jej ktoś, kto mógłby ją przedstawić wszystkim odpowiednim osobom - poparła ją lady Enid. - iy doskonale się do tej roli nadajesz.

-Jestem ostatnim człowiekiem, który by się do tego nadawał - zaprzeczył Brand. - Jeśli będzie się pokazywać w moim towarzystwie, jej reputacja legnie w gruzach.

-Nonsens - oznajmiła stanowczo lady Stokeford. -Wszyscy wiedzą, że razem dorastaliście. Jesteście jak brat z siostrą.

Mało nie wybuchnął śmiechem. Jego zainteresowanie Charlottą nie miało nic wspólnego z uczuciami braterskimi.

- Ludzie zawsze spodziewają się wszystkiego, co najgorsze. Szczególnie po łotrze.

-W takim razie choć raz w życiu zrób coś dobrego -warknęła babcia. - Pomóż nam znaleźć męża dla Charlotty.

## Rozdział 7

### Jak ogień i woda

Na swoim ślubie nie zamierzam tolerować żadnego odstępstwa od ideału - stwierdziła lady Belinda, a jej twarz o spiczastym nosie miała wyraz arogancji osoby bardzo bogatej i bardzo arystokratycznej. - Jako córka margrabiego muszę stanowić wzór do naśladowania. Wszelkie przygotowania będą prowadzone pod moim osobistym nadzorem i muszą uzyskać moją akceptację, od hymnów poczynając, a na ślubnym śniadaniu kończąc. Wiesz, będzie kawior importowany wprost z Rosji.

- Brzmi imponująco - przyznała Charlottą, choć nie miała zielonego pojęcia, co to jest kawior. I nawet nie chciało jej się pytać. Lady Belinda kontynuowała opowieść o swych zaślubinach, ale Charlottą prawie jej nie słuchała.

Kilka kroków dalej stał Brand, który gawędził z gospodarzem, ojcem Belindy, margrabią Pomeroy, mężczyzną o szczupłej twarzy i cofniętym podbródku. Brand wyglądał oszalamiająco przystojnie w ciemnoniebieskim surducie i srebrzystej kamizelce. Światło świec odbijało się w jego bujnych brązowych włosach i podkreślało bardzo męskie rysy twarzy.

Odwrócił ku niej głowę i lekki uśmiech przemknął przez jego wargi. Dobry Boże, znowu to robiła: znowu gapiała się na Branda. Z płonącymi policzkami odwróciła wzrok, udając zainteresowanie otoczeniem. Nie było to stuprocentowe

Barbara Dawson Smith

Żar

kłamstwo, bo naprawdę ogarnęło ja przyprawiające o zawrót głowy podniecenie.

Kryształowe kandelabry rzucały złocisty blask na bogate wyposażenie salonu. Odziani w wieczorowe kreacje goście prowadzili modulowanymi głosami towarzyskie konwersacje. W rogu długiego pokoju, na podwyższeniu, niewielki zespół - harfa, skrzypce i fortepian - przygotowywał się do występu.

Jakże tęskniła za olśnieniem i podnieceniem, nieodłącznymi z takimi imprezami! I choć w wieku osiemnastu lat sama zrezygnowała z oficjalnego wprowadzenia do śmietanki towarzyskiej Londynu, obawiając się wzbudzenia powszechnej litości, to przecież brała udział kilku eleganckich balach, wyprawianych w Stokeford

Manor czy Faversham House w hrabstwie Devon. Tego wieczoru Różyczki zadbały o jej wygląd. Zatrudniły najlepszą modystkę i godzinami omawiały walory jedwabi i adamszków. Charlotta zaakceptowała pierwszą kreację, jaką jej zaprezentowano, lecz Różyczki anulowały jej zamówienie na suknię ze zwykłego szarego muszliny i dopłaciły dodatkowo za ekspresowe wykonanie zamówienia. Charlotta musiała przyznać, że dobrze zrobiły.

Aksamitna suknia w kolorze morskiej zieleni idealnie pasowała do jej oczu i podkreślała urodę kasztanowych włosów. Choć Charlotta nie miała już oporów przeciwko pokazywaniu blizn na ręce, tego wieczoru nosiła długie rękawiczki, jak na damę przystało. Pochwyciła kilka wymownych spojrzeń starszych gości - zapewne plotkowano o jej poparzeniach.

Niech sobie plotkują! Żałowała tylko, że ten wieczór tak szybko dobiegnie końca. Jeśli jej podejrzenia się potwierdzą, to Brand wkrótce przeprosi i oznajmi, że musi wyjść. - A, tutaj jest! - zawołała lady Belinda, robiąc słodkie oczy do kogoś wypatrzonego w tłumie. - Mój drogi pułkownik Tom. Elegancki blondyn w niebieskim mundurze kawaleryjskim wyłonił się z tłumy gości. U boku nosił szpadę w lśnią-

BarbaraJDawson Sroitlh  
Zar

cej pochwie. Odwracały się za nim głowy zachwyconych, rozszczębiotanych dam, ale on nie zwracał na nie uwagi. Ostentacyjnie szarmanckim gestem ujął dłoń lady Beiindy ipodniósł ją do ust.

- Najdroższa, wszędzie cię szukałem.

Lady Belinda zachichotała.

- Przez cały czas byłam tutaj i witałam gości, mój słodki głuptasku. To ty gdzieś mi się zawieruszyłeś.

- Poszedłem po kieliszek twoich ulubionych bąbelków. - Podał jej puchar szampana i z uśmiechem zwrócił się do Charlotty. Było coś tak gadziego w spojrzeniu jego niebieskich oczu, że Charlotta poczuła się niepewnie. - Widzę, że masz towarzystwo.

Lady Belinda uśmiechnęła się afektownie do narzeczonego i dokonała prezentacji. Nazwisko pułkownika Toma Ransoma Charlotta pamiętała z listy wpływów z hazardu Branda. Jej zainteresowanie natychmiast wzrosło i dokładniej przyjrzała się Ransomowi. Tworzyli razem dziwnie niedobraną parę - Ransom uderzająco przystojny, a lady Belinda tak pospolita, jak tylko można sobie wyobrazić. Kiedy pułkownik pochylał się, żeby ucałować dłoń Charlotty, u jej boku pojawił się Brand.

Przekorne serce Charlotty stanęło na chwilę, gdy poczuła przyływ grzesznego pożądania. Zawsze tak było: ilekroć Brand się do niej zbliżał, jej ciało reagowało na jego obecność bolesną tęsknotą.

Zapewne dzięki wyostrej uwadze Charlotta dostrzegła lekkie zmruczenie oczu Branda i wyczuła jego czujność.

Nie lubił tego człowieka.

- Tom Ransom, witam - powiedział Brand, podając mu rękę. - Rozumiem, że wskazane byłyby gratulacje.

- Faversham - powitał go chłodno Ransom. Podali sobie dłonie i pułkownik obrzucił narzeczoną przeciągłym spojrzeniem, potem znów zwrócił wzrok na Branda i leciutko pokręcił głową.

Charlotta przypomniała sobie, że Ransom kilkakrotnie przegrał do Branda znaczne sumy. Pułkownik wyraźnie

Barbara Dawson Smith  
Zar

nie życzył sobie, aby lady Belinda dowiedziała się o ich dawnych powiązaniach.

Zachowanie lady Belindy stało się lodowate. Patrzyła na Branda jak na obrzydliwego robaka.

- Lord Faversham. Nie wiedziałam, że pana nazwisko znalazło się na liście gości.

- W ostatniej chwili - gładko wyjaśnił Brand. - Babcia wysłała bilecik.

- Doprawdy? - Głos lady Belindy wyrażał zarówno sceptycyzm, jak i potępienie. Pospiesznie ujęła narzeczonego pod rękę, jakby chciała uchronić go od diabelskich wpływów. - Pączuszu, nigdy nie wspominałeś, że znasz lorda Favershama.

- Byliśmy razem w Eton. Dawno temu. - Pułkownik próbował zbagatelizować znajomość, uśmiechając się blade. Poglaskał dłoń narzeczonej i oparł na swoim ramieniu. - Cóż, kochanie, chyba należałoby wmieszać się w tłum gości. Wszyscy powinni mieć szansę zamienić kilka słów z piękną przyszłą panną młodą.

Jego komplement zdziałał cuda. Lady Belinda ponownie zmieniła się w rozchichotaną idiotkę.

- Mój drogi pułkowniku, jest pan, jak zawsze, gentlemanem w każdym calu. Na szczęście nie jest pan podobny do... - rzuciła jadowite spojrzenie na Branda - do tego godnego pogardy lorda Byrona.

Nie mogła już jawniej obrazić Branda, pomyślała rozwścieczona Charlotta, sama zaszokowana siłą swego gniewu.

- Co miałas na myśli, mówiąc o lordzie Byronie? - za pytała.

Nozdrza lady Belindy drgnęły.

- No, wszyscy przecież wiedzą, jak haniebnie traktuje swoją młodą żonę, lady Annabelle. Choćby w zeszłym miesiącu mierzył do niej z pistoletu. Musiała uciekać, by ratować życie. Teraz nieszczęsna dziewczyna wniosła do sądu sprawę o formalną separację. Och, jaki to wstyd!

Barbara Dawson Smith  
Żar

Charlotta nie lubiła plotek, ale ta historia do niej przemówiła.

- On pisze takie cudowne wiersze. Trudno uwierzyć, że niewłaściwie traktuje własną żonę.

Lady Belinda pochyliła się do Charlotty.

- Zbyt długo mieszkałaś na wsi - powiedziała scenicznym szeptem. - Pozwól, że cię ostrzeżę: niektórzy mężczyźni tylko z zewnątrz wydają się czarujący. W istocie są nikiemnikami.

Charlotta nie mogła się z nią nie zgodzić. Było oczywiste, że nieszczęsna kobieta nie ma pojęcia, iż jej umiłowany pułkownik jest nałogowym hazardzistą.

- Najdroższa, nie wolno ci marnować tego cudownego wieczoru na dyskusje o tak niesmacznych sprawach - oznajmił Ransom. - Chodź, zrobimy rundkę wokół salonu.

Kiedy lady Belinda wsparta na ramieniu narzeczonego i chichocząca bez opamiętania odpłynęła wraz ze swym najdroższym pułkownikiem, Charlotta zadała wreszcie Brandowi pytanie, które dręczyło ją już od dłuższej chwili.

- Czy on należał do Ligi Lucyfera?

Brand pociągnął ją w przeciwną stronę.

- Byron? Nie. On obraca się w innych, bardziej literackich kręgach.

Jego dotyk sprawił, że czuła mrowienie skóry.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz! - zawołała. - Pytałam o Ransoma. Wyraźnie próbuje ukryć niezbyt chwalebna przeszłość.

- Naturalnie. Ten biedny łajdak nie może ryzykować utraty takiego imponującego posagu.

- Czy określenia „biedny” użyłeś w pełnym tego słowa znaczeniu? - szepnęła tak cicho, żeby nikt z obecnych nie mógł jej podsłuchać. - Stracił cały majątek przy karcianym stoliku?

- Kto ci powiedział, że to hazardzista?

Charlotta wytrzymała przenikliwe spojrzenie Branda. Duże przyjęcie towarzyskie to nie jest odpowiednia chwila

Barbara Dawson Smith  
Żar

na ujawnienie, że listę podejrzanych ułożyła na podstawie jego osobistych notatek.

- To uzasadnione podejrzenie. W końcu to twój znajomy.

- Były znajomy - poprawił Brand. - Nie gram z ludźmi, którzy nie są w stanie płacić swoich długów. A weksłami Ransom można wytapetować salę balową Buckingham Pałace.

- Lady Belinda nic nie wie?

- Zawsze doskonale umiał ukrywać swoje występki. A trudno przypuszczać, by pociągała go w lady Belindzie jej uroda czy wdzięk.

Charlotta nie mogła dopuścić, żeby ta złośliwość uszła mu na sucho.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak ty. Całkiem możliwe, że pułkownik Ransom kocha i szanuje narzeczoną. Może postanowił zejść ze złej drogi i dzielić życie z wybranką swego serca.

Usta Branda ułożyły się w doskonale jej znany ironiczny grymas.

- Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że mówisz o sobie i Haroldzie Rountree.

Wiła się, przygwożdżona jego przenikliwym spojrzeniem. Sama zadawała sobie pytanie, czy nie mówiła z takim ogniem dlatego, by przekonać samą siebie, że pan Rountree uległ przemianie.

- To śmieszne.

- Char, ludzie się nie zmieniają - szepnęła jej do ucha. - Łajdak zawsze pozostanie łajdakiem.

- Właśnie. - Obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

- Nigdy nie udawałem, że jestem inny niż w rzeczywistości. A Rountree tak.

-Pan Rountree jest szanowanym adwokatem. Jest o wiele więcej wart niż ty.

- Dobrze powiedziane - wtrącił energiczny głos za jej plecami. - Choć nie trzeba zbyt długo szukać, żeby znaleźć człowieka więcej wartego od tego nikczemnika.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Charlotta odwróciła się. Musiała opuścić wzrok, żeby spojrzeć na mężczyznę, który nie sięgał jej nawet do brody. Tęgi i śniady, o nieregularnych rysach, przypominał trolla. Jego podobne do jagód czarnej porzeczki oczy przyłgnęły do jej piersi, a potem zwróciły się w stronę Branda.

- Faversham, stary draniu. Nie przyszłoby mi do głowy, że mogę cię spotkać na tego typu przyjęciu.

- Ja też nie sądziłem, że mogę tu spotkać ciebie. Gdzie twoja żona?

-Tam, rozmawia z naszym gospodarzem. - Wskazał głową smukłą brunetkę w dopasowanej ciemnej sukni. Przynajmniej o głowę przerastała męża. - Lydia jest piękna, prawda? Ale nie bardziej od twojej towarzyszki. -Zwrócił lubieżne spojrzenie na Charlotte, która dostała gęsiej skórki. - Przedstaw mnie.

- Lepiej nie - powiedział Brand.

Pociągnął Charlotte za ramię, ale stawiła opór. Jeśli ten człowiek należy do występnej przeszłości Branda, chciała go poznać. Nie zważając na konwenanse, sama wyciągnęła do niego rękę.

- Jestem lady Charlotta Quinton.

- Lord Clifford Vaughn, do usług.

Vaughn. Tak jak sądziła, to nazwisko również figurowało na jej liście.

Kiedy Vaughn podniósł jej okrytą rękawiczką dłoń do ust, teatralnie wciągnął powietrze. Przez jedną okropną chwilę sądziła, że dostrzegł blizny, ale on tylko podniósł spinkę do włosów i ją pokazał.

- Musiała wysunąć się z pani fryzury, milady. Jeśli pani pozwoli, wepnę ją z powrotem...

Brand wyrwał mu spinkę i podał ją Charlottcie. -Daruj sobie te szczeniackie chwytły. On stosuje tę sztuczkę wobec wszystkich kobiet.

- To całkiem sprytne - powiedziała Charlotta i zwróciła się do Vaughna: -Musiał ją pan wyjąć, kiedy podszedł pan do nas z tyłu.

Barbara Dawson Smith  
Zar



~ Z przyjemnością zdradzę pani wszystkie moje sekrety.

- Mrugnął do niej. - Może przyszedłaby pani jutro do Hyde Parku obejrzeć wyścigi? CK będzie wybierać najlepszego jeźdźca.

-CK?

- Czwórkowy Klub - wyjaśnił Brand. - Niestety, masz już inne zobowiązania.

- Nie, nie mam i z przyjemnością przyjdę.

- Ja się nie zgadzam i jestem pewien, że twoja babcia mnie poprze.

- O co chodzi? Jesteś jej przyzwoitką? - Vaughn parsknął śmiechem. - To lis pilnujący kurnika. Milady, proszę uważać, żeby nie oskubał pani piórek i nie wmeldował się do pani gniazdka.

- Nie mam na to najmniejszej ochoty - oświadczył Brand.

- Już i tak wystarczająco wzięła mnie pod pantofel.

Mocno ścisnął jej rękę i Charlotta musiała pójść za nim, jeśli nie chciała się wyrwać i robić scen. Gdy mijali grupki gawędzących gości, ich biodra ocierały się o siebie, zwiększając jeszcze podniecenie Charlotty.

- Jestem w pełni zdolna do samodzielnego dysponowania własnym czasem - szepnęła gorąco. - I nikogo nie wzięłam pod pantofel.

-To prawda, ale tym razem wtykasz nos do gniazda szerszeni - szepnął jej do ucha. - Trzymaj się z dala od Vaughna.

- Dlaczego? Boisz się, że mogłabym go zapytać o Ligę Lu cyfera?

Brand zmrużył oczy.

- Do diabła z Ligą! On jest notorycznym kobieciarzem.

Obejrzała się przez ramię, ale nie mogła już dostrzec Vaughna w tłumie.

- Ten mały troll?

- Kobiety są nim zachwycone, albo on tylko tak się lubi przechwalać. Zanim się zorientujesz, zaciągnie cię do ciemnego pokoju i wsadzi ci rękę pod spódnicę.

- Myślałam, że to twoja specjalność.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Ponure spojrzenie Branda spoczęło na piersiach Charlotty, potem powędrowało niżej, jakby wyobrażał ją sobie rozebraną.

- W każdej chwili, kiedy tylko będziesz miała ochotę na demonstrację, chętnie służę.

Przed oczami Charlotty przemknęły niegodziwe obrazy. Jego wargi na jej ustach, szalone pocałunki. Otaczający ją męski zapach, zapach jego kosmetyków i skóry. Jego ręce, wędrujące po jej ciele, pieszczące miejsca niedotykane jeszcze nigdy męską dłonią.

Charlotta wróciła do rzeczywistości i znalazła przeznaczone dla nich krzesła w ostatnim rzędzie. Brand usiadł i teraz przyglądał się tłumowi -jego zaciśnięte usta zdradzały zniecierpliwienie. Pochylił się w przód, oparł łokcie na kolanach, a palcami niestrudzenie wystukiwał jakiś rytm.

Charlotta domyśliła się, że Brand planuje odwrót. I zamierzała mu towarzyszyć, choć on nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie lubisz muzyki? - zapytała niewinnie.

- Toleruję ją tylko wtedy, gdy mam w rękę kieliszek wina, a w drugim karty.

Charlotta ukryła rozbawienie.

- Usiądź prosto - poleciła. - Koncert nawet się jeszcze nie zaczął, a ty już się zachowujesz jak dzieciak.

Wyglądał na mocno nadąsanego, ale wyprostował się w fotelu.

- Pogardzam takimi imprezami. Jestem tutaj wyłącznie na prośbę Różyczek.

- Uroczy komplement. Dziękuję. - Wprawdzie to było idiotyczne, ale miała nadzieję, że przyszedł tu dla niej. Dlatego, że jej wybaczył. I dlatego, że chciał ją znów pocałować. „Jesteś piękną kobietą...”

Jego twarz nieco złagodniała. Nie, tylko pogłębił się trochę ten stały uśmieszek.

- Ani ty, ani ja nigdy niczego nie owijaliśmy w bawełnę - stwierdził. - Zresztą wiem, że ty też wcale nie chcesz tu ze mną siedzieć.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Owszem, wolałabym być z panem Rountree - powie działa tylko po to, by mu dokuczyć. - On wie, jak sprawić kobiecie przyjemność.

Ku jej irytacji Brand zaśmiał się ponuro.

- Powinnaś mieć nadzieję, że wie. A swoją drogą, gdzie jest dzisiaj ten Casanova?

- Nie wiem. Pochodzi z Yorku, więc nie zna lorda i lady Pomeroy.

-Wyrzutek społeczny. Ten facet to prawdziwa zaraza. Nawet Różyczki go nie lubią.

- Prawie go nie znają - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Zmęczyła ją już obrona pana Rountree, więc, żeby zmienić temat, wrzuciła kamyczek do ogródka Branda. - Cie kawe, że Różyczki zgodziły się, byś mi dziś towarzyszył, pomimo reputacji, jaką się cieszysz. Widocznie złagodniały na starość.

Ogarnął ją zagadkowym spojrzeniem. -Nie domyślasz się? To jedna z ich gier.

- To znaczy?

- To znaczy, że celowo popychają nas ku sobie. Mają nadzieję, że stracimy dla siebie głowy. Że uklęknę przed tobą na jedno kolano i oświadczę ci się, wpatrzony w ciebie cielecym wzrokiem.

Szespiona Charlotta gapiała się na niego. Serce biło jej szybko, w szalonym tempie.

- Chca, żebyśmy się pobrali? - zapytała w rozpaczliwej nadziei, że źle go zrozumiała.

-»Właściwie poprosiły, żebym pomógł znaleźć ci męża. Aleja znam ich *modus operandi*. Uwielbiają intrygi.

Charlotta odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Przynajmniej znała już powód, dla którego wezwały go do swojego pokoju. Nie tylko po to, by go poprosić o wprowadzenie jej do towarzystwa, jak jej powiedziały. Jak mogły w ogóle pomyśleć, że Brand Villiers byłby w stanie pokochać ją lub jakąkolwiek kobietę bardziej niż swój rozpustny styl życia?

-Wzięły się za beznadziejną sprawę - stwierdziła z przekonaniem. - My nigdy się w sobie nie zakochamy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Zbyttno się od siebie różnimy. Brand obrzucił ją impertynenckim spojrzeniem.

- Przynajmniej w tym jednym się zgadzamy.

- Przestrzegamy innych zasad i niewątpliwie mamy całym odmiennie cele życiowe.

- Jesteśmy jak woda i ogień.

- Hubka i krzesiwo. - Jak on umie sprawić, by stanęła w ogniu. Wzmianka, że mogłaby zostać jego żoną, obudziła w niej dziwny ból, którego nie próbowała nawet zrozumieć.

- One wierzą, że zmieniłaś się w osobę, która pragnie nawracać innych na właściwą drogę, niemal jak krzyżowcy - oświadczył Brand, a uniesiony w górę kącik ust dowodził jego niewiary w przemianę Charlotty. - Uwierzyły nawet, że także i mnie zdołasz zmienić.

- Trudno sobie wyobrazić zadanie w równym stopniu z góry skazane na niepowodzenie.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Cieszę się, że się rozumiemy. Nie dam się przerobić w przykładowego ojca rodziny, który przesiaduje wieczorami w domu, huśtając dzieci na kolanach.

- Nawet bym o tym nie marzyła. - Mijała się z prawdą, ale Brand nie musiał o tym wiedzieć. Nie powinien o tym wiedzieć. Charlotta wzięła się w karby i spojrzała na Branda zuchwale. - Umie rozpoznac beznadziejne zadanie, kiedy przed nim stanę. Jesteś ostatnim człowiekiem w Anglii, którego zgodziłabym się poślubić.

\* \* \*

Łatwiej było uciec, niż przewidywał.

Stojąc przed domem Pomeroyów na Mayfair, Brand rozejrzał się uważnie po ulicy. Powozy i karety stały rzędem wzdłuż krawężnika, konie wydychały kłęby pary w mroźne nocne powietrze. Tu i tam grupki stangetów skupiały się wokół ognisk rozpalonych w żelaznych pojemnikach. Większość służby była w domu, za parę groszy pomagając obsługiwać gości,

Barbara Dawson Smith  
Zar

Brand dostrzegł swój powóz po prawej stronie, mniej więcej w połowie szeregu, więc ruszył szybkim krokiem, kryjąc ręce w kieszeniach ciepłego płaszcza. Powinno mu wystarczyć czasu, by dotrzeć do celu, zrealizować zamierzenie i wrócić przed końcem wieczoru, żeby odebrać Charlotte. Ona pewnie nawet nie zauważy, jak długo go nie było.

Z salonu dobiegały dźwięki muzyki. Widział w oświetlonym świecami oknie sylwetkę skrzypka i jego rękę, prowadzącą smyczek po strunach. Na szczęście Charlotta była całkowicie pochłonięta koncertem. Gdy tylko rozpoczął się pierwszy utwór, szepnął jej na ucho, że idzie zagrać w karty z kilku innymi malkontentami. Rzuciła mu tylko ostre spojrzenie i machnęła ręką, żeby dał jej spokój.

Jakby wręcz oczekiwała, że on wyjdzie z sali. A przecież nie mogła wiedzieć, dokąd się wybierał. Po prostu miała go za prawdziwego nałogowca, który musi rozegrać partyjkę, żeby zaspokoić obsesyjną potrzebę hazardu. Brand pielęgnował właśnie taki swój wizerunek, bo w tej roli czuł się najlepiej. Nikomu nic do tego, na co trwonił swój czas i pieniądze.

A jednak fakt, że Charlotta tak skwapliwie uwierzyła w jego wymówkę, sprawił mu przykrość.

Podszedł do swojego woźnicy. Barczysty mężczyzna wyskoczył z kręgu służących, grzejących się przy niewielkim ognisku.

- Milordzie, dokąd pana zawieźć? - zapytał Turley. Na jego rumianej twarzy nie było ani śladu zaskoczenia. Po piętnastu latach służby Turley przywykł do kaprysów chlebobdawcy. Nawet nie zapytał o Charlotte.

Brand podał mu adres i wszedł do powozu. Wewnątrz było ciemno i zimno, tak samo jak w jego sercu. Podskakując lekko na wybojach, powóz ruszył ulicą, zostawiając za sobą dom Pomeroyów i światła przyjęcia.

I Charlotte.

Brand wbił palce w miękkie skórzane siedzenia. Irytował go powolny, ciężki ruch pojazdu. Gdyby nie musiał

Barbara Dawson Smith  
Zar

Eskortować Charlotte na przyjęcie, pomimo mrozu pojechałby wierzchem. Prawdę mówiąc, wtedy w ogóle nie wzięłby udziału w tej nudnej imprezie.

Zaczął się zastanawiać nad morderstwami, ale myśli o Charlotte ciągle przeszkadzały mu w skoncentrowaniu się na temacie. Kiedy była rozgniewana, jej usta wyginały się w łuk Kupidyna. Jej skóra wydzieliała delikatną, kwiatową woń, a piersi przeżyły się ponętnie w głębokim dekolcie.

Od kiedy zeszła po schodach jego domu, smukła i wiotka w dopasowanej sukni, Brand znajdował się w pożałowania godnym stanie podniecenia. Chłodne powietrze i rosnąca z każdą chwilą odległość nie wyleczyły go z żądz.

Pożądał Charlotte, która przez ostatnie pięć lat żyła na wygnaniu za to, że omal nie zrujnowała życia jego przyrodniej siostry.

Cholera!

Musi rozładować napięcie seksualne, ot i wszystko. Po powrocie na przyjęcie powinien rozejrzeć się za jakąś chętną damą. Kilka rzuciło mu dzisiaj jednoznacznie zapraszające spojrzenia. Umówi się na randkę, potem podrzuci Charlotte do domu i wróci do wybranej na tę noc partnerki. Solidna dawka cudzołóstwa zaspokoi trawiący go głód.

Powóz zatrzymał się gwałtownie. Osłupiały Brand stwierdził, że dotarli do celu na odległych peryferiach Covent Garden. Wysiadł, kazał Turleyowi czekać i ruszył do zrujnowanego ceglanego budynku.

Wiatr szarpał brzegami ulotki, przybitej gwoździami do drzwi. W rynsztoku leżał bukiet fiołków - zdeptana zapowiedź nadejścia wiosny.

Z szynku za rogiem dochodziły stłumione krzyki i śmiechy.

Brand otworzył drzwi i wszedł do małego, zaśmieconego przedsionka. Coś przebiegło w ciemnościach, prawdopodobnie szczur. Słaby blask światła i grzący głos zaprowadziły go do kolejnych drzwi, za którymi znajdował się zniszczony teatr.

Barbara Dawson Smith  
Zar

To znaczy: niegdyś był to teatr. Półokrągłe balkony wychodziły na niewielką scenę, oświetloną umocowanymi na ścianach pochodniami. Z pobliskiej kolumny płatami schodziła farba, spod której wyzierało surowe drewno. Chudy mężczyzna odziany w śnieżnobiłą szatę stał na scenie na podwyższeniu i cytował płynnie ustępy z Biblii.

Zgromadzenie składało się z grupki ludzi, wciśniętych w twarde ławki na parterze. Tu i ówdzie kilka zaniedbanych kobiet owijało się lichymi płaszczami. Mężczyźni w strojach robotników wyglądali, jakby wpadli tu w drodze z pracy do domu. Jeden z nich, wysoki i chudy jak tyczka mężczyzna w robociarskiej czapeczce, robił notatki w małym kajeciku. Niektórzy ze słuchaczy, sądząc po łachmanach, które mieli na sobie, byli włóczęgami. Pewnie weszli tu tylko po to, żeby się schronić przed lodowatym wiatrem. A może żeby usłyszeć wieść o zbawieniu? - Pismo ostrzega, że czas pokuty jest już bliski - grzmiał kaznodzieja. - Zło czai się pośród nas, pokusa krzewi się bujnie. Bóg uderzy z góry i ukaże tych, którzy nie słuchali jego przykazań. Ześle na nas trzęsienia ziemi i zarazy. Oceany będą wrzały, a z niebios poleje się ognisty deszcz. Śmierć zapuka do drzwi wszystkich grzeszników, gotując im dolę tak straszliwą, jakiej sprawiedliwi nie są nawet w stanie sobie wyobrazić.

Brand usiadł w mroku pod ścianą i przyjrzał się kaznodziei. W ciągu ostatnich czterech lat sir John Parkinson zamienił elegancki, modny strój na szaty duchownego. Gęste kasztanowe loki, niegdyś będące jego dumą, teraz opadały w nieładzie na ramiona. W świetle pochodni oczy mówcy płonęły jak rozpalone węgielki, a krokwie drżały od jego gromkiego głosu.

Brand nie sądził, by którykolwiek ze zgromadzonych wiedział, że ich ewangelista był niegdyś gorliwym członkiem Ligi Lucyfera.

- Pan obiecał chronić swoich wiernych - grzmiał dalej Parkinson, gwałtownie gestykulując i powiewając przy

tym szerokimi rękawami. - Zaniesie posłusznych do Nieba na skrzydlatych rydwanach, kierowanych przez aniołów. Macie szansę przyłączenia się do tej ogromnej rzeszy w Kościele Prawdziwej Wiary. Żałujcie za grzechy i bądźcie zbawieni, albo pogrążycie się na wieki w płomieniach ognia piekielnego. Amen.

-Amen! -powtórzyli jak echo wychudzeni wyznawcy.

Kazanie dobiegło końca, za co Brand w duchu podziękował Bogu. Dwie młode kobiety odziane w anielską biel podsuwały koszyki na ofiarę. Obserwując przechodzące służebnice, Brand pozwolił sobie na cyniczny uśmieszek. Dzięki wierze i zaufaniu Parkinson zwabił dwie panienki do swej owczarni. Ciekawe, w jaki jeszcze sposób mu służyły.

Nagle kątem oka dostrzegł spóźnialską osobę wchodzącą do teatru. Kobieta, bo ta smukła postać w cieniu musiała być kobietą, zatrzymała się, jakby chciała poczekać na wyjście wiernych. W mroku nie mógł dostrzec jej twarzy, ale coś w niej przykuło jego uwagę.

Dama, pomyślał, wpatrując się w nią. Taka idealna sylwetka i doskonale skrojona suknia jednoznacznie wskazują na damę. Tylko czemu, do licha, pojawiła się samotnie w tej zakazanej części miasta?

Zrobiła kilka kroków do przodu. Płonące na scenie pochodnie rzuciły słabe światło na jej twarz.

Brand nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z trudem zdławił przekleństwo. Kilka osób z ostatnich rzędów odwróciło głowy w jego stronę, w tym także chuderlawy mężczyzna z ołówkiem i kajecikiem.

Przybyła także się odwróciła. Po chwili z determinacją ruszyła wprost ku niemu, unosząc starannie elegancką spódnicę z aksamitu, by nie dotknęła podłogi.

Brand zerwał się na równe nogi. W głowie miał taki zamęt, że tylko wyjąkał:

- Charlotta?

Barbara Dawson Smith

Żar

## Rozdział 8

### Kochanka Branda

Podczas gdy wierni wychodzili z budynku teatru w zimną noc, Charlotta starała się nie zapominać, że powinna ćwiczyć cierpliwość. Musiała zachować spokój, panowanie nad sobą, rozsądek. Oczywiście Brand był wściekły. Mężczyźni zawsze wpadają we wściekłość, kiedy kobieta pomiesza im szyki.

- Nie podnoś głosu - powiedziała. - Wzbudzenie niepotrzebnej sensacji może nam tylko zaszkodzić w prowadzeniu śledztwa.

- Ty nie jesteś moją partnerką - rzucił Brand z wściekłością, ale ściszył głos. - Nie wiem, do licha, co cię skłoniło do przyjścia tutaj, ale masz natychmiast stąd wyjść i poczekać na mnie w powozie.

Spokój, opanowanie, rozsądek, powtarzała sobie w duchu.

-Zamierzam znaleźć człowieka, który zagraża mojej babci. A co dwie głowy to nie jedna.

- To nieprawda, jeśli jedna z tych głów należy do kobiety. - Brand przecesał włosy palcami w klasycznym geście męskiej frustracji. - Do licha, Char. Jakim cudem udało ci się mnie wysledzić?

- Wynajęłam dorożkę.

- Nie udawaj idiotki. Pewnie któryś ze stangretów słyszał, jak podawałam adres. Prawda?

Mruknęła coś niewyraźnie. Uznała za rozsądne nie robić

Barbara Dawson Smith  
Zar

mu awantury za to, że nazwał ją idiotką, ale też nie przyznawać się, że znalazła ulotkę w zamkniętej na klucz szufladzie jego biurka. Zerknęła na scenę, gdzie szczupły mężczyzna w białej szacie odbierał koszyki z ofiarą od swych przebranych za anielice pomocnic. W opustoszałym teatrze rozległ się słaby brzęk monet.

- Wielebny Parkinson też był członkiem Ligi Lucyfera, prawda? - zapytała szeptem.

Brand spojrział na nią i uśmiechnął się ironicznie.

- A skąd, przyszedłem tu pograć w karty.

- Tak? To chodźmy przesłuchać twojego partnera od hazardu, zanim stąd wyjdzie - zaproponowała i ruszyła w stronę mrocznego przejścia z boku sali teatralnej.

Brand deptał jej po piętach. Kiedy zbliżyła się do załomku muru, mocnym chwytem złapał ją za ramię. Zderzyli się biodrami i jego gorący oddech wywołał mrowienie na jej szyi.

-Jeżeli koniecznie chcesz narażać się na niebezpieczeństwo, to trudno - mruknął. - Jednak pytania będę zadawał ja! Jeśli odezwiiesz się choć słowem, choć jednym słowem, to wywołam cię na dwór i pokażę ci, kto tu jest panem.

Jego ponura mina wskazywała, że mówi poważnie. Charlotte zaniepokoił jakiś przenikający ją dreszcz, wywołany w równej mierze podnieceniem co oczekiwaniem. Coś pchało ją do tego, żeby zdać się na jego łaskę i niełaskę i sprowokować go do tego, aby pocałunkiem pokazał jej, kto tu jest panem.

A przynajmniej pozwolić mu podjąć taką próbę.

Spojrzenie Branda przyłgnęło do jej rozchylonych warg. Nagle puścił ją, jakby odczytał jej grzeszne myśli i uznał je za nieatrakcyjne. Ruszył przejściem, Charlotta zaś podążyła za nim.

Spokój, opanowanie, rozsądek.

Skoncentrowała się na odzyskaniu równowagi. Nie może mu pozwolić zepchnąć się z jasno wytyczonej drogi. Kobiety zawsze były lepsze niż mężczyźni w dostrzeganiu

Barbara Dawson Smith  
Zar

niuansów rozmowy. Postanowiła przysłuchiwać się uważnie i nie uronić ani słowa. Od tego mogło zależeć życie babci.

Kiedy cichutko wspięli się po schodach z boku sceny, Brand wskazał jej zakurzoną, szkarłatną kurtynę i polecił:

-Zostań tutaj.

Charlotta zjeżyła się, bo takim samym stanowczym głosem wydawał polecenia Fancy.

Spokój, opanowanie, rozsądek.

Skryła się w fałdach kurtyny, skąd mogła wszystko doskonale widzieć i słyszeć.

Brand wyszedł na środek sceny. Jego kroki odbijały się echem od desek podłogi.

-Parkinson! Zaczekaj!

Wielebny sir John Parkinson odwrócił się na pięcie. Po mimo białej komży i Biblii w ręku, nie przypominał żadnego z duchownych, jakich Charlotta w życiu widziała. Te jastrzębie rysy twarzy i sięgające ramion loki pasowały raczej do portretu rycerza z niemoralnego dworu króla Karola II.

Parkinson rozejrzał się kątem oka, jakby potrzebował widowni.

- Kto tu jest? - zapytał zgrzytliwym głosem, całkiem niepodobnym do tego, którym wygłaszał przed chwilą grzmiące kazanie.

- Diabeł we własnej osobie.

Z ust stojących po bokach Parkinsona anielic wyrwał się nieprzystojny chichot. One także przy bliższym przyjrzeniu się nie robiły wrażenia niewiniątek. Trzymając się w cieniu kurtyny, Charlotta zdołała jednak ocenić, że obie są młodsze od niej, ale mają zmęczone twarze i puste oczy kobiet, żyjących na ulicy.

- Faversham? - zapytał Parkinson z wyraźnym niedowierzaniem. Przez chwilę stał jak słup soli, potem rzucił się do przodu i zaczął energicznie potrząsać ręką Branda. - To naprawdę ty, chwała niech będzie Najwyższemu! Cóż za nieoczekiwany dar Niebios! Przyszedłeś, bo szukasz zbawienia.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Charlotte uderzyła ironia sytuacji. Gdyby okoliczności nie były tak okropne, rozśmieszyłyby ją to nieporozumienie.

- Obawiam się, że to nie... - zaczął Brand.

- Bóg wysłuchał moich błagań. Zesłał cud, aby umocnić moje powołanie. - Parkinson niemal w ekstazie zwrócił się do swych towarzyszek. -Aniołowie, spieszcie radować się wraz ze mną. To naprawdę chwalebny dzień, krok milowy w naszej walce ze Złym. Brand Villiers, niegodziwy książę Faversham, przybył do nas pokutować za grzechy.

Kobiety rzuciły się do przodu, zapatrzone w Branda z niekoniecznie świętym zainteresowaniem.

- Nie przyszedłem tu po zbawienie - oświadczył sta nowczo Brand. - Chcę ci zadać parę pytań dotyczących twoich związków z Ligą Lucyfera.

Parkinson cofnął się gwałtownie. Zerknął ukradkiem na swe gamoniowate służebnice i chrząknął, zdetonowany.

- Byłych związków. To było dawno temu. Jak syn mar-notrawny odpokutowałem już za swoje grzechy. Ojciec Niebieski uświęcił mą duszę i obmył mnie wodą wybaczenia. Amen!

- Amen! - powtórzyły chórem anielice.

- Może i tak- zauważył zdawkowo Brand. - Ale zastanawiam się, czy widujesz się nadal z niektórymi członkami.

-Absolutnie nie! Jak możesz choćby sugerować taki grzech? Poświęciłem życie głoszeniu słowa Bożego. Hm, przepraszam na moment. - Wypchnął anielice za kulisy i zamknął drzwi. Potem wrócił pospiesznie, wyraźnie zdenerwowany. - Moje wyznawczynie znają jedynie najogólniejsze zarysy mojej niechlubnej przeszłości. Nie chciałybym mieszać im w tych ślicznych główkach.

Co za hipokryzja, pomyślała Charlotta. Nie tylko ma przed nimi tajemnice, ale w dodatku ośmiela się sugerować, że kobiety są głupie. Już miała na końcu języka celną ripostę, kiedy Brand spojrział na nią i zmarszczył czoło. Niewypowiedziane słowa natychmiast zwiędły jej na ustach. Skąd wiedział, że kusilo ją, żeby się odezwać?

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Czy jest tu jeszcze ktoś? - zapyta! Parkinson, zerkając ponad ramieniem Branda i starając się dostrzec coś w mroku. - Kto to? Kobieta?

- To tylko moja kochanka - rzucił Brand. - Nie przejmuj się nią. Jest stuknięta, nie słuchaj co mówimy.

Kochanka? Stuknięta? Rozwścieczona Charlotta głośno wciągnęła powietrze, potem pomyślała, że powie mu parę słów do słuchu, ale jeszcze nie teraz.

-Twoje ladacznice nie są tu mile widziane - stwierdził niepewnie Parkinson, przestępując z nogi na nogę. - Ani ty, Faversham, chyba że przychodzisz pokajać się za grzechy.

- W takim razie odpowiedz mi na pytania, to zaraz sobie pójde. Kiedy dokładnie zwróciłeś się przeciwko Lidze?

- Cztery lata temu, na ostatnim spotkaniu moje ślepe dotychczas oczy otwarły się na jej zło i niegodziwość. Od tej chwili poczynając podążałem za światłem nadziei i odkupienia. - Uniósł swe okryte komżą ramię w stronę Branda. - Ty także musisz wejść na drogę prawdy. Porzuć hazard i kobiety, póki nie jest jeszcze za późno.

Brand uniósł w górę brew.

- Wierzysz, że Bóg powinien pokarać członków Ligi?

- Cóż, to oczywiście nieuniknione! Jeżeli człowiek tarza się w kloace grzechów, to musi się liczyć z tym, że kiedyś zazna ognia wiecznego potępienia.

Lodowaty dreszcz przebiegł po krzyżu Charlotty. Czyżby patrzyła w twarz mordercy? Czy za tymi fanatycznymi piwnymi oczami i gęstymi lokami krył się człowiek zdolny do popełnienia zabójstwa?

- Ciekaw jestem, czy doszły cię pewne wieści - zaczął Brand, patrząc na Parkinsona.

- Jakie?

-Mellingham zginął w grudniu podczas pojedynku. W dwa tygodnie później Wallace spadł ze schodów i skręcił kark. Potem w styczniu

Aldrich doznał ataku serca w łóżku kochanki. A kilka tygodni temu, Trowbridge został napadnięty przez bandę rzezimieszków i zamordowany.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Parkinsonowi opadła szczęka. Przycisnął Biblię do piersi, dłonie mu zbiały.

- Dobry Boże. Chodziłem z Wallace'em do Eton. I Trowbridge... w każdy piątek jadalśmy obiady u White'a. Aldricha i Mellingtona nigdy zbyt dobrze nie znałem, ale kiedy słyszę, że odeszli... to może być tylko Sąd Boży.

- Albo ludzki - rzucił Brand z ironią. - Rozumiem, że na jesieni odbyłeś z Wallace'em rozmowę?

- Tak. Ja,, miałem nadzieję, że ocalę go od życia w rozpuście. Ale wyrzucił mnie z domu i powiedział, żeby nigdy nie wracał. - Ze łzami w oczach osunął się na najbliższy stołek. Pochylił głowę i zburzył palcami i tak już potargane włosy, opadające jak falisty wodospad. - Teraz już nic nie jest w stanie uratować tej nieszczęsnej duszy.

Charlotta poczuła przypływ współczucia. Jeśli Parkinson jest niewinny, to poniósł dotkliwą stratę. A jeśli jest winny? Musiał by posiadać przebiegłość szaleńca, żeby tak udawać cierpienie.

W świetle pochodni widziała profil Branda wpatzonego w Parkinsona - wydawał się niewzruszony i bezkompromisowy.

- Jakie to symptomatyczne - szydził - że stoimy akurat na scenie. To znakomite aktorstwo.

Parkinson gwałtownie poderwał głowę.

- Aktorstwo? O czym ty, na litość boską, mówisz?

- O tym, że znałeś każdego z tych ludzi. Znałeś ich zwyczaje i słabostki. I uznałeś, że twoją misją jest wymordowanie wszystkich członków Ligi.

- Wymordowanie? - Parkinson zawołał piskliwie i wpatrzył się w Branda z przerażeniem. - Twierdzisz, że... ktoś zamordował Wallace'a? I pozostałych?

- Brawo. Osłupienie odegrałeś równie dobrze jak poprzednio rozpacz.

Duchowny zerwał się na równe nogi. Stał z rozwianą szatą, potrząsając pięścią przed twarzą Branda.

- Jak śmiesz rzucać takie oskarżenie! I to na mnie, czło wieka bożego!

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Widzę, że masz w repertuarze również obrazę.  
- Niech cię piekło pochłonie, człowieku! Jeśli ktoś maczał palce w śmierci Wallace'a, to chciałbym poznać wszystkie szczegóły.

- Daj mi swoją Biblię - poprosił nagle Brand.

Parkinson spojrział na niego podejrzliwie, ale mu ją podał.

- O co ci chodzi? Jeśli chcesz ją ukraść, możesz ją sobie wziąć z moim błogosławieństwem. Bo jeżeli jakiemuś człowiekowi naprawdę potrzebna jest lektura Pisma Świętego, to właśnie tobie. Szczególnie uważnie przeczytaj Apokalipsę św. Jana.

- Dziękuję za radę, ale to mi wystarczy. - Wyjął kilka arkuszy papieru spomiędzy kart książki.

- Zaraz, to moje kazanie - zaprotestował Parkinson, wyciągając rękę po kartki. - Napisanie go zajęło mi kilka godzin.

Brand złożył kartki i wsunął je do wewnętrznej kieszeni surduta.

- Zatrzymam je jako prezent. Chcę porównać charakter pisma z bilecikami, który Trowbridge otrzymał tuż przed śmiercią.

~ Bilecikami?

- Tak, wiesz, tam było napisane: *Będziesz następny*.

- Jeśli sugerujesz, że ja...

- Właśnie to miałem na myśli. - Z niewesołym uśmiechem Brand zwrócił Biblię. - A swoją drogą, powinienesz sobie przypomnieć Dziesięcioro Przykazań, szczególnie piąte: Nie zabijaj.

Parkinson przytulił do piersi księgę.

- Dość już usłyszałem od ciebie monstrualnych oskarżeń. Wyjdź stąd natychmiast. I zabierz ze sobą tę babilońską nierządnicę.

- Ją? - Brand niedbałym ruchem głowy wskazał Charlotte.

- Ona nie jest z Babilonu, tylko z Yorku.

Charlotte pozwoliła sobie na gniewny pomruk. Wysunęła się z fałdy kurtyny i podeszła bliżej.

- Gwoli jasności, wielebny, nie jestem nierządnicą. Jestem damą i przybyłam tu, aby zadać panu kilka pytań. Czy Tom Ransom albo Clifford Vaughn należeli do Ligi?

Parkinson wyglądał na zaskoczonego jej pytaniem.

- Tak, ale... dobry Boże, czy i oni zostali zamordowani?

- Nie, oni są jak najbardziej żywi - wyjaśnił Brand, niemal ciągnąc Charlotte za rękę w stronę schodów, którymi można było zejść ze sceny. A wprost do ucha Charlotty syknął: - W przeciwieństwie do perspektywy, jaka czeka ciebie.

- Powiedziałeś, że to kompletna idiotka - przypomniał Parkinson z wyrzutem. - A mnie wcale nie wydaje się stuknięta.

- To jędza, i ma zbyt ostry język - odparł Brand. - Nie chciałbyś jej znać. Jutro wyjeżdża za granicę, do rodziny w Chinach czy Indiach, czy jeszcze gdzieś tam. Na szczęście więcej jej nie zobaczymy.

Zmierzając do głównego przejścia, rzucił Charlotte ostrzegawcze spojrzenie. Odpowiedziała mu tym samym, choć zdawała sobie sprawę, że to oburzające kłamstwo miało na celu ukrycie jej tożsamości przed domniemanym mordercą.

Spojrzała przez ramię na Parkinсона, stojącego na scenie na szeroko rozstawionych nogach. W świetle pochodni wyglądał jak anioł zemsty.

- Zapamiętaj moje przesłanie, Faversham! - zawołał dźwięcznym, grzmiącym głosem. - Dopóki życie nie dobiegnie kresu, nikt nie jest pozbawiony nadziei, nawet ty. Poniechaj występków, albo przygotuj się na straszliwy los potępionych.



## Rozdział 9

### Spotkanie w kuchni

Brand nie puścił ramienia Charlotty z silnego uścisku, dopóki nie ulokował jej bezpiecznie w powozie. Zignorował zasady przyzwoitości i usiadł przy niej, gotów w każdej chwili interweniować, gdyby przyszło jej do głowy próbować ucieczki drugimi drzwiami.

Dopiero kiedy powóz zaczął się kołysać jednostajnym rytmem, Charlotta poprawiła spódnice i zdołała wygospodarować minimalny odstęp pomiędzy sobą a Brandem.

- Bądź tak dobry i przesuń się trochę - powiedziała tonem lodowatym jak nocne powietrze.

- Nie. Od tej chwili uważaj mnie za swojego strażnika.

- Nie jesteś ani moim stróżem, ani mężem, ani krewnym. A już w żadnym razie kochankiem. Nie masz nade mną żadnej władzy.

Z trudem zapanował nad gwałtowną pokusą potrząśnięcia nią, by wbić trochę rozumu do tej upartej głowy. Albo przynajmniej pocałować ją, aby dać jej nauczkę. Chociaż raz wolałby usłyszeć, jak Charlotta wzdycha w ekstazie, zamiast chłostać go ostrymi słowami.

- Jeśli będę musiał, jestem gotów związać cię i zakneblować - oświadczył. - Przede wszystkim nie powinnaś była wychodzić z przyjęcia. Kiedy ludzie zauważą, że oboje zniknęliśmy, języki pójdą w ruch.

- Powiedziałam lady Pomeroy, że rozbolala mnie głowa i odwieziesz mnie do domu.

Barbara Dawson Smith

Zar

Wybuchnął cynicznym śmiechem.

-I myślisz, że ci uwierzyła? Do licha, Char. W kontaktach towarzyskich jesteś bezradna jak niemowlę. A jeszcze gorzej radzisz sobie w kontaktach z potencjalnymi mordercami.

-Nie przeklinaj. I przyjmij do wiadomości, że potrafię zadbać o siebie.

-Jasne. I dlatego powiedziałaś: „Cześć, jestem lady Charlotta, to na wypadek, gdyby miał pan ochotę mnie śledzić i zamordować mnie w moim własnym łóżku”. - Na samą myśl o tym, krew zastygła mu w żyłach. Nadal był równie wstrząśnięty jak w chwili, kiedy Charlotta wyszła z cienia na jasną scenę. Była odważniejsza niż każda inna znana mu kobieta.

Nie. Raczej jak cholerna idiotka.

-Wcale się nie przedstawiłam - oświadczyła. - Poza tym, tylko do siebie możesz mieć pretensje. Gdybyś powiedział mi prawdę o Vaughnie i Ransomie, nie musiałabym szukać informacji na własną rękę.

Ona miała pretensję do niego?!

- Podjęłaś wyjątkowo głupie ryzyko - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Jeśli mordercą jest Parkinson, może zacząć dybać również na twoje życie.

- On nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia - stwierdziła. - Dzięki tobie uważa mnie za nierządnicę... z Yorku.

Jej uszczypliwy ton wzbudził w nim ponure rozbawienie, które złagodziło gniew.

- Czy to cię obraża, Char? Nie chcesz występować w roli mojej kochanki?

- Nie musisz nawet pytać. Doskonale wiedziałeś, że to mnie zirytuje. I dlatego właśnie to powiedziałeś.

-To było najbardziej logiczne wytłumaczenie twojej obecności u mego boku.

Spojrzała na niego z potępieniem, starając się przebić wzrokiem panujący w powozie mrok. Brand czuł jakiś nieokreślony zapach właściwy tylko jej, zapach, który burzył w nim krew. Lekkie wstrząsy powozu sprawiły, że zaczął

Barbara Dawson Smith

Żar

snuć fantazje na temat wzięcia jej tutaj, od razu, podniesienia w górę spódnic i ujeżdżania jej, dopóki nie okiełzna jej niezależnego ducha.

-Brand, logika nie ma tu nic do rzeczy. Łatwo cię przejrzeć.

Gwałtownie wyprostował się na siedzeniu. O wiele grzechów już go oskarżano, ale jeszcze nigdy nie usłyszał, że jest nudziarzem.

-Wcale nie!

- Ależ tak. Bo jak inaczej mogłabym wiedzieć z góry, co powiesz lub zrobisz?

- Nie możesz wiedzieć, bo ja nie stosuję się do konwensów. Kieruję się w życiu własnymi zasadami.

- Tak, i właśnie dzięki temu łatwo cię przejrzeć. Na przykład dziś wiedziałam z góry, że wymkniesz się z wieczorku muzycznego. Tego typu zachowaniem nie jesteś w stanie mnie zaskoczyć.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. On, zawsze tak dumny ze swej wolności, chodzący własnymi drogami, unikający konwensów jak ognia, okazał się równie przewidywalny jak staruszek, pykający fajeczkę w bujanym fotelu?

Do cholery, to nieprawdopodobne, pomyślał.

- Rozmawiamy nie o mnie, tylko o twoim zachowaniu - stwierdził sucho. - Naraziłaś się dzisiaj na poważne niebezpieczeństwo...

- Jeszcze nie skończyłam - przerwała mu bezceremonialnie. - Zawsze się zastanawiałam, skąd u ciebie taka potrzeba odrzucenia cywilizowanego sposobu zachowania. Przecież nauczono cię dobrych manier. George był zawsze stuprocentowym gentlemanem. To zdumiewające, że stanowisz dokładne przeciwieństwo swojego starszego brata.

Brand poczuł chłód w sercu. Dlaczego ona musiała przywołać akurat to? Przeszłość minęła, została zamknięta jak stara księga. Co z tego,

że starszy brat zdobył tytuł akademicki, podczas gdy on został wyrzucony z Eton, gdy przyłapano go z pokojówką. I co z tego, że

George podążał za-

wsze prostym, szerokim traktem, skoro on wolał dzikie, zarośnięte ścieżki?

Zawsze, jak daleko sięgał pamięcią wstecz, zawsze był czarną owcą. Podczas gdy George zgarniał nagrody za nieskazitelne zachowanie, Brand był karcony za ucieczki z kościoła lub wysyłany do łóżka bez kolacji za nieposłuszeństwo wobec guwernantki. Ojciec twierdził z gniewem, że Brand jest zły z natury. I że nie może się nawet równać ze starszym bratem. A skoro George był we wszystkim najlepszy, Brand postanowił być najgorszy.

I w końcu jego nikczemność zabiła nie tylko George'a, ale i jego syna.

Brand zdławił ukłucie bólu i zepchnął poczucie winy w odległy zakamarek pamięci. Czuł, że do końca życia nie zdoła naprawdę o tym zapomnieć. Na krawędzi jego świadomości zawsze czaił się mrok.

Żeby oderwać się od złych myśli, skoncentrował się na Charlotte.

- Powiem ci, co było do przewidzenia! - zawołał gwałtownie. - To, że będziesz próbowała zmienić temat, żeby nie rozmawiać o swoim głupim zachowaniu.

- W takim razie zgoda. Możemy porozmawiać o dochodzeniu. - Charlotta pogrzebała w swym wyszywanym woreczku i wydobyła zeń złożoną karteczkę. Rozprostowała papier i przysunęła go do słabego światła padającego z okien mijanych domów. - Tom Ransom i Clifford Vaughn są na mojej liście, podobnie jak czterej zamordowani mężczyźni. Nie ma Parkinsona, pewnie dlatego, że nie zajmuje się już hazardem. Pozostaje jeszcze co najmniej ośmiu nie sprawdzonych panów, w tym James Weatherby, Uriah Lane...

- O czym ty mówisz, do diabła? - Brand wyrwał jej papier. Z niedowierzaniem obejrzał w słabym świetle listę swych karcianych partnerów. - Skąd masz tę listę?

- Sama ją ułożyłam. Na podstawie twojej księgi rachunkowej.

Te słowa wbiły się w jego wnętrzności jak sztylet.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

- Jezui! Przeszukałaś moje biurko?!

- Nie miałam innego wyjścia. Ty byś mi niczego nie powiedział. A ja mówiłam poważnie, że zrobię absolutnie wszystko, żeby chronić babcię. - Charlotta urwała i po chwili dodała pojednawczym tonem. - Przykro mi, że musiało dojść aż do tego.

Brand nie chciał, żeby zauważyła jego panikę, więc odychał głęboko, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Boże! Nic dziwnego, że doskonale wiedziała, gdzie go dzisiaj szukać. Nie musiała wypytywać woźniców. Przeczytała ulotkę. Tę, którą trzymał w zamkniętej szufladzie biurka.

Co jeszcze tam zobaczyła?

Na samą myśl o tym zaschło mu w ustach. Nie śmiał pytać, nie śmiał zwracać jej uwagi na miniaturę Amy. Mogłaby się zainteresować, dlaczego trzyma pod kluczem podobiznę córki Michaela. Zaczęłyby drażnić, dociekać i wiercić mu dziurę w brzuchu, żeby to wyjaśnił. Gdyby kiedykolwiek dowiedziała się, co to dla niego znaczy...

Ale tej jednej tajemnicy nigdy nie zdoła rozwikłać. Nikt poza nim, Michaeliem i Vivien nie dowie się, kto jest ojcem Amy.

Nikt, nigdy...

-A niech cię, Char! - Żeby rozładować kłębiące się w nim emocje, porwał listę na strzepy, uchylił okno i wyrzucił je na zaśmieconą ulicę, z której natychmiast porwał je porywisty wiatr i rozpędził na cztery strony świata. To dziecinne zachowanie nie zdołało rozładować dręczącego go napięcia.

Charlotta siedziała spokojnie z rękami złożonymi na kolanach i przyglądała mu się uważnie.

- Spodziewałam się, że to zrobisz - stwierdziła. - Ale nieważne. Znam już te nazwiska na pamięć.

- W takim razie wyjąłś tę listę tylko po to, żeby mnie sprowokować, tak?

Pokręciła głową.

- Oczywiście że nie - powiedziała chłodnym, złośliwym tonem. - Chciałam, żebyś zrozumiał, jak poważnie traktuję

Barbara Dawson Smith

Zar

to dochodzenie. Zrobię wszystko, co będzie konieczne, nawet gdybym była zmuszona cię rozgniewać.

Rozgniewać? Był wściekły, doprowadzony do furii, gotował się ze złości. Miał ochotę rąbnąć pięścią w ścianę powozu. Nie, chciał przede wszystkim, żeby Charlotta przestała mówić, a był na to tylko jeden sposób.

Zbliżył się do niej - dostrzegł w mroku szeroko otwarte oczy i zwodniczo delikatne rysy.

- Udało ci się. A oto moja łatwa do przewidzenia odpowiedź.

Przycisnął się do schwytej w pułapkę wnętrza powozu dziewczyny, jakby pragnął okazać swą dominację. Usłyszał, jak Charlotta głośno wciąga powietrze chwilę przedtem, nim odnalazł jej usta. A więc zaskoczył ją. Pomimo wszystko. Ale nie mógł nad nią triumfować; mógł tylko rozkoszować się przyjemnością całowania jej.

Była taka, jaką pamiętał, ale zarazem odmienna. Była kobietą potrzebującą mistrza. Wykorzystał jej wywołaną szokiem uległość i wpił się w jej usta. Pomimo stanowczego charakteru Charlotta była słodka i miękka, emanująca tajemnicą kobiecości. I ciepła. Tak ciepła, że Brand zgłupiał kompletnie i uwierzył, iż także i ona rozkoszuje się tym pocałunkiem. Charlotta zacisnęła palce na jego ramionach, jakby chciała przyciągnąć go bliżej. Wyczuwał szybkie unoszenie się jej piersi w oddechu, wyczuwał smukłość kobiecego ciała pod warstwami odzieży.

A potem to ona zaskoczyła jego. Otoczyła ramionami jego szyję i oddała mu pocałunek, choć z pewnym wahaniem. Jej reakcja była niezbyt wprawna, pozbawiona doświadczenia, bardzo dziewicza, a jednak rozpałała w nim potężny ogień. I pocałunek w jakiś tajemniczy sposób zmienił się z kary nałożonej na Charlotte w torturę dla niego. Nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, by znaleźć się nago pomiędzy jej nogami i nauczyć jej sztuki miłości.

Przeklinając grubą, zimową odzież, szarpał się z pelisą, aż wreszcie zdołał objąć piersi dziewczyny i zaczął pieścić jedwabiste wżgórza powyżej głęboko wyciętego dekoltu.

Barbara Dawson Smith

Zar

Ubrania stanowiły barierę, która podsyciła tylko jego frustrację. Bo pewna nieco zamglona część mózgu mówiła mu jednak, że zachowuje się jak cham, przewidywalny cham, i że uzyskanie czegoś więcej niż pocałunek, uwiedzenie Charlotty będzie wymagało od niego większej maestrii, większej finezji.

A jednak jej smak, jej dotyk doprowadzały go do szaleństwa. Nie był w stanie zapanować nad wariującym pulsem tętniącej w żyłach krwi, nie mógł się powstrzymać od podciągnięcia jej spódnicy, od wsunięcia ręki pod podwinęte halki ponad jedwabne pończochy i podwiązki, na smukłe uda. Nie mógł powstrzymać spragnionych palców od wplątania się w drobne loczki, od zagłębienia się w wilgotne, aksamitne, kobiece ciepło. Ciepło Charlotty, słodycz Charlotty...

Nagle jego ręka poleciała do tyłu. Brand zrozumiał, że został odepchnięty. W tym samym momencie powóz skręcił na rogu ulicy i Brand niemal spadł z siedzenia.

Złapał się pokrytego brokatem oparcia i powiewjodowa-tego powietrza zza otwartego okna otrzeźwił go. W mroku widział, że Charlotta spokojnie poprawia spódnice.

Charlotta! Co on, do licha, myślał?!

W ogóle nie myślał, w tym problem.

Wiedział, że powinien ją przeprosić, ale jej spokój go sprowokował.

- Do licha, Char. Nie powinnaś była tego robić.

- Ani ty - odparła. -I mała rada. Następnym razem poproś o pozwolenie.

Głos dziewczyny brzmiał cicho i pewnie, nie było w nim śladu rozdygotania, które czuł on. Oddychał urywanie; serce waliło mu w piersi. Nawet ręce mu drżały. Drżały!

Kiedy ostatnio jakaś kobieta działała na niego w taki sposób? Nie mógł sobie przypomnieć, nie był w stanie zebrać myśli.

Zmusił się jednak do zachowania zimnej krwi.

- Oddawałaś mi pocałunki. Tym samym wyraziłaś zgodę.

Parsknęła ochryplym śmiechem.

Barbara Dawson Smith  
Zar

-Byłabym idiotką, gdybym próbowała to kwestionować, prawda? Ale tylko chwilami było przyjemnie.

- Jak cholera. - Brand pragnął, by powiedziała prawdę. Chciał od niej usłyszeć, że została porwana w tym samym stopniu co on. Była gorąca i wilgotna między nogami i pragnął, by to głośno przyznała. - Nie możesz zaprzeczyć istnieniu zwierzęcego pociągu między nami, Char. Zawsze tak było. Ty również go odczuwasz. Przed chwilą.

- Jeśli chcesz, żebym była całkiem szczerą...

Urwała, a Brand starał się w gęstym mroku odczytać wyraz jej pograżonej w cieniu twarzy. Dziewczęca skromność sprawiła, że go odepchnęła. Mój Boże, była dwudzie-stodzieściolatnią dziewczyną. Co z niego za krety, wziął o wiele zbyt ostre tempo.

Teraz Charlotta przyzna, że choć go pragnie, to nigdy nie wda się w miłosną awanturę. A on będzie błagał o wybaczenie, będzie ją uwodził pięknymi słówkami, poczeka na odpowiednią chwilę...

I uwiedzie ją. Nawet jeśli przyjdzie mu za to smażyć się w piekle, posiadzie Charlotte, zepsuje ją innym mężczyznom, zrobi z niej swoją kochankę.

- Tak- zachęcił ją. - Chcę, żebyś była szczerą. Oczekuję od ciebie całkowitej otwartości.

- W takim razie zgoda. - Dotknęła jego ręki nie jak kochanka, ale jak przyjaciółka, która przeprosza za wspólne niezbyt miłe doznanie. - Uczciwie mówiąc, jestem zaskoczona, że masz taką reputację wśród dam. Twoje zdolności uwodzicielskie są mocno przesadzone.

Szczeńka mu opadła. Próbował zrozumieć jej słowa, ale tylko jedno spośród nich ciągle dźwięczało mu w uszach. „Przesadzone”.

Powóz zatrzymał się i Charlotta wyjrzała przez okno. A potem rzuciła lekkim tonem, wylewając na niego dodatkowy kubek zimnej wody:

- No, jesteśmy w domu, najwyższy czas. Jestem dość zmęczona, a ty? Bałam się, że nie zdołam powstrzymać ziewania i wprawię cię tym w zakłopotanie.

Barbara Dawson Smith  
Zar

\* \*

Gdy Nan weszła z ogrodu do ponurej kuchni, od razu zdała sobie sprawę, że znalazła się w poważnych kłopotach.

Podtrzymywany na palenisku ogień zaledwie wydobywał z mroku ceglane palenisko i pusty fotel bujany, w którym kucharka niekiedy uciniała sobie popołudniową drzemkę. Mrok spowijał rzędy miedzianych garnków i masywny piec z szeregiem nowoczesnych piekarników. Kredensy majaczyły w cieniu jak zwaliste, czarne cielska.

Po przeciwnej stronie kuchni płonęło jedno światło. Jakiś człowiek stał w drzwiach prowadzących na kuchenne schody. Jedyny człowiek, którego przeszywające spojrzenie sprawiało, że romantyczna mgiełka opadała niczym martwy liść.

Ten sztywniak Giffles.

Trzymał w ręku świecznik, który rzucał ostre światło na jego surową twarz. Na nocnym stroju miał szary szlafrok przewiązany w pasie.

Wszelka nadzieja, że zdoła się przed nim ukryć, na przykład pod stołem, prysła jak bańka mydlana.

Patrzył wprost na nią.

- Panna Killigrew. Co robiłaś na dworze po północy?

- Ja... musiałam wyjść do ubikacji. - Nan zadarła głowę do góry. Już dawno opanowała sztukę kłamstwa. Podstawową zasadą było spoglądanie rozmówcy prosto w oczy.

- Stosowne urządzenia znajdują się wewnątrz budynku.

Czyżby na jego policzkach pojawiły się czerwone wypieki? Odkrycie, że udało jej się przyprawić Gifflesa o zażenowanie, dodało Nan pewności siebie. Mógł sobie burczeć do woli, był tylko nieszkodliwym starym zrzędem.

Przeszła wzdłuż długich drewnianych stołów i zatrzymała się tuż przed nim.

- Wolę wygodkę na zewnątrz niż nocnik - stwierdziła głosem niewiniątka. - Kiedy dziewczyna na swoje comie sięczne dni...

- Oszczędź mi szczegółów.

- Ale, proszę pana, ja tylko chciałabym wiedzieć, co robić. Czy następnym razem mam prosić o pozwolenie?

- Nie bądź bezczelna. Nie będzie następnego razu. On się rumienił. Mogłaby przysiąc, że to prawda.

- Proszę wybaczyć, ale kiedy potrzeba staje się pilną...

- Nie będziesz wychodzić z domu po zapadnięciu ciemności, w żadnej sprawie - przerwał jej Giffles. - Czy wyrażam się jasno?

Nan ogarnęło przerażenie. Dręczenie lokaja przestało jej sprawiać przyjemność. Musiała wymknąć się z domu. Dick zrobił kawał drogi do Londynu tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. Za dwa dni miała wyznaczone kolejne spotkanie i jeśli się na nim nie pojawi, jeśli nie zrobi tego, o co ją poprosił, on gotów znaleźć sobie inną dziewczynę, może tę rudą fładrę, którą tak podziwiał w pubie...

- Więc? - ponaglił ją Giffles.

- Tak, proszę pana - powiedziała, udając potulność.

Lokaj nadal przyglądał się jej podejrzliwie.

- Spotkałaś kogoś na dworze? - zapytał nagle.

Ścisnęło jej się serce. Nie mógł widzieć Dicka, bo rozstali się przy stajniach, za ceglany murem. Uśmiechnęła się niewinnie.

- Skąd, sir. Z kim miałaby się spotykać prosta dziewczyna na z Yorku w księżącym ogrodzie w taką mroźną noc jak dzisiaj?

Giffles złapał ją za ramię i lekceważące słowa zamarły jej na ustach. Miał zadziwiająco silne palce. Jego twarz w świetle świecy wyglądała gniewnie i złowrogo. Zmienił się na jej oczach z nieszkodliwego starego purytanina w obcego człowieka, zimnego i twardego.

- Powiedz prawdę - warknął. - Spotkałaś się tam z kimś?

Pod Nan ugięły się nogi. Serce waliło jej w takim tempie, że przestraszyła się, iż zemdleje. Jak okropnie się co do niego pomyliła. Wreszcie zmusiła się do podniesienia głowy.

- N- nie, przysięgam.

Giffles obrzucił ją spojrzeniem pełnym niedowierzania.

- Na Boga, lepiej, żebyś nie łgała. Jeśli się dowiem, że

Barbara Dawson Smith  
Zar

Barbara Dawson Smith  
Zar

skłamałaś, to zleję cię tak, że wytlukę z ciebie ostatnie technienie życia.

Puścił ją i podniósł rękę. tfilną, męską rękę.

Nan o nic nie pytała. Zareagowała, jak jej kazał ślepy instynkt: rzuciła się na podłogę, zwinęła się u jego stóp w kłębek, przygotowana na lanie.

Nic nie nastąpiło. Serce waliło jej młotem, zęby szczękały. I choć mocno obejmowała się ramionami, wstrząsały nią konwulsyjne dreszcze. Skuliła się, obejmując rękami kolana i kryjąc twarz w fałdach spódnicy. Uderzyła ją woń krochmalu.

Stopy lokaja poruszyły się. Zadbane nagie stopy w skórkowych kapciach. Przyglądała się im kątem oka.

Jezusie, Maryjo, Józefie święty! Jeśli ją kopnie, to się może dla niej źle skończyć. Złamane żebro czy posiniaczone plecy udałoby jej się ukryć, ale wszelkie widoczne rany przyplaciłaby utratą obecnego stanowiska, jedynej szansy na przyzwoite życie.

- Nie rób tego - szepnęła, nienawidząc samej siebie za to, że go prosi i nienawidząc napływających jej do oczu łez. - Proszę, nie bij mnie.

Z gardła wyrwał mu się jakiś niski pomruk. Drgnęła gwałtownie, czując na ramionach dotknięcie jego rąk, ale on tylko podniósł ją z podłogi i objął, przytulając jej głowę do jedwabnej klapy szlafroka.

- Cicho, dziewczyno. Nie skrzywdzę cię. Chciałem cię tylko postraszyć.

Głośny szloch wyrwał się zza zaciśniętych zębów Nan, ale jeszcze nie płakała, jeszcze nie miała do niego zaufania. Wstrząsały nią nieopanowane dreszcze, ciepło promieniujące od mężczyzny wsączało się w jej zimne, bardzo zimne ciało. Jego ramiona były muskularne, ale delikatne, tak wyobrażała sobie zawsze ojcowskie ramiona... dawno temu, kiedy była jeszcze taka młoda i głupia, kiedy nie zdawała sobie sprawy z bezsensu takich marzeń.

Wecisnął jej w dłoń czystą, złożoną starannie chusteczkę

do nosa. Ten drobny gest dobroci wywołał istną lawinę łez. Płakała i płakała, a on mruczał słowa pocieszenia i gładził ją po plecach. Stopniowo zaczęła się uspokajać i dostrzegać pewne związane z nim szczegóły.

Szeroką, twardą klatkę piersiową. Świeży zapach mydła. Nacisk wymownie powiększającego się wybrzuszenia w okolicy łędźwi.

Giffles.TobylGiffles!

Ogarnęło ją lekkie przerażenie. Szlochając w jego objęciach, zmieniła jego chusteczkę w mokrą, wymiętoszoną szmatę. W zamian za to będzie czegoś chciał, jak wszyscy mężczyźni.

Wzięła jego rękę i położyła ją sobie na piersi.

Przez chwilę obejmował ciepłymi, silnymi palcami jej biust. Na przekór wszystkiemu, Nan poczuła silne pulsowanie w dole brzucha. Może ten lokaj, mimo wszystko, nie jest taki sztywny. Nie byłoby najgorzej pójść z nim do łóżka...

Potem cofnął się o krok i opuścił rękę.

- Idź na górę. Natychmiast wracaj do swojego pokoju - powiedział. Wydawał się chłodny i zamyślony.

Nan spojrzała na niego niepewnie i nie znalazła w jego nieprzyjaznych rysach ani śladu zainteresowania. Pomyliła się. Giffles jej nie pragnął.

Znów naszła ją głupia chęć do płaczu. Rzuciła się biegiem do drzwi i potykając się popędziła na górę po drewnianych schodach.

Jak mogło jej przyjść do głowy, że taki zadzierający nosa mężczyzna jak on mógłby pragnąć pospolitej złodziejki?

Barbara Dawson Smith

Żar

## Rozdział 10

### Kolizyjne tory

Charlotte siedziała obok Branda, który jechał wzdłuż Grosvenor Gate w stronę nagiego, zimowego Hyde Parku. Po ulicznym hałasie teraz jedynym dźwiękiem było postukiwanie podków pary czarnych koni. Dzień był niezwykle ciepły jak na tę porę roku, śnieg stopniał, białe płaty zachowały się tylko gdzieniegdzie w cieniu drzew. Teraz słońce wisiało już nisko nad horyzontem i przenikliwy wiatr przejął Charlotte dreszczem. Fancy umościła się na jej kolanach. Spod kocyka wystawał tylko kudłaty łebek i zaciekawione oczy.

Brand zwracał dziś większą uwagę na Fancy niż na Charlotte.

Od chwili, gdy zostawiła go poprzedniego wieczoru siedzącego w zamyśleniu w powozie, traktował ją chłodno i z dystansem. Przy śniadaniu rzucił tylko zza gazety: „Proszę, podaj mi solniczkę”. Kiedy spotkali się na korytarzu, złożył oficjalny ukłon i nic więcej. Charlotte zamierzała już wynająć dorożkę na tę wyprawę, ale kiedy wyszła z domu, Brand zatrzymywał właśnie swój powóz przy krawężniku.

To ją zaskoczyło. Po tym, jak boleśnie zadrasnęła jego męską dumę, spodziewała się, że Brand znowu zabroni jej jechać na spotkanie Klubu Czwórki z Ręki. Ale on tylko w milczeniu podał jej rękę, pomógł wsiąść, narzucił koc na jej kolana i na Fancy, po czym ujął lejce. Na wszelkie próby nawiązania rozmowy odpowiadał monosylabami.

Barbara Dawson Smith

A teraz patrzył wprost przed siebie, jakby Charlotte w ogóle nie istniała. Ona natomiast była aż zanadto świadoma jego obecności. Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenia, zachwycając się pięknem rzeźbionej twarzy, podziwiając wysokie kości policzkowe i maleńką bliznę w kącie ust, nadającą im łobuzerski wyraz. Ciepły płaszcz z pięknej szarej wełny okrywał szerokie ramiona. Z niedbałą pewnością kierował zaprzęgiem, jadącym polną drogą.

Pewnie już go nic nie obchodziło, że Charlotte wystawiała się na niebezpieczeństwo. Ta myśl z jakiegoś względu ją zasmuciła. Brand jej nie wybaczył i właśnie o to jej chodziło. To głupie, że nagle zapragnęła powrotu ich żartobliwego przekomarzania się. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia, że go obraziła.

„Twoje zdolności uwodzicielskie są mocno przesadzone”.

Do licha z nim! Zasłużył na reprimendę. Już od dawna nikt nie zepchnął go z piedestału. Wszyscy przywykli do jego arogancji. Myślał, że może uwieść każdą kobietę, na jaką mu przyjdzie ochota i kiedy tylko mu przyjdzie ochota, bez oglądania się na konsekwencje.

Nie wiedział, że i ona także ma swoją dumę? Nie była jedną z jego dziwek, gotowych zadzierać spódnicę na pierwsze skinienie, żeby mógł się nacieszyć do woli.

Wielkie nieba, jak on ją dotykał! Te palce gładzące najintymniejsze miejsce. Miała wrażenie, że się roztopia pod wpływem jego pieszczot. Szaleńcze pragnienie, by rozłożyć nogi...

W tej cudownej, straszliwej chwili Charlotte uświadomiła sobie porażającą siłę swej namiętności do niego. Potężny mur jej moralności niemal runął. Gdyby nie odepchnęła go w ostatnim przebłysku rozsądku, uległaby temu niepoprawnemu rozpustnikowi.

Ta myśl wywołała w niej wewnętrzne trzęsienie ziemi. <sup>1</sup> Brand nie był w najmniejszym nawet stopniu zainteresowany małżeństwem ani założeniem rodziny, konwencjonalnym życiem, jakie ona pragnęła wieść. On był przywiązany do mrocznych ścieżek rozpusty. Nie mogła samej

Barbara Dawson Smith

Żar

siebie ludzi zwoźniczą nadzieją, że Brand się zmieni. Zbyt dobrze go znała.

To dlatego właśnie, poza poczuciem dumy z powodu ostatnich uczciwie przeżytych pięciu lat, okłamała go. Żeby bronić samej siebie, zadrasnęła jego męską dumę.

„Twoje zdolności uwodzicielskie są mocno przesadzone”.

Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby zdobyć się na to kłamstwo. Musiała być przekonująca, żeby mieć pewność, że Brand już nigdy więcej jej nie dotknie...

- To tu - powiedział.

Charlotte drgnęła na dźwięk jego głosu. Przeraziła się, że Brand mógł odczytać jej myśli. Że zrozumiał, iż samo spojrzenie na jego piękny profil wywołało jej rumieńce i przyspieszyło oddech. Spojrzał na nią oczyma przypominającymi krążki metalu, chłodnymi i bezosobowymi: Potem dopiero zauważyła, że wskazywał batem sznur powozów ustawionych w pobliżu pod nagimi drzewami.

Udawiała zainteresowanie otoczeniem. Patrząc z tego dobrego punktu obserwacyjnego w głębi parku można było odnieść wrażenie, że jest się na wsi. Ten dziewiczy krajobraz nie był skażony żadnymi zabudowaniami. Ostatnie promienie słońca załamywały się w spokojnych wodach Serpenty. W gęstych zaroślach wzdłuż brzegu rzeki zamajaczyły w mroku jeleń.

Brand zatrzymał konie na końcu sznura pojazdów. Mężczyźni pozdrawiali go; kobiety spoglądały pożądliwie i szeptały coś do siebie.

A może gadały o niej? Dawniej pewnie przywoził tu swoje kokotki.

Wzgardziła jego pomocą i sama wyskoczyła z wysokiego powozu, przytulając Fancy. Kiedy Brand zajmował się końmi, ona pochylała się, żeby przyczepić skórzaną smycz do psiej obroży. Fancy obwąchiwała gołą ziemię, wachlując ogonem, i jej puszyste drobne ciało dygotało z podniecenia.

Lord Clifford Vaughn wybiegł truchtem z gromadki ludzi. Kiedy podążał w stronę Charlotty, brązowy długi

Barbara Dawson Smith  
Zar

plaszcz łopotał wokół jego niskiej, przysadzistej sylwetki. Fancy warknęła i schowała się za spódnicę swej pani, ale oczy Vaughna były utkwione jedynie w Charlottcie.

- No, no! - wołał, zacierając obciążone skózanymi rękawiczkami dłonie jak rozradowany troll. - Więc jednak udało się pani namówić tego dziwaczego jegomościa, że by panią tu przywiózł. Czy nie ostrzegąłem pani, że on nie bardzo nadaje się na strażnika?

- Na przyzwoitkę - poprawiła.

Vaughn rzucił jej nieszczerzy uśmiech.

- Słyszałem, że ostatniego wieczoru miał pełne ręce roboty jako przyzwoitka. Słyszałem, że wyszliście wczoraj oboje dość wcześnie, a do domu Favershama jechaliście kilka godzin.

Charlotte zeszywniała i pomimo chłodu okryła się rumieńcem. Skąd on zdobył tę informację? Czy byli wczoraj śledzeni? A może Vaughn tylko ją podpuszczał w nadziei na zdobycie smakowitej ploteczki do rozpowszechniania?

- Źle się poczułam - powiedziała chłodno. - Powinien pan raczej zapytać o moje zdrowie, niż sugerować coś nie stosownego.

Uniósł w górę krzaczaste brwi.

- Odgrywasz niewiniątko, co? Uwielbiam gierki...

- Nigdy nie kwestionuj słów damy - poradził Brand, zbliżając się do nich. Usta wykrzywił mu złowróżbny półuśmieszek. Klepnął Vaughna po ramieniu tak, że tamten nieco się zachwiał. - Byłbym bardzo rozczarowany, gdybym się dowiedział, że rozsiewasz fałszywe pogłoski.

Vaughn wydał nerwowy chichot.

- Ja? Miałbym rozsiewać plotki o starym druhu? Co za pomysł.

- Cieszę się, że się rozumiemy. - Z tymi słowami Brand opuścił rękę i przybrał znów pozę zblazowanego uroczego łajdaka. Obrzucił leniwym spojrzeniem gentlemanów zgromadzonych wokół powozów i dyskutujących o zaletach swych koni oraz gawędzące w niewielkich grupkach

Barbara Dawson Smith  
Zar



damy. - Widzę, że Barrymore ma dziś nowe gniasosze. Kto się jeszcze dziś ściga?

Charlotte zastanawiała się, czy tylko wyobrazila sobie ten ostrzegawczy błysk w oczach Branda. Była mu wdzięczna, że przyszedł jej z pomocą, choć głupotą byłoby za wiele sobie po tym obiecywać. Z obserwacji młodszych braci wiedziała, że chłopcy często posługują się fizyczną groźbą, żeby postawić na swoim. A Brand, podobnie jak ona, nie chciał, by ktoś dowiedział się, dlaczego wrócili do domu tak późno.

Zwłaszcza jeden z podejrzanych o morderstwa.

Vaughn skwapliwie podchwycił zmianę tematu.

- Jest Lane, Sefton i Harrowby. No i ja, oczywiście. - Dotknął palcem wielkiego koła grafitowej kariolki Branda, a potem przesunął się do przodu, żeby się przyjrzeć smukłym, czarnym jak heban koniom. Miał tak misternie związany fular, że musiał się zgiąć do pasa, żeby spojrzeć na podkowę. - Faversham, a może włączyłbyś te karosze do gonitwy? W puli są już cztery setki. I, niech to licha, gotów jestem dorzucić kolejne pięćdziesiąt gwinei, że moje karosze prześcigną te szkapiny.

- Zgoda - odparł Brand.

- Pojawię się więc na linii startu w bieli. To będzie prawdziwa przyjemność zainkasować od ciebie złoto. - Z wyrazem chciwości na śniadej twarzy Vaughn ruszył do bogato zdobionego czerwono-żółtego powozu.

Brand podszedł do swojego zaprzęgu, żeby sprawdzić uprzęż, a Fancy pognęła za nim. Charlotte i bez ciągnącego smycz psa pospieszyłaby z Brandem.

- Chyba nie masz zamiaru ścigać się z pięcioma zaprzęgami? - zapytała, zniżając głos, by nikt nie mógł jej pod słuchać.

Brand sprawdził popręg.

- Powiedziałbym, że to zachowanie łatwe do przewidzenia jak na łajdaka.

- Nie bądź dziecinny. Ten wyścig zapowiada się piekielnie niebezpiecznie.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Rzucił jej jedno z tych przenikliwych spojrzeń, od których serce Charlotty zaczynało szybciej bić i których nie mogła zrozumieć, choć rozpierała ją duma, że zdołała mu się oprzeć. Czy Brand nadal był na nią wściekły, czy już tylko nadąsany?

- Nigdy nie odrzucam wyzwania - stwierdził znacząco, jakby chciał dać jej coś do zrozumienia. - Nawet my, rozpustnicy, mamy swój kodeks honorowy.

- Honor! - prychnęła. - Czy skoczyłbyś z klifu, gdyby przyjaciele cię do tego namawiali?

- Gdyby w dole była woda, to niewątpliwie bym skoczył. Dlatego tak się od siebie różnimy. Ja lubię przygody, a ty... monotonię.

- Moje życie wcale nie jest monotonne tylko dlatego, że nie mogę...

...że nie mogę oddać się rozpustnikowi, który wtrąciłby moją duszę w otchłań piekielną, dokończyła w myślach.

~ Nie mogę przestać być jędrą - dokończył za nią Brand. Jednym zręcznym skokiem znalazł się na wysokim koźle. - Zrób mi przysługę i trzymaj mocno tego futrzaka, dobrze? Widok stratanego psiaka popsulby wszystkim zabawę.

- Ktoś tu na pewno zostanie stratan, to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

- To nie będę ja. Powinnaś się już nauczyć, że ja gram po to, żeby wygrać.

Po raz pierwszy tego dnia zobaczyła na jego ustach doskonale sobie znany pyszałkowaty uśmiech. Ten uśmiech podziałał na nią jak strzała, która wbija się głęboko w jej ciało, wywołując żar i pulsujące pożądanie.

I odjechał, zostawiając Charlotte duszącą się i zażenowaną uporczywym bólem pożądania. Jak mogła dać się wciągnąć w taką idiotyczną kłótnię? A miała już nigdy nie dopuścić, by zrobił na niej takie wrażenie.

„Ja lubię przygody, a ty monotonię”.

Ukradkiem przyglądała się, jak skierował swoją kariolkę na miejsce, pomiędzy inne powozy. Zeskoczył i wdał się

Barbara Dawson Smith  
Zar

w rozmowy z innymi powożącymi - podawał im rękę i męskim zwyczajem poklepywał ich po plecach. Jego wysoka, smukła sylwetka poruszała się z jakimś fatalnym wdziękiem, który trafiał wprost do jej kobiecego serca. Może była głupia, ale pragnienie, które odczuwała w stosunku do niego, nie ograniczało się wyłącznie do fizycznego pożądania.

Może Brandowi odpowiadający jej styl życia wydawał się monotony, ona jednak wołała od czasu do czasu się ponudzić, niż przejmować się kimś, kto ryzykuje życie w pojedynkach, wyścigach kariolek czy innych idiotycznych przedsięwzięciach.

Z postanowieniem wyrzucenia go z myśli, ruszyła z Fancy na spacer wokół terenu, na którym zgromadzili się uczestnicy wyścigu. Tu i ówdzie zielone kielki wychodziły z poszycia, obok widniały kępki nie rozkwitłych jeszcze fiołków. Powietrze było chłodne, rześkie i przesycone wonią przedwiośnia, przynoszącą nostalgiczne wspomnienie wrzosowisk.

Zatęskniła za swoim przytulnym, małym domkiem na peryferiach Yorku. I zapragnęła wrócić do normalnego życia, nawet jeżeli czasami bywało monotonne. Najpierw jednak musiała zapewnić bezpieczeństwo babci.

Mężczyźni, którzy nie brali udziału w wyścigu, zebrali się w grupkę, robiąc zakłady i wymieniając opinie o szansach zawodników. Charlotta odciągnęła od nich Fancy i zatrzymała się blisko pań, obnoszących modne kapelusze i dopasowane pelisy. W pobliżu ustawiono stół z poczęstunkiem, przy którym panie mogły wypić łyk herbaty czy skubnąć ciasteczko. Kilka dam, które Charlotta spotkała poprzedniego wieczoru, uśmiechnęło się do niej na powitanie, albo zmusiło się do uprzejmego skinienia głową. Pozostałe spoglądały na nią domyślnie, lecz to było do przewidzenia. W końcu przyjechała tu przecież w towarzystwie Branda Villiersa.

Przed grupką kobiet stała zgrabna brunetka w eleganckim czepeczku z piór i szkarłatnej pelisie, której barwa podkreślała intensywną czerwień jej warg i czarne oczy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Patrzyła przez lornetkę, żeby dokładniej przyjrzeć się mężczyznom na końcu dróżki, którzy rozkoszowali się mającym się zaraz rozpocząć wyścigiem.

Charlotta popatrzyła na nią z napiętą uwagą. Pomyślała, że żona Clifforda Vaughna może stanowić klucz do rozwiązania zagadki.

Stanęła przy niej.

- Dobry wieczór. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, bym się do pani przyłączyła.

Lady Lydia opuściła złotą lornetkę. Przenikliwym spojrzeniem obrzuciła najpierw ręce Charlotty, a dopiero potem popatrzyła na twarz.

-A, Charlotta Cjuinton. Mąż mówił, że Faversham zabronił pani brać udział w dzisiejszym spotkaniu.

- Moja siła perswazji zwyciężyła. - Ciekawe, czy ta kobieta wie cokolwiek o morderstwach, przemknęło Charlocie przez myśl. - Jest pani sama? Może mogłybyśmy razem oglądać wyścig?

Lydia prychnęła pogardliwie.

- Cóż, na pewno będzie pani ciekawszą rozmówczynią niż moja obecna towarzyszka. - Zza jej pleców nieśmiało wysunęła się jasnowłosa, mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna ze spuszczoneymi oczami. - To panna Darby, kuzynka mojego męża. Margaret, przywitaj się z lady Charlottą.

Panna Darby dygnęła. Jej wargi poruszyły się, ale nawet jeśli wypowiedziała jakieś słowa powitania, to Charlotta ich nie dosłyszała.

- Mów głośniej, dziewczyno - zawołała Lydia, lecz nie dała pannie Darby szansy wykonania polecenia. - Wychowała się na farmie mlecznej w Sussex. Najprawdopodobniej nie zauważyła jej pani na wczorajszym koncercie, bo, jak zwykle zresztą, chowała się gdzieś w kącie.

Ta niegrzeczna prezentacja obudziła w Charlocie in-stykt opiekuńczy.

- Miło mi panią poznać, panno Darby-powiedziała ciepło i wyciągnęła rękę. - Ja także większość życia spędziłam na wsi. Może któregoś dnia porozmawiamy o tym.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Kiedy podały sobie ręce, panna Darby odważyła się podnieść wzrok, dzięki czemu Charlotta dostrzegła duże niebieskie oczy i wymuszony uśmiech.

- Proszę nie spodziewać się od niej odpowiedzi. Stawiam gwineę, że nie uda się pani zmusić jej do sklecenia razem choćby pięciu słów. - Lady Lydia machnęła dłonią w rękawicze w stronę dziewczyny. - Chciałabym porozmawiać z lady Charlotta na osobności. Weź jej psa na spacer, dobrze? I nie oddalaj się zbyt daleko.

Dziewczyna posłusznie wyciągnęła rękę po skózaną smycz, ale Charlotta nie chciała do niczego jej zmuszać.

- Fancy sprawia czasami kłopoty. Szczególnie w obecności mężczyzn.

- Proszę, milady. To mi nie przeszkadza - powiedziała panna Darby cichutkim głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

Leciutko pociągnęła smycz, co Fancy uznała za wystarczającą zachętę. Zaczęła merdać ogonem i z instynktownym zaufaniem wyraziła gotowość do spaceru, więc Charlotta pozbyła się skrępowań.

- Skleciła razem pięć słów. Jest mi pani winna gwineę. - Charlotta nie mogła sobie odmówić przyjemności po wiedzenia tego, kiedy dziewczyna oddaliła się już z psem w stronę kępy wiązów.

Lydia zmarszczyła czoło, ale zaraz roześmiała się głośno. Poklepała obramowaną złotym jedwabiem torebkę.

- Chyba nie mam monet. Ureguluję dług przy następnym spotkaniu.

- Proszę uznać zakład za niebyły. Nie mam ochoty zerować na nieśmiałości panny Darby.

Lydia szeroko otworzyła oczy.

- To lekkość - stwierdziła z niesmakiem. - Zajmowa nie się tym bachorem przez ostatnich kilka miesięcy było dla mnie prawdziwą próbą. Mam jej znaleźć męża, uwie rzy pani? Gdybym nie podtrzymywała konwersacji, od straszylałyby milczeniem wszystkich konkurentów.

Charlotta zacisnęła zęby. Nie chciała robić sobie wroga

z kobiety, która mogła stanowić klucz do odkrycia tożsamości mordercy.

- Nie wszyscy mogą być równie towarzyscy jak pani - powiedziała z wymuszonym podziwem. - Państwo musicie mieć wielu przyjaciół.

- Naturalnie, jesteśmy zapraszani na wszystkie najlepsze przyjęcia. - Lydia uśmiechnęła się przebiegle. - Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale jestem zaskoczona, że pani odważyła się przyjść na wieczór muzyczny do Pomeroyów.

Charlotta zdrętwiała. Czyżby Lydia wiedziała o jej zesłaniu do Yorku? Niemożliwe. Tylko najbliższa rodzina znała prawdę.

- Słucham? - zapytała z urazą.

- Chodzi mi o pani blizny, oczywiście. Wszyscy wiedzą, jak okropnie została pani w dzieciństwie poparzona. - I unosząc lornetkę, Lydia rzuciła znaczące spojrzenie na ramię Charlotty, jakby była w stanie przebić wzrokiem długi rękaw i dziecięce rękawiczki. - Jakie to przerażające, zostać tak zdeformowaną. Gdybym to ja była na pani miejscu, zapewne nie miałabym odwagi pojawić się w przyzwoitym towarzystwie.

Charlotta z największym trudem powstrzymała odruch ukrycia ręki za plecami. Jako nastolatka miała potworne poczucie odmienności... czuła się okropnie wśród dziewcząt, które miały skórę gładką jak mleko. Uwaga Lydii przypominała jej bolesne poczucie niższości i to celowe okrucieństwo naprawdę ją rozwścieczyło.

Zmusiła się jednak do chłodnego, uprzejmego uśmiechu.

- Nie boję się wielkiego świata. Mnóstwo ludzi akceptuje mnie taką, jaka jestem. A ci, którzy sądzą mnie po bli znach, to tylko płyty, ograniczeni umysłowo bigoci.

Lydia nie wyglądała na przejętą tym przytykiem. Jej piękna twarz miała wyraz wyrachowania i szyderstwa.

- Cóż za szczerość. Faversham zawsze lubił bezczelne kobiety.

I znów, po raz kolejny, udało jej się zmieszać Charlotte. Czyżby Lydia sądziła, że Charlotta jest kochanką Branda?

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

Rozzłościła się jeszcze bardziej, ale w porę przypomniała sobie, że najważniejsze jest zdobycie informacji.

- Skoro już mówimy tak szczerze - powiedziała - może zaspokoić pani moją ciekawość. Zawsze chodzi pani na przyjęcia z mężem? A może on ma swoje własne grono przyjaciół?

Lydia machnęła ręką.

- Oboje chodzimy własnymi drogami. To bardzo wygodne rozwiązanie. Chyba pani rozumie, co mam na myśli?

Charlotta zmarszczyła czoło. Czy to znaczy, że Lydia nie brała udziału w żadnym spotkaniu Ligi przed czterema laty? Czy w ogóle wie o dawnych powiązaniach męża z piekielnym klubem?

- Mogę spytać, jak długo jesteście państwo małżeństwem?

- Ponad dziesięć lat. - Piękne rysy Lydii przybrały zadowolony z siebie, przebiegły wyraz. - Wystarczająco długo, żeby każde z nas zdobyło sobie pewne... przywileje.

- Przywileje?

- Niech pani nie udaje niewiniątka, lady Charlottto. W końcu obraca się pani w towarzystwie Favershama.

Charlotta zarumieniła się i pobiegła wzrokiem ku uderzająco zgrabnej sylwetce stojącego w grupie panów Branda. Sądząc po gestach, dyskutowali o dystansie wyścigu.

- Widzę, że niewłaściwie oceniła pani moją przyjaźń z nim.

- Przyjaźń. - Lydia wymówiło to słowo ze szczególnym naciskiem, jakby miało jakieś inne, tajemnicze znaczenie.

- Proszę mi pozwolić powiedzieć, że doceniam pani dyskrekcję. A może zależy pani na tym, żeby... zaprzyjaźnić się z moim mężem, co?

- Chciałabym lepiej poznać oboje państwa - powiedziała ła Charlotta niepewnie. W zachowaniu kobiety była jakaś zachłanność, jakiś podtekst, który budził jej nieufność.

- Oczywiście, jeśli jestem zbyt niecierpliwa...

- Dość tej pozy - oświadczyła Lydia. Postukała lornetką w ramię Charlotty. - Jeśli już musi pani wiedzieć, to Clifford

Barbara Dawson Smith  
Zar

był zaintrygowany właśnie pani bliźniami. Jeśli chce pani mieć z nim romans, zaaranżuj to z prawdziwą rozkoszą.

- Romans? - Charlotte zatkało.

- Zaszokowałam panią? Widocznie Faversham jest pani pierwszym kochankiem. Proszę pozwolić sobie powiedzieć, że z czasem nabierze pani apetytu na odmianę.

- Nie mogę sobie nawet czegoś takiego wyobrazić.

Pożądlliwość i zawiść zniekształciły piękną twarz Lydii.

- Słyszałam, że jest rewelacyjnym kochankiem. Muszę poprosić Clifforda, żeby podszeptał coś Favershamowi na ucho. Mój mąż i ja często świadczymy sobie przysługi w tej materii. - Jakby rozmawiały o pogodzie, Lydia obojętnie uniosła lornetkę i skierowała ją na grupę mężczyzn.

Dostarczała kochanki mężowi. A Vaughn z kolei oddawał ją innym mężczyznom. Czy tak właśnie wyglądają małżeństwa ludzi z towarzystwa?

Charlotta przełknęła niesmak i w odrętwieniu odwróciła się w stronę pola, na którym powozy stały już ustawione w rzędzie. Jak to się stało, że rozmowa przybrała taki obrót? Nie dowiedziała się niczego poza tym, że znajomi Branda byli bardziej zdemoralizowani, niż mogła sobie wyobrazić.

Poszukała wzrokiem Branda, który siedział już w lśniącej szarej kariolce na skraju rzędu współzawodników. Czy on także brał udział w takich sprośnych gonitwach? Czy uwodził żony znajomych? Wielki Boże, wcale nie chciała wiedzieć.

- Proszę spojrzeć, wyścig zaraz się zacznie! - zawołała Lydia. - Najwyższy czas. Od wieków już sterczymy na mrozie.

Choć Charlotta miała boleśnie ściśnięty żołądek, zmusiła się do lekkiego tonu.

- Dlaczego mężczyźni zawsze muszą ze sobą współzawodniczyć?

- Żebyśmy my, kobiety, mogły współzawodniczyć o zwyciężcę, oczywiście. - Lydia rzuciła Charlottcie wyzywające spojrzenie. - Żeby wszystko było jasne: mam zamiar

Barbara Dawson Smith  
Zar

zdobyć zwycięzcę. Jeśli będzie nim Faversham, musi mi go pani oddać na jedną noc.

W sercu Charlotty rozszalała się burza uczuć. Wiedziała, że jeśli ta kobieta ośmieli się robić Brandowi awanse, to ona wcale nie będzie tego tolerować, tylko przerwie to niezwykle stanowczo.

Zanim zdążyła się zastanowić skąd ten gwałtowny przypływ zaborczości, powietrze rozdarł huk wystrzału.

Na ten sygnał powozy ruszyły pędem, koła zafurkotały, okucia z brązu zabłyśły. Spod końskich kopyt wzbily się kłęby kurzu. Wśród widzów zapanowało radosne ożywienie. Mężczyźni krzyczeli coś do swoich faworytów, kobiety wydawały zachęcające okrzyki.

W środku masy pojazdów dwa powozy zaczęły o siebie kołami. Zwolniły i zostały w tyle, czemu towarzyszyły jęki i pomruki dopingujących je widzów.

Choć Charlotte kusilo, żeby zamknąć oczy, obserwowała wszystko z zapierającą dech w piersiach fascynacją. Scena miała w sobie pewne dzikie piękno, które sprawiało, że jej serce biło mocniej, a zmysły wyostriły się. Brand wyprzedził pozostałych, w tym także jaskrawą kariolkę Vaughna. Z mglistym poczuciem, że zamiast modlić się o jego bezpieczeństwo, dopinguje go do zwycięstwa, Charlotta przycisnęła dłonie do ust.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Coś śmignęło przez pole - mały czarny kociak, a w ślad za nim rzucił się w pogoń pies.

Fancy?!

Z okrzykiem przerażenia Charlotta rzuciła się za nimi. Za późno.

Kot pędził wprost na ścigające się powozy, pies tuż za nim. Żeby nie stratać zwierząt, Brand skręcił na tor, którym jechały kariolki rywali.

Z sercem w gardle Charlotta dostrzegła, że Fancy i jej łup uciekły w zarośla na brzegu rzeki.

W tej samej chwili powozy zderzyły się.

## Rozdział 11

### Dar Anny

Charlotta dobiegła na miejsce wypadku przed innymi ludźmi.

Z ogromną ulgą skonstatowała, że Brand jest bezpieczny. Skręcił i zatrzymał się w dębowym zagajniku, a teraz starał się uspokoić spłoszone konie. Inny powóz ugrzązł w błocie na brzegu rzeczki, a powoźcy próbowali wykręcić zaprzęgiem koni. Jakimś cudem przewrócił się tylko jeden pojazd.

Czerwono-żółta kariolka leżała na boku, koto nadal obracało się w powietrzu. Kilku stangretów podbiegło, żeby wyprząc przerażone konie.

Charlotta dostrzegła lorda Clifforda Vaughna - leżał na wznak w niskim bukszpanowym żywopłocie.

Podbiegła do niego z przerażeniem. Miał zamknięte oczy, a ręce i nogi rozrzucone na boki. Śniadą twarz przecinały krwawiące zdrapania. Nie dostrzegła innych ran, ale przecież mógł mieć obrażenia wewnętrzne.

Mógł nie żyć.

Niesamowita myśl przemknęła jej przez głowę. Kolejny członek Ligi Lucyfera...

- Lordzie Cliffordzie! - zawołała ostrym głosem. - Nic panu nie jest?

Ani drgnął. Szeroka pierś nie unosiła się w oddechu.

Podniosła bezwładną rękę i w tym momencie usłyszała za plecami odgłos zbliżających się kroków, którym

Barbara Dawson Smith

Żar

towarzyszyły przenikliwe kobiece krzyki i nawoływania mężczyzn.

Podbiegła lady Lydia, blada i wyraźnie przejęta. Na widok leżącego bez życia męża wydała przenikliwy pisk. Stojący najbliżej mężczyzna podtrzymał ją, bo zachwiała się na nogach.

- Dobry Boże, Cliff! Czy on nie żyje?

Charlotta bała się odpowiedzieć. Kiedy drżącymi palcami nie zdołała odnaleźć na jego przegubie pulsu, rozluźniła mu fular - sztywny, wykrochmalony pas związanego lnu.

Przysunęła do niego twarz i lekko poklepała go po policzku.

-Lordzie Cliffordzie! - zawołała znowu z naciskiem. - Proszę się ocknąć!

Ranny otworzył oczy i uśmiechnął się szeroko.

-Buu!- zawołał.

Charlotta odskoczyła do tyłu, a on wybuchnął śmiechem.

Lydia podeszła bliżej i uderzyła go torebką.

- Cholerny żartownisi Powinnam wiedzieć, że zwyczajny upadek nie jest w stanie cię zabić.

Vaughn stoczył się z krzewu i wylądował na tyłku.

-Auu, Lyddie. To tylko taki mały żarcik. Przecież wiesz, że nigdy nie mogę oprzeć się pokusie, jeśli pojawia się okazja zrobienia kawału.

- Nie bądź gburem. Wstań w tej chwili i natychmiast przeproś lady Charlotte, że napędziłeś jej takiego stracha.

Posłusznie się podniósł, strzepując z płaszcza gałązki i liście. Uniósł nogę i wykonał przed Charlottą dworny ukłon.

- Proszę o wybaczenie, milady. Choć miło wiedzieć, że zależy pani na mnie na tyle, że rzuciła mi się pani pędem na ratunek.

Charlotta zaczynała otrząsać się z szoku, ale sama nie wiedziała, czy się na niego gniewać, czy się cieszyć, że nic sienie stało. - To samo zrobiłabym dla żebraka na ulicy.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Ho, ho. Zostałem przywołany do porządku. Jaką mam odbyć pokutę, by wrócić do łask?

- Nigdy nie cieszył się pan moimi łaskami.

Tłum gruchnął śmiechem. Charlotta wiedziała, że ci ludzie nie mają nawet pojęcia, jak bardzo szczerą była jej odpowiedź. Dotyczyło to także samego Vaughna i jego żony, jeśli sędzić po ich radosnych uśmiechach. Wyglądali jak dwa pająki, czekające tylko, żeby wciągnąć ją w swoją sieć.

Po tej riposie Charlotta odwróciła się i zauważyła pannę Margaret Darby stojącą nad przewróconym powozem. Dziewczyna była wstrząśnięta, błękitne oczy miała pełne łez.

- Przepraszam - wyszeptała. - Smycz wysliznęła mi się z palców...

- Idiotka! - prychnęła Lydia i ruszyła w jej stronę. - Mogłaś zabić mojego męża. I zobacz, co zrobiłaś z powozem. Oto wdzięczność za to, że przyjęliśmy cię do swego domu.

Panna Darby skuliła się, ale zanim spuściła głowę, Charlotta dostrzegła w jej niebieskich oczach wyraz niechęci. Wcale jej się nie dziwiła.

Szybko stanęła pomiędzy obu kobietami.

- Jeśli już musi kogoś winić, proszę winić mnie. Powinnam uprzedzić, że Fancy gania za kotami.

- Wszystkie psy gonią za kotami i ona powinna to doskonale wiedzieć. Chodź, Margaret. Będziemy musiały jechać do domu razem ze służbą. I Lydia odeszła, a panna Darby podreptała za nią.

Po zakończeniu przedstawienia tłumek gapiów zaczął się rozchodzić. Mężczyźni poszli sprawdzić uszkodzenia swoich powozów, a damy dyskutować z podnieceniem o wypadku.

Charlotta nie miała ochoty zbliżyć się do żadnej z nich. Ruszyła w stronę rzeki, kierując się do miejsca, gdzie po raz ostatni widziała Fancy.

Po chwili zobaczyła Branda, który biegł ku niej długimi susami, trzymając psa na rękę. Był potargany, miał

Barbara Dawson Smith

Żar

smugę błota na policzku, ale jeszcze nigdy nie wyglądał tak wspaniale.

Dobry Boże, mógł zginąć. Mężczyzna, którego kochała, mógł zostać zmiażdżony kołami powozu albo stratowany przez konie.

Mężczyzna, którego kochała...

Uderzona tą myślą, zatrzymała się przy kępie krzewów. Wbiła wzrok w smukłą, zgrabną sylwetkę mężczyzny, zbliżającego się do niej tak wyciągniętym krokiem, na jaki pozwalały mu długie nogi. Serce Charlotty wezbrało czułością. Tak, kochała Branda Villiersa. Kochała w nim wszystko: jego chód i uśmiech, ponure milczenie i cięte riposty. Dzięki niemu czuła, że żyje, dzięki niemu uświadomiła sobie zmysłowe potrzeby własnego ciała. Może nawet kochała go przez całe życie?

I nawet w chwili, gdy spokojna pewność wypełniła jej serce, Charlotta była z tego powodu zrozpaczona. Miłość do Branda mogła jej przynieść wyłącznie cierpienie. On nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Nie pokocha jej z czułością i lojalnością, tak, jak pragnęła być kochana.

To Harold Rountree wyznał, że darzy ją takim uczuciem.

Ostatnie promienie słońca oświetliły grymas na rzeźbionych rysach Branda. Charlotta pragnęła aż do bólu otoczyć go ramionami i wyrazić radość, że udało mu się uciec, ale tylko wzięła od niego psa.

- Niedobra dziewczynka - mruknęła. - Tak się bałam, że cię stracę.

To Branda tak bardzo bała się stracić, lecz tego powiedzieć nie mogła. Nie miała odwagi wyznać mu tej głupiej miłości, z której przed chwilą zdała sobie sprawę.

Fancy polizała brodę Charlotty w psim pocałunku.

Brand obserwował je, mocno zaciskając usta.

- Mówiłem, żebyś ją mocno trzymała.

- Fancy nie była ze mną. - Charlotta opanowała się i dokładnie opowiedziała mu, jak panna Darby zabrała psa na spacer. Obejrzała się przez ramię, ale nigdzie nie dostrzegła ani żony Vaughna, ani jego kuzynki. - Biedna panna

Barbara Dawson Smith

Żar

Darby. Obawiam się, że Lydia znalazła pretekst, żeby ją jeszcze gorzej traktować.

- Jeśli ta dziewczyna ma choć odrobinę rozsądku, to sama znajdzie sobie męża i szybko wyprowadzi się w tego domu.

- W takim razie chyba zdajesz sobie sprawę, jacy oni są perwersyjni. - Charlotta z troską zrelacjonowała mu rozmowę z Lydią, pomijając jedynie jej obrzydliwe przytyki i uwagi na temat Branda. - Ona właściwie zaproponowała, że zorganizuje mi romans. Ze swoim mężem.

Żaden mięsień nie drgnął w twarzy Branda. Jego twarz w zapadającym zmroku wydawała się bardzo surowa.

- Zgodziłaś się?

Zraniona i rozgniewana Charlotta aż zeszywniała.

- Nie, ty zarozumiałcze! Jak mogłeś nawet przypuścić, że wzięłabym udział w czymś tak odrażającym!?

- Twierdziłaś, że zrobisz wszystko, żeby rozwiązać tę sprawę. W łóżku mogłabyś wyciągnąć od niego wszystkie możliwe informacje.

Gdyby nie stojący w pobliżu ludzie, chyba dałaby mu po twarzy.

- Celowo udajesz takiego tępego? Nie dostrzegasz mojego punktu widzenia!

- To dlaczego mnie nie oświecisz?

- Twierdzą, że Vaughn i jego żona są zdolni do wszystkiego, nawet do morderstwa. Nie rozumiem tylko, dlaczego zabili tych mężczyzn.

Brand podrapał Fancy po głowie.

- Długi - stwierdził lapidarnie.

Charlotta pobiegła wzrokiem ku Vaughnowi, który wraz z kilku innymi panami oceniał szkody, jakie poniósł jego kosztowny powóz.

- Sądziś, że są w rozpaczliwej sytuacji finansowej?

- Vaughn był sporo winien tym, którzy zginęli. Ponad trzydzieści tysięcy funtów.

Wiadomość wstrząsnęła Charlottą. To niewątpliwie stanowiło poważny motyw morderstwa.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Wielkie nieba! Komu jeszcze są winni? Może ci ludzie będą następnymi?

- Badam tę sprawę.

- Musisz mieć jakieś podejrzenia. Powiedz mi.

- Kiedy indziej. Chodźmy stąd. - Zrobił groźną minę. - Chyba że ty chcesz być następna.

Ruszył w stronę powozu, a Charlotta starała się dotrzymać mu kroku, zdetonowana jego nagłym zamilknięciem.

- To Weatherby albo Lane? Chciałabym poznać innych podejrzanych.

- Musiałabyś rozwinąć w sobie upodobanie do ciemnych stron życia. Nie mam wątpliwości, co Różyczki myślą na ten temat.

-Nie muszą wiedzieć. Poza tym, przyjechałam tutaj, prawda?

-To co innego niż przyjęcie w domu pełnym wolnych sypialni i ciemnych zakątków. Nie wspominając już o goszczących tam ludziach, którzy nie mieliby nic przeciwko wykorzystaniu naiwnej starej panny.

Jeśli Vaughnowie nie byli wyjątkiem, to Charlotta nie miała co z nim dyskutować. Naprawdę była niedoświadczona, przynajmniej w pewnych kwestiach. I jeszcze do tego głupia, bo marzyła, żeby Brand zaciągnął ją do jakiegoś ciemnego zakątka. I żeby nauczył ją wszystkiego co wie o namiętności...

- Z każdą chwilą jestem coraz mniej naiwna - powiedziała sucho. - Dzięki tobie i twoim przyjaciółom.

- A jednak uparcie nie chcesz dostrzec niebezpieczeństwa. Ta gra, w którą się bawisz, może się bardzo źle skończyć.

Zadrzała. Pomyślała, że jest już za późno, żeby się wycofać.

- Brand, życie mojej babci jest w niebezpieczeństwie. Podejmę takie samo ryzyko jak ty. Zrobię wszystko, żeby złapać mordercę.

Chłodne, szare oczy spojrzały na nią pytająco.

Barbara Dawson Smith  
Zar

-W takim razie, niech i tak będzie. Pokażę ci, w jak brudnym świecie żyję. Jest tylko jedna trudność.

-Jaka? Jeśli myślisz, że Różyczki się dowiedzą...

- To najmniejszy z twoich problemów. - Byli już przy kariole i Brand dotknął jej policzka w niespodziewanej pieśczoście, która przejęła ją dreszczem. Zepsuł jednak cały efekt następnymi słowami: - Jeśli masz być przekonująca, musisz udawać moją kochankę.

W chwilę później Brand zapomniał o śledztwie i o satysfakcji z niebywałej łatwości, z jaką udało mu się schwytać Charlotte w pułapkę. Kiedy wrócili do domu, North czekał w holu. Stary lokaj przekazał wiadomość i odmaszerował z godnością w błogiej nieświadomości, że wywrócił cały świat swego pana do góry nogami.

Michael i Vivien przyjechali z Devon, żeby odwiedzić lady Stokeford. Byli na górze, w pokoju Różyczek.

Przywieźli też Amy.

Wiadomość uderzyła Branda jak obuchem w głowę. Chciał natychmiast wbiec pędem po schodach. Już od dwóch miesięcy, od Bożego Narodzenia, nie widział swojej małej dziewczynki.

Nie, nie swojej. Tylko Michael miał prawo uważać się za jej ojca. Brand podjął tę rozpaczliwie dla niego bolesną decyzję już dawno temu, zrobił to dla dobra Amy. Nikt nie znał prawdy, poza Michaeliem, Vivien i nim samym. Nawet Różyczki nie miały pojęcia, że Brand jest biologicznym ojcem najstarszej córki Michaela i jego pierwszej żony.

Nawet Charlotta o tym nie wiedziała...

Podniecenie przyspieszyło bicie jego serca.

- Pewnie będziesz teraz chciała przebrać się z tych zaślonych ubrań - powiedział niespodziewanie z całkiem obojętną miną. - Możesz przyłączyć się do nas później, przy herbacie.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Brudna jest tylko pelisa. Od razu pójde na górę. - Charlotta ręką przyglądała bujne, kasztanowe włosy i ruszyła w stronę schodów. - Oddam tylko Fancy pod opiekę Nan, a to zajmie mi chwilę.

Brand chciał, żeby Charlotta odeszła, żeby zniknęła mu z oczu przynajmniej do czasu, aż zdoła opanować rozszalałe emocje i wziąć się w garść. Dogonił ją dwoma długimi susami i zablokował jej drogę.

- Zostań w swoim pokoju - rozkazał. - To nie jest dobry pomysł, żebyś przyłączyła się do nas.

- Dlaczego?

- Czyżbyś zapomniała już o tym, co zrobiłaś? Bardzo wątpię, czy Vivien ma ochotę na spotkanie z tobą.

Charlotta spuściła wzrok. Brand zdążył jednak dostrzec, że sprawił jej wielką przykrość, bo zielone oczy dziewczyny zdradzały cierpienie, jakie sprawiły jej te słowa. Był zły, że jej to przypomniał, poczuł się okropnie. Od czasu do czasu udawało mu się dostrzec jej kruchość pod maską silnej woli i przejmowało go to do głębi. Był potem wściekły na samego siebie. I na nią. Nie miała prawa wyglądać tak cholernie bezbronne po tym, jak omal nie wysłała jego przyrodniej siostry do więzienia za zbrodnię, której Vivien nie popełniła.

- To będzie twoje pierwsze spotkanie z Vivien od tamtego czasu, prawda? - ciągnął. - Pierwsze spotkanie od chwili, gdy ukradłaś tamten naszyjnik i wskazałaś ją jako złodziejkę.

Charlotta podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nadal miała spojrzenie zranionej sarny.

- Tak. Wiem, że nic nie cofnie tego, co zrobiłam, ale chcę wykorzystać okazję, żeby przeprosić.

- Zrobisz to kiedy indziej. Nie dręcz, ich swoją obecnością.

- Nie zrobię żadnej sceny, przysięgam.

I jeszcze jedno. Michael jest teraz żonaty. Mają z Vivien troje dzieci. Nie chcę, żebyś za nim latała, próbując rozbić rodzinę.

Barbara Dawson Smith  
Zar

To było uderzenie poniżej pasa i Brand pożałował wypowiedzianych słów w tej samej chwili, gdy padły. Wiedział, że Charlotta tak nisko by nie upadła. A przynajmniej rozsądek podpowiadał mu, że tak jest. W ciągu ostatnich pięciu lat udało jej się pozbyć goryczy i nabrać dojrzałości. Może żyjąc samotnie musiała dorosnąć i wyrzucić z siebie złośliwość?

Stała na wprost niego, sztywno wyprostowana, a jej owalna twarz była blada jak ściana. Tym razem nie spuściła oczu.

- Pięć lat temu zachowałam się niewłaściwie. Teraz muszę stawić czoło konsekwencjom, a nie chować się w swoim pokoju.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła wstępować po schodach, trzymając się prosto jak strzała w cholernej demonstracji dostojeństwa. Po raz pierwszy Brand bardziej podziwiał jej zachowanie niż kołysanie się bioder. Mogła wybrać najprostszą drogę i unikać Michaela i Vivien, ona jednak postanowiła się poprawić.

Cholerny uparciuch, wymyślał jej w duchu. Była również zbyt bystra, zbyt spostrzegawcza i zbyt wścibska. Ciekawe, czy zauważyła miniaturę w jego szufladzie?

Brand wbiegał po schodach po dwa stopnie, zły zimnym potem. Jeśli Charlotta domyśli się prawdy o Amy, niech Bóg się nad nim zlituje.

\* \* \*

Przed wejściem do pokoju wraz z Brandem Charlotta zatrzymała się przy drzwiach, niepewna, jak zostanie powitana. Zapadły już ciemności i tylko kilka lamp naftowych oświetlało małe zgromadzenie rodzinne.

Różyczki spoczywały na szezlongach, a ich twarze promieniały szczęściem. Michael przysiadł obok czcigodnej lady Stokeford, natomiast ciemnowłosa Vivien usiadła po turecku na podłodze u jego stóp; spod niebieskiej spódnicy widać było palce w skarpetkach. Ich najstarsza córka,

Barbara Dawson Smith  
Zar

Amy, objęta babcinym ramieniem, opowiadała właśnie o Nibblesie - swoim oswojonym króliku.

Stanowili obraz idealnej rodziny.

Charlotta nie mogła się poruszyć, nie była w stanie zrobić ani kroku. Brand miał rację: ona nie należała do tego zżytego kręgu rodzinnego. Straciła ten przywilej przed pięcioma laty. Jej obecność mogła tylko otworzyć stare rany, których lepiej było nie ruszać.

Potem zauważyła, że Brand także stanął. Stał obok niej w mroku i z surową twarzą wpatrywał się z napięciem w szczęśliwą gromadkę. Jakby i on czuł się pośród nich obco.

Charlotta pamiętała, że przed laty miał jakiś konflikt z Michaeliem. Na tym skończyła się ich bliska przyjaźń z dzieciństwa, kiedy to razem wypuszczali w kościele żaby i razem budowali tratwy, żeby przepłynąć jezioro. Nie wiedziała, o co im poszło, pamiętała tylko, że pokłócili się w czasie pierwszego małżeństwa Michaela. Widać już nigdy nie udało im się zasypać przepaści.

Charlotta poczuła nagle bliskie pokrewieństwo z Brandem. Nad jego przeszłością także ciążyły jakieś zmy. I ta świadomość sprawiła, że poczuła się mniej samotna.

Babcia pierwsza ich zauważyła i uśmiech rozjaśnił jej puciołowatą twarz pod wesołym żółtym turbanem. Złamaną rękę na temblaku wspierała o ułożoną na kolanach poduszkę.

- No, spójrzcie, kogo tu mamy.

Amy dostrzegła stojącą w cieniu drzwi parę i podskoczyła.

- Wujku Brandonie, wróciłeś do domu! Co cię tak długo zatrzymało? Od wieków cię nie widziałam!

Dziewczynka podbiegła do nich, rude loki podskakiwały na jej główce, a oczy błyszczały radośnie. Ciemnobrązowa sukienka zdawała się podkreślać jej promienny uśmiech. Brand pochylił się, objął dziewczynkę i zakręcił nią w powietrzu, odwracając się plecami do Różyczek i rodziców małej. Tylko Charlotta widziała jego twarz.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Przez ułamek sekundy blask czułości złagodził stalową szarość jego oczu i Charlotta poczuła nagle z niezbitą pewnością, że on kocha tę dziewczynkę. Naprawdę ją kocha.

Dziwne, bo nigdy nie mówił o Amy. Natomiast w biurku miał jej portrecik...

- Kim ty jesteś? Co się stało z tamtą malutką Amy? - droczył się Brand z dziewczynką w swój normalny, nieco zblażony sposób.

Mała wzięła się pod boki i spojrzała na niego z urazą.

- To ja jestem Amy. Już mnie nie poznajesz?

-A, to ty? - Oglądał ją od stóp do głów. - Ale urosłaś. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, sięgałaś mi do łokcia.

-Nieprawda. Zresztą mam już dziewięć i pół roku, czyli jestem już prawie dorosłą damą. Mama mówi, że kiedyś będę taka wysoka jak ona.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i zmierzwił włosy dziewczynki.

- Na pewno. I założę się, że równie ładną. Zostawisz za sobą sznureczek złamanych serc od jednego krańca Anglii do drugiego.

Amy rozpromieniła się.

- Mam dla ciebie prezent - powiedziała, sięgając do kieszonki białego fartuszka. - Zobacz, sama narysowałam.

Brand rozwinął złożoną kartkę papieru.

- Twój królik. W bardzo ciekawej interpretacji. Oprawię go w ramki i postawię na biurku.

Jeśli tak przepadał za Amy, to dlaczego nie powiesił jej portreciku na widoku? Jednak Charlotta natychmiast zapomniała o tym dręczącym ją pytaniu, bo zbliżyli się Michael i Vivien.

Vivien serdecznie objęła Branda i pocałowała go w policzek. Byli bratem i siostrą, mieli wspólnego ojca, choć Vivien była dzieckiem pozamałżeńskim. Mężczyźni ponuro uścisnęli sobie dłonie.

Z pełnym rezerwy uśmiechem Michael położył rękę na ramieniu Amy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Kopę lat, Brand. Powinieneś częściej przyjeżdżać do Devon.

- Dobrze mi w Londynie - odparł Brand, wzruszając lekko ramionami. - Na wsi za mało się dzieje jak na mój gust.

- Tak jest, kiedy człowiek ma mały oddziałek dzieci, szalejących po całym domu. Na szczęście dwójkę młodszych szybko uspiliśmy i zostawiliśmy w naszej miejskiej rezydencji. - Michael narzekał wesoło, łagodnie uśmiechając się do żony. Potem spojrzął na Charlotte i wszelkie ciepło natychmiast z niego wyparowało. Zdobył się tylko na lekkie skinienie głową: - Witaj, Charlotte

To wszystko. Tylko dwa słowa, wypowiedziane tonem zawołanego wyrzutu.

Charlotte pragnęła, żeby podłoga rozstała się pod jej stopami i pochłonęła ją.

Wszyscy na nią patrzyli. Różyczki robiły wrażenie zatroskanych, a Amy była wyraźnie zmieszana, jakby wyczuwała podskórne napięcie i nie miała pewności, kim jest Charlotte.

Wysoki, przystojny, ze śladami siwizny na skroniach Michael objął ramiona żony opiekuńczym gestem. Kiedy ostatnim razem spotkali się we trójkę, Charlotte myślała, że go kocha. Ale on widział tylko Vivien, więc chora z zazdrości Charlotte uknuła plan, żeby zdyskredytować rywalkę. Ukradła drogocenny naszyjnik i schowała go pod jej poduszką, licząc na to, że Vivien zostanie uznana za złodziejkę i odesłana do Cyganów, wśród których się wychowała.

Intryga się powiodła. Aż za dobrze. Bo Vivien, zamiast zostać wygnana, została doprowadzona do magistratu.

Widząc teraz Michaela i Vivien, Charlotte została ponownie wręcz sparaliżowana własnym czynem. Jak oni oboje muszą jej nienawidzić. Mało brakowało, a zrujnowałaby ich szanse na szczęście i posłała niewinną kobietę do więzienia. I oto teraz znowu wdziera się beztrąsko w ich życie, jakby zwyczajnymi przeprosinami mogła zdobyć ich wybaczenie.

Vivien przerwała pełne napięcia milczenie. Uśmiechnęła się uprzejmie.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Charlotta, miło cię znów widzieć.

Wyraziście piwne oczy wyrażały szczere powitanie, przez co Charlotta poczuła się jeszcze gorzej. Nie zasługiwała na ofiarowaną jej gałązkę oliwną. Myślała tylko o sobie, chciała zrzucić wreszcie z siebie brzemię winy, a przecież nie powinna w ogóle pokazywać się Michaelowi i Vivien na oczy. Tyle przynajmniej była im winna.

Jej oczy wypełniły się łzami, ale jakoś je powstrzymała.

- Przepraszam - wymamrotała. - Nie... nie powinnam była tu przychodzić.

Odwrociła się, żeby odejść, ale Vivien podbiegła i złapała ją za ramię.

- Nie bądź niemądra. Chodź i usiądź z nami. Właśnie opowiadamy Różyczkom wszystkie rodzinne ploteczki.

Charlotte została wciągnięta do pokoju, posadzona na podnóżku i włączona do zgromadzenia rodzinnego. Vivien podała jej z tacy filiżankę herbaty i Charlotte zacisnęła zziębnięte palce na gorącej porcelanie.

Nie była w stanie przełknąć ani kropki. Czowała się tu jak intruz. Mogła tylko siedzieć w głuchym milczeniu i przysłuchiwać się rozmowie.

- Gdybyśmy zdawali sobie sprawę, jak poważny był ten wypadek - mówił właśnie Michael - to przyjechalibyśmy wcześniej. Ale babcia zbagatelizowała go w liście. - Spojrzął wymownie na czcigodną lady Stokeford, która wyglądała jak krucha figurynka o jasnej cerze, mądrych niebieskich oczach i puszystej czapie białych włosów.

- Gadanie - powiedziała lekceważąco starsza pani. - Nie chciałam niepotrzebnie was martwić. Poza tym mamy przecież Charlotte i Brandona do towarzystwa.

- Nieważne, i tak nie powinnaś była wyjeżdżać z domu w samym środku burzy śnieżnej - oznajmił Michael. - To cud, że żadna z was trzech nie zginęła.

On nic nie wie, pomyślała z roztargnieniem Charlotte. Czy Brand opowie mu na osobności o próbie zabójstwa Różyczek?

Amy objęła ramionami lady Stokeford.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Tata ma rację, babciu. Nie możesz już nigdy, nigdy tego robić.

Wszystkie Różyczki roześmiały się serdecznie. Nawet surowa lady Faversham parsknęła rzadko u niej spotykanym śmiechem.

- No, no, kochanie - powiedziała lady Stokeford, gładząc gładki policzek dziewczynki. ~ Wszystko dobre, co się dobrze kończy. A teraz idź obejrzeć książkę, którą ci dałam.

Amy zacisnęła usta, jakby chciała zaprotestować, ale posłusznie usiadła w wykuszu okna i w świetle kandelabra zaczęła przewracać stronicę książki.

- Niestety, nasza misja wcale się dobrze nie skończyła - mruknęła zniżonym głosem lady Faversham, a jej po marszczona twarz przybrała poważny wyraz, pasujący do surowego uczesania szpakowatych włosów. - Przybyłyśmy zbyt późno, żeby powstrzymać ślub.

Michael spacerował przed Różyczkami.

- Była jakaś wiadomość od Firtha?

Lady Stokeford przecząco pokręciła głową. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

~ Obawiam się, że nie. Samuel wyjechał do Indii Zachodnich.

-A co z Cassandrą? - zapytała Vivien z pociemniałymi ze zmartwienia oczami. - Jesteście pewne, że ją zostawił?

- Wysłałyśmy Nathaniela do Lancashire, żeby się cze gość dowiedział - powiedziała lady Enid drżącym głosem. - Nieszczęsna dziewczyna wróciła do ojca, księcia Chiltern.

Lady Faversham wbiła czubek łaski w dywaft.

-Jak tylko będziemy mogły podróżować, zamierzamy osobiście porozmawiać z Chilternem. Wygląda na to, że oddał córkę Samuelowi, żeby spłacić dług karciany.

- Bardziej martwię się o Cassandrę - mruknęła dystyngowana starsza pani. - Ma dopiero piętnaście lat i jest o wiele za młoda na to, żeby już była porzucona przez męża.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Może on wróci - wtrąciła lady Enid. - Trudno mi uwierzyć, że nawet Samuel mógł tak haniebnie potraktować świeżo poślubioną małżonkę.

- Ja mogę uwierzyć - stwierdziła lady Stokeford zbolalym głosem. - Obawiam się, że to moja wina, bo na chwilę spuściłam go z oka. A przecież wiedziałam, jaki jest rozgoryczony z powodu okoliczności swego przyścia na świat.

- Jest bękartem - warknął Michael. -I nie ma powodu tego ukrywać. Przy współpracy lady Cassandry może zdołam doprowadzić do unieważnienia małżeństwa.

- Ale nadal będzie zrujnowana - oświadczyła lady Faversham, z dezaprobatą sznurując usta. - Chciałabym jakoś temu zaradzić.

- Co to znaczy: „zrujnowana”? - zapytała Amy. Z rudymi lokami i jasną twarzą zupełnie nie była podobna do macochy, ale przejęła od Vivien manieri, no i siedziała jak ona, po turecku, zdjawszy buciki.

-Amy-skarcił ją ojciec. -Nie powinnaś się wtrącać. Idź na górę i poczytaj sobie w bibliotece.

- Ale ja chcę zostać z babcią. Ona zawsze odpowiada na moje pytania.

Lady Stokeford uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Kochanie, słowo „zrujnowana” oznacza, że dziewczyna nie jest szczęśliwa. Powinnaś teraz chyba pójść sprawdzić, czy kucharz ma jeszcze jakieś ciasteczka. Możesz sobie zabrać do biblioteki półmisek na swój własny użytek.

Amy spojrzała podejrzliwie na prababcię, a potem na ojca.

- Chcecie porozmawiać na tematy tylko dla dorosłych, tak? Jestem wystarczająco duża, żeby słuchać.

- Nie bądź beczelna - powiedział Michael surowo. - I jeśli nie chcesz, żebym przełożył cię przez kolano i wrzepił ci parę klapsów, to natychmiast wyjdź.

- Tak, tato. - Z miną tragicznej heroiny Amy wstała z okiennego wykusza i ruszyła w stronę drzwi. - To nie w porządku, że jestem wyrzucana z pokoju, jak tylko rozmowa zaczyna się robić ciekawa. Prawda, mam?

Barbara Dawson Smith

Zar

- Znasz zasady, gołąbeczko - powiedziała łagodnie Vivien.

Ale Amy nie odpuściła. Zwróciła spojrzenie ogromnych oczu na Branda.

- Wujku Brandonie, a może ty pozwolisz mi zostać?

Brand poszukał wzrokiem Michaela i Charlotta wyczuła panujące między nimi napięcie, jakby byli dwoma psami rywalizującymi o jedną kość. To wrażenie rozwiało się natychmiast, gdy Brand z leniwym uśmiechem na ustach odwrócił się do Amy.

- Szkoda, że najciekawsze rzeczy przechodzą ci koło nosa, co? - powiedział. - Ale może chciałabyś pobawić się z psem lady Charlotty?

Amy rozpromieniła się.

- Pies? Gdzie?

- Fancy jest w moim pokoju. - Charlotta wreszcie odzyskała głos. - Poproś lokaja, żeby cię zaprowadził. Jeśli chcesz, możesz pomóc pokojówce ją wykapać.

- O, tak! - zawołała dziewczynka i podbiegła do drzwi. Przed wyjściem zatrzymała się i grzecznie dygnęła. - Dziękuję pani - powiedziała starannie modulowanym głosem. - Teraz chyba sobie panią przypominam. Dawno temu wujek Brandon krzyczał na panią z powodu jakiegoś zaginionego naszyjnika.

Po tym wstrząsającym oświadczeniu dziewczynka opuściła pokój.

Amy podsłuchiwała tamtą kłótnię?

Charlotte ogarnęło śmiertelne przerażenie, kiedy przypomniała sobie ten okropny moment, gdy wszystko wyszło na jaw. Brand domyślił się prawdy, stanął z nią oko w oko i zażądał, żeby się przyznała. Do końca życia nie zapomni furii i nienawiści na jego twarzy. Teraz mogła się tylko pocieszać myślą, że Amy miała wówczas zaledwie cztery lata i nie mogła rozumieć wagi wydarzenia.

Ale wszyscy inni rozumieli.

Charlotta czytała to w ich twarzach, w ściągniętej twarzy Michaela, w nieszczęśliwym spojrzeniu Vivien, w

Barbara Dawson Smith  
Zar

badawczym wzroku Branda. Nawet Różyczki wyglądały na zmartwione.

Dawno temu utraciła ich szacunek, zniszczyła go osobiście, z własnej głupoty. Jak mogła mieć nadzieję, że jeśli się poprawi, to zdoła odpracować przeszłość?

Odstawiła nietkniętą herbatę i wstała sztywno, błagając Boga w duchu, żeby nogi jej nie zawiodły. Łzy znowu napłynęły jej do oczu, ale nie pozwoliła im popłynąć po twarzy, żeby nie myśleli, że chce wypłakać sobie ich współczucie.

- Przepraszam za córkę - powiedział ostrym tonem Michael. - Nie zamierzała być niegrzeczna.

- I nie była, w najmniejszym nawet stopniu. - Charlotta zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Kiedyś gotowa była poświęcić wszystko, nawet własną uczciwość, żeby go zdobyć. On uratował ją z ognia, kiedy miała trzynaście lat i prosił, jak mu się odwdzięczyła. Mocno splótła ze sobą palce rąk i przeniosła spojrzenie na jego żonę. - Ja... ja muszę wam powiedzieć, jak... jak strasznie wstydzę się za to, co zrobiłam przed pięcioma laty. Byłam niegodziwa i okrutna. Wy ofiarowaliście mi przyjaźń, a ja was zdradziłam.

Lady Enid westchnęła cicho, z przykrością, ale Charlotta nie mogła oderwać wzroku od stojącej u boku męża Vivien, której egzotyczna twarz miała ostrożny, czujny wyraz.

- Tak, wiem, że masz wyrzuty sumienia - powiedziała Vivien. - Pisałaś mi o tym w liście.

- Ale chcę ci o tym powiedzieć prosto w oczy. - Charlotta przygryzła drżące wargi. - Wiem, że nigdy nie zdołam odrobić tego, co się stało, mogę tylko przeprosić. Naprawdę bardzo żałuję.

W wyrazistych ciemnych oczach Vivien pojawiło się ciepło.

- W takim razie nie musisz już więcej o tym myśleć. Jak jej lordowska mość powiedziała: wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Czy Vivien mówiła szczerze? Czy naprawdę może jej tak po prostu przebaczyć i zapomnieć? Charlotte trudno było to sobie wyobrazić, poczuła jednak iskierkę nadziei.

- Ale tak się składa, że ja się z tym nie zgadzam - wtrącił się Brand. - I jestem pewien, że Michael także.

Michael miał rzeczywiście bardzo sceptyczną minę i najwyraźniej gotów był poprzeć Branda, ale Vivien położyła mu palce na ustach.

- No cóż, mój mąż także nie był w tej sprawie całkiem bez winy - powiedziała, karcąc go wzrokiem. - Był zdecydowany posłać mnie na szubienicę.

- Przesada - zaprotestował Michael. - Pozwoliłem ci uciec.

- Ba! Wywiodłam cię w pole i tyle! A potem pojechałeś za mną i przyznałeś, że wszechpotężny margrabia Stoke-ford się pomylił.

Uśmiechnęła się, mąż odpowiedział jej uśmiechem i nagle Charlotte, pomimo wyrzutów sumienia, poczuła ostry ból tęsknoty. Gdybyż to do niej ktoś uśmiechnął się z taką miłością w oczach.

Poszukała wzrokiem Branda, ale on patrzył na Vivien i Michaela.

- Jesteś zdecydowanie zbyt skłonna do wybaczenia - powiedział do siostry.

- Słuchaj - zawołała niezwykle stanowczo lady Enid.

- Charlotte naprawdę odpokutowała za swoje grzechy.

- Poświęciła się dobroczynności - dodała lady Stokeford.

- W przeciwieństwie do innych znanych mi grzeszników.

- Lady Faversham rzuciła wnukowi znaczące spojrzenie.

Brand uniósł w górę brew i więcej się nie odezwał, ale surowym wyrazem twarzy niedwuznacznie dawał Charlotte do zrozumienia, że jego przebaczenia nigdy nie uzyska.

To nie powinno boleć, wmawiała sobie. Jego opinia nie powinna złamać jej serca. W końcu on też nie był święty. Pił, uprawiał hazard, zadawał się z upadłymi kobietami. Czy jednak kiedykolwiek popełnił coś tak karygodnego jak zdrada bliskiego przyjaciela?

Wątpiła w to. Choć Brand był nieuleczalnym rozpustnikiem, w niektórych sprawach ściśle przestrzegał wpojonych mu w dzieciństwie zasad moralnych.

Dobry Boże, nie może dopuścić, żeby kiedykolwiek dowiedział się tego, co sobie dzisiaj uświadomiła... że pokochała go z niezaprzeczną żarliwością. Gdyby mogła wrócić teraz do Yorku, wyjechać daleko.daleko od niego, może wówczas zdołałaby o nim zapomnieć. Musiała jednak zostać w Londynie, przy nim.

Żeby złapać mordercę, musiała udawać kochankę Branda.

Barbara Dawsoti Smith

Żar

## Rozdział 12

### Na gorącymi uczynku

Tunk, stary wikary, zajrzał do szafy na dary, żeby znaleźć sukienkę dla swej biednej córki. Ale zobaczył, że półki są gołe, podobnie jak jego córka.

Lord Clifford Vaughn opuścił kartkę papieru i przyłączył się do gromkiego śmiechu słuchaczy. Z nieregularnymi rysami twarzy i niekczemną figurą wyglądał jak uszczęśliwiony troll ubrany według najnowszej mody.

Siedząca u boku Branda Charlotta stłumiła niechęć i uśmiechnęła się. Żyjąc dotychczas jak pod kloszem, nigdy jeszcze nie słyszała takiego konkursu sprośnych wierszyków. Niektóre były idiotyczne, inne obrzydliwe, wszystkie zaś zdecydowanie nieodpowiednie dla uszu damy.

Poza Lydią Charlotta była jedyną damą obecną na tym przyjęciu. Oprócz nich były tam tylko drogie kokoty, których zachowanie świadczyło, że poczucie moralności jest im z gruntu obce.

Grupka wystrojonych arystokratów zebrała się w salonie lorda Vaughna. Egzotyczny wystrój wnętrza stylizowany był na wzór arabskiego namiotu. Lamowane złotem draperie zwisały luźno ze ścian i sufitu. Wieloramienne świeczniki rzucały gdzieś tam plamy światła, pozostała część pokoju tonęła w cieniu, który kilka par zdecydowało już wykorzystać. Urywane chichoty wskazywały z żenującą jednoznacznością, jakimi to lubieżnymi czynami były zajęte.

Charlotta próbowała się skoncentrować na misji, która ją tu przywiodła. Według Branda Vaughn i jego żona byli zadłużeni po uszy. Kiedy widziało się przepych ich domu, trudno było uwierzyć, że żyją ponad stan.

Lokaj krążył po salonie, roznosząc wino i inne trunki. Jeden pijak chrapał już w kącie pokoju. Po przeciwnej stronie jakiś niedźwiedziowaty mężczyzna bez najmniejszego skrępowania pieścił piersi swej towarzyszki. Zaskokowana Charlotta odwróciła wzrok. To był Uriah Lane, osobnik z jej listy.

Powietrze wypełnił słodkawo pachnący dym. Kilku panów ociążała pykało długie fajki, podłączone do jakiegoś dziwnego urządzenia z brązu, stojącego na podłodze.

- Co to jest? - Charlotta pochyliła się do Branda, który siedział przy niej w swobodnej pozycji, z nogą założoną na nogę.

- Nargile. Zawierają opium wyprodukowane z najlepszego tureckiego maku. - Podniósł fajkę, pociągnął i wypuścił idealne kółko dymu. - Chcesz spróbować?

Z niesmakiem pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.

Jego usta wygięły się w ironicznym uśmiechu. Charlotta wpatrzyła się w małą bliznę w kształcie półksiężyca, będącą pamiątką po dawnym pojedynku. Jakże pragnęła pocałować tę bliznę i wyznać swą nierozsądną miłość.

- Robisz wrażenie spiętej - mruknął chrapliwie. - Mogę pomóc ci się rozluźnić.

- Niepotrzebne mi rozluźnienie - odparła, kiedy Vaughn zaczął czytać kolejny wierszyk, co zgromadzeni powitali gwizdami. - Ani tobie.

- Jestem w pełnej gotowości. - Wbrew tej deklaracji Brand wcale nie obserwował rozpustnych gości ani nie zastanawiał się, jak tu zdobyć klucz do rozwiązania zagadki. Jego wzrok błądził wokół jej dekoltu.

Charlotta czuła, jak jej okryta bładoniebieskim jedwabiem skóra zaczyna mrowić, a piersi nabrzmiewają. W głębi jej ciała zaczął narastać skandaliczny żar. Samo

Barbara Dawson Smith

Zar

patrzenie na niego, samo siedzenie w pobliżu przyprawiało ją o zawrót głowy. Marzyła o jego dotyku w najbardziej szokujących miejscach.

Czy to właśnie miłość robi z kobietą? Sprawia, że zapomina ona o wszystkim poza obiektem swych uczuć?

- Odłóż to Świństwo - syknęła mu wprost do ucha. - Mie liśmy rozwiązywać zagadkę.

Brand jeszcze raz się zaciągnął i odłożył fajkę na bok. Przeciągnął palcami po policzku Chariotty.

- Nie obciążaj tak spódnic - mruknął głosem niewiele głośniejszym niż tchnienie. - To także element kamuflażu.

W głębi brzucha Chariotty narastała rozkosz, uczucie, którego nie chciała zaakceptować. Tą małą pieśczęcią zgłaszał wobec wszystkich pretensje do niej. Miało to wszystkim powiedzieć, że ta kobieta należy do niego.

Była jego kochanką.

Charlotta zdławiła żenujące pragnienia.

- Tylko nie przesadzaj, Brand - rzuciła lekko, żeby za chować resztki szacunku do samej siebie.

Roześmiał się i objął ją leniwym spojrzeniem, pod którym z trudem zachowywała spokój. Od czasu pocałunku w powozie bardzo często zdarzało jej się łapać go na takich właśnie spojrzeniach. Nie protestował, kiedy spędzała sporo czasu z Vivien, powoli odbudowując ich przyjaźń. Może wreszcie uwierzył w szczerą jej przeprosin?

Nie wiedziała i nie zamierzała pytać.

- Ciekawe, gdzie jest panna Darby? - rzuciła, żeby zmienić kierunek myśli Branda. I własnych.

- Siedzi w swoim pokoju, jeżeli ma choć odrobinę oleju w głowie.

Charlotta miała taką nadzieję. Martwiła się, że Vaughnowie będą próbowali zepsuć niewinną dziewczynę. Ale może nawet oni uznawali jakieś granice nieprawości.

- Przestańcie ćwierkać sobie do uszek, zakochane ptaszki! - zawołał Vaughn. - Pewnie żadne z was nie słuchało moich sprośnych wierszyków.

Charlotta zmusiła się do uśmiechu.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Przepraszam - powiedziała. - Czy mam rozumieć, że sam pan składał te rymy?

Vaughn napuszył się. Wskazał palcem Charlotte.

- Jestem poetą, a ona nawet o tym nie słyszała.

- Jesteś zapoznanym poetą - stwierdził Brand. -

Zapoznanym! Ha! Słyszałaś, Lyddie? Faversham chciałby pewnie posłuchać mojego kolejnego utworu. Może zadedykuje go jego pięknej damie?

Jego! Charlofta uśmiechała się nadal, choć wszystko się w niej skręcało. A powinna się cieszyć; plan się powiódł. Wszyscy uznali ją za kochankę Branda, bo wiedzieli, że nawet Villiers nie odważyłby się wprowadzić uczciwej kobiety w tak wątpliwe towarzystwo.

Lydia wyciągnęła się przy mężu na kanapie z kieliszkiem wina w rękę. Spojrzała na Charlotte z ledwo skrywaną niechęcią. Potem jej twarz zmieniła się w zmysłową maskę, gdy przeniosła wyglądniały wzrok na Branda.

Charlotta instynktownie przysunęła się bliżej do niego. Sama myśl, że ta kobieta stara się go uwieść, obudziła w niej gwałtowną niechęć.

Na szczęście Brand zdawał się nie zauważać ich podskórnego antagonizmu. Oczywiście trwało to tylko przez chwilę.

W jednym momencie Lydia wpatrywała się w nich zmrużonymi oczami, w następnym patrzyła już z pogodną miną na męża.

- Następna pioseneczka, kochanie? Nie wszyscy mają ochotę na słuchanie twoich głupiotkich rymowanek. Przyprawisz lady Charlotte o rumieniec.

- Ale ta rymowanka jest naprawdę dowcipna. - Vaughn odchrząknął. - Był sobie stary rozpustnik z Kildady, co chciał wydupczyć młodą lady. Rozpiął gacie i zerknął na nią. A ona zawołała nianię.

Charlotta zdołała jakoś roześmiać się wraz z pozostałymi gośćmi. Clifford Vaughn niewątpliwie miał wycucie wulgarności. Nie powinna być zaskoczona jego zdolnościami pisarskimi - dowodziły jedynie, że jest w nim coś

Barbara Dawson Smith  
Zar



więcej niż tylko to, co widać na pierwszy rzut oka. Na szczęście przesta! zwracać na nią uwagę, kiedy do salonu wszedł wytworny blondyn. Pułkownik Tom Ransom. Vaughn wybiegł mu naprzeciw i klepnął go w plecy.

- Witaj, Ransom. Straciłeś czytanie moich utworów.  
- Zatrzymała mnie Belinda. Wyobraź sobie, ta cholerna suka zmusiła mnie, żebym z nią poszedł do opery! - Jego przystojna twarz skrzywiła się. Opadł na kanapę i zaciągnął się dymem z nargili.

Charlotte zeszywniała, słysząc, z jaką niechęcią mówi o narzeczonej. Napotkała spojrzenie Branda, który uniósł w górę brew, jakby chciał powiedzieć: „A widzisz? Ransom żeni się z lady Belindą tylko dla jej okazałego posagu”.

Jeden z palaczy, chudy, wyniszczony mężczyzna o mętnym spojrzeniu, podniósł wzrok. Był pod tak silnym wpływem opium, że ledwo zdołał powstrzymać opadnięcie głowy.

James Weatherby, pomyślała Charlotte z niesmakiem. Jego nazwisko także figurowało na liście.

-Ja... ja mam pomysł - wybełkotał Weatherby. - Może Vaughn... mógłby... mógłby napisać wiersz dla Belindy. Mógłby go odczytać na... na waszym ślubie.

- Kapitalny pomysł! - zawołał Vaughn, zacierając ręce. - Może tak: „Była sobie raz bogata panna młoda, zakochana w biednym pułkowniku, co miał jej posag na oku...”

- Zamknijcie się obaj! - ryknął Ransom, patrząc na nich ze złością. - To cholernie głupi pomysł. Jeśli któryś z was zniweczy moje małżeńskie plany, spotka się ze mną na ubitej ziemi.

Weatherby natychmiast opadł na kanapę. -

Ja tylko... żartowałem.

- Więc zachowaj swoje żarty dla siebie. Mnie one nie bawią.

Ten wybuch wściekłości zaszokował Charlotte. Czyżby Ransom tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, że gotów

był zabić każdego, kto mógł ujawnić przyszłej małżonce jego niechlubną przeszłość?

W chwili, gdy ta myśl przemknęła jej przez głowę, Charlotte pochwyciła w szparze przymkniętych drzwi szelest sukni i wyczuła obecność kogoś za drzwiami.

- Zaraz wracam - mruknęła do Branda.

Znftrszczył czoło, ale Charlotte wstała, rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje i wysliznęła się z pokoju.

W korytarzu panował chłód, odświeżający po gorącej duchocie salonu. Od dymu odrobinę kręciło jej się w głowie. Mrugając, zerknęła w głąb korytarza.

W mroku dostrzegła smukłą sylwetkę. To była kobieta.

Charlotte pospieszyła do niej.

- Panno Darby - szepnęła głośno. - Czy to pani?

Postać odwróciła się. Z mroku wyłoniła się biała owalna twarzyczka, lecz już po chwili dziewczyna zwiesiła głowę i stała w ciemności jak duch.

-To pani ~ stwierdziła Charlotte, podchodząc bliżej. - Miałam nadzieję, że się spotkamy.

Panna Darby zerknęła ukradkiem w stronę salonu, skąd dobiegał stłumiony śmiech.

- Milady. Nie powinnam podglądać - powiedziała prawie niedosłyszalnym głosem.

- Rozumiem, może pani być pewna, że nikomu nie powiem. Czy mogłybyśmy gdzieś tutaj porozmawiać na osobności?

Panna Darby zaczęła wyłamywać palce. -Nie powinnam...

- Proszę, panno Darby. Mam pani coś ważnego do powiedzenia. -I mam nadzieję, że i pani powie mi w zamian coś ważnego, pomyślała.

-Może... tutaj.

Dziewczyna jak cień wśliznęła się w ciemne drzwi pośrodku korytarza.

Charlotte pospieszyła za nią. Znalazły się w bawialni, oświetlonej jedynie smugą światła księżycowego. Większa

część pokoju pogrążona była w głębokiej ciemności. Panna Darby stała niepewnie pośrodku dywanu, więc Char-lotta przejęła inicjatywę i gestem wskazała dziewczynie, by usiadła przy niej na szeszlunku.

Postanowiła mówić bez ogródek. Złożyła ręce na kolanach.

- Martwiłam się o panią, panno Darby.

Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze, lecz nic nie powiedziała. Jej twarz była całkiem ukryta w mroku.

-Proszę mi darować, ale nie będę owijać w bawełnę - ciągnęła Charlotta. - Pani kuzyn i jego żona mają grono niezbyt przyzwoitych przyjaciół. Czy któryś z nich niepokoił panią w jakikolwiek sposób?

- Niepokoił?

Dziewczyna była kompletnie niewinna. Czy aby na pewno? Podśluchiwała pod drzwiami...

Widocznie Vaughnowie powiedzieli pannie Darby, że ma pozostać w swoim pokoju. Charlotta wyobrażała sobie siedzącą samotnie bojaźliwą dziewczynę, która musiała zastanawiać się, jakie to tajemnicze zabawy odbywają się na dole.

Ciekawość była dla Charlotty zrozumiała. Aż za dobrze.

Postanowiła starannie dobierać słowa.

-Czasami mężczyzna dotyka kobietę w nieodpowiedni sposób. Jeśli kiedykolwiek się to pani przydarzy, to mam nadzieję, że da mi pani znać. Pomogę pani znaleźć bezpieczne miejsce, w którym mogłaby się pani schronić.

Z korytarza znowu dobiegły stłumione odgłosy wesołości. Panna Darby milczała. Przypominała przerażonego małego szczeniaka, kryjącego się w kącie.

- Chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźniły - powiedziała cicho Charlotta i delikatnie dotknęła ramienia dziewczyny. -Ale jeśli pani woli, żebym zostawiła panią w spokoju, to nie będę się narzucać.

Panna Darby drgnęła.

- N-nie. Chodzi tylko o to...

-Tak?

Barbara Dawson Smith

Zar

-Chodzi o to, że... pani nie jest taka jak oni.

W nieśmiało wypowiedzianej uwadze kryło się w podtekście pytanie, na które Charlotta bardzo nie chciała odpowiedzieć, ale jeśli miała zdobyć zaufanie dziewczyny, nie mogła wymigać się od odpowiedzi.

- Zastanawia się pani pewnie, co tu robię, prawda? Panna Darby z wahaniem skinęła głową.

- Nie mam prawa pytać...

- Nonsens, wyrażanie własnych wątpliwości jest najnaturalniejsze w świecie. Widzi pani, lord Faversham jest moim przyjacielem z dzieciństwa. Dorastaliśmy razem w Devon. A dziś... dziś dotrzymujemy sobie towarzystwa. - A ponieważ nawet to bardzo ostrożne stwierdzenie zabrzmiało dość dwuznacznie, Charlotta jasno postawiła sprawę. - Muszę wyznać, że w moim życiu nigdy nie było nikogo innego. Żaden mężczyzna nie wytrzymał porównania z nim. Może pewnego dnia zrozumie to pani.

- Tak! - Głos panny Darby był niewiele głośniejszy niż tchnienie. - Chyba rozumiem.

To stwierdzenie bardzo zaskoczyło Charlotte. Czyżby dziewczyna miała jakiegoś ukochanego, mężczyznę, którego podziwia na odległość? W Bogu nadzieja, że to ktoś godny szacunku. Szlachetny rycerz, który uwolnił ją z tej jaskini lwa.

Następna myśl postawiła Charlotte w stan alarmu. A może to ktoś spotkany tutaj, w tym domu, mężczyzna, którego zepsucia dziewczyna nie była w stanie dostrzec? Może nawet były członek Ligi Lucyfera?

Miała już pytanie na końcu języka, kiedy dostrzegła w drzwiach męską sylwetkę.

Brand!

- Przepraszam. - Jego głos zabrzmiał donośnie jak wystrzał.

Panna Darby gwałtownie wciągnęła powietrze i zerwała się na równe nogi.

-Ojej! Muszę już iść! -I nie mówiąc nic więcej, wypadła z pokoju.

Barbara Dawson Smith

Zar

Zirytowana Charlotta podeszła do Branda.

- Wybrałeś sobie fatalny moment na przyjście - syknęła. - Właśnie miałam zadać pannie Darby bardzo ważne pytanie.

- Wydawało mi się raczej, że to ona wypytywała ciebie.

- Słucham? Skąd wiesz, o czym...

- „Dotrzymujemy sobie towarzystwa” - mruknął. - Co, u licha, znaczy ten eufemizm?

Charlotta była wstrząśnięta. Zaczęła na oślep bębnić pięściami w jego piersi.

- Ty draniu! Podśluchiwałeś pod drzwiami!

- Możesz dopisać kolejne łajdactwo do katalogu moich grzechów. - Położył dłoń na jej plecach i popchnął ją lekko w stronę drzwi. Potem wyjrzał na korytarz i mruknął. - Pusto. Chodź.

Dotyk jego dłoni znów obudził w głębi jej ciała bolesną tęsknotę. Ciekawe, co jeszcze usłyszał? Odsunęła się od niego i założyła ręce na piersi.

- Dokąd mam iść?

Błysnął w ciemności uśmiechem.

- Najlepiej w moje ramiona. A jeśli nie, to będę musiał wymyślić coś w zastępstwie. - Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą w górę po schodach, znajdujących się za zakrętem korytarza.

Charlotta poczuła ukłucie niepokoju. Uniosła spódnicę, żeby się nie potknąć.

- To bez sensu - stwierdziła. - Wracam, zanim się zgubimy.

- Przestań! Nigdy nie będziemy mieli lepszej szansy niż obecnie.

- Jakiej szansy? - Serce Charlotty biło nierówno. Zatrzymała się na podeście na półpiętrze. - Brandonie Villiersie, jeśli sądzisz, że jestem idiotką, która da się zaciągnąć do sypialni...

Roześmiał się ponuro. - Jeśli o tym mowa, to nie jestem idiotą. Wiem, że nieła-

Barbara Dawson Smith  
Żar

two cię będzie uwieść. Ale owszem, idziemy do sypialni. Vaughnów.

Kiedy ruszył w górę po schodach, Charlotta pobiegła za nim.

- Chcesz poszukać dowodów?

- Nie podniecaj się jak pensjonarka. Jeśli ktoś nas przyłapie, drogo za to zapłacimy.

Cała ich rozmowa prowadzona była szeptem. Charlotta złapała się na tym, że próbuje przebić wzrokiem mrok spowijający klatkę schodową.

- Będziemy mogli uciec do panny Darby.

- Widziałem, że odeszła w przeciwnym kierunku. Jej pokój znajduje się we frontowej części domu. - Wziął Charlotte za rękę i poprowadził korytarzem, oświetlonym tylko przez rzadko rozmieszczone w kandelabrach świece. - Pokoje Vaughnów znajdują się na tyłach budynku, wychodzą na ogród.

Skąd on to wszystko wie? Charlotta zapytała, nie kryjąc niechęci:

- Czy zawsze znasz lokalizację kobiecych sypialni?

Krok Branda zmienił się. Przypominał teraz dumnie pa radującego po podwórku koguta.

- Jestem mężczyzną, a mężczyzna z natury swojej jest człowiekiem logicznie myślącym. I właśnie logika podpowiada mi, że marne są szanse, aby ktoś wybrał sobie pokój wychodzący na hałaśliwą ulicę.

- Jesteś mężczyzną, a mężczyzna z natury swojej jest zbyt arogancki, żeby wziąć pod uwagę wszelkie ewentualne komplikacje. Ktoś może zacząć nas szukać. Ktoś z obecnych na przyjęciu.

- Nie otwarcie. I to jest najpiękniejsze. Oni wszyscy zakładają, że wyszliśmy trochę się zabawić.

Charlotta oblała się rumieńcem. Była rada, że skrywają ich gęste ciemności.

~ Powinieneś wiedzieć, że to jest dla mnie szczególnie przykre. Nie przyszło mi do głowy, że posuniemy się w udawaniu aż tak daleko.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Sądziłaś, że wystarczy powiedzieć ludziom, iż „dotrzymujemy sobie towarzystwa”, aby utrzymać nasz romans w tajemnicy i położyć kres plotkom?

- Nie mamy romansu. - To prawda, ale jakże podniecająco to zabrzmiało. - A poza tym, nie mogłabym być tak gruboskórna i brutalnie szczera.

- Dla mnie to żaden problem - oświadczył Brand. - „Lady Charlotta Quinton jest moją kochanką”. To stwierdzenie w pewien sposób łączy nas obrączką ironii.

- Nie łączy nas żadną obrączką. Nie było wzajemnych przysiąg, ślubu, honoru.

Tym razem jego śmiech był ostry jak brzytwa.

- Przecież to jest nasz fortel, kochanie. Sama tego chciałaś, a jeśli nie potrafisz z tym żyć, jesteś wolna i możesz iść do domu.

„Kochanie”. Serce jej się ścisnęło, choć Brand, oczywiście, tylko sobie z niej kpił.

- Nigdzie nie pójdę. Ale wieść o tym może dojść do Ró zyczek. Musimy być bardziej dyskretni.

Brand wyjął świecę z kandelabra.

- Dyskrecja to moja specjalność.

- Nieprawda, już raczej łajdactwo. Zmusiłyby cię, żebyś się ze mną ożenił.

W drżącym świetle świecy wydawało się, że twarz Branda zastygła w niebezpiecznym grymasie, a oczy zmieniły się w kryształki lodu.

- Nikt nigdy do niczego mnie nie zmusi, Charlotto. Nie mam zamiaru się z nikim żenić. Czy wyrażam się jasno?

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Gniew, a nie rozczarowanie. -

Nie musisz tak tego podkreślać. Ja także nie mam ochoty wychodzić za ciebie za mąż.

- A więc w tym punkcie jesteśmy zgodni. - Spokojnie nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. - A zacząłem już mieć wątpliwości po tym, co powiedziałaś na dole pannie Darby.

Charlotta zamarła.

- Tak? A co takiego powiedziałam?

Barbara Dawson Smith  
Zar

- „W moim życiu nigdy nie było nikogo innego. Żaden mężczyzna nie wytrzymał porównania z nim”.

Usłyszeć własne słowa, wypowiedziane takim szyderczym tonem, to był cios w samo serce, ale nie dała tego po sobie poznać. Czując na sobie świdrujący wzrok Branda, wyjęła mu świecę z ręki.

- Powinieneś być mi wdzięczny, że potrafię być taka przykrywająca. Przecież wiesz, że to fortel.

Charlotta przesunęła się obok niego i weszła do ciemnej sypialni. W niewielkim kręgu światła świeczki dostrzegła wysoką komodę, typowo poustawiane fotele i stoliki oraz ogromne łóżko z baldachimem. Wystrój był zadziwiająco tradycyjny. Najwyraźniej upodobanie Vaughnów do wulgarności zniknęło na progu sypialni.

- Czego właściwie mamy szukać?

- Dowodów - powiedział Brand, wysuwając się przed Charlotte. - Czegoś, co wskazywałoby, że Vaughnowie są mordercami.

- Kolekcji zakrwawionych noży?

Rzucił jej miążdzące spojrzenie i wziął drugą świecę, którą zapalił od jej świeczki.

- Podpisane przyznanie się do winy także byłoby nie do pogardzenia. Z braku takowego zadowolimy się każdą inną próbką odręcznego pisma. Interesuje nas również wszystko, co wskazywałoby na tożsamość kolejnej ofiary. - Cicho przeszedł przez pokój i wziął się do przeszukiwania szafki nocnej.

Charlotcie ścisnęło się serce. A jeśli następny ma być Brand? Obejrzał się przez ramię.

- No, rusz się - warknął. - Umiałaś przeszukać moje biurko, więc to również nie powinno ci sprawiać trudności.

Charlotta była tak zadowolona, że Brand zleją zrozumiał, iż nie zareagowała na jego szyderczą uwagę. Podeszła do stojącego po drugiej stronie łóżka stolika. Przeszukując szufladę pod blatem, rzucała ukradkowe spojrzenia na Branda. Wyglądał wyjątkowo smakowicie w grafitowo-

Barbara Dawson Smith  
Zar

szarym surducie i czarnych spodniach, podkreślających długość zgrabnych nóg. Aż do bólu pragnęła dotknąć ciemnobrązowego kosmyka, który opadł mu na czoło. Z tym rzeźbionym profilem i oszczędnymi ruchami sprawiał wrażenie kogoś solidnego, co stało w jawnej sprzeczności z jego wizerunkiem łajdaka.

Czy tylko własny interes popychał go do zdemaskowania mordercy? A może krył się w nim szlachetny człowiek, gotów ryzykować życie, byle tylko uratować innych?

Nie powinna się nad tym zastanawiać, nie powinna się o to troszczyć. Chodzi jedynie o ochronę babci.

Charlotta skoncentrowała uwagę na szufladzie.

- Lydia używa mnóstwa balsamów i maści. - Wiedzioną ciekawością Charlotta zdjęła swe dziecięce rękawiczki, odkręciła niebieski słoiczek i powąchała pachnący piżmem olejek. - Ciekawe, dlaczego trzyma je tutaj, a nie na toalecie?

Brand skrzywił wargi w nieodgadnionym grymasie. Charlotta nie mogła odczytać wyrazu jego oczu.

-Przestań się zastanawiać, tylko się pospiesz. Nie mamy całej nocy do dyspozycji.

A szkoda.

Cały czas świadoma tego, że tuż za nią stoi szerokie, wspaniałe łóżce, Charlotta zamknęła górną szufladę i wyciągnęła dolną. Oczy o mało nie wyszły jej z orbit, żołądek się ścisnął, a kolana się pod nią ugięły.

-Wielkie nieba!

- O co chodzi?

- Chyba... chyba powinienes tu przyjść i sam zobaczyć.

Natychmiast przeszedł na jej stronę. Rzucił na stół niewielką książeczkę, którą trzymał w ręku. Stał obok Charlotty i pochylił się, wysoko unosząc świecę, żeby lepiej oświetlić wnętrze szuflady.

O dziwo, wybuchnął śmiechem.

- A, to tylko zwyczajny zestaw batogów i łańcuchów.

- Jak możesz być tak zblazowany? Przecież to jest broń.

I kajdany do skrępowania jakiejś biednej, niewinnej ofiary.

- Raczej bardzo chętnej ofiary. - Brand oglądał uważnie szpicrutę. - Jestem pewien, że te zabawki dostarczają gospodarzom wielu przyjemności.

- Zabawki?!

- Tak. Niektórzy lubią łóżkowe igraszki ubarwiać sobie tego rodzaju przedmiotami.

Charlotta wodziła wzrokiem od niego do kolekcji i z powrotem. Narzędzia zyskały w jej oczach całkowicie nowe znaczenie. Perwersyjne i dziwnie fascynujące.

- Żartujesz - powiedziała słabym głosem.

Delikatnie pogładził trzonkiem bata policzek Charlotty.

- Zaufaj ekspertowi. Musisz jeszcze bardzo wiele się nauczyć o zmysłowych zabawach.

Przemądrzały uśmiezek Branda powinien być dla niej obelgą, ale rozgorączkowany umysł Charlotty był zbyt zaprzątnięty pewnymi kwestiami, żeby poświęcić temu coś więcej niż tylko przelotną uwagę. Czy Brand naprawdę krępował swoje kobiety? A co potem z nimi robił? Może pozwalał, żeby to kochanka wiązała jego? Czy dawał jej pełną swobodę dotykania do woli, całkowicie zdając się na jej łaskę?

Wielkie nieba! Dlaczego ona w ogóle o czymś takim myśli?!

Z wysiłkiem zatrzasnęła szufladę i odzyskała głos.

- Uważam, że to niesmaczne.

-Nie możesz mieć pewności, dopóki nie spróbujesz - stwierdził namiętnym głosem. Charlotecie ciarki przebiegły po skórze.

- Jeśli Vaughnowie zajmują się czymś tak lubieżnym, to mam pewność.

Branda rozbawiła gwałtowność jej reakcji.

- Coś zbyt gwałtownie protestujesz.

- Nie, to tobie się wydaje, że wszyscy są podobni do ciebie.

- Szkoda, że nie są. Wszyscy powinni być do mnie podobni. - Najwyraźniej miał jednak odrobinę oleju w głowie, bo zmienił temat. Podniósł książeczkę, którą położył na stole. - Ja też coś znalazłem. Kolejne wiersze Yaughna.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

- Jeśli zamierzasz odczytać je na głos, proszę, zrób to kiedy nie będzie mnie w pobliżu.

Brand przerzucił stronicę.

- Prawdę mówiąc, bardziej mnie interesuje jego charakter pisma.

Charlotta także spojrzała na książeczkę.

- Spójrz na te wszystkie kleksy. Litery wyglądają, jakby je wskrobała kura pazurem.

- Właśnie. Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że jego pismo kompletnie nie przypomina bileciku, który widziałem.

- Może to Lydia napisała bilecik...

- Ciii. - Brand przechylił głowę na bok i przez chwilę czujnie nasłuchiwał.

- Co się stało?

- Głosy. Ktoś jest na zewnątrz.

Zaniepokojona Charlotta nadstawiła uszu. Z korytarza dobiegł miękki, kobiecy głos, któremu zawtórował niższy, męski.

- O, nie! - jęknęła Charlotta. ~ Zostaniemy przyłapani.

- Ale nie na szpiegowaniu. - Brand odstawił świecę na nocny stolik. Charlotta stała, gapiąc się z niedowierzaniem na to, jak Brand odrzuca kapę i wsuwa się pomiędzy prześcieradła.

- Nie stój tak - rzucił sucho. - Wskakuj!

## Rozdział 13

### Gość z dołu

Charlotta czuła się tak, jakby stopy wrosły jej w ziemię. Słyszała dobiegający z korytarza śmiech jakiejś pary, lecz nie była w stanie się zmusić, by położyć się przy Brandzie.

- Zwariowałeś, jeśli sądzisz, że pójde z tobą do łóżka.

- Nie czas na dziewicze wykręty. Mogą tu wejść w każdej chwili.

Charlotta nadal stała bez ruchu.

- Czy prześcieradła są czyste?

- Do licha, Char! Pachną świeżo jak ożywczy letni wiatr. Rusz się wreszcie!

Zdławiła poczucie winy i wyciągnęła się na materacu w bezpiecznej odległości od Branda.

W mgnieniu oka przysunął się bliżej, naciągnął na nich prześcieradło i zamknął ją w objęciach.

Charlotta zeszywniała, przytłoczona bijącym od jego ciała żarem i wrażeniem, jakiego doznała, gdy muskularny tors przygniótł jej piersi. Poczula wewnętrzne pulsowanie, ale oparła się nagłemu impulsowi, każącemu jej ocierać się o niego, złożyć głowę w zagłębieniu jego ramienia.

Pomyślała, że wytrzyma w tej intymnej pozycji przez kilka minut. Że nic się nie stanie. Przecież oboje są kompletnie ubrani.

Właściwie teraz, w tym łóżu, była bezpieczniejsza niż w jego powozie. Brand nie będzie próbował żadnych

Barbara Dawsog Smith  
Zar

niegodziwych sztuczek, skoro w każdej chwili ktoś może tu wejść.

Gwałtownie złapała powietrze, kiedy otarł się nosem o jej policzek. Drapiący zarost i ciepłe wargi sprawiły, że ciarki przebiegły jej po skórze. Odruchowo odsunęła głowę.

- Bądź łaskaw zachować stosowny dystans.

Ochryply śmiech Branda sprawił, że Charlotta zaczęła sobie nagle wyobrażać te wszystkie rzeczy, które mogli robić w ciemności. W oczach Branda widziała rozbawienie, ale dostrzegła także coś innego, coś gorącego i mrocznego.

- Chciałabyś, prawda? - mruknął. - Ale czy będziemy wyglądać wiarygodnie w oczach osoby, która wejdzie do pokoju i zobaczy każde z nas leżące po swojej stronie łóżka?

Prawda tego stwierdzenia przyprawiła Charlotte o drżenie, nie tylko z powodu bliskości Branda. Zrozumiała, że jeśli odmówi odegrania swojej roli, znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To znaczy, on znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, bo to on należał kiedyś do Ligi Lucyfera.

- Do diabła z tym fortelem - szepnęła z głębi serca.

Brand wyszczerzył zęby. W drżącym świetle świecy widziała wyraźnie każdą z ciemnych, długich rzęs, okalających jego oczy. Jego piękne, szare jak dym, tajemnicze oczy. I te usta z maleńką blizną w kąciku, którą tak bardzo chciała mieć prawo całować. Brand. Latami marzyła skrycie, żeby tak leżeć u jego boku.

W rzeczywistości było jeszcze lepiej niż w snach.

- To nie był mój pomysł, żebyś przyjechała na przyjęcie do Vaughnów - przypomniał. - Ja wolałem zostawić cię w domu. Chociaż teraz, kiedy jesteśmy tutaj... - Jego palce przesuwają się w górę i w dół po jej plecach, a w głosie po jawiła się jedwabista nuta. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że musimy się postarać, żeby to wyglądało realistycznie.

Owszem, uświadamiała to sobie. Aż nazbyt skwapliwie.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Ale dopiero kiedy ktoś wejdzie do pokoju. - Miała nadzieję, że głos jej nie zdradzi. Nie chciała, by wiedział, że zabrakło jej tchu. - Jeśli ktoś w ogóle tu wejdzie.

- Lepiej się przygotujmy. Nadal są na korytarzu. Słyszę ich.

Charlotta słyszała jedynie głośnie bicie własnego serca, czuła męski zapach Branda i wytęskniony ciężar jego ciała. Prześcieradła spowijały ich przytulnym kokonem. Jego usta były tak blisko, że czuła ciepły powiew oddechu. Gdyby choć odrobinę zwróciła ku niemu głowę, dotknęłaby ustami jego warg.

- Jak sądzisz, kto to może być? - zapytała, żeby zmienić kierunek myśli.

- Prawdopodobnie ktoś z przyjęcia. Nikt nie może się domyślić, że przyszedliśmy tu na przesłuchanie.

Wpatrywał się w jej wargi. Dobry Boże, zamierzają pocałować! Może nagle przypomni sobie, jak zraniła jego męską dumę.

„Twoje zdolności uwodzicielskie są mocno przesadzone”.

Jeśli Brand kiedykolwiek dowie się, jakie to było kłamstwo, będzie zgubiona. Samo niecierpliwe oczekiwanie sprawiało, że odchodziła od zmysłów.

- Może to tylko pokojówka i lokaj ucieli sobie pogawędkę przed rozejściem się do swoich obowiązków - rzuciła pospiesznie.

- W takim razie przyjdą rozpalić ogień i pościelić łóżko. - Brand masował jej ramiona i Charlotta miała wrażenie, że nawet kości jej topnieją. - Jesteś zbyt spięta, Charlotte. Najwyższy czas, żebym coś z tym zrobił - mruknął niskim, ochryplym głosem.

Objął dłońmi jej policzki. A potem ją pocałował. To był słodki pocałunek, całkiem inny od tamtego gniewnego z powozu. Delikatny pocałunek, od którego jej opór stopniał jak wosk. Czubeczkami palców pieścił jej twarz, kreślił spirale w uszach, bawił się drobnymi loczkami na karku. Oszołomiona, oczarowana Charlotta nawet nie zdawała sobie sprawy, że wydaje cichutkie, namiętne pomruki.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Wszelka nadzieja, że zdoła przed nim ukryć trawiącą ją tęsknotę, wyparowała w ogniu namiętności i rozkoszy. Głębokiej, bezdennej rozkoszy, która z każdą chwilą przybierała na sile.

Brand! To Brand całował ją z taką czułością, jakby była dla niego najcenniejszym skarbem. Jakby była kobietą budząca pożądanie, a nie starą panną, która nie zaznała nigdy prawdziwej miłości. Kiedy ją tak obejmował, bardzo łatwo jej przychodziło udawać, że naprawdę im na sobie zależy. Udawać, że są mężem i żoną, i że ona ma prawo okazywać mu miłość.

Uniosła ręce i wsunęła palce we włosy Branda, w gęste, jedwabiste kosmyki, których dotyk był dla jej skóry pieśczętą. Oddała mu pocałunek, rozchylając wargi, kiedy lekko rozsunął je językiem. Minęła długa, cudowna chwila, a on ciągle przedłużał ten przyjemny, powściągliwy pocałunek, oszczędnie wydzielając delikatne jak motyle łyczki, które siały spustoszenie w jej liniach obronnych. To znaczy w rym, co z nich jeszcze pozostało.

Charlotta jęknęła i szerzej otworzyła usta, błagając bez słów, by wszedł głębiej. Posłuchał, ale tylko częściowo, nie dając jej pełnej satysfakcji. Chciała więcej... więcej ognia, więcej bliskości, więcej Branda. Jego ramiona obejmowały ją, ale ona aż do bólu pragnęła większej bliskości, pragnęła tak rozpaczliwie, że wygięła się, uniosła biodra i podała piersi do przodu. Tęskniąc za dotykiem jego muskularnego ciała, wiała się w pragnieniu, by uśmierzyć narastającą w swym ciele żądzę.

Brand odchylił nieco głowę do tyłu, nie przestając jednak lizać, muskać, pieścić jej ust, jakby nie mógł się nimi nasycić.

- Leż bez ruchu - wymruczał. - Podniecasz wysokiego gościa z dołu.

Oszołomiona Charlotta otworzyła oczy i spojrzała w pełną napięcia twarz Branda.

- Kogo?

- Tego gościa. - Zanim do niej dotarło, o co mu chodzi,

Barbara Dawson Smith  
Zar

ujął jej dłoń, wsunął ją pod prześcieradło, pociągnął w dół i położył na wypukłości z przodu spodni.

Charlotta zamarła, całą uwagę ogniskując na tym, co wyczuwała palcami. Na czymś długim, twardym, grubym. Na czymś tak z samej swej istoty męskim, że poczuła gwałtowne uklucie pożądania.

I zrozumienia.

Wyszarpnęła rękę i gwałtownie odsunęła się od Branda.

- Nie... to jest absolutnie... dlaczego to zrobiłeś?

Niedbałym ruchem wsparł się na łokciu i przyjrzał się jej.

- Powinnaś wiedzieć, jak twoje wiercenie się na mnie działa. A co znaczyło to twoje: „absolutnie”?

Absolutnie zadziwiająca. Absolutnie podniecająca.

- Absolutnie przekraczające wszelkie granice przyzwoitości, ot co!

Rzeźbione rysy twarzy Branda znów przybrały typowy dla niego ironiczny wyraz.

- Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli - powiedział. - Musiałem położyć temu kres, zanim cię uwidę.

- Mogłeś wyrazić to słowami.

- Niestety, nie usłyszałaś ani słowa. - Sennemu wyrazowi szarych oczu towarzyszył zniechęcony uśmiech. - Muszę przyznać, że bardzo przekonująco odegrałaś swoją rolę. Każdy widz byłby świecie przekonany, że czujesz do mnie prawdziwą namiętność.

Robił wrażenie zbyt zadowolonego z siebie, zbyt aroganckiego, zbyt dominującego. Charlottcie jedna tylko myśl kołatała w otumanionym mózgu. W nagłym olśnieniu uświadomiła sobie związek pomiędzy obelgą, jaką rzuciła mu w powozie, a jego deklaracją poprzedzającą wyścig kariolek.

„Twoje zdolności uwodzicielskie są mocno przesadzone”.

„Nigdy nie odrzucam wyzwania. Nawet my, rozpustnicy, mamy swój kodeks honorowy”.

Postrzegał jej afront jako nadmierną śmiałość. I postawił sobie za punkt honoru, żeby udowodnić, iż ona nie zdoła mu się oprzeć. I wpadła wprost w jego ręce.

Barbara Dawson Smith  
Zar



Powinna być wściekła na niego, że wywiódł ją w pole, i wściekła na siebie, że okazała się taką idiotką. Ale jej gwałtowne uczucia były zdecydowanie zbyt bliskie wyrwania się na powierzchnię. Na szczęście miała przynajmniej dość przytomności umysłu, żeby nie zdradzić się przed nim ze swą miłością. Wtedy naprawdę by triumfował.

Zerknęła na zamknięte drzwi, wyplątała się z prześcieradeł i wstała. Drżącymi rękami wygładziła spódnice.

Brand nie ruszył się z łóżka. Pewnie czekał, aż Charlotta zacznie się wypierać swego pożądanego. Żeby mieć kolejną szansę udowodnienia, że ma nad nią władzę. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji.

W pełni świadoma śledzących ją oczu Branda, postanowiła naśladować jego zblazowany sposób bycia. Podeszła do lustra, udając, że chce przygładzić włosy. Widziała odbłask świecy stojącej na nocnym stoliku.

- Możemy już wstać bez obaw - rzuciła przez ramię.
- Nie słyszę żadnych głosów z korytarza.
- Umilkły co najmniej dziesięć minut temu - stwierdził.

Charlotta odwróciła się na pięcie i zobaczyła, jak Brand wychodzi z łóżka. Zimny, gruboskórny drań.

- Dziesięć minut temu!

A on w tym czasie całował ją i obejmował czule, jakby naprawdę mu na niej zależało. Ona zaś oddawała mu pocałunki, wkładając w nie całą nikomu niepotrzebną miłość, wypełniającą jej serce i duszę.

- Zresztą drzwi były zamknięte na klucz - ciągnął Brand, dodając kolejne zdanie do już wyrządzonej jej przykrości.
- Kiedy tylko weszliśmy do pokoju, przekreśliłem klucz.

A więc Brand przez cały czas wiedział, że nikt im nie przeszkodzi. A przynajmniej, że zostaną w porę uprzedzeni o czymś nadejściu.

Nawet jeśli był najwspanialszym kochankiem w Anglii, był równocześnie największym durniem.

Zaczerwieniona z upokorzenia Charlotta znów odwróciła się w stronę lustra. Jej niewyraźnie rysujące się w mroku odbicie, z włosami w nieładzie, wyglądało jak

Barbara Dawson Smith  
Zar

obraz kobiety uszczęśliwionej miłosnymi potyczkami z kochankiem. Zwinęła luźno zwisające kosmyki w ciasny węzeł i przypięła spinkami.

- Zapewne ci dwoje pod drzwiami to byli twoi przyjaciele. Powiedziałeś im, że mam opory i potrzebujesz pomocy, by móc zaciągnąć mnie do łóżka? Może nawet założyłeś się z nimi, że uda ci się mnie uwieść?

Charlotta chciała, żeby jej głos brzmiał sarkastycznie. Niestety, przy ostatnich słowach załamał się. Łzy napłynęły jej do oczu, dławily ją w gardle. Przelknęła z trudem.

Tylko nie płakać! Proszę, Boże, spraw, bym się nie rozpląkała!

Brand podszedł bliżej. Tuż obok siebie widziała w lustrze jego niewyraźną sylwetkę.

- To nieprawda - powiedział. - Nikt więcej o tym nie wie. Przyszliśmy tu, żeby szukać dowodów.

- Czego? Mojej łatwowierności?

Nie od razu odpowiedział. Pewnie obmyślał następny podstęp.

Udając szczerą, przybrał skruszony wyraz twarzy, co tylko dodało mu uroku, sięgnął po jej rękę i podniósł ją do ust. Ucałował pokrytą bliznami dłoń.

- Gniewasz się. Wybaczysz mi?

Charlotta czuła, że jej głupie serce mięknie, znalazła jednak w sobie dość siły, by wyrwać mu rękę i odpowiedzieć z zimną pogardą:

- Nie mam ci czego wybacząć. Obraziłam cię, więc w rewanżu mnie oszukałeś. Jesteśmy kwita.

\* \* \*

Jego plan zmuszenia Charlotty do namiętnej reakcji powiódł się. Aż za dobrze.

Brand rzucił posępne spojrzenie na siedzącą przy nim w otwartym powozie dziewczynę. Jej śliczna twarz skąpana była w blasku dwóch latarni z brązu, oświetlających zimne, ciemne ulice. Ciszę przerywało tylko postukiwanie

Barbara Dawson Smith  
Zar

końskich kopyt o bruk. Od chwili opuszczenia sypialni powiedziała do niego zaledwie dwa słowa, a on uznał za rozsądne zostawić ją w spokoju. Rozgniewanym kobietom należało dać się trochę podąsać, zanim podjęło się starania o ich udobruchanie.

Jednakże Charlotta nie była taka jak większość kobiet. Nigdy nie pozwalała się zbyt łatwo udobruchać, z wyjątkiem sytuacji sprzed godziny. W łóżku.

Jeżu, ratuj! Szybkość jej reakcji zwała go z nóg. Zamierzał tylko rozniecić malutki płomyk namiętności, udowodnić, że mógł zburzyć jej potężny mur panowania nad sobą. A tymczasem podpałił lont pod beczką prochu.

Nie opuszczało go dręczące wspomnienie jej namiętności. Te pomruki rozkoszy, wyrrywające się z jej gardła. Te palce wplątane w jego włosy. Smukłe ciało, wijące się pod nim. Pewnie nawet sama nie wiedziała, czego chce. Była zupełnie niedoświadczona.

Jakże pragnął ją wyedukować.

Dureń! Przy całym swoim rozumie i dowcipie Charlotta była dziewczicą i damą, której należał się szacunek. Nie miała zielonego pojęcia o rozkoszach łoża. I Brand nie powinien już dłużej oszukiwać się, że to zasuszona, pruderyjna stara panna.

Bardzo mało było potrzeba, żeby przełamać jej linie obrony. Jeden czuły pocałunek, a stopniała jak lód. Była tak podniecona, że gdyby zechciał zdrzeć jej spódnice i wkraść się do rajy, nawet nie zdążyłaby zmobilizować się do żadnej obrony. Pokusa była tak silna, że musiał szybko przerwać niebezpieczną bliskość, i zrobić to błyskawicznie. Musiał szaszkować Charlotte tak, by wrócił jej rozum.

Wysoki gość nie był zbyt zadowolony, że musi zadowolić się tylko jednym przelotnym muśnięciem jej ręki. Dotąd odmawiał udania się na spoczynek.

W tym samym stanie znajdował się również umysł Branda. Charlotta. Kolczasta, dokuczliwa Charlotta pragnęła go z zadziwiającą siłą. A kluczem do jej pożądania była czułość. Uzbrojony w tę niebezpieczną wiedzę Brand czuł,

Barbara Dawson Smith  
Zar

że może ją uwieść, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Mógł z niej zrobić swoją kochankę.

"W moim życiu nigdy nie było nikogo innego. Żaden mężczyzna nie wytrzymał porównania z nim". Brand pomyślał, że nigdy nie zapomni, jak stał na korytarzu i słuchał jej cichych słów, które obudziły w jego sercu jakiś dziwny ból, nie mający nic wspólnego z fizyczną żądzą. Miewał kochanki, które wyśpiewywały na jego temat hymny pochwalne, kilka deklaroowało nawet miłość aż po grób, choć było oczywiste, że potrafią kochać tylko siebie. Ale jeszcze nigdy żadna kobieta nie mówiła o nim głosem aż wibrującym z emocji.

Oczywiście Charlotta kłamała, upiększała rzeczywistość w imię wymyślonego przez nich podstępku. Jednak ta świadomość nie miała wpływu na jego pragnienie uwierzenia jej. Marzył o tym, żeby przytulić ją do siebie i słuchać, jak szepcze mu do ucha słowa miłości.

Do licha, do licha, do licha!

Brand mocniej zebrał lejce i skupił się na powożeniu wąskimi ulicami. Tylko półgłówek mógł zaufać Charlotcie, a on znał przecież wszystkie jej występki. Nie powinien był zabierać jej na to przyjęcie, a już wciąganie na piętro można uznać za czysty idiotyzm. I choć kupił milczenie Vaughnów, przypominając im o długu karcianym, to musiał przyznać, że Charlotta ryzykowała utratę reputacji, udając jego kochankę.

Gdyby Różyczki się o tym dowiedziały, drogo by za to zapłacił. A cena byłaby jeszcze wyższa, gdyby uległ swoim najniższym instynktom i uwiódł tę kobietę. Zniszczyłby tę resztkę szacunku, jaką babcia jeszcze do niego żywiła. Czyż nie dość, że spowodował śmierć George'a i jego syna? Czy musiał zasiać kolejne ziarno cierpienia?

Wciągnął w płuca czyste, mroźne powietrze, lecz nie pomogło to rozluźnić zaciśniętej wokół jego serca obręczy. Jeśli skrzywdzi Charlotte, babcia na zawsze skreśli go ze swego życia. A była całą rodziną, jaka mu pozostała.

Nie, nie całą.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Była jeszcze Amy. Lecz jeśli zostanie pariasem we własnej rodzinie, z nią także utraci kontakt.

- O co pokłóciście się z Michaelem?

Pytanie Charlotty z niesamowitą wręcz celnością trafiło w najczulszy punkt. Odwróci! się do niej gwałtownie, starając się pomimo ciemności rozszyfrować wyraz jej twarzy. Niewyraźne rysy Charlotty wyrażały jedynie zwykłą ciekawość. Przecież nie mogła znać wszystkich sekretów jego przeszłości.

Dlaczego, na litość boską, poruszyła ten temat właśnie teraz?

Dłonie Branda, pomimo rękawiczek były zimne jak lód.

- Niech mnie diabli, jeśli pamiętam. To było strasznie dawno.

- Poszło o kobietę?

Wzruszył ramionami.

- Możliwe.

- Kim ona była?

- Nikim ważnym.

To tylko Grace. Pierwsza żona Michaela. Złotowłosa kucielka, która zawróciła Brandowi w głowie i wyróciła całe jego życie na nice. Kochali się tylko raz, w noc poprzedzającą ślub. Grace nie była dziewczicą. Jednak Brand, nie bacząc na to, jak idiota wierzył jej zapewnieniom o miłości, nie dostrzegając, że pod bajkową wręcz urodą kryje się narcystyczna kobieta, doskonale bawiąca się szczuciem dwóch przyjaciół przeciwko sobie. Kiedy Brand spoglądał wstecz, nie mógł się nadziwić własnej ślepoty.

Ale nie żałował.

Owoce tego krótkotrwałego romansu była Amy. Słodka, niewinna Amy, która nigdy się nie dowie, że jest jego córką. Napęniało to jego serce taką goryczą jak nic innego. Amy nigdy nie nazwie go tatą, a on nigdy nie pocałuje jej na dobranoc, nie poprowadzi główną nawą kościoła w dniu jV ślubu.

To przywileje Michaela. I Michael postawił mu bardzo jasno warunek: że nigdy nie odstąpi od tych zasad.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Ta kobieta musiała być kimś ważnym dla was obu - nie ustępowała Charlotta. - Nadal ledwo się tolerujecie.

- A co, spodziewałaś się, że dalej będziemy wspólnie budować domki na drzewach? Spójrz prawdzie w oczy, Char. Dorośliśmy. Każdy z nas żyje własnym, odrębnym życiem. Nie doszukuj się w tym niczego ważnego.

Ostry ton uciszył Charlotte i Brand mógł tylko mieć nadzieję, że zaspokoił jej ciekawość. Charlotta była błyskotliwa i spostrzegawcza, mogła bez trudu dodać dwa do dwóch.

Szczególnie że widziała miniaturę w jego szufladzie.

Do cholery! Ani razu nie wspomniała o tym słowem. Pewnie nawet nie zauważyła, że on przechowuje podobiznę Amy. Powinien raz na zawsze pogrzebać swój irytujący lęk.

Kiedy skierował dwukonny zaprzęg w małą uliczkę na tyłach swego domu, dostrzegł kryjącą się w mroku niewyraźną postać. Ktoś stał w drzwiach stajni. Mężczyzna. Brand wyostrzył uwagę. W tej przygarbionej, wychudzonej sylwetce było coś znajomego.

Przybysz podniósł rękę, żeby zdjąć z głowy robotniczą czapkę i wtedy Brand przypomniał sobie, gdzie go spotkał. Zauważył tego człowieka wśród wiernych na kazaniu Parkinsona.

Brand nie wierzył w takie zbiegi okoliczności.

Wcisnął lejce w dłonie Charlotty.

- Zaraz wracam.

-Dokąd...

Bez słowa zeskoczył z wysokiego kozła i puścił się biegiem w stronę nieznanego.

Osobnik dostrzegł go i cofnął się głębiej w zacienioną alejkę. Stał się niewidoczny.

Brand stanął, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do głębokich ciemności. Na tym terenie znajdowały się stajnie kilku bogatych rezydencji, a za nimi zabudowania gospodarcze. Tu i ówdzie nad ogrodami wznosiły się nagie gałęzie drzew. Intruz mógł skryć się wszędzie: za pojemnikami na śmiecie, w bramach prowadzących do

Barbara Dawson Smith  
Zar

ogrodów, pod powozem stojącym na którymś dziedzińcu.

Ale mógł również przeskoczyć płot i znaleźć się na głównej ulicy.

Brand miał nadzieję, że tego nie zrobił. Był w nastroju do bitki, bez względu na to, kim był przeciwnik.

Z wyostrzonymi zmysłami wszedł powoli na dziedziniec. Był gotów do obrony, ale nikt się na niego nie rzucił. Smród odpadków i nawozu skaził świeżość chłodnego powietrza. Gdzie ten diabeł się podział?

Może przeciął podwórze i zawrócił? Może w tym właśnie momencie atakuje Charlotte?

Zaniepokojony tą myślą Brand obejrzał się przez ramię, ale dostrzegł tylko konie, nie widział ani powozu, ani Charlotty. Nagle kątem oka pochwycił słabe poruszenie pod pobliskim drzewem.

Dojrzał wysoką jak wieża ciemną sylwetkę człowieka.

Brand rzucił się na niego, złapał za szorstki materiał palta i rąbnął wrywającego się przeciwnika o ceglana ścianę. A potem mocno zacisnął palce wokół chudej szyi.

-Kim jesteś? -warknął Brand. -I co tu robisz?

- Z przyjemnością odpowiem, milordzie - wycharczał nieznanomy. - Jeśli tylko przestanie mnie pan dusić.

Ten głos... Nie arystokratyczny, ale także nie z pospólstwa. Głos wykształconego człowieka.

I wiedział, kim jest Brand. Ten „milord” nie był tylko pustym słowem, obliczonym na udobruchanie napastnika.

Postawił go na ziemi i ściągnął mu ciężki pas z pistoletami. Potem zawłókł intruza za kołnierz na karku w snop światła latarni powozu. Usadowiona wysoko Charlotta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, ale przynajmniej raz miała dość oleju w głowie, żeby trzymać buzię na kłódkę.

Drżące światło wydobyło z mroku kościstą, gładko wygoloną twarz o przenikliwych, niebieskich oczach

i haczykowatym nosie. Ciemna robotnicza czapka została naciągnięta na rzadką brązową grzywkę. Brand był wysoki, ale ten człowiek przewyższał go z dziesięć centymetrów.

- Mów! - rzucił Brand ochryple. - Czekam na odpowiedź. Dlaczego czaisz się pod moim domem?

- Jestem tu urzędowo. Nazywam się Hannibal Jones i jestem zatrudnionym przez magistrat pracownikiem komisariatu z Bow Street.

Śledczy?

Zaskoczony Brand rozluźnił uchwyt, cofnął się o krok i przyjrzał się tajniakowi. Był pewien, że ten człowiek ma powiązania z mordercami.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości?

- Swoją pałkę. Jeśli pan pozwoli. - Powoli, nie robiąc żadnych gwałtownych ruchów, wydobył z wewnętrznej kieszeni krótką, wypolerowaną pałkę z twardego drewna. Na szczycie pałki lśniła mała korona z brązu. Wszyscy śledczy z Bow Street nosili broń jako oznakę urzędu.

Jones obrzucił Branda ponurym spojrzeniem.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie tajemniczych zgonów kilku panów z wyższych sfer - ciągnął. - I muszę poinformować waszą lordowską mość, że jest pan podejrany o popełnienie morderstwa.

Barbara Dawson Smith  
Zar

## Rozdział 14

### Tajemnice rodzinne

Kiedy młodsze dzieci zasnęły, a Amy poszła na górę odwiedzić Różyczki, Charlotta zaprosiła Vivien do pokoju śniadaniowego na herbatę. W kominku huczał płonący węgiel, wysyłając fale rozkosznego ciepła w chłodne powietrze.

Vivien rzuciła się na fotel, zsunęła z nóg pantofle i schowała okryte pończochami stopy pod siebie.

- Ojej, jak dobrze usiąść na chwilę - powiedziała. W jej głosie pobrzmiwały ślady obcego akcentu. - Dzieci bez przerwy mnie absorbują.

Mimo to wyglądała na całkowicie szczęśliwą i Charlotta marzyła o tym, by samej odczuwać takie zadowolenie. A najmniejszym z jej zmartwień był szpicel z Bow Street.

Hannibal Jones spełniał tylko swój obowiązek, sprawdzał wszystkich ewentualnych podejrzanych. Dowiedział się w jakiś sposób o Lidze Lucyfera, doszedł do tych samych wniosków co Brand i prowadził potajemnie przesłuchania byłych członków ugrupowania. Jones nie miał żadnych dowodów, by łączyć Branda z tymi morderstwami. I nie odkryje żadnych dowodów. Prawdę mówiąc, Charlotta poczuła ulgę na wieść o tym, że doświadczony funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości prowadzi w tej sprawie śledztwo.

Brand nie podzielał jej optymizmu. Obaj z Jonesem poczuli do siebie instynktowną niechęć. W rezultacie od

Barbara Dawson Smith  
Żar

minionej nocy Brand był w fatalnym humorze. Wyszedł, mrużąc coś o wizycie w hali bokserskiej.

Charlotta skorzystała z okazji, by porozmawiać z Vivien na osobności.

Czekając na tacę z herbatą, gawędziły przyjaźnie o dzieciach - czteroletnim Williamie, który rozwijał się nad wiek, ale płacił za to siniakami i skaleczeniami, oraz o dwuletniej Lucy, która potrafiła manipulować ludźmi z równą słodyczą jak jej prababcia, po której odziedziczyła imię.

Kiedy lokaj wyszedł, Charlotta napełniła parującą herbatą dwie filiżanki i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób poruszyć drażliwy temat. Była w pełni świadoma panującego między nimi lekkiego napięcia. Vivien miała w sobie teraz pewną rezerwę, która nie istniała przed pięcioma laty, kiedy przybyła do Stokeford Abbey jako wolna duchem Cyganka.

Charlotta podeszła do drzwi, zamknęła je i powoli wróciła na fotel.

- Vivien, muszę cię o coś zapytać.

Ciemne, aksamitne oczy spojrzały na nią badawczo.

- Podejrzewałam, że o coś ci chodzi. Czy to ma coś wspólnego z miejscem, w którym spędziliście z Brandem wczorajszy wieczór?

Charlotta próbowała powstrzymać rumieniec.

- Różyczki poprosiły go, żeby eskortował mnie na bal u Seftonów. -To był wybieg, ale nie kłamstwo. Wybrali się do Vaughnów zamiast na bal. Reputacja Charlotty zależała od tego, czy ktoś zauważył ich nieobecność pośród licznych gości. Zanim Vivien zdążyła zapytać o wrażenia z balu, Charlotta zawołała pospiesznie: - Ale moje pytanie dotyczy Michaela i Branda.

- Aha. Zastanawiasz się pewnie, o co się poróżnili.

- Tak. Nie mogę tego zrozumieć. Brand niewiele mi powiedział, tylko tyle, że przed laty pokłócili się o kobietę. Ale teraz Michael jest szczęśliwy z tobą, więc dlaczego nadal patrzą na siebie z ukosa?

Vivien obrzuciła ją dziwnie przenikliwym spojrzeniem,

Barbara Dawson Smith  
Żar

po czym spuściła wzrok i zaczęła zapamiętane mieszać herbatę srebrną łyżeczką. Po chwili podniosła na nią oczy.

- Mogę zapytać o twoje uczucia względem Branda?

- Ja... - zaczęła dukać wytrącona z równowagi Charlotta.

- Proszę, muszę znać prawdę. To bardzo ważne. Charlotta chciała ukryć swą tajemnicę w głębi serca,

lecz kiedy spojrzała w oczy Vivien, zrozumiała, że jedynie absolutną szczerością może zdobyć jej zaufanie. Wzięła głęboki oddech.

- Kocham go - szepnęła. Wypowiedzenie tego na głos przyniosło jej niespodziewaną ulgę. - Nie umiem powie dzieć dlaczego, jak, ani kiedy to się stało, ale naprawdę go pokochałam. Nawet jeśli on nigdy mnie nie pokocha.

Vivien uśmiechnęła się delikatnie. Nie była zaskoczona. Upiła łyk herbaty i przybrała zamyślony wyraz twarzy osoby, która zastanawia się nad zdradzeniem jakiejś tajemnicy.

- Czy Brand powiedział ci, skąd się wzięła jego blizna?

- Z pojedynku. Dlaczego pytasz?

- Michael i Brand pojedynkowali się. Na szable.

Filizanka Charlotty zadzwieczyła, gwałtownie odstawiona na spodek. Natychmiast wróciła myślą do chwili, gdy przed dziewięcioma laty, po rocznym unikaniu spotkań rodzinnych, Brand po raz pierwszy pokazał się im z blizną. Już sama długa nieobecność była nader osobiwa. Pomimo wszystkich swoich przewinień, Brand zawsze kilka razy w roku przyjeżdżał na wakacje do Devon. Ale zmienił się w cynicznego, obcego człowieka. Charlotta przypisywała wówczas tę zmianę żałobie po śmierci starszego brata, George'a, który zmarł w poprzednim roku.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogło to mieć związek z animozją pomiędzy Brandem i Michaelem, ani z blizną.

- Wielkie nieba ~ szepnęła Charlotta. - Nie rozumiem. Kim była kobieta, o którą się bili? Przecież Michael był wtedy żonaty?

- Tak- odparła bardzo cicho Vivien.

Charlotta była wręcz porażona myślą tak szokującą, że bała się ubrać ją w słowa.

- Sugerujesz, że... pojedynkowali się o... Grace? Ze Brand uwiódł żonę przyjaciela?

Vivien zagryzła wargę i twierdząco kiwnęła głową.

- Niestety tak. Widzisz, obaj poznali Grace mniej więcej w tym samym czasie i obaj się do niej zalecali. Była nad zwyczaj piękną kobietą, prawdziwą ozdobą towarzystwa.

-Wiem. Byłam na ślubie. - Charlotta pamiętała gorzką zazdrość, jaką ogarnęła na widok ślicznej, wprost idealnej panny młodej o złocistych włosach i nieskazitelnie gładkiej skórze. Usiadła wtedy w samym kącie kaplicy w Stokeford Abbey, kryjąc blizny pod długim rękawem i rękawiczką. Ze ściśniętym boleśnie sercem snuła gorączkowe marzenia o tym, że to ona stoi na miejscu Grace i powierza swe życie przystojnemu Michaelowi.

- Grace zdawała się wyróżniać Branda - kontynuowała Vivien - ale był on wtedy tylko drugim synem księcia z niewielkimi szansami na odziedziczenie tytułu. Więc za ręczyła się z Michaelem.

Charlotta знаła ten rodzaj kobiet, które wyżej sobie ceniły rodowód niż miłość.

- To nie znaczy, że Brand miał prawo ją uwieść.

- Moim zdaniem to uwiedzenie było obustronne. Ich romans rozpoczął się jeszcze przed ślubem. Michael początkowo nie orientował się, bo Grace wytłumaczyła mu utratę dziewictwa bajeczką o krótkotrwałym romansie z oficerem kawalerii, który następnie poległ w bitwie.

- Z tego, co mówisz, Grace wydaje się należeć do kobiet, w jakich Brand gustuje. - Charlotta nie mogła powstrzymać się od sarkazmu. - Co się potem stało?

- Wkrótce po ślubie zachorował brat Branda, George, a także jego syn. I obaj zmarli. Brand został księciem Faversham.

- A tym samym stał się bardziej atrakcyjny dla Grace - domyśliła się Charlotta.

- Na to wygląda. Tej nocy, kiedy zdarzył się wypadek, Grace uciekła z domu, żeby się spotkać z Brandem. Czekał na nią na wybrzeżu, mieli razem popłynąć na kontynent.

Barbara Dawson Smith

Zar

Barbara Dawson Smith

Zar

Ale rozszalała się potworna burza z ulewnym deszczem, most został zmyty i powóz Grace runął do wody.

- Utonęła - powiedziała Charlotta drewnianym głosem.

Vivien kiwnęła głową.

- Bogu dzięki, że zostawiła Amy w Londynie. Michael dopilnował, żeby nikt nigdy nie dowiedział się, że jego żona porzuciła rodzinę.

Charlotta zamknęła oczy, wyobrażając sobie grozę tego wypadku i jego tragiczne skutki, o wiele bardziej tragiczne niż konsekwencje katastrofy, która stała się udziałem Różyczek. Dobry Boże! Grace tak oszalała na punkcie Branda, że zapomniała dla niego o mężu i dziecku. Jak kobieta może zostawić własne dziecko?

Jednakże gdyby zabrała dziecko ze sobą, Amy także mogłaby zginąć. Amy wówczas nie miała jeszcze nawet roku. Na szczęście nie pamięta pozbawionej serca matki, która dała jej życie.

Jak to dobrze, że mała ma przynajmniej Michaela, który ją kocha i troszczy się o nią...

I Branda, który trzyma portrecik Amy w zamkniętej na klucz szufladzie... i którego twarz zdradzała silne uczucie, gdy trzymał dziewczynkę w ramionach.

Serce Charlotty biło jak oszalałe. Oczami wielkimi jak spodki patrzyła na Vivien.

- Wielkie nieba! Amy...?

Vivien na chwilę odwróciła wzrok. Wyglądała na zakłopotaną, wahała się. Potem powoli skinęła głową.

- Tak. Brand jest jej biologicznym ojcem.

Charlotta złapała się poręczy fotela jak kotwicy i pograżyła się w zamęcie uczuć. Wśród szarpających nią emocji był szok, bo nie wyobrażała sobie nawet, że może dotrzeć do tak doniosłych tajemnic. Był gniew, bo Brand odsądzał ją od czci i wiary, choć sam miał również na sumieniu grzech zdrady przyjaciela. Ale było i współczucie, bo Charlotta nie mogła zapomnieć wyrazu miłości i zarazem cierpienia w jego oczach, kiedy trzymał Amy w ramionach.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Jesteś pewna? - zwróciła się do Vivien. - Absolutnie pewna?

- Brand ma zamiar. Amy też, i ja. Tutaj. - Vivien z uśmiechem wskazała na biodro. - To taka rodzinna wizytówka.

Nagle Charlotte uderzyła pewną myśl.

- Więc ty jesteś zarówno jej ciotką, jak i macochą.

- Tak. - Vivien odstawiła filiżankę i pochyliła się do przodu. - Posłuchaj mnie, Charlotto. Nie wolno ci wspomniać o tym nikomu ani słowem. Wie o tym jedynie Michael, Brand i ja. A teraz również ty.

- A Różyczki...?

Vivien pokręciła głową.

- Obawiam się, że nawet one nie wiedzą. Takie było życzenie Michaela i ja się z nim zgadzam. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Gdyby choć słowo o tym skandalu dostało się do towarzystwa, zaczęłyby się plotki. Reputacja Amy zostałaby splamiona.

- A niech licha porwie te towarzyskie standardy! - uniosła się gniewem Charlotta. - To Brand jest winien. To on uwiódł żonę najlepszego przyjaciela. I to on powinien być wytykany palcami, a nie niewinna dziewczynka.

Ale nawet mówiąc te słowa zdawała sobie sprawę z daremności swego apelu. W tak zwanym najlepszym towarzystwie roilo się od płytkich, ograniczonych ludzi, którzy oceniali innych na podstawie rodowodu. Takich jak Grace.

- Chodzi nie tylko o reputację Amy - zawołała gorąco Vivien.

- Michael wychował Amy jak własną córkę. Kocha ją z całego serca i nie zniósłby tego, żeby mała uważała kogoś innego za tatę.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. - Vivien zerwała się z fotela i padła przed Charlottą na kolana, mocno ściskając jej rękę. - Proszę cię, dla dobra Michaela i dla dobra Amy, obiecuj, że nigdy nikomu nie powiesz o tym ani słowa.

Charlotta poczuła dławienie w gardle. Była wręcz przytłoczona ogromem zaufania, jakim obdarzyła ją Vivien,

ujawniając jej taką tajemnicę i to po tym, jak haniebnie ją niegdyś zdradziła. Żadne słowa przebaczenia nie mogłyby napelnić serca Charlotty taką wdzięcznością.

- Oczywiście, masz moje słowo! - Głos jej się załamał. Pochwyliła przyjaciółkę w objęcia i mocno, ze szczerego serca uścisnęła. - Och, Vivien, dziękuję. Dziękuję ci za ufanie.

Vivien odsunęła się i uśmiechnęła, ale także i jej oczy były pełne łez. Wyglądała jednak na odrobinę zmartwioną.

- Nie jestem pewna, czy postąpiłabyś mądrze, mówiąc Brandowi, że wiesz.

- Nie powiem mu, że dowiedziałam się od ciebie. Dam mu do zrozumienia, że sama się domyśliłam. Widzisz, znalazłam w jego biurku miniaturkę Amy.

- To ja zamówiłam dla niego ten portrecik - wyznała Vivien. - Michael wściekał się i krzyczał, ale w końcu go przekonałam. - Znowścisnęła rękę Charlotty. - Wcale nie boję się, że Brand będzie na mnie wściekły. Boję się, że będzie wściekły na ciebie. Ten mój braciszek jest strasznie skrytym człowiekiem.

Charlotta wiedziała o tym lepiej niż inni. Wiedziała również, że Brand jest oszustem, bawidamkiem i rozpustnikiem. Ale kocha Amy.

Dobry Boże, kocha dziewczynkę, której nigdy nie powie, że jest jego córką.

\* \* \*

Brand ostro zastukał do starych drewnianych drzwi. Czekając, aż mu otworzą, spacerował po niewielkim gan ku domu na obrzeżach Strandu. Spadzisty dach wspierał się na dwóch kruszących się kolumnach. W popołudniowym słońcu okna wyglądały na bardzo brudne. Nie zda wał sobie sprawy, że James Weatherby mieszka w takiej podłej norze.

Mieszkał, pomyślał Brand ponuro. W czasie przeszłym. Bo tego ranka został znaleziony martwy.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Brand ubierał się po kilku rundach walk na pięści w hali bokserkiej, gdy usłyszał nowinę. Uriah Lane wpadł jak burza, a jego pełna twarz promieniała radością, że jako pierwszy przyniósł taką wiadomość. Lane nie wiedział nic więcej, nie znał nawet przyczyny śmierci Weatherbygo. Wiedział tylko, że zwłoki zostały przewiezione do przedsiębiorstwa pogrzebowego.

A więc zmarł kolejny członek Ligi Lucyfera. I Brand musiał ustalić, czy został zamordowany tak jak pozostali.

Do licha, dlaczego nikt nie otwiera?

Znowu uderzył pięścią w drewniane drzwi. Powiew zimnego wiatru, szarpiący rozpiętym płaszczem Branda, rzucił płachtę gazety na okalający trawnik żelazny płotek. Pulchna gospodyni domowa w czepku na głowie i płaszczu szła wolno zaśmieconą ulicą.

Drzwi wreszcie stanęły otworem. Człowiek o czerwonej twarzy i krzaczastych brwiach zablokował wejście własnym ciałem. Zaokrąglony brzuch rysował się pod kamizelką, na kołnierzyku koszuli widniały ślady żółtka.

Osobnik zmierzył Branda świdrującym spojrzeniem brązowych oczu.

- Jeśliś pan jest następnym myszkującym łapsem z komisariatu, to możesz pan przyjść później. Tera to ja pije hierbate. - I chciał zatrzaskać drzwi, ale Brand zdążył otworzyć je gwałtownym szarpnięciem.

- Jestem lord Faversham. Przyjaciel Weatherbygo. Jesteś tu gospodarzem?

- Tak. Nazywam się Shanley, ale...

Brand nie pozwolił Shanleyowi dokończyć zdania. Otworzył drzwi na całą szerokość i wszedł do małego, słabo oświetlonego holu. Ściany pokryte były brudną tapetą w kwiatki. Poza stołem i krzesłem pomieszczenie było całkiem puste, a marmurowa podłoga porysowana i brudna. To musiał być niegdyś całkiem przyzwoity dom, zanim popadł w ruinę.

- Chwileczkie, milordzie - zaprotestował Shanley. - Je śli pan przyszedłeś odebrać dług, to ten gość nie żyje.

Barbara Dawson Smith  
Zar



Kipnął na dwa dni przed terminem zapłaty czynszu. A cholernik wisiał mi już za trzy miesiące. -Ile?

- Pół gwinei. Mały czynsz za taki dom.

Brand znalazł w kieszeni parę złotych monet i rzucił je gospodarzowi, który zręcznie chwycił je w locie.

- To pokryje dług. Resztę zatrzymaj sobie za kłopoty.

Krzaczaste brwi uniosły się w górę. Shanley uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur spiczastych zębów -jeden, na przedzie, miał złotą koronkę.

- No, no. To bardzo ładnie z pańskiej strony, milordzie.

- Zaprowadź mnie do pokoju Weatherb/ego. I powiedz, co się stało.

Shanley, teraz w o wiele bardziej przyjaznym nastroju, nie zadawał Brandowi żadnych pytań. Wskazał półokrągłe schody prowadzące na piętro.

-Niewiele mam do powiedzenia. Pokojówka weszła dziś rano na górę, żeby posprzątać jego pokój. I znalazła tego biedaka w łóżku, sztywnego jak kij.

- Został zadźgany czy uduszony?

Shanley obejrzał się za siebie z oburzoną miną.

- Ja prowadzę przyzwoity interes, zamykam drzwi frontowe i kuchenne, okna są zabezpieczone. Nikt tu nie w stanie zamordowany we własnym łóżku.

- Nie ma żadnych śladów włamania?

Gospodarz pokręcił głową.

- Nie. Jak powiedział ten łaps: jakie to żalosne, że czło-  
wiek z towarzystwa mógł tak nisko upaść.

Widocznie Hannibal Jones już tu był. -Dlaczego żalosne? -

zapytał Brand, starając się opanować odruch pogardy. - Na co umarł Weatherby? Weszli już na górę i Shanley zatrzymał się z ponurą miną.

- Gentleman targnął się na swoją życie. Podciął sobie brytawą żyły na nadgarstkach.

Dobry Boże. Czy to możliwe, aby to była przypadkowa tragedia, bez związku z Ligą Lucyfera? Że uzależnienie od opium pchnęło Weatherby'ego do tak rozpaczliwego

Barbara Dawson Smith

Zar

kroku? Na przyjęciu u Vaughnów wydawał się przygnębiony. Niewiele mówił, jeśli nie liczyć sugestii dotyczącej wierszy, którą Tom Ransom natychmiast odrzucił.

Jednak instynkt mówił Brandowi, że ta śmierć nie była przypadkowym zbiegiem okoliczności. Morderca mógł z łatwością upozorować samobójstwo. Zamroczony narkotykami Weatherby na pewno nie stawiałby oporu.

- O której wrócił wczoraj do domu? - zapytał Brand.

Shanley podrapał się po lysiejącej głowie.

- Było już po północy.

- Był sam?

- Tak. Sam był ten gość.

- Ktoś go później odwiedził?

- Nie, chyba że sam go wpuścił po'tym, jak zamknąłem drzwi.

To tyle jeśli chodzi o bezpieczeństwo domu. -

A jego lokaja?

- Nie miał lokaja. Sam się obsługiwał.

- Czy inni lokatorzy nic nie słyszeli?

- Także nie. Te wredne łapsy maglowały ich przez pół dnia. Robią tylko domowi złą reklamę tym całym gadaniem o morderstwie i okaleczeniu. - Z przygnębieniem kręcąc głową, szeroko otworzył drzwi przy końcu korytarza. - Nie było tu żadnego morderstwa. Ale był okropny bałagan, naprawdę, pokojówka prawie godzinę musiała sprzątać.

Brand wszedł do słabo oświetlonego pokoju. Pościel została zdjęta z łóżka, lecz rdzawobrazowa plama na materacu świadczyła, że nastąpiła tutaj gwałtowna śmierć. W powietrzu unosił się odór octu i krwi, ale także słodkawym z opium.

- Czy coś zostało skradzione?

Shanley mrugnął do Branda.

- Jak pan chcesz coś sobie zabrać, żeby odebrać dług, to ja nic nie powiem.

Brand pozwolił, by gospodarz podejrzewał, iż przyszedł tu z wyrachowania. Z niedbałego spojrzenia, jakim Shanley obrzucił pokój, Brand wywnioskował, że gospodarz

Barbara Dawson Smith

Zar

zdażył już wcześniej przeszukać każdy kąt w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów. Jednak Weatherby chyba nigdy nie miał więcej niż dwa szylingi, które można by mu było ukraść.

Cały, co kwartał wypłacany fundusz natychmiast puszczał z dymem. Ostatnich kilka lat przeżył w stanie permanentnego otumanienia iluzjami i zwidami. Przybory do jego nałogu leżały na stoliku przy łóżku, nargile z brązu i palnik na węgiel drzewny.

Cholerny głupek.

Brand uświadomił sobie, że coś go dławi w gardle, więc przełknął ślinę. Weatherby, trzeci syn, w krótkim czasie przepuścił swoje dziedzictwo. O ile Brand pamiętał, to Weatherby miał dwóch braci w Hampshire, dobrze prosperujących właścicieli ziemskich, którzy przed laty zerwali z nim wszelkie kontakty. Czy ktokolwiek będzie rozpaczal po jego śmierci?

Skup się! Szukaj klucza do wyjaśnienia zagadki!

Rozejrzał się po pokoju, zawierającym skromny kawalerski dobytek. Przy drzwiach stała para czarnych skórzanych butów. Obity brązem kufer stał otworem, ukazując wrzucone w nieładzie koszule, krawaty i bryczesy. Drewniane biurko zarzucone było papierami.

Powoli obszedł pokój. Zabójca zapewne nie raz przeszedł w nocy po tym sfatygowanym dywanie. Ktoś, kto wszedł do środka nie forsując zamka. Może przez okno na parterze? A może Weatherby sam wpuścił swego zabójcę? Czy to ktoś, kogo znał?

Brand podszedł do toaletki i obejrzał brzytwę. Niewielka kapka mydła do golenia przyłgnęła do ostrza. Ani śladu krwi. Gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, w tej chwili zyskałby pewność, że to nie było samobójstwo. Bo gdyby to pokojówka wytarła brzytwę do czysta, to zniknęłaby również i ta plamka mydła.

A więc zabójca przyniósł ze sobą własną brzytwę. Czy Hannibal Jones zabrał ją jako dowód? " Brand podsumował wyniki przeglądu pokoju. Nie

znalazł na podłodze żadnego jakże użytecznego guzika, oderwanego od płaszcza mordercy. Ani biletu do opery pozostawionego przez Ransoma. Ani ustępu z Biblii zgubionego przez Parkinsona. Ani sprośnego wierszyka Vaughna.

Ten zabójca zostawiał tylko liścik. Czy Weatherby otrzymał takie samo ostrzeżenie jak Trowbridge?

Brand przejrzał walające się po biurku papiery, ale znalazł tylko monity w sprawach niezapłaconych długów. Pokojówka już tu sprzątała, więc kosz na śmieci był pusty. Zauważył wiszące na oparciu krzesła ubranie i zdjął je. Weatherby nosił ten niebieski surdut wczoraj na przyjęciu u Vaughnów.

Brand zajrzał do wewnętrznej kieszeni. Pusto. Szukał po drugiej stronie surduta, kiedy jego uwagę zwrócił odgłos zbliżających się korytarzem kroków.

W drzwiach ukazała się przypominająca latarnię uliczną, wysoka jak wieża postać Hannibala Jonesa. Palto wisiało na jego przywodzącej na myśl kościotrupa sylwetce jak całun na zwłokach.

- Dzień dobry, milordzie. Tego pan szuka? - Podniósł do góry wydartą z notesu kartkę.

Nawet z drugiego końca pokoju Brand mógł odczytać dwa starannie wykaligrafowane słowa: *Będziesz następny*.

Szybko podszedł do detektywa.

- Proszę dać mi spojrzeć.

Jones schował kartkę do kieszeni.

- Z całym należnym szacunkiem, wasza wysokość, to należy do materiału dowodowego i stanowi własność wymiaru sprawiedliwości.

- Chciałem tylko przyjrzeć się charakterowi pisma - wycedził Brand, starając się opanować rozdrażnienie.

- A może zniszczyć dowód własnego przestępstwa?

- Do licha, to przecież nie mój charakter pisma. Z przyjemnością dostarczę panu próbkę.

- Już porównałem to z pańskimi wpisami do księgi zakładów w klubie. Są pewne... podobieństwa.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

- Jak cholera. Nie miałem żadnego powodu, żeby mordować Weatherb^ego. Byliśmy przyjaciółmi. - Przynajmniej do czasu, gdy nałóg stał się dla niego ważniejszy niż wszystko inne.

- Przed siedmioma miesiącami przegrał do pana sporą sumę przy karcianym stoliku. Kelner z klubu sprawdził, że Weatherby podpisał panu weksel. Wykupił go?

- Zapomniałem o tym długu - wycedził Brand. - Szuka pan dziury w całym.

Usta Jonesa wykrzywiły się w karykaturze uśmiechu.

- Mój zawód nauczył mnie, że pieniądze nader często popychają ludzi do zbrodni. Skąd pan wracał wczorajszej nocy?

Brand zacisnął zęby. Choć nienawidził być zmuszonym do tłumaczenia się, wiedział, że ten człowiek tak czy owak dokopie się prawdy, choćby miał ją wygrzebać spod ziemi.

- Brałem udział w przyjęciu organizowanym w domu lorda Clifforda Vaughna.

- Kolejny był członek tego piekielnego klubu.

- Kto panu podał nasze nazwiska?

- Nieważne. Wróćmy do wczorajszego wieczoru. Ciekaw jestem, dlaczego towarzyszyła panu lady Charlotta Cjuinton.

- Lekki uśmieszek na jego kościstej twarzy dowodził, że uznaje Charlotte za dziwkę.

Brand złapał go za kłapy i zacisnął pięści. Zdawał sobie sprawę, że to nie jest najlepszy sposób oczyszczenia się z zarzutu morderstwa, ale wściekłość wzięła w nim górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Nie mieszaj do tego damy - wycedził przez zęby. - Al bo, klnę się na Boga, dopilnuję, żebyś wylądował dupą w rynsztoku, a twoją głowę wbiję na włócznię.

## Rozdział 15

### Szaleństwo Fancy

Rozglądając się za Brandem, Charlotta wyprowadziła Fancy do parku znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

Dzień był wietrzny i pochmurny. Przejmująco zimny wiatr szarpał spódnicami i wdierał się pod pelisę. Od czasu do czasu w twarz uderzała kropla lodowatego deszczu. Charlotta trzymała się zwirowanej ścieżki, bo stąd mogła mieć na oku drogę dojazdową w obu kierunkach. Jednak nigdzie nie było nawet śladu po wytwornej, szarej kariolce Branda.

Zacisnęła zmarznięte mimo rękawiczek palce na smyczy. W nadziei, że złapie Branda, kiedy będzie wchodził do domu, paradowała po tej ścieżce niemal od godziny i nawet Fancy zaczynała już być znużona ujadaniem na wiewiórki, obwąchiwaniem krzaczków i warczeniem na przechodniów płci męskiej.

Charlotte rozgrzewały tylko gorączkowo przelatujące jej przez głowę myśli.

Nie podjęła jeszcze decyzji, czy porozmawiać z Brandem o rewelacjach Vivien. Chciała wydrzeć mu z gardła wyznanie, dlaczego zdradził najlepszego przyjaciela i nawiązał romans z jego żoną. Kiedy jednak przypominała sobie wyraz jego twarzy, gdy trzymał Amy w ramionach, jej gniew topniał. Czułość. Miłość. Udreka.

Dobry Boże, Brand ma córkę. Śliczną Amy o orzechowych oczach i impertynenclch manierach. Teraz, kiedy

zdążyła już przyzwyczać się nieco do tej myśli, zaczynała dostrzegać między nimi pewne podobieństwo. Dziewczynka miała taki sam uśmiech, jak Brand, kiedy był chłopcem.

Czy żałował, że nigdy nie upomniał się o Amy? Czy kiedykolwiek zapragnął, by powiedziała do niego „tato”, albo by przyszła do niego po pocieszenie, kiedy stłukła sobie kolano? Czy kiedykolwiek zabolalo go serce, gdy pomyślał o tym, co stracił, rezygnując z wychowywania jej?

Charlotta poczuła dławienie w gardle. Nie, Brand wcale nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za rodzinę. Nie raz mówił o tym z naciskiem, ostatnio na przyjęciu u Vaughnów.

„Nie mam zamiaru z nikim się żenić. Czy wyrażam się jasno?”

Upadła na duchu tak bardzo, że miała ochotę się rozplakać. Czy Brand jest po prostu nieuleczalnym rozpustnikiem, który nigdy się nie ustakuje? A może tak rozpaczliwie kochał Grace, że nigdy żadna kobieta nie będzie mogła jej zastąpić?

Teraz, kiedy wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce, Charlotta zrozumiała, że ta ogromna zmiana z beztronskiego lekkoducha w cynicznego mizoginistę zbiegła się w czasie ze śmiercią Grace, kobiety, z którą zamierzał uciec na kontynent.

Fancy warknęła. Charlotta usłyszała to warknięcie jedynie maleńką cząstką świadomości, toteż na dźwięk męskiego głosu aż podskoczyła.

- Dobry wieczór, milady.

Przycisnęła ręką pelisę w miejscu, gdzie biło serce i odwróciła się. Stał przed nią Harold Rountree w bobrowej czapce i dopasowanym płaszczu ze znakomitej wełny, podkreślającym zgrabną sylwetkę. Zdjął czapkę, uśmiechnął się i wręczył Charlotcie bukiet fiołków i żonkili.

Wzięła bukiet i z roztargnieniem wciągnęła w nozdrza cudowny aromat. - Dziękuję, ale... wielkie nieba. Skąd pan się tu wziął?

Barbara Dawson Smith Zar

-Z domu Favershama - odparł, wkładając na głowę czapkę.  
- Pokojówka powiedziała mi, że wyszła pani na spacer, więc rozglądałem się tu za panią.

- Nie zauważyłam pana przy frontowym wejściu.

- Bo przyszedłem drzwiami dla dostawców. - Pan Rountree wyraźnie nie był zachwycony, że musi uciekać się do takich środków. - Ze względu na ultimatum Favershama.

Charlotta była tak zaprzężona usłyszonymi od Vivien rewelacjami, że przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie Brand powiedział. „Jeśli choćby postawi stopę na progu drzwi frontowych, wpakuję mu kulę prosto w serce”.

W liście do pana Rountree Charlotta przytoczyła te słowa.

- Przykro mi - powiedziała z przepraszającym uśmiechem. - Może miałby pan ochotę towarzyszyć mi podczas spaceru.

Pan Rountree zmarszczył czoło na widok Fancy, która szczyrzyła na niego kły, kryjąc się za spódnicą Charlotty.

- Z przyjemnością.

- Proszę nie martwić się, Fancy - poprosiła Charlotta. - Nie będzie pana atakować, jeśli zachowa pan pewien dystans. Proszę mi opowiedzieć, jak przebiega pańska kampania wyborcza.

Ruszyli spacerowym krokiem. Pan Rountree starannie przestrzegał rozsądnej odległości.

-Uczyłem umiarkowane postępy w pozyskiwaniu poparcia politycznego - stwierdził. - To dość delikatna kwestia: przekonanie ludzi, żeby poparli czyjąś płaszczyznę wyborczą, szczególnie jeśli ten ktoś ma niewielkie powiązania z wyższymi sferami. Ale dość o tych nudnych sprawach. Przyszedłem tu, żeby poruszyć bardziej osobistą kwestię. Żeby zapytać, czy rozważyła pani moją propozycję.

Jego propozycję? Ach tak, oświadczyny.

Charlotta poczuła wyrzuty sumienia, bo przez długie bezsenne godziny, aż do świtu, leżała rozpamiętując pocałunek innego mężczyzny. Tego, który nigdy nie złożył jej

Barbara Dawson Smith  
Zar

uczciwej propozycji małżeńskiej i nie spełni marzeń o ślubie i rodzinie.

A pan Rountree pragnął jej to wszystko ofiarować. Gdyby tylko mogła zapomnieć o swej beznadziejnej tęsknocie do Branda.

- Obawiam się, że jeszcze nie podjęłam decyzji ~ uchyliła się od odpowiedzi. - Sądziłam, że umówiliśmy się za dwa tygodnie.

- Nie mogłem już wytrzymać z dala od pani! - wykrzyknął z nietypowym dla siebie animuszem Harold Rountree. - Błagam o wybaczenie, że cię naciskam, pani, ale nie jestem w stanie myśleć o nikim innym. Tylko o pani. Byłbym dumny, mogąc nazywać panią moją żoną.

Szczerść bijąca z jego piwnych oczu przemówiła do obolałego serca Charlotty, lecz wiedziała, że dopóki morderca nie zostanie odkryty, nie może mu zaufać.

- Pomimo wszystko chciałabym dokładnie przemyśleć tę kwestię. W przyszłym tygodniu dam panu odpowiedź.

- To ta okropna Liga! - Wyrażnie niezadowolony Rountree schował ręce do kieszeni palta. - Jakże chciałbym znaleźć sposób, by przekonać panią, że się zmieniłem.

Charlotta dostrzegła szansę przesłuchania go, sprawdzenia, w jaki sposób reaguje na pewne nazwiska.

- Skoro już mowa o Lidze, to czy dotarły do pana nowiny o sir Johnie Parkinsonie?

Pan Rountree zatrzymał się.

- Parkinsonie? Skąd pani zna tego łajdaka? Pokładam w Bogu nadzieję, że Faversham nie przedstawił pani wszystkich swoich niegodziwych przyjaciół.

- Niektórych z nich spotkałam w różnych miejscach i sędzę, że bardzo by mi pan pomógł, gdyby zechciał pan podzielić się ze mną swą opinią o nich. A jeśli chodzi o Parkinsona, to twierdzi, iż zszedł już ze złej drogi. A nowina jest taka, że został duchownym w Kościele Prawdziwej Wiary.

- Tak? To doprawdy cud.

Pan Rountree nie zdołał ukryć wyrazu szczerego rozba-

Barbara Dawson Smith  
Zar

wienia. Ruszyli dalej i Charlotta postanowiła sprawdzić, jak jej towarzysz zareaguje na kolejne nazwisko.

- Poznałam również lorda Clifforda Vaughna.

- Vaughna?! - Na twarzy pana Rountree znów pojawił się wyraz niesmaku. - Jeśli ten świntuch zaproponuje, że przeczyta pani swoje wiersze, proszę się na to nie godzić.

- Tak? - zapytała niewinnie. - A dlaczego?

- Bo to nie są utwory przeznaczone dla kobiecych uszu.

Charlotta miała ochotę jeszcze się z nim podroczyć, ale to mogłoby obudzić w nim podejrzenia co do miejsca, w którym spędziła poprzedni wieczór.

- Dobrze, wezmę sobie pańską radę do serca. Spotkałam też pułkownika Toma Ransoma, ostatnio w kawalerii Jego Królewskiej Mości. Robi wrażenie miłego człowieka.

-Ba! Kolejny łajdak, który ukrywa swoje skłonności przed szlachetnymi młodymi damami, takimi jak pani.

- Ależ on musi być człowiekiem honoru. Zaręczył się z lady Belindą, córką lorda Pomeroya.

- Módlmy się, żeby odkryła swój błąd, zanim będzie za późno. - Pan Rountree zerknął ostrożnie w prawo i w lewo, jakby w bezlistnych, nagich krzewach mógł ukrywać się ktoś niepowołany, kto może podsłuchać ich rozmowę. - Proszę unikać jego towarzystwa. Robił rzeczy, które nawet Favershama przyprawiłyby o rumieniec.

- Doprawdy? A ja sądziłam, że Brand jest najgorszym z tych rozpustników.

Pan Rountree zmarszczył brwi.

- Proszę nie pytać mnie o szczegóły. To nie jest temat odpowiedni dla pani uszu.

Choć Charlotta była bardzo zaintrygowana jego tajemniczością, uznała, że rozsądniej będzie zmienić temat. Próbuąc przybrać obojętną minę, ukryła twarz w bukieciku i odetchnęła głęboko.

-A co pan wie o pewnym skrytym człowieku nazwiskiem Weatherby?

Pan Rountree pokręcił głową.

- Jest równie zły jak pozostali - oznajmił z niesmakiem.

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Postanowił puścić własne życie z dymem. Nigdy zbyt do brze go nie znałem.

-A Uriah Lane? Ten przypomina mi niedźwiedzia.

- Podczas przyjęcia pieścił swoją ładacznicę, przypomniła sobie z odrazą.

-Lane! Ten człowiek nie myśli o niczym poza... - Pan Rountree znowu urwał, wyraźnie wzburzony. - Pani, bardzo mnie ta rozmowa zmartwiła. Czy Różyczki w ogóle nie kontrolują pani kręgu znajomych?

Charlotta stanęła na środku ścieżki.

- Są niedysponowane, jak panu wiadomo. Ale pan okażał się bardzo pomocny. Teraz będę wiedziała, kogo unikać, bo poznałam prawdziwą naturę tych ludzi.

A co z prawdziwą naturą pana Rountree? Perspektywa, że on traktuje ją jak idiotkę, była przerażająca, ale Charlotta musiała ją brać pod uwagę. Czy tak bardzo zależało mu na karierze politycznej, że gotów byłby zamordować wszystkich, którzy mogliby go rozpoznać jako byłego członka Ligi Lucyfera?

- Droga pani, musi mi pani obiecać, że nie będzie pani spotykać się z tymi mężczyznami - zawołał pan Rountree i pochwycił jej dłoń. - Z przyjemnością oddałbym za panią życie... ooch!... a niech to!

Fancy rzuciła się, ugryzła go i odskoczyła. Pan Rountree podskakiwał na jednej nodze, rozcierając bolącą kostkę drugiej. Charlotta gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Fancy! Dość!

I właśnie kiedy pomyślała, że gorzej już być nie może, jej uwagę przyciągnął jakiś ruch po drugiej stronie ulicy.

Brand wypadł z domu i sadył wielkimi krokami prosto ku nim.

\* \* \*

Drogo przyjdzie mi za to zapłacić, jeśli Hannibal Jones przygląda się temu gdzieś zza krzaka, pomyślał ponuro

Barbara Dawson Smith  
Zar

Brand. Główny podejrzany Jonesa zamierzał popełnić zbrodnię w biały dzień.

Uskoczył przed przejeżdżającym wozem, nie odrywając wzroku od pary na skwerku. Rountree skakał w kółko jak najgorszy uczeń szkoły tańca, Charlotta stała nieruchomo tuż przy nim, a potem pochyliła się, żeby obejrzeć jego kostkę. Gdyby nie to, że Branda zaślepiła furia, byłby zadowolony z faktu, że Fancy znowu ugryzła tego gamonia.

I niewątpliwie umiałby docenić widok kształtnego tyłeczka Charlotty, opiętego dopasowaną zieloną spódnicą. Przyciskała do piersi bukiet wiosennych kwiatów - prezent od tego cholernego absztyfikanta.

Brand przeskoczył niski żywopłot z bukszpanu i chwycił podskakującego na jednej nodze Rountreego za ramię.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

- Faversham! Zostaw mnie z łaski swojej. Jestem ranny...

- Za chwilę znajdziesz się dwa metry pod ziemią.

Charlotta głośno odetchnęła.

- Brand, puść go natychmiast!

- Z rozkoszą. - Brand odchylił się do tyłu i rąbnął Rountreego celnym ciosem w szczękę. Wspaniały wstrząs szarpnął jego ramieniem. Poczul się znacznie lepiej niż po którymkolwiek z ciosów, zadanych podczas meczu sparginowego rozegranego w hali bokserskiej.

Rountree zatoczył się do tyłu i padł na twardo ubitą ścieżkę. Złapał się za zaczerwioną szczękę i potrząsał głową jak człowiek, próbujący otrząsnąć się z zamroczenia.

Charlotta podbiegła do niego, gubiąc po drodze kwiaty i ukłękła na ścieżce.

- Panie Rountree! Nic się panu nie stało?

- Ten sukinyś się wylize. Ale przez jakiś czas będzie omijać to miejsce szerokim łukiem. - Brand wziął na ręce ujadającą i szczekającą Fancy. - Dobra robota, futrzaku. Ale nie powinnaś gryźć leżącego.

-Brand! - Charlotta obrzuciła go pełnym wściekłości spojrzaniem. - Jak śmiałeś go uderzyć?

Barbara Dawson Smith  
Zar

Ignorując jej pytanie, gładził uspokajająco futerko psa.  
- Wstawaj, Rountree, bądź mężczyzną! Mam do ciebie słówko!  
Rountree niezgrabnie gramolił się na nogi, nie spuszczać z Branda gniewnego spojrzenia.  
- To skandal - warknął. - Niczym sobie nie zasłużyłem na tak brutalne traktowanie.  
- Gdzie byłeś ostatniej nocy?  
- W swoim hotelu. Dlaczego pytasz?  
  
- Masz na to jakichś świadków? Rountree na chwilę odwrócił wzrok.  
- No cóż, nie... Spałem.  
Kłameczuch. Sukinsyn albo miał w pokoju kobietę, albo wyszedł, żeby podciąć koledze żyły.  
- Na litość boską, przestań go dręczyć. - Charlotta po zbierała kwiaty i ruszyła do Branda, wymachując bukietem jak bronią. - Zachowujesz się jak kretyn. O co ci chodzi?  
- Ostatniej nocy został zamordowany Weatherby.  
Zatrzymała się, zakryła ręką usta i wydała cichy okrzyk przerażenia. - Weatherby? - zapytał Rountree, marszcząc czoło.  
- Masz na myśli Jamesa Weatherby'ego?  
- Oczywiście - oświadczył Brand. - I ciekaw jestem, co wiesz o tej sprawie.  
- Ja? A cóż ja mógłbym wiedzieć o tej zbrodni?  
- Jeśli tam byłeś, wiesz całkiem sporo.  
Twarz Rountreego wyrażała równocześnie zmieszanie, gniew i panikę. Przynal się bliżej do Charlotty.  
- Pani, ten człowiek bredzi jak opętany. Chodź lepiej ze mną - rzucił półgłosem.  
- Charlotta zostanie tutaj - wycedził Brand przez zęby.  
- To ty sobie pójdiesz. Zanim ja nabiorę ochoty, aby po pełni morderstwo.  
Rountree wyprostował się.  
- Nie zostawię damy bez obrony.  
- Nic mi nie będzie, panie Rountree - stwierdziła Charlotta uspokajającym tonem. - Natychmiast wejdę do

Barbara Dawson Smith Żar

domu i Różyczki wezmą mnie pod opiekę. Może pan odejść z czystym sumieniem.

- Ale pani bezpieczeństwo...  
- Brand stracił panowanie nad sobą po śmierci przyjaciela. Jestem przy nim całkowicie bezpieczna.

Całą uwagę skupiła na Rountree. Poglądziła jego ramię, strąciła na ziemię kilka listków, które przyłgnęły mu do rękawa. Gdy Fancy zaczęła głucho warczeć, Brand postanowił przyłączyć się do symfonii i zawtórować psu.

- Spadaj! - warknął.

Rountree miał dość oleju w głowie, żeby się cofnąć. Nie odrywając od Branda pełnego nienawiści spojrzenia, uniósł czapkę przed Charlotta.

- Pani, w razie potrzeby prześlij mi wiadomość do hotelu Harris w Westminsterze. O każdej porze dnia i nocy.

Miał czelność rzucić jeszcze Brandowi wyzwające spojrzenie, zanim odwrócił się i ruszył ścieżką, oglądając się od czasu do czasu, jakby spodziewał się, że Brand niezwłocznie zgwałci Charlotte tam, gdzie stali.

Brand odwrócił się i spostrzegł, że Charlotta wpatruje się w niego dziwnie upoczywie. Nigdy nie wyglądała piękniej niż teraz, kiedy kasztanowe loczki otaczały twarz o oczach zielonych i pełnych tajemnic jak las. Rumieniec ożywienia opromienił jej delikatne rysy tak, że Brandowi ścisnęło się gardło. Mogła sobie być niezłomna duchem, ale fizycznie była całkiem bezbronna i o wiele zbyt ufna. Zaprzagnął aż do bólu wziąć ją w ramiona i chronić przed wszelką krzywdą.

Zamiast tego wyjął z jej rąk bukiet kwiatów i cisnął go daleko w krzaki. Żonkile i fiołki opadły na nagą ziemię jak barwny deszcz.

- Co robisz? - zapytała z gniewem.

- Nie chcę jego kwiatów w swoim domu! - Brand wziął ją pod rękę i siłą zaprowadził na drugą stronę ulicy. - Po stąpiłaś okropnie głupio, spotykając się z nim tutaj.

- To nie było umówione spotkanie - powiedziała łagodząco, starając się nadażyć za jego szybkim krokiem.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Rozglądałam się za twoją kariolką, kiedy przyszedł, żeby porozmawiać.

- Wszedłem tylnym wejściem. Nie ma sensu dzwonić na stajennego, żeby odprowadził powóz na podwórze. - Ugodowy ton Charlotty zbił go z tropu. Gdzie się podział jej gniew? Nagle uderzyła go pewna myśl. - Dlaczego mnie wypatrywałaś? Czy coś się stało?

- Nie, nic się nie stało! - Rzuciła mu lekki uśmiech, który wydał mu się dość wymuszony. - Tylko... chciałam wiedzieć, czy posunąłeś się naprzód w dochodzeniu. To wszystko.

Brand odniósł wrażenie, że to wcale nie było wszystko, ale w tym momencie weszli do domu. Oddali płaszcz lokajowi i Brand wciągnął Charlotte do biblioteki, żeby porozmawiać w cztery oczy.

Postawił Fancy na podłodze, odpiął smycz i spojrzał na Charlotte. Znow wpatrywała się w niego z zamyśleniem jakimś miękkiem wzrokiem, który sprawił, że jego puls przyspieszył. Czy myślała o tym pocałunku w łóżku? I czy wybaczyła mu podstęp?

Boże, miał nadzieję, że tak, choć może była to nadzieja przesadna.

- Powiedz mi teraz, co ci chodzi po głowie.

-Nic, naprawdę. - Na chwilę spuściła wzrok, -potem znow spojrzała mu w oczy, ale tym razem jej spojrzenie było chłodniejsze. To była znana mu Charlotta. - Jak już mówiłam, byłam ciekawa, czy przesłuchiwałaś kogoś, kiedy cię nie było. Przez myśl mi nie przeszło, że przywieziesz taką okropną wiadomość.

A więc nie chciała rozmawiać o tym pocałunku. To dobrze, że nie chciała. Morderstwo to znakomity temat zastępczy.

Zwięźle zrelacjonował jej wydarzenia, bagatelizując swoje spotkanie z Hannibalem Jonesem.

- Była tam kartka, taka sama jak w poprzednich przy padkach, ale ten sukinsyn nie pozwolił mi lepiej się jej przyjrzeć.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Charlotta pobladła. Najwyraźniej nie mogła wysiedzieć w miejscu, bo krążyła po bibliotece, dotykając od czasu do czasu jakiejś książki.

- Brand, on prowadzi dochodzenie. Powinieneś być z tego zadowolony. Ja jestem.

- On mi tylko stoi na drodze. Nie zna tych ludzi tak jak ja. - Podenerwowany Brand zaczął chodzić za Charlotta. - Gdybym mógł porównać ten bilecik z próbkami pisma, które już nam się udało zgromadzić, bylibyśmy bliżsi rozwiązania zagadki.

- W takim razie daj mu te próbki - stwierdziła z irytującą logiką. - Mam kilka listów od pana Rountree, które z przyjemnością dołączę do zbioru.

Brand zatrzymał się przed nią, zadowolony z szansy, że może dać ujście kipiącym w nim emocjom.

- Więc zgadzasz się, że Rountree jest podejrzany? A jednak wyszłaś z nim na spacer.

- Zadałam mu parę pytań, ale niestety niczego nowego się nie dowiedziałam. - Otworzyła książkę i zaczęła przerzucać strony, jakby chciała w nich znaleźć odpowiedź.

- Powinnaś się go bać, do diabła. - Brand, przerażony samą myślą, że Charlotte mogłoby spotkać coś złego, wyjął jej z ręki książkę i wstawił ją na półkę. - Podejmujesz bezsensowne ryzyko. Powinnaś wrócić do domu natychmiast, jak go tylko zobaczyłaś.

-Brand, na litość boską! Przecież tobie grozi o wiele większe niebezpieczeństwo niż mnie.

Jej głos wibrował z emocji, a ogromne zielone oczy pobudziły jego serce do szybszego bicia, nie mówiąc już o tym, że pobudziły również całkiem inną część jego ciała.

- Ja umiem o sobie zadbać - powiedział burkliwie. - A ty jesteś kobietą, którą bez trudu można pokonać.

Charlotta wydeła wargi. Śliczne wargi, stworzone do pocałunków. Wargi, które trzeba by udobruchać.

-Pozwolę sobie zauważyć, że zamordowano pięciu mężczyzn. A ty byłeś niegdyś członkiem Ligi.

Barbara Dawson Smith  
Zar



Czy naprawdę przejmowałaby się, gdyby on umarł? Głupie, nieistotne pytanie.

Brand potarł kostki dłoni, żeby zapanować nad pragnieniem dotknięcia Charlotty.

- Daj mi tu tego mordercę. Z radością wykorzystam szansę pokonania także i jego.

-Ach wy, mężczyźni! - Charlotta pokręciła głową. Ale zamiast go złać, znów obrzuciła go tym znanym mu już, zamyślonym spojrzeniem, którego nie umiał rozszyfrować. - Brand, przykro mi, że...

- Że mnie nie posłuchałaś? Powinnaś mnie słuchać.

-Nie dlatego. Przykro mi, że...-Znowu urwała. -Przy

kro mi z powodu Weatherb/ego.

Dlaczego miał wrażenie, że nie to chciała początkowo powiedzieć? Współczucie w jej oczach wyglądało na tak szczere, prawdziwe, chwytające za serce, że Brand nagle zapragnął wyrzucić z siebie gniew i żal nad zmarnowanym życiem.

- Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi - mruknął ponuro.

-Ale... dziękuję ci.

Charlotta rozchyliła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. Jej oczy niewątpliwie spoglądały bardzo wymownie. Uporczywie, tajemniczo, zachęcająco. Chciał zapomnieć o morderstwie, zapomnieć o całym świecie, zgłębiać otchłanie jej pocałunku. Czułego, uwodzicielskiego pocałunku, który w ciągu pięciu sekund obudziłby w niej szaloną namiętność. Pragnął przesuwać rękami wzdłuż jej ciała, ogłosić całemu światu, że cała ta słodka, kusząca kobiecość należy wyłącznie do niego. Patrzył na nią i powoli, stopniowo pochylał się ku niej, zmniejszając dzielący ich dystans.

Charlotta spojrzała na jego wargi i odezwała się niskim, chrapliwym głosem.

-Wybacz, ale muszę iść się przebrać. Michael, Vivien i Amy przyjdą dziś na obiad. - I ruszyła do drzwi, zostawiając go przy półkach z książkami. Amy. Nic innego nie wytrąciłoby go tak całkowicie

z równowagi. Czy Charlotta powiedziała to celowo? Może jednak coś wie?

Kołysząc biodrami, wyszła z biblioteki, nie oglądając się za siebie. Jej nonszalancja uśmierzyła nieco lęk Branda. Gdyby знаła prawdę, rzuciłaby mu ją w twarz. Przecież ona nigdy nie przegapiłaby okazji, żeby mu dopiec i wzbudzić w nim poczucie winy.

Odetchnął głęboko. W takim razie co miała na myśli?

Fancy postawiła uszka, zrobiła krok, jakby chciała pobiec za swoją panią, ale wróciła do Branda i usiadła przed nim, pytająco przechylając łebek na bok.

- Wiesz, futrzaku, ty też jesteś tajemnicza - powiedział Brand, odrywając spojrzenie od drzwi. - O co, twoim zdaniem, w tym wszystkim chodzi?

Fancy poruszyła puszystym brązowym ogonem.

Brand przykucnął i uważnie przyjrzał się suczce. Była paskudnym kundlem, ale przynajmniej ten łysy placek na tylnej łapie zaczął zarastać sierścią.

- Do licha, ty też jesteś płci żeńskiej. Podejrzewam, że lepiej rozumiesz kobiety niż ja.

Fancy zaskomliła, przewróciła się do góry brzuszkiem i spojrzała na niego prosząco.

- A, o to chodzi? Czegoś ode mnie chcesz. - Brand po drapał ją po brzuszku. - Myśli twojej pani powinny być równie łatwe do przeniknięcia.

Ponure spojrzenie Branda znów pobiegło ku drzwiom. Miał przykre poczucie, że przegapił coś ważnego. A jeszcze większą przykrość sprawiało mu nasilające się zainteresowanie Charlotta. Powinien skupić się na śledztwie, a on tymczasem kompletnie się zaplątał, uwikłał się we własne pożądanie i dyszy u jej stóp jak wyczekujący szczeniak.

Przyszło mu do głowy, że dopóki nie zostaną kochankami, nie zagna spokoju.

## Rozdział 16

### Prośba panny Darby

Następnego ranka Charlotta leżała jeszcze w łóżku, popijając herbatę i roztrząsając tajemnicę, kiedy nadeszła wiadomość.

Dzień wstał zimny i deszczowy. Bębniące o okienną szybę krople deszczu działały uspokajająco. Obudziła się wcześniej, ale nie chciało jej się wychodzić spod przytulnej, ciepłej kołdry, więc pozwoliła sobie na luksus zjedzenia śniadania w łóżku i rozmyślenia o Brandzie.

Chociaż bardzo chciała usłyszeć jego wersję historii, postanowiła jeszcze nie poruszać tematu Amy. Poprzedniego wieczoru przy obiedzie Brand nie zwracał na dziewczynkę szczególnej uwagi. I prawdę mówiąc, gdyby Vivien nie zdradziła tajemnicy, Charlotta absolutnie nie podejrzewałaby tak bliskiego związku pomiędzy nimi.

Cóż, chwilowo lepiej było odłożyć na bok sprawy osobiste. Brand miał dość kłopotów w związku z morderstwami. A ona miała dość wszystkiego, martwiąc się o niego.

Śmierć Weatherbyego była jak upiorne przypomnienie o zagrożeniu. Zabójca nadal był gdzieś tam na wolności, nadal knuł, snuł plany. A jeśli jego następnym celem był Brand?

Charlotta zadrżała w ataku lodowatego lęku. Spojrzała w dół na fusy od herbaty i pożałowała, że nie potrafi przepowiadać przyszłości jak cygańska wróżbitka. Dobry Boże, gdyby tylko mogła mieć pewność, że on jest bezpieczny.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Ze swą wrodzoną brawurą ten wariat mógł sam sprowokować niebezpieczeństwo.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła Nan z Fancy, którą wyprowadzała na dwór. Pызata buzia pokojówki była zarumieniona z zimna i rozpromieniona z ciekawości.

- Jakaś dama czeka na panią na dole w salonie.

- Gość? Tak wcześniej? - W dobrym towarzystwie obowiązywała niepisana zasada, że przed południem nie należy składać wizyt.

- To jeszcze siksa, płochliwa jak strzyżyk. Nazywa się panna Darby.

Zaskoczona Charlotta odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, podkulając gołe palce, kiedy dotknęła stopami zimnej podłogi. Skoro chorobliwie nieśmiała kuzynka Clifforda Vaughna w ogóle tu przyszła, w dodatku sama i o tak niekonwencjonalnej porze, to mogło oznaczać tylko sprawę niecierpiącą zwłoki.

- Muszę natychmiast się ubrać.

Z pomocą Nan Charlotta zdołała włożyć rdzawą suknię z długimi rękawami i uczesać włosy w ciągu niespełna dziesięciu minut. Potem pospieszyła do ogromnego salonu ze wspaniałymi żyrandolami i ustawionymi w kręgi fotelami. W pierwszej chwili z zaskoczeniem uznała, że pokój jest pusty. Dopiero kiedy się odwróciła, dostrzegła pannę Darcy siedzącą pod drzwiami na zwykłym, twardym krześle z prostym oparciem.

Dziewczyna wyglądała żałośnie. Deszcz kompletnie przemoczył dół jej nijakiego, szarego płaszcza, a mokry kaptur okrywał brązowe włosy. Buzia wydawała się bardzo drobna i mizerna. Panna Darby zaciskała dłonie na kolanach.

Choć w drugim końcu pokoju wesoło płonął na kominku ogień, to pod drzwiami było chłodno.

- Przepraszam, że kazałam pani czekać! - zawołała Charlotta i poprowadziła dziewczynę do miękkiego zielonego fotela przy kominku. - Musiała pani przemarznąć. Chodźmy bliżej do ognia. Nikt nie podał pani herbaty?

Panna Darby przycupnęła na krawędzi fotela.

- Nie, dziękuję - wyszeptała. - Nie mogłabym przełknąć ani kropki.

- Jest pani całkiem wytrącona z równowagi. Mogłaby mi pani powiedzieć, co się stało?

-Tak, dziękuję. Prze...przepraszam... jest jeszcze tak wcześnie. Bałam się, że zastanę panią w łóżku.

- Już nie spałam, więc wszystko w porządku. Z przyjemnością pomogę pani o każdej porze dnia i nocy. - Przejęta Charlotta zajęła fotel obok panny Darby. - Ale nie traćmy czasu na banały. Coś musi być straszliwie nie w porządku, skoro przyszła tu pani w takim stanie.

Dziewczyna szybko kiwnęła głową.

- Wczoraj wieczorem podsłuchiłam rozmowę kuzyna. Pewnie źle pani o mnie pomyśli, że podsłuchiwałam, ale...

Charlotta także dobrze nadstawiała ucha, gdyby mieszkała z Vaughnami. Jeśli nie dla innych powodów, to dla własnego bezpieczeństwa.

- Uważam, że jest pani rozsądną i odważną osobą, skoro przyszła mi pani o tym opowiedzieć. Słucham.

Panna Darby zagryzła wargę.

- Mój kuzyn, Clifford, robił z Lydią plany. Okropne plany.

- Plany?

-Tak. Dziś po południu mają wziąć udział w straszliwym wydarzeniu. - Błękitne oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Och, milady, nie mogę nawet myśleć o tych nieszczęsnych stworzeniach. Mam nadzieję, że pani zdoła położyć temu kres.

Charlotta poczuła przyływ niepokoju.

- Dobry Boże. Jakie stworzenia?

Panna Darby z przygnębieniem pociągnęła nosem.

- Psy, milady. Chodzi o walki psów. One walczą na śmierć i życie.

\* \* \*

Idąc pospiesznie korytarzem, Nan oglądała się przez ramię. Ale patrzyły na nią tylko ustawione w niszach

Barbara Dawson Smith  
Zar

kamienne posągi. Mimo to starała się wyglądać tak, jakby zdążyła dokądś w ważnej sprawie, powierzonej jej przez panienkę, a nie jak osoba planująca popełnienie czynu kryminalnego.

Lady Charlotta wypadła z domu w towarzystwie księcia pół godziny temu. Panienska cały ranek była rozdygotana i pomstowała na niektórych ludzi za ich niebывale okrucieństwo w stosunku do zwierząt. Jego książęca wysokość próbował ją przekonać, że powinna zostać w domu, ale Nan z góry wiedziała, że te starania są skazane na porażkę. Kiedy jej pani miała jakąś misję, nic nie mogło jej powstrzymać.

Pomimo ciągłych kłótni tych dwoje wyraźnie się przyciągało. Często ze sobą przebywali i Nan zauważyła, że jej pani jest wyraźnie zainteresowana Favershamem. Nie mogła mieć pretensji do Charlotty. Diabelski książę był o wiele bardziej interesujący niż zniewieściał, pozbawiony charakteru pan Rountree.

A gdyby tak jego książęca wysokość poprosił lady Charlotte o rękę?

Gdyby pani została księżną, wzrosłaby także pozycja Nan.

Przez chwilę Nan wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby na stałe zamieszkała w tym pałacu, gdzie jada codziennie mięso i zawsze śpi w ciepłym łóżku. Lubiała zajmować się nową garderobą lady Charlotty, jedwabiem i lnem, chłodnymi i gładkimi w dotyku. Nie miała także nic przeciwko swym obowiązkom, poza szyciem i łataniem, co często kończyło się kompletną klapą. I z dumą pod koniec miesiąca odbierała swojego funta szterlinga z przekonaniem, że uczciwie zapracowała na każdego pensa.

Tak, chętnie by tu została. Nie tylko dla Gifflesa.

Nan znów obejrzała się za siebie. Korytarz był pusty, chwala Bogu. Dobrze wybrała czas, cała służba oddawała się teraz leniwemu spożywaniu lunchu. A nadęty stary lokaj wyszedł z domu wypełnić jakieś polecenie pana.

Nan początkowo zamierzała zrealizować swój cel nocą, kiedy wszyscy zasną, ale Giffles zdawał się bez przerwy

Barbara Dawson Smith  
"Zar

pilnować domu, zaglądać jej przez ramię, pojawiać się zniecka i przyprawiać ją o śmiertelne przerażenie. Od czasu, gdy przyłapał ją na wślizgiwaniu się do domu po północy, przyglądał jej się podejrzliwie. Nie miała więc wyjścia i musiała to zrobić w świetle dziennym, kiedy ła-twiej byłoby jej się wyłgać, gdyby ktoś ją nakrył.

Co nie oznaczało, że zamierzała dać się złapać.

Jej tanie skórzane buciki skrzybiały na marmurowej po-sadzce. Mijała ogromne pokoje pełne złożonych mebli i kosztownych draperii. Może na parterze nie znajdzie tego, czego szuka. Może znajduje się to na piętrze, w sypialni księcia pana.

Wreszcie wypatrzyła to przez uchylone drzwi. Biurko. Duże, eleganckie, właśnie takie, jakie Dick kazał jej znaleźć.

Wśliznęła się do pokoju i z zaskoczeniem rozglądała się po wypełnionych książkami półkach. Nigdy nie nauczyła się pisać, dziewczyny takie jak ona z reguły były analfabetkami. Co ten diabelski książę robił z taką liczbą książek? Przełknęła głośno na samą myśl o tym, jaki on musi być mądry.

A mądry człowiek potrafi złapać złodzieja.

Nan stała przy biurku, zaciskając palce na brązowym uchwycie górnej szuflady. Nie mogła się zmusić, żeby ją otworzyć. Ogarnęły ją mdłości. Jak może okraść księcia pana? Zostanie złapana, wsadzona do więzienia, może nawet skazana na szubienicę. I jakiego wstydu przysporzy lady Charlotcie, która zawsze była dla niej taka dobra.

Dla Dicka. To dla Dicka, którego kocha i równocześnie panicznie się boi. Zamknęła oczy i zaczęła sobie przypominać ich ostatnie spotkanie, żeby zmobilizować odwagę.

- Dla tych bogaczy pieniądze są jak woda - mówił Dick. - Taki krezus to nawet nie zauważy, jak mu świeńsz mieszek złotych monet ze skarbcza.

- Proszę, nawet mnie o to nie prosz. Obiecałam lady Charlotcie...

Barbara Dawson Smith  
Zar

- A mnie to nie obiecywałaś? - Dick pogłaskał ją po po-liczku. - Zmiękałaś, Nan Killingrew. Zapomniałaś. A ja ni-komu nie powiedziałem, że masz krew na rękach.

- Nie, nie zapomniałam - szepnęła. Poza jej panią, Dick był jedynym człowiekiem, znającym jej tajemnicę, jedynym, który mógł ją postawić przed sądem. Był lojalny i dyskretny, więc musiała odwdziżyć mu się tym samym. - Dobrze, zrobię to. Ukradnę pieniądze i przyniosę ci...

- Hej, ty tam.

Otworzyła oczy. W drzwiach biblioteki stał niedźwie-dziowaty mężczyzna. Barczysty elegant w najmodniejszym stroju.

Nan ukryła wstrząs, puściła uchwyt szuflady i wysunęła się z za biurka. Dygnęła, modląc się w duchu, żeby nie zapytał, co ona tu robi.

- Przepraszam, sir. Później dokończę sprzątanie - wy-mamrotała. Służba powinna bezszelestnie zniknąć z po-mieszczenia, z którego chcieli akurat skorzystać panowie.

Ale kiedy Nan próbowała przejść, gość złapał ją mocno za ramię.

- Zostań. Nie musisz uciekać. Jak ci na imię?

Nan wiedziała, co ma oznaczać taki ochryply głos i spoj-zenie utkwione w jej piersiach. NIE! Ogarnął ją całkiem inny rodzaj paniki. Serce waliło jej tak szybko, że z trudem wydobywała z siebie głos.

- Nan.

Popchnął ją lekko, aż oparła się plecami o ścianę.

- A więc, Nan. Hoża z ciebie dziewczoja. Faversham często cię ujeżdża?

Półki wbijały się jej w plecy, ale Nan bardziej była świa-doma napierającego na nią potężnego ciała. Oddech tego mężczyzny cuchnął alkoholem, tak jak niegdyś jej ojca.

- Nie, sir, nigdy. I będzie zły, jeśli nie wypełnię swoich obowiązków.

- Nie zabiorę ci wiele czasu. - Kopnięciem zatrzasnął drzwi i zwrócił się do niej z lubieżnym uśmiechem. - Połóż się na biurku, dziewczyno. Pogalopujemy sobie, ty i ja.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Spodoba ci się. Wszystkim pokojówkom zawsze się podobało.

Nan próbowała wymyślić jakiś sposób ucieczki i powoli cofała się do tyłu. Jak wszystkie dziewczyny, i ona także lubiła porządne obłapki, ale nie teraz, nie tak, nie z tym mężczyzną, którego ogromne rozmiary po prostu ją przerażały. Szedł w jej stronę, gmerając palcami przy guzikach rozporka. Nan oparła się o krawędź biurka, nie miała już gdzie się wycofać.

-Nie stój jak ciełe. Zadzieraj spódnice. I to już!

W kulturalnym głosie mężczyzny pojawiły się nutki zniecierpliwienia, co powiększyło jeszcze przerażenie dziewczyny.

- Proszę, sir, nie śmiałybym. Stracę posadę...

- Nie, jeśli szybko się z tym załatwimy. A teraz przestań 'skomleć i rób, co ci każę. - Z rozpiętymi do połowy spodniami naparł na nią znowu, zaczął miętosić jej piersi, aż Nan odchyliła się do tyłu, próbując się przed nim uchylić. Bezskutecznie, bo już zadzierał jej spódnice. Bała się walczyć, bała się, że w gniewie zacznie okładać ją pięściami.

Ktoś chrząknął.

- Proszę o wybaczenie, sir.

Ogarnęła ją fala wstydu i ulgi równocześnie.

W drzwiach stał Giffles. Sztynny, wyniosły, najcudowniejszy w świecie Giffles w białych rękawiczkach i nieciekawym brązowym ubraniu.

- Pragnę poinformować pana, panie Lane, że jego lordowska mość spędza dzisiejsze popołudnie poza domem.

Wyraźnie poirytowany pan Lane odwrócił swą wielką głowę.

-Tak, dobrze, a teraz zabieraj się stąd. Lokaj nawet nie drgnął.

- Pozwoli pan, że odprowadzę go do wyjścia.

- Sam znajdę drogę, do licha!

Giffles stał przez chwilę w drzwiach, milczący i nieruchomy jak posąg. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie nie było nawet cienia braku szacunku.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Jeśli wolno mi zauważyć, sir, jego lordowska mość raczej lubi to biurko.

Pan Lane zaklął soczyście. Wyprostował się i stojąc tyłem do lokaja, pozapinał spodnie. Przez cały czas mruczał pod nosem.

- Ażebyś zadyndał na szubienicy. Czy człowiek nie może się odrobinę zabawić, żeby mu nie przeszkodzone? Cholerne biurko.

Roztrzęsiona Nan usiadła. Bała się stanąć, bo nogi się pod nią uginały. Szczękała zębami, piersi jej ciążyły. Obciągnęła spódnice. Cieszyła się z ratunku, przynajmniej do chwili, gdy pan Lane opuścił pokój i została sama na sam ze swym wybawicielem.

Giffles zmierzył ją takim wzrokiem, jakby wdepnął w coś swym idealnie wypolerowanym bucikiem. Jego potępienie wisiało w powietrzu biblioteki jak ciężka chmura.

- Czekam na wyjaśnienia, panno Killigrew.

Nie przypominał w najmniejszym stopniu tego dobrego człowieka, który trzymał ją w ramionach, kiedy szlochała. Zniknął bez śladu delikatny mężczyzna, który ukoił jej lęki. I nie było naprawdę najmniejszego powodu, aby znów miała szukać bezpieczeństwa w jego ramionach.

Poczuła się nieszczęśliwa z powodu malującego się na jego twarzy potępienia.

- Ja... ja wiem, jak to wyglądało, sir, ale nie wolno pa nu o mnie źle myśleć. On mnie złapał, ten pan Lane. Zmu sił mnie, żeby się położyła. Kazał mi zdrzeć spódnice, żeby...

- Dostyc. Jestem w pełni świadom karygodnego zachowania pana Lane'a. W przyszłości trzymaj się od niego z daleka.

- Dobrze, sir.

- I przestań się włóczyć po całym domu, gdzie cię oczy poniosą. Wolno ci wchodzić tylko do suterenu, do pokoju lady Charlotty i na strych. Na parterze nie masz nic do roboty. - Spojrzał na nią podejrzliwie i zrobił krok w jej stronę.

- Po co tu przyszłaś?

Barbara Dawson Smith

Żar

Po złote monety. Kradzież się nie powiodła. Och, dlaczego nie wzięła się do tego szybciej?

Za późno zrozumiała, że lepiej było powiedzieć Gifflesowi, że miała w bibliotece randkę z panem Lane'em.

- Pani kazała mi przynieść do pokoju książkę - improwizowała Nan. - Żeby już była, kiedy wróci.

- Jaką książkę?

Nan zaschło w ustach. Jej wzrok przesuwiał się po tych wszystkich tomach z tajemniczymi złotymi literami na grzbietach. Było ich tyle, że w głowie się nie mieściło. Wskazała pierwszą lepszą.

-Tę.

Giffles wziął ją do ręki.

-*Pierwiastki chemiczne* Macqueera. Jeśli twoja pani nie ma problemów z zasypianiem, to nie sądzę, żeby prosiła o tę właśnie książkę.

- Powiedziała, że może być jakakolwiek książka.

Giffles uniósł brew, jakby bez trudu przejrzał jej kłamstwo. Odwrócił się do pólek, wyjął książkę i podał Nan.

- Proszę. Damom zawsze podobają się sonety Szekspira.

Giffles umiał czytać, jak pan. Niemal natychmiast zorientował się, że miała zamiar zrobić coś złego. Teraz będzie ją śledził pewnie jeszcze uważniej. I nagle Nan uświadomiła sobie, że gorzej się czuła ze świadomością, iż Giffles ma o niej marną opinię, niż z perspektywą przyznania się Dickowi do niepowodzenia.

- Dziękuję, sir. Nie wiedziałam.

Wychodząc z biblioteki starała się prezentować pewność siebie, świadoma odprowadzającego ją uważnego wzroku. W głębi duszy była kompletnie rozdygotana i bliska ucieczki.

## Rozdział 17

### Niespodziewany gość

Brand przeklinał samego siebie, że dał się namówić

Charlotcie na coś równie ryzykownego. Kiedy dojechali do zaniedbanego terenu koło doków, zobaczył sznur eleganckich powozów, ustawionych wzdłuż wąskiej ulicy. Deszcz zmienił się w delikatną mżawkę, ale chodniki były bardzo śliskie. Z wnętrza wzniesionego z cegły magazynu dobiegały okrzyki i męskie śmiechy.

- Och, wielkie nieba! - zawołała zmartwiona Charlotta.

- Musimy się pospieszyć. Już się zaczęło.

Brand położył jej ręce na ramionach i zatrzymał ją w miejscu. Pobladła, mocno zacisnęła usta, a jej smukła postać była sztywno wyprostowana i pełna determinacji. Widoczne spod twarzowego zielonego czepeczka kosmyki lśniących kasztanowatych włosów zwiły się w loczki na wilgotnym powietrzu. Wyglądała na zdecydowaną i gotową stawić czoło gromadzie rozwścieczonych mężczyzn. Brand się przeraził.

- Lepiej nie wchodzić do środka, zaczekaj na dworze ze stangretami - powiedział nie wiadomo który raz. - To nie jest miejsce dla damy.

- Idę z tobą, Brand. Koniec dyskusji.

Znał ten wyraz twarzy, ten zadarty podbródek.

- Niech i tak będzie, ale stosuj się do naszych ustaleń

- ostrzegł. - Ja podejmuję ryzyko, nie ty. Jeden fałszywy

Barbara Dawson Smith

Żar

ruch, a plan zawali się na naszych oczach jak domek z kart.

Charlotta niecierpliwie kiwnęła głową.

Miał wątpliwości, czy powinna tu przyjechać. Mało brakowało, a związałby ją i zakneblował, teraz jednak nie pozostawało już mu nic innego jak tylko ufać, że będzie miała dość rozsądku i go posłucha.

Ale czy Charlotta Quinton kiedykolwiek była rozsądna?

Zgodnie z planem towarzyszyło im dwóch najbardziej zaufanych służących. Raleigh był nieślubnym synem dzierżawcy farmy należącej do majątności w hrabstwie Devon, a rodzina Haywardów służyła księżtom Faver-sham przez dwa wieki. Obaj zostali zapoznani ze swoimi zadaniami. I obaj wyrazili gotowość uczestniczenia w przygodzie. Brand uświadomił sobie, że sam był podniecony i pełen oczekiwaniami.

Wewnątrz magazynu migotliwe światło lamp naftowych uzupełniało przyćmione światło dzienne, wpadające do pomieszczenia przez brudne szyby okienne. Powietrze przesycone było zapachem cienkiego wina, unoszącym się z ogromnych drewnianych beczek -ustawionych pod ścianą. Ale tego dnia przestrzeń magazynu miała być wykorzystana do mniej niewinnych celów niż wymiana handlowa. W ogromnym pomieszczeniu panowała atmosfera karnawału.

W centrum tłum złożony z mniej więcej setki osób zgromadził się wokół kwadratowego ogrodzenia sporządzonego ze sztachet i lin. Gentlemani stali tuż obok typów spod ciemnej gwiazdy. Jediną kobietą pośród nich była Lydia - stała w narożniku obok męża i oboje zachłannym wzrokiem wpatrywali się w parę warczących i rzucających się na siebie psów na arenie.

Charlotta jęknęła, ale ten dźwięk utonął w gwarze podnieconych głosów. Wspięła się na palce, starając się zobaczyć coś ponad głowami widzów. To i lepiej, że nie widzi, pomyślał Brand ponuro. Jeśli w grę wchodziły zwierzęta, miała zbyt miękkie serce, by mogło jej to wyjść na dobre.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Zatrzymał ją w cieniu pilastra.

- Zostań tutaj! - rozkazał. - Jeśli ruszysz się stąd choć kilka kroków, Hayward zabierze cię do powozu nawet wbrew twojej woli. - Wskazał ruchem głowy wysokiego służącego, który zajął miejsce u boku Charlotty.

Charlotta nawet nie zaszczyciła służącego spojrzeniem. Wielkimi oczami wpatrywała się w Branda.

- Masz wszystko?

- Tak. - Poklepał się po kieszeni palta.

Kiedy odwrócił się, by odejść, położyła mu rękę na ramieniu.

- Bądź ostrożny.

Brand mógłby utonąć w przepastnych głębinach tych zielonych oczu. Dlatego właśnie zgodził się na ten cholerny plan. Przez te przekłete, chwytające za serce oczy, mówiące: mam do ciebie bezgraniczne zaufanie.

Nie, to dlatego, że cel wydawał mu się wart ryzyka. Walki psów były okrutnym sportem, którego zawsze unikał.

Dał znak Raleighowi i razem ruszyli w stronę ringu. Kiedy Brand przepychał się przez tłum wrzeszczących mężczyzn, ścigały go liczne gniewne spojrzenia i przekleństwa. Z tym samym musiał się zmagać Raleigh, zbliżający się do przeciwnego narożnika z drugiej strony sali i torujący sobie drogę łokciami.

To było brutalne widowisko. Hodowane i tresowane do walki dwa buUteriery, biały i szary, walczyły na arenie jak gladiatorzy, obejmowały się łapami jak zapaśnicy, rzucały się na siebie i gryzły. Po gwizdku pilnującego czasu sędziego właściciele odciągnęli psy od siebie do właściwych narożników na krótki odpoczynek.

Na początku kolejnej rundy jeden z psów był trzymany w miejscu, a drugiego spuszczano, by przebiegł ring i wznowił walkę. Mecz miał się toczyć według tego schematu, dopóki jeden z psów nie zostanie tak poważnie ranny, że odmówi atakowania, wówczas spuszczano drugie go, by wykończył przeciwnika.

Teraz atakować miał biały. Sądząc po jego wyzywającej postawie, wściekłym warczeniu i próbom wyrwania się treserowi, który trzymał go za obrożę, był ewidentnie psem mocniejszym, o większej sile witalnej.

Brand zmienił nieco plan i podszedł z tyłu do Vaughn-ów, którzy stali blisko jednego z narożników. Nie zauważyli go, zajęci szczeniem szarego psa, który leżał pokrwawiony i wyraźnie bez sił.

- Wstawaj, ty mały partaczu! - syczała Lydia. - Cliff, kopnij go!

- Nie gadaj głupstw - odparł Vaughn. - Ma jeszcze dość sił, żeby poharatać mi nogę.

- Lepsze to niż strata pięćdziesięciu gwinej.

- Tak? To zrób to sama. Spódnice cię ochronią. O, nie, ważne, staruszek podnosi się na nogi.

Brand miał ochotę stuknąć ich oboje głowami. Albo jeszcze lepiej: wrzucić ich na ring. To by dopiero był sport go-dzien oglądania!

Raleigh był już na miejscu, czekał na sygnał. Brand wyjął z kieszeni butelkę. Sędzia ogłosił rozpoczęcie kolejnej \* rundy, biały pies został spuszczonej i pędził przez ring prosto na szarego.

Tłum ryczał, a Brand w tym momencie głęboko nabrał po-wietrza w płuca, odkorkował butelkę i chlusnął całą zawartość na podłogę ringu, tuż pod nos kłócących się Vaughn-ów.

Lydia krzyknęła, zaczęła się zataczać i kaszleć, czepiając się męża, który cierpiał z powodu tych samych objawów. W miarę rozprzestrzeniania się oparów wszyscy wokół zaczęli kaszleć, kłąć i w panice uciekać jak najdalej od ringu. Uciekli nawet właściciele psów i sędzia z łzawiącymi, podrażnionymi śmierzącym amoniakiem oczami.

Żeby przynajmniej z grubsza się zabezpieczyć, Brand obwiązał pasem materiału nos i usta. Skorzystał z zamieszania, dał nura pod linami i wszedł prosto pomiędzy psy. Raleigh już trzymał białego za tylne łapy i ciągnął agresywne zwierzę do tyłu. Brand pochwycił szarego w taki sam sposób i ciągnął go do przeciwległego narożnika.

Pies nie rwał się zbyt do walki. Jego głowa i ciało były jedną krwawą masą. Z trudem łapał oddech, równie otumaniony oparami jak i widzowie.

Charlotta wybiegła z tłumu, osłaniając nos chusteczką. Na widok psa wydała rozpaczliwy okrzyk i padła przy nim na kolana.

- Do licha! - zawołał Brand, zdzierając z twarzy prowi zoryczną maskę. - Mówiłem, żebyś trzymała się z dala!

Zignorowała go, skupiona wyłącznie na ciężko dyszącym zwierzęciu.

- Biedactwo. Musimy mu pomóc.

Wyciągnęła rękę do poranionego psa, ale Brand zdążył ją powstrzymać.

- Na litość boską, nie dotykaj go! Rzuci się na ciebie.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni kaganiec i założył na zakrwawiony pysk. Charlotta natychmiast pochyliła się nad psem, mrużąc coś i ocierając rany chusteczką do nosa. O dziwo, szary bullterier poruszył leciutko ogonem i oparł głowę o jej kolano, jakby rozpoznał pokrewną duszę.

- Och, mój kochany biedaku. Biedny, biedny pieseczku. Nie martw się, zaopiekuję się tobą. - Rzuciła półprzytomne, zażawione spojrzenie na Branda. - On nie umrze, prawda?

- To twardy zawodnik - stwierdził Brand, pełen ponurych przeczuć. - Jest tylko obezwładniony oparami, to wszystko. Żadne z jego obrażeń nie wygląda na śmiertelne.

- Nie możemy go oddać - powiedziała z pasją. - Brand, oni zrobią mu krzywdę. Poślą go znów do walki. Ja muszę, koniecznie muszę go zatrzymać.

Desperacka prośba Clarlotty chwyciła go za serce. Mógł to z góry przewidzieć.

Walka została przerwana, tłum się rozproszył. Brand zrealizował swój cel. Tylko tyle zgodził się zrobić.

- Nie wiesz, o co prosisz, Char. On był tresowany do za bijania. Pożre Fancy na śniadanie.

- Możemy trzymać go w stajniach! - zawołała gwałtownie. - Kiedy wydobrzeje, można wysłać go na wieś, do

Barbara Dawson Smith

Zar



Devon. Proszę, Brand. Jeśli go oddasz, podpiszesz na niego wyrok śmierci.

Do licha, miała rację! I Brand musiał przyznać, że i on miał w sercu ciepłe uczucia dla psa, który pomimo kagańca zdołał leciutko polizać swą pokrwawioną, pogryzioną łapę. Zdawał się mieć jednak łagodniejszy charakter niż warczący, dyszący nienawiścią pies, którego Raleigh i Hayward trzymali w pobliżu.

Właściciel biegł ku nim przez całą długość magazynu. Był przysadzistym, krótkonogim szubrawcem, bardzo przypominającym bullteriery, które hodował. I wyglądał na równie złośliwego.

- Ej, wy tam, co się dzieje? To moja własność.

Charlotta wstała gwałtownie.

- Jestem lady Charlotta Quinton, konfiskuję panu to zwierzę z powodu rażącego okrucieństwa.

- Nic mnie to nie obchodzi, nawet gdybyś pani była królową Charlotta. Paddy należy do mnie.

Jasna cholera! Brand wstał i rzucił bydlakowi swe najbardziej wyniosłe, lordowskie spojrzenie.

- Jestem lord Faversham. Chcę nabyć tego psa.

W oczach nikczemnika pojawił się błysk chciwości.

- Nabyć, mówi pan? To jeden z najlepszych wojowników. Dziś trochę mu zabrakło szczęścia, ale wart jest tyle złota, ile waży.

- W takim razie czterdzieści funtów. Przyślij mi rachunek do rezydencji na Grosvenor Square.

- Tak, milordzie. - Szubrawiec oddalił się truchcikiem, zacierając ręce. Nawet nie spojrzął na rannego Paddy'ego, którego podobno tak wysoko cenił.

Charlotta wyglądała, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze. Rzuciła tylko Brandowi wymowne spojrzenie i znowu całą uwagę poświęciła psu.

Raleigh zaniósł ranne zwierzę do powozu. Vaughnów nigdzie nie było widać. Wraz z gwałtownym zakończeniem walki, zniknęła większość powozów, uwożąc ludzi z towarzystwa na jakieś inne zakazane rozrywki.

Barbara Dawson Smith Żar

Boże, jak on miał ich wszystkich dosyć. Przynajmniej w tej chwili.

Charlotta owinęła Paddy'ego kocem i usiadła przy nim na podłodze powozu, mruczając słowa pocieszenia i współczucia. Pojazd podskakiwał na brukowanych kocimi łbami ulicach, a rozparty na siedzeniu Brand ponuro przyglądał się tym dwojgu.

Przyglądał się Charlotcie.

Przed pięcioma laty nawet by mu przez myśl nie przeszło towarzyszyć jej w tak idiotycznym przedsięwzięciu. A jednak, czy naprawdę było takie niezwykle? Nagle wróciło do niego odległe wspomnienie, gdy ośmioletnia Charlotta błagała go, wówczas piętnastoletniego chłopca, by pomógł jej oswobodzić z objazdowego cyrku starą małpę. Skończyło się na tym, że zapłacił pół korony ze swych funduszy za biedne, zapchłone stworzenie. Charlotta zabrała małpkę do domu, pokonała obiekcje rodziców i nadała jej jakieś głupie imię, którego Brand nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał natomiast doskonale, jak Charlotta płakała, kiedy małpka po kilku miesiącach zdechła.

Teraz też będzie płakać, jeśli Paddy umrze. Brand nie chciał nawet o tym myśleć, więc skupił się na przeszłości.

Tak, Charlotta zawsze była taka, już od dziecka. Ratowała ptaszki, które wypadły z gniazd, i bezpańskie psy. W zimie sypała jeleniom kukurydzę, a królikom zieleninę. Poparzenie zmieniło wszystko. Charlotta stała się zgorzkniałą młodą kobietą o ostrym języku i skłonnością do złośliwości.

Zdolną do najgorszej zdrady.

Ale Charlotta nie była wyłącznie złośliwą jędzą. Może naprawdę zmieniła się w ciągu ostatnich pięciu lat? Może gorzyc opuściła ją już na zawsze?

Brand wiercił się niespokojnie na miękkim siedzeniu. Ludzie nie zmieniają się tak radykalnie. Niemniej ze wzruszeniem widział, że jednak nadal żyje w niej tamta pełna miłości dziewczynka. Jaka inna ze znanych mu kobiet wymyśliłaby taki szalony plan? Jaka inna dama usiadłaby

Barbara Dawson Smith

Zar

na zimnej podłodze powozu, żeby uspokajać ranne zwierzę? One wszystkie były całkowicie pochłonięte najświeższą modą i najświeższymi ploteczkami. Kompletnie nie przypominały Charlotty, która w fascynujący sposób łączyła w sobie miękkość i surowość.

Brand czuł, że podniecenie wywołane akcją ratunkową teraz ześrodkowało się w jego podbrzuszu. Przydałby mu się solidny mocny drink, zamiast solidnego mocnego podniecenia.

Przydałaby mu się lodowata kąpiel.

Nie stając przed frontowym wejściem, powóz, zgodnie z poleceniem Branda, zajechał na tylny dziedziniec. Zmrok zapadł, ale chłodne, mgliste powietrze nie ochłodziło nadmiernie rozgrzanego ciała Branda. Podniósł owiniętego kocem Paddyego i poda! go^laleighowi.

- Zabiorę go do stajni - powiedział służący.

- Pójdę z tobą! - zawołała natychmiast Charlotta. - Jest zimno i mokro, trzeba będzie rozpalić ogień. Sprawdzę też, czy główny stajenny ma pod ręką jakieś bandaż.

Brand zatrzymał ją.

- Raleigh ma doświadczenie w takich sprawach. Zostaw to jemu.

- To prawda, milady - potwierdził spokojnie Raleigh. - Jako chłopiec wielokrotnie leczyłem psy, które pogryzły się na farmie.

- A więc: do dzieła - powiedział Brand. - Pilnujcie go przez całą noc na zmianę z Haywardem.

Dwaj służący zanieśli Paddyego do stajni.

Brand spodziewał się, że Charlotta zacznie się z nim spierać i sam nie wiedział, co jej powiedzieć. Mówiąc prawdę, nie chciał, żeby przywiązała się do tego psa jeszcze bardziej niż dotychczas. Pomimo tego, co powiedział, nie był pewien, czy ranne zwierzę przeżyje tę noc.

Dotknął jej talii i popchnął ją leciutko w stronę domu. Obejrzała się przez ramię, ale nie zaczęła się z nim spierać. Odwróciła się i spojrzała na niego rozjaśnionymi szczęściem oczami.

Barbara Dawson. Smith

Żar

Wzięła go pod rękę.

- Czy to nie wspaniałe? - zapytała. - Udało się nam, Brand. Tobie się udało. Położyłeś kres tej walce i uratowałeś Paddyego.

Jej podziw ogromnie wzruszył Branda. I nagle przeszło mu przez myśl, że może dzięki temu Charlotta wybaczy mu, że ją tak paskudnie oszukał.

- To ty wpadłaś na pomysł, żeby wykorzystać duże ilości soli trzeźwiących do wypłoszenia ludzi z sali. Ty byłaś mózgiem, ja tylko wykonawcą operacji.

- Och, przestań! - W głosie Charlotty zabrzmiała nuta ciepłego humoru. - Nie jesteś taki zły, za jakiego chcesz uchodzić.

- Jestem gorszy. Myślisz, że okazałem się dzisiaj altruistą? Lubię niebezpieczeństwo. Szukałem przygody, nie więcej.

-Jakikolwiek były twoje pobudki, pomogłeś Pad-d/emu. Tak jak niegdyś uratowałeś Bodwyn. Bodwyn. Tak właśnie miała na imię tamta stara małpka.

- To był jedyny sposób, żebyś przestała zrzędzić. W obu wypadkach.

- Może - powiedziała miękko Charlotta. - Ale nigdy nie zapomnę tego, co dzisiaj zrobiłeś. Dziękuję.

Dotarli właśnie do werandy. Charlotta weszła na pierwszy stopień, odwróciła się, rzuciła mu spod rzęs oszalamiającą spojrzenie i pocałowała go. Słodkie, dziewicze muśnięcie warg skończyło się równie prędko, jak się zaczęło.

Zostawiła go i zniknęła za kuchennymi drzwiami. Minęło kilka sekund, zanim Brand zdołał zmusić swoje ośłupiałe ciało do ruchu. A wtedy rzucił się za Charlotta jak oglupiałe z miłości ciele.

Z miłości, niech to licho! Przecież to tylko żądza. Porażająca, naga żądza, tak gorąca i gwałtowna, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Pewnie Charlotta zrobiła to celowo, żeby go dręczyć. A jeśli nie... to on z prawdziwą przyjemnością pokaże jej raz jeszcze, w jaki sposób pocałunek działa na mężczyznę.

Barbara Dawson Smith

Żar

Charlotta była już w połowie słabo oświetlonego korytarza prowadzącego do frontowej części domu. Brand przyspieszył i Charlotta musiała słyszeć odgłos jego ciężkich kroków, ale wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Złapał ją u dołu schodów, lecz na to nie zareagowała, wpatrzona w bibliotekę.

- Do licha, Char... - Głos Branda zamarł.

W drzwiach biblioteki stała jego babcia. Wspierała się na lasce i patrzyła na niego z dziwną pretensją.

- Na litość boską, gdzieś ty był? Nigdy cię nie ma, kiedy coś się wali jak cholera.

Cholera? Babcia powiedziała „cholera”?! I dlaczego ona nie leży w łóżku? Szybko podszedł do staruszki.

- O co chodzi? Co się stało?

- Ty mi to powiedz, chłopcze. I to natychmiast. Zdaje się, że sporo masz do wytłumaczenia.

Brand zobaczył, co się dzieje za jej plecami i poczuł, że każda komórka jego ciała zamienia się w lód.

W bibliotece, u boku ponurej lady Stokeford i roztrzęsionej lady Enid, stał Hannibal Jones.

## Rozdział 18

### Wyznanie Branda

Charlotta zdawała sobie sprawę, że Różyczki mogą się w końcu dowiedzieć o dochodzeniu w sprawie morderstwa, ale nie w taki sposób. Nie od detektywa z Bow Street, choć miała do niego zaufanie i wierzyła, że prowadzi śledztwo we właściwy sposób.

I nie w sposób, który kompletnie wytrąci je z równowagi.

- Pospiesz się, Brandonie. Ten człowiek przeszukał cały dom od strychu aż do piwnic - warknęła lady Stokeford, gdy tylko Brand z Charlotta weszli do biblioteki.

Lady Enid usadowiła się w krytym skórą fotelu przy biurku i zdrową ręką wachlowała się chusteczką do nosa. Pomimo wesołego, pomarańczowego turbanu na głowie wyglądała na spiętą i rozstrojoną. Przyjrząwszy się im dokładniej, wydała okrzyk przerażenia.

- Jesteście zakrwawieni! Na Boga, Charlotto, czy morderca cię zaatakował?

Charlotta spojrzała na siebie i dopiero teraz dostrzegła kilka rdzawoczerwonych plam na rękawiczkach i pelisie. Nie zdawała sobie dotąd sprawy z ich istnienia i teraz pospieszyła do starej kobiety, by ją uspokoić.

- Uratowaliśmy psa, biorącego udział w walce, babciu. Nic mi nie jest. Uspokój się.

Mówiąc to, Charlotta ściągała równocześnie rękawiczki i wierzchnie okrycie, po czym rzuciła je na stół, poza zasięgiem wzroku babci.

Barbara Dgwsom  
Smith Zar

Brand zrobił to samo ze swoim paltem, po czym, nie zwracając uwagi ani na Charlotte, ani na Różyczki, ruszył wprost na Hannibala Jonesa.

- Co tu się, do diabła, dzieje?

Tyczkowały policjant siedział za biurkiem. Odkręcił małą złotą koronę z wierzchu pałki, popukał drewnianą rurą o otwartą dłoń i wyciągnął z otworu zwiniętą karteczkę. Z niewyraźnym uśmiechem na trupim obliczu podał papier Brandowi.

- Mam oficjalny nakaz rewizji, milordzie. Proszę sprawdzić, wszystko jest w należytym porządku. Podpisane w magistracie.

- Niech diabli porwą pański nakaz! ~ Brand zmiął dokument i cisnął go w ogień. - Nic pan w tym domu nie znajdzie.

- Doprawdy? - Detektyw z triumfalną miną wyciągnął górną szufladę biurka. - W takim razie, w jaki sposób może mi pan to wyjaśnić?

Zaciekawiona, ale i zirytowana równocześnie, Charlotta podeszła bliżej do biurka. Nie mogło tam być niczego podejrzanego. Widziała zawartość tej szuflady na własne oczy kilka dni temu: leżało tam kilka gęsich piór, zapasowy kałamarz i papier z herbem Favérshamów.

Teraz jednakże w szufladzie znajdowały się porządnie poukładane pliki banknotów. Rząd dziesięciu plików, z których każdy, mniej więcej trzycentymetrowej grubości, obwiązany był banderolą. Wydawało się na oko, że były to wszystkim znane, czarno- białe banknoty, emitowane przez Bank of England.

- To nie moje pieniądze... - stwierdził Brand, marszcząc czoło.

Wyciągnął rękę, jakby chciał wziąć jeden plik, ale Jones powstrzymał go krótką drewnianą pałką.

- Konfiskuję je w imieniu prawa - oświadczył, zebrał pieniądze i szybko ukrył je w kieszeniach palta. - Są fałszywe. Znakomicie podrobione, pozwolę sobie stwierdzić. Różyczki zachłysnęły się powietrzem. Charlotta gapiała

Barbara Dawson Smith  
Zar

się tylko, kompletnie zaskoczona. Fałszywe banknoty? Skąd one się tu wzięły? Zwróciła wzrok na Branda.

- Ktoś ci to przyniósł jako zwrot karcianego długu? Czy twój lokaj albo kamerdyner mogli pozwolić, żeby je tu zostawił dla ciebie?

- Nie - odparł Brand drewnianym głosem, nie odrywając wzroku od Jonesa. - Nikt poza mną nie dotyka tego biurka. A ja nigdy nie widziałem tych pieniędzy.

- No, widzi pan! - zawołała lady Enid. - Brandon nigdy nie wziąłby udziału w czymś tak nieuczciwym.

- Moim zdaniem te banknoty wyglądają zupełnie normalnie - odezwała się lady Stokeford ze swego fotela ustawionego przy kominku. - Czy jest pan całkiem pewien, że to podróbki?

- Brakuje medalionu z emblematem Brytanii - stwierdził Jones, oglądając banknot pod światło. - To się często zdarza przy fałszyfikatach. Mam w tych sprawach spore doświadczenie.

- To oburzające! - warknęła lady Faversham. Kulejąc podeszła do policjanta i zaczęła mu przed nosem wymachiwać laską. - Czy pan oskarża mojego wnuka o pospolite przestępstwo kryminalne?

Jones cofnął się przed jej wściekłością, skulił ramiona, ale jego twarz pozostała nadal czujna i nieufna.

- Ja spełniam tylko swój obowiązek, milady. Pragnę przypomnieć, że prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw. A te banknoty stanowią dowód, że jego lordowska mość może być wplątany w jakieś działania przekraczające granice prawa.

- Bzdura! Nie wiem, w jaki sposób te banknoty znalazły się w biurku mojego wnuka - stara kobieta rzuciła Brandowi miążdzące spojrzenie - ale muszę stwierdzić, że to bardzo śliska sprawa, bezpośrednio łączyć fałszerstwo pieniędzy z morderstwem.

- Nie taka śliska jak się wydaje, milady. - Detektyw z Bow Street wyszedł zza biurka. Jak na człowieka tak

Barbara Dawson Smith  
Zar

wysokiego wzrostu miał ruchy wyjątkowo szybkie i skoordynowane. - Zbadałem życie jego lordowskiej mości. Pozwolę sobie zauważyć, że natrafiłem na pewne podejrzone elementy, które zwróciły moją uwagę. Szczególnie jeden incydent. - Spojrzał twardo na Branda. - Chodzi mi o to, w jaki sposób doszedł pan do tytułu księcia.

Na chwilę zapadła cisza, a potem wszystkie Różyczki zaczęły mówić jednocześnie. Ponad gwar różnych głosów wybił się ostry głos Charlotty.

- Co pan ma na myśli, sir? Jego brat i bratanek zmarli na cholere.

- Doprawdy? - złowieszczym tonem zapytał Jones. - Pozwoli pani, milady, stwierdzić, że niektóre symptomy choroby wskazywały raczej na truciznę. Na arsenik.

Strasliwe oskarżenie sparaliżowało Charlotte. Ten człowiek sugerował, że Brand zamordował swego brata i bratanka. Nigdy w życiu nie słyszała równie ohydnej, obrażającej kalumni. Policjant nie przedstawił żadnego dowodu, wyłącznie własne chore domysły.

Popatrzyła na Branda. Spodziewała się, że będzie równie wstrząśnięty jak ona sama, ale on tylko wpatrywał się ponuro w policjanta.

Pierwsza zareagowała lady Faversham. Podniosła laskę i uderzyła detektywa po nogach.

- Dość tego! - krzyknęła. - Proszę natychmiast opuścić ten dom. I może pan być pewien, że poruszę tę kwestię w rozmowie z pańskimi zwierzchnikami.

Jones drgnął, chwycił pałkę tak, jakby miał nią odparować kolejny atak. Potem skłonił się sztywno.

- Jak pani sobie życzy, milady. Przykro mi, że przyniosłem takie złe wieści.

Charlotta miała co do tego wątpliwości. W ciągu paru minut jej opinia o Jonesie zmieniła się diametralnie - teraz myślała o nim gorzej niż o przestępcach, których ściagał. Trucizna, też coś!

Z lekka kulejąc, detektyw z Bow Street rzucił Brandowi - jeszcze jedno znaczące spojrzenie i wyszedł z biblioteki.

Barbara Dawson Simth  
Żar

Po chwili dobiegł ich odgłos zamykających się frontowych drzwi.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem babcia Branda opadła na fotel i wsparła dłoń na lasce. Jej twarz wyrażała skrajne wyczerpanie.

- Dobry Boże - wyszeptała kompletnie załamana. - Do bry Boże...

Charlotta podbiegła do niej i zaczęła masować jej sztywno wyprostowane plecy. Biedna lady Faversham. Jak można było w tak brutalny sposób przypomnieć jej stratę Geo-rge'a i Petera, jej wnuka i prawnuka.

- Pan Jones to obrzydliwy, podły człowiek. Pomyśleć tylko, że byłem zadowolona, kiedy dowiedziałam się, że prowadzi śledztwo.

- Zasługuje na baty - zawołała lady Stokeford. Na arystokratycznej twarzy staruszki malowała się gorąca wściekłość. - Jak on śmiał rzucić takie ohydne oskarżenie?

Lady Enid otarła oczy chusteczką.

- Wszyscy wiemy, że Brandon kochał George'a i małego Petera tak samo jak każdy z nas.

Brand nadal się nie poruszył. Wydawał się nieobecny. Charlotta nie umiała rozszyfrować wyrazu jego twarzy, lecz już samo to popchnęło ją ku niemu. To było do niego niepodobne, że nie okazywał wściekłości, którą niewątpliwie musiał odczuwać.

Ale Brand odszedł, zanim zdążyła zaoferować mu wsparcie. Przeszedł w drugi koniec biblioteki i objął wzrokiem Różyczki.

- Pewnie interesuje was to dochodzenie - powiedział, ani słowem nie wspominając o strasliwym oskarżeniu. - Co Jones wam powiedział?

- Powiedział, że to ma związek z Ligą Lucyfera - odparła lady Stokeford. -1 że w ciągu kilku miesięcy zginęło pięciu ludzi.

-Wielkie nieba! - zawołała wstrząśnięta lady Enid. - Brandonie, ty możesz być następny! -Ten morderca musi zostać natychmiast wykryty

Barbara Dawson Smith  
Żar

- oznajmiła lady Faversham, blada i ponura. - Podaj nam wszystkie szczegóły, Brandonie. Niczego nie ukrywaj.

Brand przedstawił zarys wydarzeń w zwięzłej, beznamiennej relacji, nie pomijając także zamachu na życie samych Różyczek.

- Zawsze uważałam, że ten Tupper ma zbyt cwane oczy jak na służącego - stwierdziła ze wzgardą lady Faver-sham. - Dopadłeś tego bandytę?

- Tylko wtedy na targu Billingsgate - powiedział Brand.

- Szukałem go intensywnie, ale on jakby zapadł się pod ziemię.

- I pomyśleć, że to wszystko działo się tuż pod naszym nosem - westchnęła lady Stokeford, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Powinnyśmy być o wszystkim informowane, to się nam należało.

- Chodziło nam o wasze zdrowie, milady - wyjaśniła Charlotta. - Wszystkie trzy dochodzicie dopiero do siebie po odniesionych obrażeniach. Prawdę mówiąc, schodząc dzisiaj po schodach ryzykowałyście upadek. - Przestraszona tą myślą, uklękła u stóp babci i przytuliła policzek do znanych sobie spódnic.

Lady Enid pocieszająco pogładziła włosy Charlotty.

- No, no, już. Przecież nie mogłyśmy pozwolić, żeby obcy człowiek pętał się po całym domu bez nadzoru, prawda? Jak tylko North przekazał nam wiadomość, natychmiast zeszliśmy na dół po schodach."

- Więc przez cały czas byliście we trzy przy Jonesie?

- zapytał Brand.

- Poza pierwszymi dziesięcioma minutami - wyjaśniła lady Faversham. Prychnęła z pogardą. - Zmusiłam tego człowieka, żeby wywrócił kieszenie na dowód, że nie zwędził sreber.

- Więc po przyjściu miał czas, żeby wśliznąć się do tego pokoju - stwierdził Brand.

-Tak, sądzę, że tak. - Lady Stokeford zamyśliła się.

- Oczywiście, że mógł. Co sugerujesz?

- To, że pan Jones mógł osobiście podrzucić sfalszowane

banknoty - wyjaśniła Charlotta w nagłym olśnieniu. Wstała i podeszła do Branda. - Ale dlaczego, Brand? Dlaczego miałyby to zrobić?

Brand wzruszył ramionami. Światło lampy rzucało ostre cienie na jego twarz.

- Mogę się tylko domyślać. Cóż, odnoszę wrażenie, że żywi do mnie jakąś szczególną nienawiść.

Charlotta musiała przyznać mu rację. Czy to możliwe, że Jones pragnie wyrzucić na Brandzie prywatną zemstę? Albo że sam jest mordercą? To było zbyt nieprawdopodobne, by w to uwierzyć. A może miał jakieś okryte tajemnicą powiązania z Ligą Lucyfera...

- Brandonie, kiedy ostatni raz zaglądałeś do tej szuflady? - zainteresowała się lady Faversham.

- Tydzień temu - odparł i spojrzał znacząco na Charlotte, - A ty?

Bardzo chciała się nie zarumienić. Odwróciła się w stronę Różyczek.

- Pięć dni temu szukałam... pióra. Wtedy nie było w szufladzie żadnych banknotów.

- Pięć dni - powtórzyła lady Faversham, mrużąc oczy.

- Kto odwiedził nasz dom w tym okresie? A niech to! Nie cierpię być inwalidką i nie wiedzieć takich rzeczy.

- Panna Darby wpadła dziś do Charlotty wczesnym rankiem - powiedział Brand. - To kuzynka Vaughna.

- Co to za osoba? - zapytała lady Stokeford.

- Delikatna, nieśmiała i skromna - wyjaśniła Charlotta.

- Nie należy do kobiet, które mogłyby wplątać się w jakieś kryminalne afery.

- Niemniej jednak jest zależna finansowo od Vaughna.

- Brand usiadł na krawędzi biurka i złożył ręce. - Możliwe, że włączył ją do swoich machinacji.

Charlotcie ścisnęło się serce. Czy to możliwe?

- Kiedy przyszła, nie byłam jeszcze ubrana, więc mogła tutaj wejść, czekając na mnie. Ale... po prostu nie mogę uwierzyć, że mogłaby to zrobić. Że mogłaby wziąć udział w jakimkolwiek podłym planie Vaughnów.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Zar

Brand sceptycznie uniósł brew.

- W takim razie musiał to zrobić Harold Rountree - po wiedział twardo. - Nie dalej jak wczoraj ten sukinsyn był w parku po drugiej stronie ulicy. On jest niewątpliwie wy starczająco zdemoralizowany, żeby popełnić taki uczynek.

Czy to możliwe? Żeby rozładować niepokój, Charlotta zaczęła krążyć nerwowo po pokoju.

- Podeszedł do wejścia dla dostawców i zapytał o mnie. Gdyby próbował wejść do domu, służba niewątpliwie by go zatrzymała.

- Mamy do czynienia z wyjątkowo przebiegłym mordercą - zauważył Brand. - Nie ulega dla mnie wątpliwości, że bez trudu pokonałby taką drobną przeszkodę.

- Ale dlaczego? Jeśli to on jest mordercą, to dlaczego po prostu... nie zamorduje ciebie? - Po tych słowach nagle zaschło jej w gardle. - Po co miałby sobie zawracać głowę fałszywymi banknotami?

- Bo to równie skuteczne jak morderstwo, a o wiele in teligentniejsze - odparł Brand. - Podrabianie pieniędzy karane jest śmiercią.

Pod Charlotta nogi sięłgięły. Usiadła na podnóżku.

- Jesteś arystokratą. Na pewno masz jakieś prawa, im munitet...

- Nikt nie ma pozwolenia na dokonywanie takich zu chwałych zbrodni. Rząd zajmuje bardzo twarde stanowisko w sprawie fałszowania pieniędzy. Brytyjska ekonomia szybko by się załamała, gdyby każdy mógł sobie drukować banknoty do woli.

Lady Faversham wydała długie, drżące westchnienie.

-Brandonie, przecież ty nie masz powodu. Dlaczego miałbyś drukować banknoty? Nie masz długów. Jesteś wy- jątkowo bogaty.

- Chciwość - oświadczył Brand. - Mnóstwo ludzi skwa- pliwie uwierzy, że jestem zdolny do wypychania sobie kie- szeni fałszywkami.

- Co za piekielna sytuacja - szepnęła lady Enid i zadr-

żała.

Barbara Dawson Smith

Żar

Lady Stokeford parsknęła ze zdenerwowania. Siedziała w swym fotelu jak królowa na tronie<sup>^</sup> a jej śliczna twarz pod grzywą śnieżnobiałych włosów przypominała buzię porcelanowej figurynki.

- Nawet Jones musiał dostrzec w tym jakieś słabe punkty - stwierdziła. - W przeciwnym razie już dzisiaj by cię aresztował.

- On nie aresztuje mojego wnuka - oświadczyła stanowczo lady Faversham. - Nie będzie mógł go aresztować, jeżeli zdołamy udowodnić, że ktoś inny miał sposobność podrzucenia tych banknotów. A mamy już trzy osoby, które mogły to zrobić: pannę Darby, pana Rountree i samego Jonesa.

- Mogli być i inni - szybko podchwyciła pomysł Charlotta. - Musimy przepytać służbę i dowiedzieć się, kto jeszcze mógł tu wejść.

Nie czekali długo na informację Northa, że tego popołu- dnia w bibliotece był Uriah Lane, wkrótce po wyjeździe Branda i Charlotty na walki psów. Jednakże kamerdyner przebywał w holu dla służby i nie rozmawiał z gościem.

Honory domu sprawował Giffles.

Lokaj niezwłocznie zdał im relację. Był zrównoważonym człowiekiem średniej budowy ciała, mniej więcej w wieku swego pana, ale o wiele bardziej przeciętnym, od schludnie uczesanych brązowych włosów poczynając, a na prostym, brązowym stroju kończąc.

- Natknąłeś się na Lane'a tutaj, w bibliotece? - zapytał Brand.

- Tak, milordzie.

-1? Czy znajdował się w pobliżu biurka?

- No... tak, ale nie zaglądał do szuflad, mogę zapewnić.

- A co robił? - zażądała odpowiedzi lady Faversham, stu- kając laską o podłogę. - Mów, człowieku.

Lokaj rzucił Charlotte znaczące spojrzenie, którego jed- nak nie potrafiła rozszyfrować. Na jego policzki wypłynął mocny rumieniec.

- Obawiam się, że był tutaj z pokojówką.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Niewątpliwie dobierał się do niej - stwierdził lakonicznie Brand. - Poślę tego łajdaka do wszystkich diabłów.

Charlotte musiała mu przyklasnąć, choć zwróciła uwagę na ironię sytuacji, że Brand potępia jednego ze swych przyjaciół za folgowanie własnym zachciankom. Ale Brand miał przynajmniej klasę. On nie zniżyłby się do wykorzystywania bezbronnej kobiety, służącej, która ryzykowałaby utratę posady, gdyby odmówiła szlachetnie urodzonemu panu.

- Kim była ta dziewczyna? - zapytała lady Stokeford.

- Może widziała, jak podrzucał banknoty.

Giffles zawahał się.

- To panna Killingrew - mruknął. - Pokojówka lady

Charlotte.

- Nan? Dlaczego ona była tutaj z takim człowiekiem?

- Złe przeczucie przejęło Charlotte zimnym dreszczem i gdyby nie siedziała, pewnie nogi by się pod nią ugięły. A więc Nan spotkała się tu z członkiem Ligi Lucyfera.

- Twierdziła, że przysłała ją pani po książkę. - Giffles przyglądał się jej przenikliwie; podobnie jak wszyscy obecni w pokoju.

Charlotte w pierwszej chwili odruchowo chciała bronić Nan i skłamać, że rzeczywiście sama ją tu przysłała. Ze ściśniętym sercem przypomniała sobie, jak złapała Nan ze zwędzonym na targu w Yorku bochenkiem chleba, chudą, przerażoną trzynastolatką, która musiała kraść, żeby przeżyć. Charlotte zabrała Nan do domu, dała jej miejsce do spania i przyuczyła ją do roli pokojówki. W końcu poznała wstrząsającą historię dziewczynki, bitej i zmuszanej przez ojca do czynów nierządnych, dopóki pewnej straszliwej nocy nie chwyciła wreszcie za kuchenny nóż, by się bronić...

Charlotte miała nadzieję, że jedynie zwykła ciekawość popchnęła Nan do wędrowki po domu, w czasie której pechowo natknęła się na Uriaha Lane'a. Nie wierzyła, że Nan znała go wcześniej i wpuściła do domu, żeby mógł podrzucić te banknoty.

Barbara Dawson Smith Zar

Charlotte wiedziała, że jeśli się myli, Brand może zawiśnąć na szubienicy.

Napotkała jego ciężkie spojrzenie. Nie było w nim nawet śladu ciepła, które dostrzegła, gdy razem ratowali Pad-dyego.

- Nie - wyznała z ciężkim sercem. - Nie prosiłam Nan, żeby tu przyszła.

-W takim razie musimy sobie z nią porozmawiać - oznajmił Brand.

- Zaraz tu przyprowadzę tę dziewczynę - powiedział Giffles, z którego wręcz emanowało potępienie. Stał sztywno i mocno zaciskał usta. - Pozwoli pan, milordzie?

- Nie zawracaj sobie głowy - mruknął Brand. - Wolę dopaść ją bez uprzedzenia. Kiedy zostanie do mnie wezwana, zdąży po drodze wymyślić sobie jakąś historyjkę na wytłumaczenie.

- O tej porze powinna być na górze w moim pokoju - powiedziała Charlotte i wstała z podnóżka. - Pójdę z tobą.

Różyczki również wstały. Brand rzucił im poirytowane spojrzenie.

-Nie macie nic lepszego do roboty? A swoją drogą, gdzie Michael i Vivien?

-Małego Williama rozboleło gardło - wyjaśniła lady Stokeford. - Postanowili zostać z nim wieczorem w domu.

- Nieważne. Czas, żebyście wszystkie trzy wróciły do swojego pokoju - stwierdził Brand. - Już dość wrażeń na dziś.

- Z całą pewnością nie - oznajmiła jego babka. - Nie spoczne, dopóki nie oczyścisz się z podejrzeń o zbrodnię.

- Ani ja - poparła ją lady Stokeford z wyraźnym ożywieniem.

- Ani ja - przyłączyła się lady Enid. - Nie możesz oczekiwać, że będziemy siedziały z założonymi rękami, kiedy będziesz zabierany do więzienia.

Charlotte przeszła przez pokój i otoczyła ramieniem szeroką talię babci.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Proszę, pozwólcie nam spokojnie się z tym uporać. Nan będzie wystarczająco zdenerwowana, kiedy stanie oko w oko z Brandem i ze mną. Jeśli zobaczy pięć potępiających ją osób, z przerażenia stowa nie wykrztusi.

- A poza tym zdecydowanie przeceniacie swoje siły - dorzucił Brand, przyglądając się lady Faversham. - Nie zaprzeczaj, babciu. Przecież widzę, jaka jesteś wyczerpana.

- Owszem, miałyśmy wstrząsający dzień - oświadczyła lady Stokeford, przyglądając się z namysłem Brandowi i Charlotte. - Chodźcie, Różyczki, powinnyśmy porządnie wypocząć tej nocy. Ja osobiście byłabym bardzo zadowolona z kieliszka sherry i kolacji podanej do łóżka. Wasze wnuki są w pełni zdolne przesłuchać pokojówkę w zaciszu sypialni Charlotty. - I rzuciła przyjaciółkom wymowne spojrzenie.

Lady Enid przez chwilę robiła wrażenie skołowanej, lecz wkrótce uśmiechnęła się słabo.

- Teraz, kiejcy o tym wspomniałaś, czuję, że rozboleło mnie ramię - stwierdziła, obejmując spoczywającą na temblaku rękę. - Przyznam, że z przyjemnością bym się położyła.

Lady Faversham wydeła wargi i skinęła głową.

- Och, jak sobie życzyce, moje panie. Myślę, że możemy wykorzystać czas na przedyskutowanie tego, co się wyda rzyło.

Brand podszedł i podał babci ramię, drugie oferując lady Stokeford.

- Chodźmy zatem. Wraz z Charlottą odprowadzimy was na górę.

\* \* \*

Po chwili Charlottą i Brand znaleźli się oko w oko z wystraszoną Nan. Ciche trzaskanie ognia na kominku i lejący za mroczniejącymi oknami deszcz wzmagały jeszcze napięcie panujące w sypialni. 258

- Nie powinnam łązić na parter, milady, przepraszam.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Trzymała głowę podniesioną, ale kiedy napotkała spojrzenia Branda, głos jej zadrżał. - Proszę, milordzie. Ja nic złego nie zrobiłam.

- Jeśli nie poszłaś na schadzkę z Lane'em, to co tam robiłaś? - zapytał.

- Ja... ja tylko byłam ciekawa. Źle zrobiłam, to się już więcej nie powtórzy. Dostałam nauczkę.

- Musiał być jakiś powód - stwierdził lodowatym tonem.

- Grzebałaś w moim biurku, prawda?

Brand blefował, Charlottą zdawała sobie z tego sprawę, ale Nan robiła wrażenie śmiertelnie przerażonej. Miała w oczach strach. Skuliła się, jakby spodziewała się uderzenia.

- N- nie.

Pokojówka starała się coś ukryć, Charlottą nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wielki Boże, czyżby Nan wplątała się jakimś cudem w te zagadkowe wydarzenia? Może chroniła Uriaha Lane'a? Albo innego członka Ligi?

Wzięła w dłonie szorstkie, spracowane ręce dziewczyny.

- Nan, musisz być wobec mnie szczerą. Całkowicie szczerą. To kwestia życia i śmierci.

- I pospiesz się z tą szczerością - warknął Brand. - Jeśli masz cokolwiek wspólnego z tymi banknotami, zawiśniesz na najbliższej szubienicy. Chyba że zdecydujesz się współpracować i podasz nam nazwisko współnika.

- Nie ukradłam żadnych banknotów. - Nan wybuchnęła płaczem. - Ani żadnego złota.

Charlottą czuła drżenie dziewczyny. Spojrzała na Branda karcąco.

- Cii... Nie widzisz, że i tak jest przerażona?

Wytrzymał jej spojrzenie, ale zamilkł.

Charlottą uściśnęła delikatnie palce Nan.

- W takim razie w porządku. Wierzę ci. A teraz musisz mi szczerze powiedzieć, po co poszłaś dzisiaj do biblioteki.

Brazowe oczy Nan wypełniły się łzami. -Nie mam odwagi, milady. Będzie pani źle o mnie myślała.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Może i tak, ale czy nie stałam zawsze po twojej stronie? Ilekroć wpadałaś w kłopoty, pomagałam ci z nich wyjść. Obiecuję, że tak będzie i tym razem.

Broda Nan zdrzała. Po rumianych policzkach popłynęły łzy.

- To Dick, milady, kazał mi to zrobić - powiedziała cichym, żalonym głosem.

- Dick? - zapytał Brand. - Kto to jest, u licha?

- Jej absztyfikant - wyjaśniła Charlotta, starając się ze wszystkich sił nie okazać wstrząsu ani potępienia. - Przecież on jest w Yorku.

- Przyjechał za nami do Londynu, milady. On kazał mi...

- Nan przestępowała niepewnie z nogi na nogę. Istny ob raz nędzy i rozpaczy.

- Kazał ci okraść jego wysokość - dokończyła Charlotta. Och, jakże by chciała dostać tego łajdaka w swoje ręce! Przez kilka miesięcy starał się ponownie wciągnąć dziewczynę do złodziejskiego półświatka. Nan widziała całe zło tego środowiska, ale czuła się wobec Dicka zobowiązana, bo to on pomógł jej uciec tamtej straszliwej nocy po śmierci ojca.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

- Dick powiedział... powiedział, że wasza wysokość na wet nie zauważy braku paru monet. Ale... nie mogłam tego zrobić. Trzymałam uchwyt szuflady i nie mogłam jej nawet otworzyć, przysięgam. I wtedy wszedł pan Lane.

- Nan ścisnęła kurczowo dłonie Charlotty. - Musi mi pani uwierzyć. Nigdy niczego nie wzięłam. Nie potrafiłam.

Brand parsknął, ale Charlotta nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Nauczyła się już rozróżniać, kiedy Nan kłamie, a kiedy mówi prawdę.

- Tak, wierzę ci. I wierzę, że ten incydent pozwolił ci wreszcie się przekonać, jaka jest prawdziwa natura Dicka. To oszust i złodziej. Gdyby mu naprawdę na tobie zależało, to nigdy w życiu nie prosiłby cię o popełnienie przestępstwa.

- Tak, milady. Teraz to wiem.

Barbara DawsonSmith  
Zar

Oczy Nan pełne były prawdziwego żalu. Charlotta pomyślała, że daje to nadzieję na przyszłość.

- Nie zobaczysz się z nim nigdy więcej. Musisz mi to so lennie obiecać.

Nan powoli kiwnęła głową.

- Więc... więc nie wyrzuci mnie pani stąd?

Wyglądała tak żałośnie, że Charlotta ją uścisnęła.

- Oczywiście, że nie. Każdy czasem popełnia błędy. Jeśli obiecujesz poprawę...

- Nie gadaj! - przerwał jej Brand. - Nie będę tolerował w domu złodziejki, nawet niedoszłej.

Charlotta odwróciła się do niego.

-To ja ją zatrudniłam, nie ty. I biorę pełną odpowiedzialność za 'to,' co robi. Poza tym, ona nie ma nic wspólnego z naszą sprawą, a tylko to powinno się w tej chwili dla nas liczyć.

Brand nadal marszczył czoło, a po chwili odezwał się tonem pełnym urazy.

-W -takim razie dobrze. Ale jeden niewłaściwy ruch i ona wyleci z tego domu. Giffles będzie ją bez przerwy miał ha oku. Będzie jej towarzyszył na każdym kroku, jak tylko wyjdzie za próg tego pokoju.

Nan wydała pomruk protestu, lecz nic nie powiedziała, wyglądała natomiast jeszcze bardziej żałośnie niż zwykle. A Charlotta miała dość rozsądku, by nie protestować przeciwko tym rozkazom. Brand już i tak był wściekły.

Musiała z nim porozmawiać. Na osobności.

- Idź wypić filiżankę herbaty w kuchni - powiedziała do Nan. - I może położyć się dziś wcześniej spać. Wiem, że teraz jesteś kompletnie rozbita, ale jutro rano poczujesz się lepiej.

- Ona jeszcze nigdzie stąd nie pójdzie - oświadczył Brand. Podszedł szybko do pulpitu do pisania, zanurzył pióro w kałamarzu i nakreślił krótką wiadomość. Osuszył atrament, złożył karteczkę i wręczył ją Nan. - Zanieś to prosto do mojego lokaja, powinien być teraz w moich pokojach. List zawiera instrukcje dotyczące twojej osoby.

Barbara Dawson Smith  
Zar

I, na Boga, jeśli dowiem się, że nie wykonałaś polecenia, że zrobiłaś cokolwiek, by zawieść moje zaufanie, dopilnuję, żebyś wylądowała na ulicy bez grosza przy duszy. - Rzucił Charlottcie ostre spojrzenie. -I twoja pani będzie mogła protestować sobie do woli. Nan spojrziała na niego przez łzy i dygnęła w ukłonie.

- Tak, milordzie. Dziękuję panu. -I wybiegła, ściskając w rękę liścik.

Charlotta została z Brandem sama.

Deszcz dzwonił o okienny parapet. Kilka świec płonęło w lichterzu ustawionym na pobliskim stoliku, nie na stole przy kominku. Charlotta starała się nie myśleć o tym, że znajdują się razem w jej sypialni i że z całego serca pragnie skryć się w jego ramionach. Przez pewien czas rozważała, jaki chłodny i daleki stał się Brand od chwili, kiedy Hannibal Jones wystąpił ze swym kretyńskim oskarżeniem.

Brand opatrywał się w ogień, marszcząc czoło. Charlotta stanęła obok niego.

- Świadomość, że Nan nie jest w to zamieszana, przyniosła mi ulgę - powiedziała. -Ale coś mnie niepokoi. Ty nie dostałeś listu ze słowami: *Będziesz następny*.

- Może dlatego, że moja śmierć nie jest jeszcze bliska. Jeśli zostanę aresztowany, nastąpi proces, a dopiero potem zapadnie wyrok.

Ta perspektywa była zbyt przerażająca, by ją w ogóle rozpatrywać. Jak on mógł być tak obojętny?

Charlotta poczuła, że teraz naprawdę jak najszybciej musi znaleźć mordercę.

- Nie uniewinniliśmy Uriaha Lane'a. Zastanawiam się, jaki mógłby mieć powód, żeby zabijać członków Ligi.

- Do licha, nie wiem. Może oszalał? Gość od tak dawna ma trypra, że choroba mogła mu stoczyć mózg.

- Trypra?

Brand rzucił jej przenikliwe spojrzenie.

- Chorobę, którą można złapać od zarażonych dziwek.

- Ale ty chyba nie masz tego... trypra, prawda? - zapytała, wstrząsając się z odrazy.

Barbara Dawson Smith

Żar

Brand potrząsnął głową.

- Nie, ja jestem wybredny przy wyborze kochanek. Bar dzo wybredny. - Jego wzrok spoczął na ustach Charlotty. - A dlaczego to cię tak interesuje?

Jej serce biło nierówno, czuła, że się rumieni.

- Bo chciałabym mieć pewność, że nie zmienisz się nagle w jakiegoś wyjącego szaleńca.

- Spróbuję trzymać na wodzy moje dzikie instynkty. Chyba, że będziesz mnie błagać, żebym tego nie robił.

Jakim cudem udało mu się zmienić ich rozmowę w uwodzicielskie przekomarzania?

- Ja nie zwykłam błagać - powiedziała gniewnie. - A już ciebie z pewnością nie będę błagać, o nic.

Czule pogładził jej policzek.

- Mogę udowodnić, że się mylisz - mruknął. - W ciągu dwóch minut.

Jego dotyk wyzwolił w głębi jej ciała gwałtowny przypływy pożądania. Charlotta uświadomiła sobie, że są całkiem sami, a ona rozpaczliwie pragnie jego pocałunku. Ale pomimo jedwabistego głosu, Charlotta wyczuwała w nim dzisiaj coś ostrego, brutalnego. Jakąś ukrytą złość, która budziła w niej zarówno niepokój, jak i zaskoczenie.

Odepchnęła jego dłoń.

- Porozmawiajmy o śledztwie. Nie powinnam była wąt pić w twoją ocenę pana Jonesa. To okropny człowiek i nie wolno dopuścić, żeby wysunął przeciwko tobie oskarżenie o morderstwo.

Brand uśmiechnął się szyderczo.

- Cóż to, jesteś teraz moją stroniczką? Potrafię sam rozgrywać własne batalie.

- Nie, jeśli zostaniesz osadzony w więzieniu pod zarzutem zbrodni, których nie popełniłeś. A pan Jones ma znajomych w komisariacie na Bow Street. Może nakarmić urzędników magistratu stekiem kłamstw i insynuacji na twój temat.

Brand rzucił jej przenikliwe spojrzenie zimnych jak lód oczu.

Barbara Dawson Smith

Żar

- Może to nie były same kłamstwa?

Charlotte zatkało.

- Co ty mówisz?! Nie zamordowałeś członków Ligi Lucy fera jednego po drugim. A zabójstwo twojego brata i bratanka? Prędeż bym uwierzyła, że moja babcia jest zdolna do zbrodni.

Brand krążył po pokoju jak rozdrażniona pantera po klatce. Charlotta była poirytowana, widząc go tak blisko swego łóżka.

- Ty po prostu nie byłabyś w stanie nawet wyobrazić sobie wielu rzeczy, które ja robiłem, Char. Kompletnie mnie nie znasz.

Zaniepokoiła ją groźba kryjąca się w głosie Branda. Chciała poznać wszystkie jego sekrety, chciała sama stać -się jedną z jego tajemnic. Pewnie tak by się stało, gdyby zaprosiła go do swego łóżka.

- Wiem wystarczająco dużo - mruknęła. -I choć daleko ci do świętości, to nie jesteś mordercą. Absolutnie nie.

Ta deklaracja zdawała się tylko podsycać gniew Branda. Ruszył ku niej, ale w połowie drogi zatrzymał się, a jego twarz omroczył cień, jakiego nigdy dotychczas nie widziała.

- Absolutnie? - warknął. - W takim razie dowiedz się prawdy. W jednym punkcie Jones miał rację: zabiłem George i Petera.

## Rozdział 19

### Niepożądana propozycja

Brand wiedział, że nie powinien był tego mówić. Odczuł jednak dziwną ulgę, że wreszcie, po tylu latach, powiedział to na głos. Uległ pokusie, by przekonać Charlotte, że myli się co do niego. I to bardzo.

Czekał, aż na jej twarzy pojawi się doskonale mu znany wyraz pogardy oznaczający: zawsze o tym wiedziałam. Ale ona tylko z troską zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem. Oni zmarli na cholere. To tragedia, ale przecież nie ma tu twojej winy.

- To była moja wina, do licha. Tak samo, jak gdybym przyłożył im pistolet do skroni.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę ich otrułeś?

Może powinien skłamać, ale prawda była wystarczająco okropna. Tak czy owak George i Peter zmarli.

- Zachorowali przeze mnie. Zamelinowałem się w Cheapside w wynajętym mieszkaniu i przez miesiąc oddawałem się nieustającym libacjom. George przyjechał, żeby mnie zabrać do domu. I to tam właśnie się zaraził.

W obawie, że da się ponieść wzruszeniu, Brand podszedł do okna i zapatrzył się w ciemność. Nadal pamiętał wydarzenia tamtych tygodni jak przez mgłę. Pragnąc pogrążyć się w niepamięci, wypił tyle ginu, że mógłby zatopić całą flotę. Pragnął zapomnieć o Grace, stępić wściekłość i ból, że wyszła za męża za jego najlepszego przyjaciela. Grace oddała mu się w noc poprzedzającą ślub, szeptała

Barbara Dawson Smith

Żar

najcudowniejsze słowa miłości, a potem u boku Michaela stanęła na ślubnym kobiercu.

Niech ją łycho porwie! I niech łycho porwie jego, że uwierzył w piękne kobiece słówka.

Wyczuł obecność Charlotty za plecami, dobiegł go szelest jej spódnicy, zapach kwiatowego mydła.

- Dlaczego piłeś? - zapytała.

- A co to ma za znaczenie, do diabła?! - wybuchnął. - Faktem jest, że George by nie zachorował, gdyby nie przyjechał do najbrudniejszej części Londynu, żeby mnie ratować.

- A jak to się stało, że ty nie zachorowałeś?

- Ja? - Roześmiał się ochryple. - Ja byłem zbyt zabalsamowany, żeby złapać jakąś chorobę. W moich żyłach płynął już chyba czysty alkohol.

- A Peter? Przecież jego tu nawet nie było.

- To jest w tym wszystkim najgorsze. Wyrzuciłem George'a na zbity pysk, więc następnego dnia przyjechał z synem. Miał nadzieję, że Peter przekona mnie, żebym wrócił do domu.

Brand chciał wyrzucić z pamięci *Xo* wspomnienie. Siedział na łóżku, kompletnie zalany i próbował wyostrzyć wzrok na tyle, by wyraźnie zobaczyć stojącego w drzwiach bratanka. Jasnowłosego chłopczyka, małego, oszołomionego, przerażonego tym obcym człowiekiem, w którego zmienił się jego wujek. To był okres najgorszego upadku w życiu Branda, ale dopiero kiedy spojrzął na siebie oczami dziecka, zrozumiał, kim się stał.

- George nie powinien był tego robić! - zawołała Charlotta z oburzeniem. - Nie zabiera się małego dziecka do takich zakazanych miejsc, bez względu na powód.

Brand podzielał jej opinię, lecz to nie zwalniało go z winy.

- Nie? Cóż, jego plan się powiódł. Wróciłem do domu. A następnego dnia obaj zachorowali. Dwa dni później robiłem już przygotowania do pogrzebu.

Jego głos był twardy, ale w głębi duszy Brand niemal 266 umierał, poczucie winy było równie rozdzierające jak

Barbara Dawson Smith  
Żar

w chwili, gdy usłyszał diagnozę lekarza i równie haniebne jak błysk samolubnej radości, że teraz został księciem i jako taki stał się godny Grace. Tak, to była jego tajemnica, podła, odrażająca myśl, która zrodziła się w jego mózgu w tamtych dniach, kiedy przestał już być zaledwie drugim synem i wreszcie był jej wart.

Głupiec!

Charlotta zachowała milczenie. Widział jej odbicie w ciemnych szybach okiennych, nie na tyle jednak wyraźne, by rozszyfrować wyraz jej twarzy. Nic nie wiedziała o Grace, nie miała pojęcia, że pożądał żony najbliższego przyjaciela. Nie zamierzał jej o tym mówić. Wiedziała jednak wystarczająco dużo, by dostrzec jego odpowiedzialność za śmierć brata i bratanka.

Czekał na jej potępienie, wręcz go pragnął. Chciał, żeby zobaczyła, jaki naprawdę jest i by powrócili na doskonale mu znany grunt wzajemnych animozji.

Charlotta stanęła przed nim i spojrzała mu prosto w oczy. Dziwne światło rozbłysło w jej zielonych źrenicach, jakby nagle zrozumiała go lepiej, niż on sam siebie rozumiał.

- Chodziło o Grace, prawda? - zapytała. - To dlatego piłeś jak ostatni moczymorda. To wszystko wydarzyło się wkrótce po jej ślubie z Michaeliem.

Słowa Charlotty ugodziły go jak kula. Zmienił się w sople lodu. Na pewno strzelała na oślep...

Spojrzał jej w oczy, potem odwrócił wzrok, lecz zaraz przygwoździł ją spojrzeniem.

- Nie mam pojęcia, o czym, do diabła, mówisz.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

-Brand, nie okłamuj mnie. Wiem o twoim romansie z Grace. I wiem o Amy.

Wstrząs niemal sparaliżował Branda. Miał ochotę wyć, kiedy usłyszał swą najskrytszą, najcenniejszą tajemnicę wypowiedzianą takim rzeczowym tonem. Poczul się nagle bezbronny, wystawiony na cios -jego uczucia były całkowicie odsłonięte przed wzrokiem Charlotty. Wiedziała,

Barbara Dawson Smith  
Żar

Boże dopomóż! Wiedziała o najstraszniejszej pomyłce jego życia! Wiedziała, że dla kobiety zrobił z siebie idiotę. I że musi patrzeć, jak inny mężczyzna odgrywa rolę ojca jego córki.

Charlotta patrzyła na niego z przejęciem... jakby miała prawo zaglądać w głąb jego duszy. Jakby dostrzegała jego mękę i jakby mu współczuła.

Nieważne, i tak odrzucił wyciągniętą ku niemu rękę.

-Niech cię wszyscy diabli! - Ledwie wydobył z siebie ochryplę z wściekłości głos. - Nie masz prawa wściubiać nosa w moje prywatne życie.

- Może i nie. Ale kiedy zobaczyłam w twoim biurku miniaturę, wnioski nasunęły się same.

- W moim biurku! Czyli tam, gdzie przede wszystkim nie miałas prawa wściubiać nosa.

Była na tyle rozsądna, czy też sprytna, że przybrała za-wstydzoną minę.

- Przepraszam, ale nie miałam innej możliwości, żeby dowiedzieć się czegoś o byłych członkach Ligi Lucyfera. Ty nie jesteś najlepszym źródłem informacji. Musiałam szukać na własną rękę.

Brand miał ochotę nią potrząsnąć, ale tylko rozgarnął rękami włosy.

- W takim razie domyślaj się. Ja nie mam zamiaru rozmawiać o Grace ani z tobą, ani z nikim innym.

A jednak pragnął o tym rozmawiać. Pragnął się odsłonić, wyrzucić to z siebie. I to przed Char, spośród wszystkich kobiet na świecie najbardziej właśnie przed nią.

- W takim razie to ja będę mówiła - powiedziała spo kojnie Charlotta. - Widziałam wyraz twojej twarzy, kiedy przytuliłeś do siebie Amy. I wiem, to znaczy domyślałam się, ile ona dla ciebie znaczy. - Zbliżyła się do Branda o krok. - Och, Brand. To twoja córka. Musisz czuć się okropnie ze świadomością, że nie możesz zgłosić do niej swoich praw.

Zastrzeliła go, a teraz dłubała w ranie w poszukiwaniu kuli.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Trzymaj się z dala od spraw, o których nie masz zielonego pojęcia.

- Muszę cię zapytać o Grace. Chcę ci tylko pomóc...

- Odczep się, Char - powiedział ostrzegawczo ostrym tonem. - Nie będę o niej rozmawiać.

Charlotta wydeła wargi.

- Ja też mam w tym swój interes. Przez te wszystkie lata oskarżałeś mnie o zdradę, mając to samo na sumieniu w stosunku do Michaela.

- W takim razie na domiar złego jestem również cholerynym, parszywym hipokrytą. Ale nie sądz, że to ci daje nade mną przewagę. -I odsunął się od niej. Miał kompletny mętlik w głowie.

Pospieszyła za nim, wyraźnie poirytowana jego zachowaniem.

- Nie zależy mi na tym, żeby zdobyć nad tobą przewagę. To nie są żadne zawody. Ale być może stawia nas to na równej stopie.

-I to jest koniec dyskusji.

Charlotta niespodziewanie roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

-Jakie to typowe dla mężczyzn. Nie poprosisz nikogo o pomoc, choćbyś miał przyplacić to życiem.

-Racja, nie jestem jednym z twoich bezpańskich piesków. Nie potrzebuję ratunku. I cholernie dobrze mogę sam zadbać o swoje sprawy.

-Wcale nie marzę o tym, żeby cię ratować. Sam musisz to zrobić. - Spojrzała na niego miękko i zrobiła kolejny krok w jego stronę. - Musisz jednak przestać się obwiniać o śmierć brata i bratanka. To nie twoja wina. Nie chciałeś tego. Nie zabiłeś ich i wbij to sobie wreszcie do głowy!

Przez chwilę miał ochotę ulec jej płomiennym argumentom. Czy Charlotta mogła mieć rację? Czyżby torturował się przez te wszystkie lata z powodu zbrodni, których nie popełnił? Aż do bólu pragnął jej uwierzyć, ale nie potrafił tak łatwo się poddać.

Charlotta stała tuż przy nim, więc złapał ją za ramiona.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Nie rozumiesz. Nie znośmę George'a. Był zawsze ta ki piekielnie doskonały, został kapitanem zespołu dysku syjnego, prefektem domu.

-Podczas gdy ty zostałeś relegowany za wciąganie dziewcząt do swego pokoju. Owszem, słyszałam, jak Różyczki rozmawiały kiedyś na ten temat. Ale to jeszcze nie oznacza, że życzyłeś mu śmierci.

- Nie byłbym tego taki pewny. Chwilami naprawdę go nienawidziłem.

- Bo pragnęłaś pochwał rodziców i babci. A skoro nie mogłeś ich zdobyć, ściągałeś na siebie ich uwagę w jedyny dostępny ci sposób: poprzez naganne zachowanie. Wiem, bo moi dwaj młodszy bracia byli tacy sami, bez przerwy zabiegali o zainteresowanie.

Myliła się. Na pewno się myliła.

- Nie doszukuj się w tym czegoś, czego nie ma - mruknął ochryple. - Lubię nieodpowiednio się zachowywać. Taką mam naturę.

- Nie będę zaprzeczać. Prawdę mówiąc, doprowadziłeś skandaliczne zachowanie do mistrzostwa, wzniosłeś się na wyżyny sztuczki.

Lekki uśmiech powrócił na jej wargi, co Brand odczuł jak pchnięcie sztyletu, uświadamiając sobie równocześnie, że są sami w jej sypialni, po zmroku, a światło świec stwarza wymarzoną scenerię do uwodzenia. Do diabła, dlaczego właściwie trwonią czas na spory? Uwiedzenie było najlepszym sposobem zbitcia jej z tropu.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował w czoło i przeniósł wargi na gładki policzek.

- Złe zachowanie wymaga pilnych ćwiczeń.

Wstrzymała oddech, zamknęła oczy, lecz nie odepchnęła go.

- Przestań. Przecież wiem, że to tylko pretekst, aby prze rwać rozmowę.

- Skuteczny sposób, prawda?

Przeniósł wargi na rozchylone usta Charlotty, którymi zapewne znów zamierzała go besztuć. Boże, miała taki

wspaniały smak, bogaty i tajemniczy jak najszlachetniejsze wino. Narastało w nim pożądanie, odrywające go od rzeczywistości. Chciał ułożyć ją nagą w łóżku i umościć się w kołysce jej nóg. Pragnął zapomnieć o bolesnej przeszłości i doświadczać rozkoszy bieżącej chwili.

Dbał jednak, by pocałunek pozostawał delikatny i niespieszny, czule kuszący, choć Charlotta poddała się niemal natychmiast. Nagrodą było obserwowanie, jak ta sztywna, rozgoryczona osóbką topnieje i zmienia się w miękką, uległą istotę. Gwałtowna reakcja dziewczyny sama w sobie sprawiała mu erotyczną przyjemność, dowodziła, że Charlotta nie może mu się oprzeć.

- Pozachowuj się źle wraz ze mną - mruknął. - Obiecu ję ci rozkosz, o jakiej nawet nie śniłaś.

Westchnęła, kiedy objął jej pierś i zaczął ją pieścić przez stanik sukni. Nakryła ręką jego dłoń, ale nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby położyć kres jego poczynaniom.

- Brand, nie możemy. Nie wolno...

Miała rację. To obłąd. Jednak lekkie drzenie jej głosu podziało na niego jak afrodyzjak.

- Możemy - mruknął, całując jej smukłą szyję.-Musimy.

- Proszę. Każdy może tu wejść i nas nakryć.

- Mogę temu zaradzić. - Brand puścił ją, podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Szczęk zasuwki przywrócił mu odrobinę rozsądku. Pozostająca jeszcze przy zdrowych zmysłach część mózgu przypomniła mu, że Charlotta to nie dziwka, którą można wykorzystać dla kaprysu. Była dziewczyną, damą, członkiem jego szeroko pojętej rodziny.

Jak on, u licha ciężkiego, mógł w ogóle pomyśleć o uwiedzeniu? Różyczki spały kawałek dalej, w tym samym korytarzu.

Do licha, do licha, do licha!

Odwrócił się i zamarł. Charlotta stała za nim, pracowicie rozpinając guziki zapinanej na plecach sukni. Rzuciła mu gorące, błagalne spojrzenie.

- Pomóż mi - poprosiła. - Nie sięgam do środkowych guziczków.

Słodki Jezu, czuł się tak, jakby dostał karekę asów z ręki. Cała krew odpłynęła mu z mózgu do genitaliów. Stanik sukni rozchylił się nieco, pozwalając mu zerknąć na jasną, kremową skórę i przepych pełnych piersi ściśniętych koronkowym gorsetem.

Po sekundzie był za jej plecami i użerał się z guzikami sukni. Małeńkie perłowe guziczki stawiały mu większy opór niż Charlotta.

- Nie rozumiem. Co się dzieje? - powiedział szorstko, myśląc jednocześnie: „Przestań wreszcie gadać. Bierz te skarby, które ci dają”. Ale nieposłuszny język wyrwał się z wątpliwościami. - Jeszcze przed chwilą stanowczo od mawiałaś.

Rzuciła mu przez ramię zagadkowe spojrzenie.

- Doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej żyć w nieświadomości.

To spojrzenie! Spojrzenie kobiety, pełne zmysłowej prowokacji.

- Tak po prostu? Postanowiłaś oddać mi swoje dziewięć two?

Na ustach Charlotty pojawił się lekki, uśmieszek, pełen pożądania.

- Prawdę mówiąc, myślałam o tym już od pewnego czasu. Mam dwadzieścia dziewięć lat i nie chcę umrzeć jako cnotliwa stara panna.

Postanowiła więc wykorzystać sposobność i posłużyć się nim? I dlaczego, u licha, to go irytowało? Zawsze wyznawał filozofię, że należy czerpać z życia przyjemności i nie zadawać pytań. Objął dłońmi jej szczupłą talię.

- A niech to, Char! Spodziewałem się, że odmówisz.

Opuściła oczy i zatrzepotała rzęsami.

- Och, nie, nie! - zawołała zdławionym głosem. - Proszę, nie gwałć mnie, ty lubieżny potworze.

Brand osłupiał, ale po chwili wybuchnął śmiechem.

- Diablica! Pamiętaj, że ty także nie powinnaś prowokować mężczyzny.

Charlotta odwróciła się w jego ramionach. Gdy uniosła

dłoń do jego twarzy, już się nie uśmiechała. Usta miała miękkie i pełne erotycznych obietnic.

- Nie potrafię sama wziąć od ciebie tego, czego pragnę. Brand, od dawna o tobie śniłam. Pragnę cię aż do bólu.

W tym momencie Brand poczuł, że nie ma już szans na uratowanie ich przed tym szaleństwem. Może było ono im przeznaczone od chwili, gdy Charlotta usiadła mu na kolanach jako nad wiek rozwinięta trzynastolatka, która robiła do niego słodkie oczy. A może od chwili, gdy podstępem skłonił ją, by zareagowała na jego pieszczoty w łóżku Vaughnów. Albo też od chwili, gdy całkiem niedawno przed wejściem do domu obdarzyła go tym delikatnym, słodkim pocałunkiem.

Znów ją pocałował, tym razem bardziej namiętnie, dając jej odczuć siłę swego pożądania. Odwzajemniła pieszczotę, stając na palcach i przytulając się do niego całym ciałem. Brand wsunął ręce w jej włosy, wyjął spinki i gęste loki opadły jej do pasa.

Wystarczyło lekkie pociągnięcie, by suknia Charlotty zsunęła się na podłogę. Brand rozluźniał tasemki gorsetu i - do licha! - ręce tak mu się trzęsły, że proste zadanie stało się poważnym problemem, narażając na szwank jego opinię mistrza w sztuce uwodzenia. Ale kiedy wreszcie zdołał uwolnić Charlotte z tego pancerza, musiał przyznać, że było warto. Teraz jej nagość osłaniała już tylko koszulka z cieniutkiego lnu. Kuszące krągłości piersi unosiły delikatny materiał, przez który widać było sterczące z pożądania brodawki.

Pożądała jego. I tylko jego.

Kiedy jednak odsunął się nieco, by na nią spojrzeć, zrobiła ruch, jakby chciała się przed nim ukryć.

- Czy nie powinniśmy... wejść pod kołdrę? - zapytała.

Ta propozycja jemu też się spodobała. Pod kołdrą. Na podłodze. W fotelu. I w tysiącu innych miejsc. Szybko lub wolno, jak tylko chciała.

Ale zamiast tego podprowadził ją do wysokiego, sięgającego podłogi lustra, postawił ją przed nim i przytulił do



siebie. Boże, to była prawdziwa tortura tak trzymać ją opartą o siebie, to była tortura tak opierać się naturalnym instynktom. To była tortura patrzeć na cieniutki materiał i widzieć intrygujące cienie we wszystkich właściwych miejscach.

Światło świec ujawniało siatkę blizn biegnących wzdłuż prawej ręki Charlotty, kończących się na jej gładkim, nagim ramieniu. Ale jej wspaniałe kobiece kształty kompletnie go oczarowały.

Zerknęła przelotnie na własne odbicie i odwróciła wzrok, przygryzając dolną wargę. To był przejaw nieśmiałości, której Brand zupełnie się u niej nie spodziewał. Ogarnęła go fala czułości.

Delikatnie odwrócił jej głowę ponownie w stronę lustra i przeciągnął kciukiem po wilgotnej wardze, jakby chciał ukoić przygryzione miejsce.

- Spójrz na siebie - powiedział ochryple. - Jesteś taka cholernie piękna.

- Nie jestem - zaprzeczyła. W jej głosie pobrzmiwała nutka rozpacz.

Chciał z niej zakpić, ale w porę się powstrzymał. To naprawdę miało dla niej znaczenie. Pomimo że pokazywała światu dumną twarz, była w pełni świadoma swej niedoskonałości. Czyżby nie wiedziała, że bywają o wiele gorsze skazy? Przeciągnął palcami wzdłuż zdeformowanej ręki i głaskał ją przez chwilę.

- Naprawdę jesteś piękna - powtórzył. - Cała. Smutne oczy dziewczyny napotkały jego wzrok w lustrze.

- Brand, nie musisz być taki uroczy.

- Mówiłem serio. Nie jesteś taka jak inne kobiety. One ciągle podziwiają w lustrach własne odbicie. Interesują się wyłącznie sukniami, kapeluszami i biżuterią. Wierzą, że dobry wygląd zapewni, im wszystko, czego pragną.

- Brand dostrzegł malujące się w oczach Charlotty pytanie... pytanie, na które wolałby nie odpowiadać, ale jednak odpowiedział. - Tak - wykrztusił z trudem. - Grace

była właśnie taka.

Barbara Dawson Smith Zar

Charlotta patrzyła mu prosto w oczy.

- Nadal ją kochasz?

- O Boże, nie! Dlaczego pomyślałaś, że... - Zaciśnięła usta i odetchnęła głęboko. - Podstawowa zasada obowiązująca w sypialni: żadnych rozmów o kimkolwiek poza nami dwojgiem. Czy to jasne? Promienny uśmiech rozjaśnił delikatne rysy Charlotty.

- Tak, milordzie - odparła potulnie,

W jej oczach zobaczył ufność, od której serce ścisnęło mu się ze wzruszenia, a w łędźwiach wezbrał ból. Ta kobieta była prawdziwym darem niebios dla mężczyzny. Dla niego.

Serce waliło mu tak szybko, że Charlotta musiała chyba wyczuwać jego uderzenia na plecach. Przesunął dłonie w dół jej koszulki, przyciskając usta do pachnącego miejsca za uchem. Zaprzagnął natychmiast znaleźć się w niej, w środku.

Ale, do licha, robi to powoli. Była dziewicą, a on postanowił ofiarować jej doświadczenie, o jakim nigdy nie zapomni. Odwrócił ją przodem do siebie i obdarzył długim, głębokim pocałunkiem. Całował ją, dopóki z gardła nie zaczęły jej się wrywać cichutkie podniecające pomruki, dopóki nie wygięła się ku niemu jak kobieta w najwyższym stopniu podniecona.

Jakąś resztką zdrowego rozsądku Brand zdołał przed zaprowadzeniem jej do łóżka zedrzeć z siebie krawat, surdut i koszulę. I zdjęć jej koszulkę. Nie pozbył się spodni, starając się w ten sposób przedłużyć grę wstępną i opadł na wspaniałe, nagie ciało dziewczyny. Całował i ssał cudowne piersi, powoli przesuwał rękę w dół. Wtedy odkrył, że Charlotta jest już gorąca, wilgotna i - o, Boże! - gotowa na jego przyjęcie. Miękkka, doskonała i nietknięta przez innego mężczyznę.

Tylko powoli!

Całował ją, pieścił, poznawał sekrety jej ciała. A potem jego bardzo, jak się okazało, przeceniana samokontrola prysła jak bańka mydlana, gdy tylko Charlotta rozpięła

Barbara Dawson Smith  
Zar

mu spodnie, delikatnie wsunęła dłoń w rozporek i dotknęła go z dziewczęcą nieśmiałością. I zarumieniła się z pożądania.

- Proszę, Brand - szepnęła. - Proszę.

Błagała go, więc powinien odczuwać satysfakcję, ale był zbyt pochłonięty tym, co się działo, by zwrócić na to uwagę. Wcisnął się w nią, napotykając lekki opór, który zagroził drogę jego inwazji. Charlotta głośno wciągnęła powietrze, więc Brand znieruchomiał, by nie sprawić jej bólu, ale i tak rozkoszował się tym, co zdążył zdobyć. Boże! Była taka wąska, aksamitna, taka absolutnie doskonała.

Coś dławilo go w gardle. Jeszcze nigdy, absolutnie nigdy w życiu nie czuł się tak wspaniale. Znajdował się w ciele Charlotty, czyli tam, gdzie zawsze pragnął być. Wsunął się w nią głębiej, najgłębiej, jak to było możliwe, ale i to nie mogło go w pełni usatysfakcjonować. Wymruczała jego imię i znów w jej głosie pojawiła się nutka po-dziwu, a potem uniosła biodra w górę, żeby dopasować się do niego i nagle cały świat został sprowadzony do pocałunków, dotykania i kochania się z Charlottą.

Charlotta. W oszołomionym mózgu Branda zrodziła się myśl, że powinien powściągnąć własną zbliżającą się rozkosz, aby ten pierwszy stosunek uczynić idealnym dla niej, ale ona drżała już pod nim, wydając pomruki spełnienia. Wraz z nią osiągnął szczyt w oślepiającym wybuchu radości.

Leżeli złączeni przez chwilę, która mogła trwać minutę albo dziesięć. Brand nie umiałby powiedzieć. Nie byłby w stanie się ruszyć, nawet gdyby zależało od tego jego życie... może by ruszył się, gdyby zależało od tego życie Charlotty.

Leżał wyciągnięty na niej, głowę złożył na poduszce jej ramienia i wdychał jej zapach, a właściwie ich zapach.

Puls zaczął zwalniać, oddech stawał się regularny i nagle

Branda zaszokowała myśl, że nadal znajduje się w niej. I nawet nie przeszło mu przez myśl, że mógłby ją opuścić.

Barbara Dawson Smith

Zar

Do licha!

Charlotta poruszyła się leciutko, pokrytą bliznami rękę oparła na jego plecach, a zdrową obrysowywała rysy jego twarzy. Patrzyła na Branda tak, jakby przyniósł jej księżyc na srebrnym półmisku.

- O... mój... Boże - szepnęła i roześmiała się chrapliwie.

- Brand! Ja nie miałam pojęcia...

On też nie miał. Jeszcze nigdy tak kompletnie nie stracił nad sobą kontroli. I tylko raz dotychczas - z Grace - zapomniał o zapobieganiu ciąży. Ale jakoś nie starczyło mu sił, żeby zająć się rozważaniem ewentualnych konsekwencji w chwili, gdy jego ciałem wstrząsnęła najpotężniejsza fala rozkoszy, jakiej w życiu zaznał, gdy do tego stopnia odczuwał samczą satysfakcję, że niemal miał ochotę zapać jak kogut na dachu. Charlotta należała do niego i żaden inny mężczyzna nie mógł już wprowadzić jej w świat seksu.

- Ciągłe masz na sobie spodnie - powiedziała, gładząc go po plecach. - Czy to... zwyczajowe?

- Nie, do licha - zawołał ze śmiechem. - A już szczególnie nie w butach.

Powinien natychmiast wstać i wyjść z jej pokoju, żeby nie zwiększyć ryzyka zapłodnienia, ale jego mózg nie funkcjonował prawidłowo. Wyglądała tak zniewalająco, tak kusząco, kiedy leżała pod nim z bezwstydnie obnażonymi piersiami, z gęstwiną kasztanowych włosów rozsypanych na poduszce, zaczerwienionymi wargami i twarzą rozświetloną blaskiem zaspokojenia.

Z niepokojem zauważył, jak szybko zrodziła się w nim zaborczość w stosunku do Charlotty. Chciał dać jej niezapomniane wrażenia, a nie wziąć ją jak portową dziwkę w ciemnej uliczce.

No i nie było to absolutnie brudne, odrażające doświadczenie. Było to najwspanialsze doświadczenie erotyczne w jego życiu. A Charlotta niewątpliwie nie wyglądała na rozczarowaną zbyt krótkim stosunkiem.

Ale, do licha, mógł sprawić się lepiej. Sprawi się lepiej.

Barbara Dawson Smith

Zar

Kiedy usiadł, żeby zdjąć buty i spodnie, Charlotta uniosła się do pozycji półsiedzącej, oparta głowę na ręce i nie spuszczała go z oka.

- Muszę przyznać, że ten wysoki gość z dołu... robi wrażenie.

- Chwilowo jest nieco zmęczony, ale jeśli nadal go będziesz podziwiać, znów nabierze wigoru.

Charlotta wyciągnęła rękę i dotknęła go, koniuszkami palców muskając go w leciutkiej jak piórko pieszczocie, która sprawiła, że Brand głośno wciągnął powietrze. Znieruchomiała i podniosła wzrok.

- Zrobiłam coś złego...?

Brand roześmiał się.

- Zapewniam cię, kochanie, że on to uwielbia. Czasami aż za bardzo.

Położył się znów do łóżka, wsunął się pod kołdrę obok Charlotty i przytulił do siebie jej bujne ciało. Jeszcze tylko raz, obiecał sobie, żeby trwale zapisać się w pamięci Charlotty i żeby oboje zostali tak zaspokojeni, by móc się rozstać.

Może...

Objął rękami twarz Charlotty i obdarzył ją jednym z tych słodkich, delikatnych pocałunków, które okazały się, o dziwo, równie rozkoszne jak namiętne, nieopanowane pieszczoty. Smakując się nawzajem, upajając się sobą, pomrukując coś do siebie w»Łproszonej tylko światłem świec ciemności, leżeli przy sobie, a deszcz bębniący o szyby i ogień trzaskający na kominku zmieniały tę noc w jedno nieprzerwane pasmo rozkoszy. Może to był skutek nowego dla niego doświadczenia leżenia w łóżku z kobietą, którą znał całe życie, ale Brandowi ciągle było jej mało. Znów się kochali, tym razem powoli, choć z tą samą obłądną namiętnością, głęboką, bogatą i fascynująco intensywną.

A potem, zanurzony w niej, zapomniał o wszystkich powodach, dla których powinien wyjść z łóżka. Nic innego nie wydawało mu się ważne. Charlotta była tak cholernie

Barbara Dawson Smith  
Żar

słodka, kiedy przytulała się do niego, uśmiechała, wymawiała jego imię, jakby to on właśnie wynalazł kochanie się specjalnie dla niej, żeby jej sprawić przyjemność. Boże, gdyby wiedział, że jest taka zmysłowa, już dawno wdałby się z nią w romans.

Nie, Charlotta nie mogła być jego kochanką. Mieli tylko ten jeden wieczór, w najlepszym razie kilka godzin.

Uniósł się nieco w obawie, że jest dla niej za ciężki, a gdy zaprotestowała gorąco, uciszył ją pocałunkami. Zamykając oczy pomyślał, że poleży przy niej jeszcze tylko parę minut. Wszystko ponad to byłoby już zbyt ryzykowne.

- Brand, już świta. Musisz odejść.

Obudził go ten stanowczy szept Charlotty. Brand uchylił leniwie powieki. Leżał wyciągnięty na środku materaca, oszołomiony snem, z głową wspartą na puchowej poduszce. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje; rzadko spędzał całą noc w łóżku kochanki.

W tym momencie Charlotta pochyliła się nad łóżkiem i potrząsnęła go za ramię. Charlotta! Dwukrotnie kochali się ostatniej nocy, nie - trzykrotnie, bo obudził się o wczesnej godzinie^ gdy okrywała jego ciało pocałunkami...

Teraz znów miała na sobie koszulkę i w słabym, szarym świetle wpadającym przez okno Brand dostrzegł zarys pełnych piersi. Natychmiast pobudzony, wyciągnął rękę, by ją pogłodzić.

Odepchnęła go.

-Wstawaj! I pospiesz się!

- Już stoję. Zobacz, stoję na baczność.

Spojrzała w dół rozmarzonym wzrokiem.

- Przecież wiesz, co miałam na myśli. Nikt nie może cię tu znaleźć. A służba zaraz weźmie się do pracy.

- Pięć minut nie zrobi różnicy. - Podejmowanie ryzyka było kompletną głupotą, szczególnie że już dawno zamierzał wyjść, ale usiadł, oparł się o poduszki, chwycił

Barbara Dawson Smith  
Żar

Charlotte w talii i wciągnął sobie na kolana, podwijając jej koszulkę, by mogła usiąść na nim okrakiem.

Jej opór trwał na szczęście bardzo krótko. Odetchnęła głęboko i dotknęła wargami jego zarostowego policzka.

- Naprawdę nie powinniśmy tego robić.

- Może nie. - Trzymał nadal ręce pod jej koszulką, przesuwając je w górę i w dół po gładkich plecach, igrając niekiedy z pełnymi, kulistymi piersiami. - Ale robimy to i jest cholernie przyjemnie.

- Mram - mruknęła, zmieniając leciutko pozycję. - Jesteś nienasycony.

-Ty też.

A potem żadne z nich nie było już w stanie mówić. Kiedy Brand przesunął rękę w dół, chcąc ją popieścić, Charlotta jęknęła i poruszyła biodrami, żeby umożliwić mu wsunięcie się w jej wilgotne, gorące wnętrze. Kochali się szybko, gorączkowo, cudownie. Charlotta osiągnęła szczyt w oszalałym tempie i uczepiła się Branda, kiedy zrobił ostatnie pchnięcie, które uniosło go wprost do raju.

On również objął ją kurczowo i ukrył twarz w pachnącym obłoku jej włosów. Boże, nadal nie potrafił otrząsnąć się z zachwyty. Jedna noc toza, mało, nawet i dwanaście nocy by mu nie wystarczyłoTKogo on próbował oszukać? Musiał zrobić z niej swoją kochankę, kupić dom, w którym mogliby razem żyć i w którym nikt nie mógłby ich nakryć. Drogo przyszłoby im zapłacić, gdyby zostali przyłapani. Ale niewątpliwie udałoby im się ukraść chwilę dla siebie od czasu do czasu. Gdyby oboje zachowali dyskrecję, taki układ mógłby funkcjonować.

Czego niewątpliwie w tej chwili nie robili.

Uwolniła się od niego i obdarzyła go dziwnie melancholijnym, wymuszonym uśmiechem. Wstała z łóżka.

- Teraz naprawdę musisz już iść ~ powiedziała bardzo zdecydowanie.

-Tak. - Z większą niechęcią, niż powinien, zważywszy na to, ile razy się kochali, wstał z łóżka i pozbierał z podłogi swoją zgniecioną odzież. Ubierając się, obser-

wował Charlotte, która schyliła się, żeby podnieść z podłogi spinki do włosów. Jej ruchy pełne były gracji. Odwróciła się do niego plecami i Branda ogarnęło dziwaczne poczucie, że już zapomniała o jego obecności.

Albo twardo postanowiła o niej zapomnieć.

Wciągnął na siebie koszulkę, wepchnął ją w spodnie i podszedł do Charlotty, która stała przed lustrem upinając włosy. Objął jej szczupłą talię i wycisnął pocałunek na nagim ramieniu.

Uwolniła się zwinnie.

- Wychodzisz. Pamiętasz?

Brand roześmiał się.

- Dobrze, kochanie. To była tylko maleńka pamiątka na pożegnanie, zanim się znowu spotkamy. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał ochryple: - Przyznaję, że nie mogę się już doczekać, żeby wyjść i poczynić wszelkie niezbędne przygotowania.

Rzuciła mu przez ramię osłupiałe spojrzenie.

- Do czego?

Spojrzał w jej wielkie zielone oczy i rozczulony pocałował ją w szyję.

- Muszę znaleźć miejsce, w którym będziemy się spotykać. Ze zrozumiałych przyczyn musimy w przyszłości uprawiać miłość gdzie indziej.

Ręce upinające włosy znieruchomiały. Charlotta odwróciła się powoli.

~ Brand, my nie będziemy uprawiać, jak to powiedziałaś, miłości. To koniec. Pragnęłam tylko jednej nocy.

Nie wierzył jej. Przy swym braku doświadczenia Charlotta nie zdawała sobie sprawy, że rozbudzona namiętność tak łatwo nie wygaśnie.

- Char - powiedział, delikatnie głaszcząc ją po policzku, bo po prostu nie mógł się od tego powstrzymać. - To dla ciebie nowość. Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Pożądasz mnie równie mocno jak ja ciebie. Potrzebujesz czasu do zastanowienia...

- Nie muszę się w ogóle zastanawiać. - Odsunęła się

Earbarajjawnson Smith

Zar

Barbara Dawson Smith

Zar

od niego, chłodna i pełna dystansu, - Podobało mi się to, co robiliśmy. Owszem, nawet bardzo mi się podobało. Ale to już przeszłość.

- To nie jest przeszłość. - Urwał, żeby pozbierać myśli. Charlotta nie patrzyła mu w oczy, co by robiła, gdyby była szczerą. - Jeśli martwisz się o Różyczki, to niepotrzebnie. Nie muszą o tym wiedzieć, to zresztą nie ich cholerna sprawa.

- To nasze babcie i jeśli będziemy kontynuować ten romanse, to wcześniej czy później się o nim dowiedzą. Nie będę ryzykować, Brand. Nie mogę. To koniec.

Jej stanowczy ton wreszcie go przekonał. Mówiła serio, naprawdę z nim zrywała i to natychmiast. Patrzył na nią, taką spokojną i zamyśloną, podczas gdy on próbował się uporać z kłębiącym się w nim natłokiem emocji, nad którymi nie był w stanie zapanować.

Gniew. Tak, to przecież zawsze on był tym, który kończył romanse.

I ból. Do diabła, tak, bolało go, że Charlotta odtrąciła go z taką łatwością. Czy nie miała dla niego żadnych uczuć? Naprawdę wierzyła, że może odwrócić się tyłem po tak cudownej nocy, która się ich udziałem?

Żeby powstrzymać się od dotykania Charlotty, położył rękę na zimnej ścianie. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Tak samo było, kiedy pocałowałem cię w powozie, prawda? Pragnęłaś mnie, ale udawałaś jakąś cholerną górę lodową. To samo robisz teraz.

Pokręciła głową z widocznym rozdrażnieniem.

- Brand, ja nie mogę podejmować decyzji, egoistycznie kierując się wyłącznie własnymi żądzami. A gdybym zaśła w ciążę? Naprawdę chcesz stworzyć następną Amy?

Mogli już to zrobić. Myśl o Charlotcie zaokrąglonej od jego dziecka dodała jeszcze do panującego w uczuciach Branda zamęt i niepożądaną tkliwość.

- Istnieją pewne sposoby zapobiegania ciąży - wymam rotał. - Przyznaję, byłem zbyt oszołomiony, żeby je zastosować, ale w przyszłości będę...

- Nie - oświadczyła ostro. - Nie ma przed nami wspólnej przyszłości. Nie zamierzam podejmować kolejnego ryzyka. Oboje wiemy, że byś się ze mną nie ożenił.

Temu nie mógł zaprzeczyć. Nie miał zamiaru dopuścić, aby ktokolwiek kiedykolwiek okiełznał go i udomowił, zmienił w jakiegoś pokojowego pieska. Małżeństwo było dla innych, dla przyzwyczajonych, odpowiedzialnych mężczyzn.

Takich jak jego brat.

Charlotta wiedziała o tym. Dlaczego więc nie chciała spojrzeć mu w oczy?

- Obiecuj przynajmniej, że powiesz mi, jeśli...

Jeśli okaże się, że zaśłaś w ciążę, dokończył w myślach.

Kiwnęła głową, po czym schyliła się, żeby pozbierać z podłogi swoje ubrania. To był gest ostatecznej odprawy, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widział. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Barbara Dawsoti Smith

Żar

## Rozdział 20

### Niepodważalny dowód

Charlotta rozpaczliwie szukała czegoś, co zajęłoby jej myśli.

Nie mogąc usiedzieć bez ruchu, spacerowała niezmordowanie po obszernym salonie domu Vaughnów, wydeptując ścieżkę pomiędzy płataniną foteli i szeslongów. W bezlitosnym świetle poranka stylizowany na namiot wystrój wnętrza wyglądał znacznie mniej teatralnie, niż wieczorem, natomiast był bardziej w złym guście - przetykany złotem materiał pokrywający ściany i sufit stanowił wymowny dowód nadmiernego folgowania swoim zachciankom. Wprawdzie nie dostrzegła nigdzie mosiężnych nargili, ale w powietrzu nadal utrzymywał się lekki zapach dymu.

Bogu dzięki, Vaughnów nie było w domu. Przyszła tutaj, żeby wybadać pannę Darby, dowiedzieć się, czy to ona z polecenia kuzynów podrzuciła fałszywe banknoty.

A przynajmniej takie uzasadnienie podała w karteczce, którą zostawiła Różyczkom. Była zbyt wielkim tchórzem, by odpowiadać dzisiaj na ich pytania. Bała się, że odczytają prawdę z jej oczu i domyśla się, że jej zmysły zostały rozbudzone.

Kierowała nią nieodparta potrzeba ucieczki z domu Branda i z sypialni, w której przeżyła najbardziej niezwykłą noc w swoim życiu.

Dobry Boże! Nawet w stłumionych staropanieńskich marzeniach nie podejrzewała, że zbliżenie fizyczne może

Barbara Dawson Smith  
Zar

być tak wspaniałe. Ani że Brand w tak doskonały sposób doprowadzi do połączenia ich ciał. Serce topniało jej na wspomnienie jego czułości, pocałunków, zaborczości. Teraz pozostał jej już tylko rozkoszny ból.

I złamane serce.

Brand z pewnością nie miał nawet pojęcia, ile kosztowało ją odrzucenie jego bezwstydnego propozycji. Kiedy po raz pierwszy obwieścił zamiar poczynienia przygotowań, Charlotta w swej bezmiernej naiwności pomyślała, że ma na myśli ślub.

Podeszła do paleniska i zacisnęła palce na gzymsie nad kominkiem. Zamknęła oczy i jeszcze raz przeżyła ten gwałtowny przypływ oszalamiającego szczęścia. Och, jak rozpaczliwie pragnęła uwierzyć, że kochając się zadzierzgnęli pomiędzy sobą nierozzerwalną więź. Że fizyczne zbliżenie obudziło w nim pełną oddania miłość. Że wspólna noc dokonała w nim równie głębokiej przemiany jak w niej. Przez jedną cudowną chwilę wierzyła, że Brand chce ją pojąć za żonę, chce mieć z nią dzieci i spędzić wspólnie resztę życia.

Jego propozycja była dla niej jak kielich goryczy. A jednak, nawet pogrążona w bólu, pragnęła się zgodzić, pragnęła przyjąć wszystko, co miał jej do zaoferowania. Nawet okrucy. Ocaliło ją poczucie własnej godności i duma. Brand nie mógł nawet domyślić się, jak bardzo nadal go pragnęła, z intensywnością zrodzoną z miłości. Nieodwzajemnionej miłości.

Charlotta otworzyła oczy i nieprzytomnym spojrzeniem objęła zaciśniętą na brzegu kominka dłoń w rękawiczce. Jedno było pewne: już nigdy nie uwierzy, że Brand to łotr zasługujący na szubienicę, choć takie właśnie wrażenie usilnie starał się narzucić światu. Był skomplikowanym człowiekiem, w pełni zdolnym do miłości, bo widziała przecież wyraz jego twarzy, gdy tulił do siebie Amy. Był również zdolny do żalu i wyrzutów sumienia, bo latami torturował samego siebie poczuciem winy za śmierć brata i bratanka. I do czułości, którą to cechę prezentował jej

Barbara Dawson Smith  
Zar

przez całą noc. Natomiast całkowicie obce było mu wyuzdanie.

Ale rzeczywiście nie można było go\*zmienić.

Oczy Charlotty wypełniły się łzami. Zaczęła mrugać, żeby nie pozwolić im spłynąć. Ona nie była w stanie go uratować, nikt inny również nie miał szansy tego dokonać. Brand był, jaki był, i tylko on sam mógł podjąć decyzję, że chce zawrócić ze świadomie wybranej drogi rozpusty.

Nawet perspektywa dziecka nie miała na niego wpływu. Nie chciał kolejnego dziecka. Widziała w jego oczach tę bolesną dla niej prawdę.

A jednak teraz jej dłoń mimowolnie spoczęła na brzuchu w okolicy pępka i Charlotta zaczęła się zastanawiać, czy ich cudowne zespolenie fizyczne mogło zaowocować poczęciem się w jej ciele nowego życia. Ta myśl miała w sobie tyle ciepła i magicznej siły, że Charlotta niemal zapragnęła, żeby tak się stało, choć była to z jej strony skrajna głupota. Własne dziecko... Wyjechałaby gdzieś daleko, udawałaby wdowę i sama wychowywałaby swoje dziecko. Wychowywanie syna lub córki Branda przyniosłoby jej ulgę.

W rozmyślania Charlotty nagle wdarł się odgłos kroków i panna Darby wbiegła pośpiesznie do salonu. Była wcieleniem przerażenia - miała oczy wielkie jak filiżanki i drżący podbródek. Zwyczajny brązowy szal zsuwał jej się z ramion prościutkiej beżowej sukienki.

- Pani tutaj, milady? Nie spodziewałam się, że przyjdzie pani tak prędko.

Otumaniony mózg Charlotty nie mógł przez chwilę pojąć, co dziewczyna ma na myśli.

- Słucham?

- Mój list. Nie dostała go pani?

Charlotta pokręciła głową. Przejęta współczuciem z powodu wyraźnego rozstroju nerwowego panny Darby, wyszła jej naprzeciw.

- O co chodzi? Co się stało?

-To oni - szepnęła panna Darby, trwożnie zerkając

przez ramię. - Mój kuzyn i jego żona... wyszli z domu, ale w każdej chwili mogą wrócić.

- Proszę się uspokoić - szepnęła kojąco Charlotta. - Nie pozwolę im pani skrzywdzić. Co zrobili?

- Na razie nic, ale mają zamiar, milady. Przygotowują najstraszniejszą, przerażającą intrygę.

Krew ścięła się w żyłach Charlotty. Morderstwo? Czyżby panna Darby podsłuchiwała plany zabicia kolejnego człowieka, któremu byli winni znaczną sumę pieniędzy?

Pociągnęła pannę Darby na bok, w miejsce niewidoczne z korytarza.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć. Chcę pani pomóc

- powiedziała, starając się nie podnosić głosu.

- Jest pani dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Gdyby nie pani, nie wiedziałabym, do kogo mam się zwrócić. - Panna Darby załamała małe dłonie w rękawiczkach.

- Podsłuchiłam wczoraj wieczorem ich rozmowę z panem Lane. Dobjali targu.

- Targu? - Czyżby Vaughnowie byli w zмовie z Uriahem Lane'em?

- Tak. Och, sama nie wiem, jak to powiedzieć. - Rozdygotana dziewczyna odetchnęła głęboko i pośpiesznie wyrzuciła z siebie: - Oni chcą mnie sprzedać panu Lane. Dla uciechy!

Wstrząśnięta Charlotta zaniemówiła. Spośród wszystkich niegodziwych zamiarów, jakie mogłaby przypisać Vaughnom, ten był chyba najbardziej niewiarygodny. Gotowi byli oddać tę niewinną dziewczynę w ręce takiego rozpustnika jak Uriah Lane?! On ją zniewoli, przemocą dokona intymnego aktu, który powinien być wyrazem miłości łączącej kobietę i mężczyznę!

- Jest pani absolutnie pewna, że nie zrozumiała ich pani opacznie? - upewniała się Charlotta.

- Tak - jęknęła panna Darby. - Mój kuzyn tonie w długach. Ustalili wygórowaną cenę i pan Lane potrzebował trochę czasu, żeby zgromadzić fundusze. Poszli dziś na spotkanie z nim w jego banku.

Barbara Dawson Smith  
Żar

Barbara Dawson Smith  
Żar

Charlotta zrozumiała w pełni rozpaczliwy stan dziewczyny, musiała jednak upewnić się w jednej kwestii. Unieruchomiła w dłoniach te drobne, okryte dziecięcymi rękawiczkami, nerwowo trzepoczące rączki.

- Panno Darby, chcę panią o coś zapytać. I musi mi pani powiedzieć prawdę, jaka by ona nie była.

- T- tak, milady. Pani była dla mnie taka dobra. Zrobiłabym wszystko...

- Kiedy wczoraj rano przysłała pani do domu lorda Favershama, wchodziła pani do biblioteki?

W niebieskich oczach panny Darby lśniły łzy.

- Do biblioteki?

- To po przeciwnej stronie holu niż salon. Nie zaglądała pani przypadkiem do biurka?

- D- dlaczego miałabym zaglądać? - Dziewczyna przechyliła głowę na ramię, jakby z najwyższym trudem odrywała myśli od własnych spraw. - O Boże! Czy coś zginęło? Przysięgam, że nic nie zabrałam. Nie mogłabym.

Sądząc z gwałtowności zaprzeczeń, to nie panna Darby włożyła banknoty do szuflady na polecenie Vaughnów.

- Nieważne. Jestem pewna, że to zwykłe przeoczenie.

- Charlotta błyskawicznie podjęła decyzję. Miała wątpliwości, czy Brand by to zaaprobował, ale nic jej to nie obchodziło. - Powinniśmy się pośpieszyć, żeby zapewnić pa ni bezpieczeństwo. Musi pani pojechać ze mną do pałaca księcia Faversham.

\* \* \*

Wkrótce po lunchu Charlotta poszła do stajni odwiedzić Padd/ego. Powietrze było chłodne i zimne po wczorajszym deszczu i na ogrodowej ścieżce stały liczne kałuże. Zajrzała na chwilę do psa przed wyjściem do Vaughnów i stwierdziła, że jest bardzo słaby, ale ma wygodne miejsce do rekonwalescencji. Oczywiście jej prawdziwym celem była ucieczka z domu, w którym panowała ponura atmosfera.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Przynajmniej tak to odczuwała.

Różyczki wzięły pannę Darby pod swe opiekuńcze skrzydła. Ulokowały ją w pokoju sąsiadującym z ich sypialnią i cieszyły się, że wyrwała się z okrutnych szponów Vaughnów. Dziewczyna przyniosła swój skromny dobytek w jednej torbie, którą zdążyła spakować, kiedy czekała aż Charlotta przyjdzie jej z pomocą. Była wzruszająco wdzięczna za ofiarowanie jej tymczasowego schronienia.

Gdybyż tylko Charlotta mogła z równą łatwością rozwiązać własne problemy!

Tylny dziedziniec był pusty, jeśli nie liczyć dwóch stajennych, którzy gawędzili, stojąc w szerokich drzwiach stajni. Na jej widok szybko wrócili do pracy. Brand wyjechał wkrótce po ich rozstaniu o świcie i Charlotta mogła się tylko domyślać, że kontynuuje śledztwo w sprawie morderstw. Jakże marzyła o tym, żeby wjechał w bramę na swym ogromnym czarnym koniu, zsiadł z siodła i porwał ją w ramiona, żeby szepnął jej do ucha, że jego serce się odmieniło, że kocha ją do szaleństwa i pragnie, by razem spędzili resztę życia.

Brama pozostała jednak zamknięta, a szaleństwem były jedynie jej nieziszczalne marzenia.

Pomimo dławienia w gardle, Charlotta weszła do stajni, skręciła w korytarz wiodący na lewo, wmaszerowała w otwarte drzwi i zastała Raleigha przykucniętego obok materaca, na którym leżał pies. Z wiszących na solidnych hakach siodeł i uprzęży unosił się przyjemny zapach skóry.

Paddy na jej powitanie uniósł lekko głowę i zaczął merdać krótkim, grubym ogonem. Charlotta uklękła przy psie. Była tak rozdygotana, że nieomal rozpłakała się na widok pokaleczonego pyska pokrytego siecią paskudnych ran. Miała ochotę pogłaskać zwierzę, ale pies miał tyle skaleczeń na głowie, że musiała się ograniczyć do położenia ręki na jego ciepłym grzbiecie.

Spojrzała pytająco na szeroką, pełną dobroci twarz służącego.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Jak on się trzyma?  
- Trochę zjadł, milady. Przyszli z kuchni porcję dobrze rozbitej wołowiny. Jeśli chore zwierzę je, to dobry znak.  
- Świetnie się spisałeś. Muszę ci podziękować.  
Raleigh zarumienił się. Zdawał się wahać przez chwilę, jakby rozważał w myślach jakiś zagadkowy problem.  
- Może pani wie, dokąd pojechał jego lordowska mość?  
Sama wzmianka o Brandzie obudziła w głębi jej ciała dziwny ból.  
- Niestety nie. Dlaczego pytasz?  
- Mniej więcej przed godziną jakiś jego^ność węszył w stajniach. Pomyślałem, że jego lordowska mość powinien o tym wiedzieć.  
- Węszył? Kto?  
- Podał nazwisko Hannibal Jones. Twierdził, że jest tu służbowo w imieniu rządu.  
Charlotte wstrzymała oddech.  
- Czego szukał?  
Raleigh rozłożył szeroko swe duże dłonie w nader wymownym geście.  
- Nie mam pojęcia, milady. Wsadzał nos do wszystkich pomieszczeń w stajniach, do każdego boksu po kolei. Po wiedział mnie i chłopcom stajennym, żebyśmy nie wchodzili do jednego pomieszczenia. Mówił, że zaraz wróci ze stójkowym.  
Charlotte wstała.  
- Pokaż mi to pomieszczenie.  
Raleigh poprowadził ją do ostatnich drzwi przy końcu przejścia.  
- Mam nadzieję, że nie zrobiłem źle, nie zawiadamiając wcześniej o wizycie tego człowieka. On naprawdę pokazał papier na dowód, że nie jest złodziejem.  
Hannibal Jones był parweniuszem, któremu przewróciło się w głowie, ot co!  
- Dobrze, że mi powiedziałaś. Ale dlaczego nie powiadomiłaś lady Faversham?  
- On powiedział, że już to zrobił.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Cóż za doskonały łgarz z tego Jonesa! Babcia Branda w żadnym wypadku nie udzieliłaby zgody, żeby myszkował na terenie posiadłości.

Kipiąc ze złości, Charlotta nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i znalazła się w małym pomieszczeniu magazynowym. Niewielkie okno rzucało mdłe światło na stertę niepotrzebnych skrzynek, połamany stołek i stos starych podków. To była ewidentna rupieciarnia, pełna dziwnych i niepotrzebnych rzeczy.

- Wiesz, co zainteresowało tutaj pana Jonesa?

- Był okropnie zafascynowany tym urządzeniem. - Raleigh wskazał jej ulokowany w rogu stół, na którym stała jakaś duża, kwadratowa maszyna.

Charlotte pospiesznie zbliżyła się do przyrządu: zobaczyła miedziany talerz i metalowe dźwignie, suszki do atramentu i arkusz czystego papieru. Drewnianą podłogę szpeciła czarna atramentowa plama. Ogarnęło ją przerażenie. Choć nigdy dotychczas niczego podobnego nie widziała, nie miała żadnych wątpliwości, co to jest.

Maszyna drukarska.

- Dobry Boże - mruknęła. Przez jedną okropną chwilę przemknęło jej przez myśl, że maszyna naprawdę może należeć do Branda, skoro stoi w jego stajniach. Czy on o tym wie?

Niemożliwe. Ktoś musiał tu podrzucić tę drukarenkę jako niepodważalny dowód, że Brand fałszuje pieniądze. Ktoś chciał go posłać do więzienia. Posłać na śmierć!

-Czy czegoś brakuje, milady? - zapytał wystraszony Raleigh.

- Nie... tak. - Jednego tylko była pewna. Nie mogła do puścić, żeby maszyna drukarska została na swoim miejscu i posłużyła Hannibalowi Jonesowi jako dowód. - Jak są dzisz, czy udałoby nam się we dwójkę podnieść to urządzenie?

Służący podszedł i uniósł jeden róg.

- Będziemy potrzebować pomocy. Mogę zawołać któregoś stajennego.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Nie. - Potrzebowała ludzi, których Brand darzył pełnym zaufaniem.- Sprowadź Haywarda. Nikomu nie wspominaj o tym ani słowem. I pospiesz się.

Raleigh wybiegł ze składziku, a Charlotta krążyła nerwowo po pomieszczeniu. Kto podrzucił tutaj maszynę drukarską? Może któryś z chłopców stajennych? I kiedy? To pomieszczenie niewątpliwie nie było w ciągłym użyciu, więc urządzenie mogło zostać tu przyniesione przez kogokolwiek i o dowolnej porze. Dzięki Bogu, że Jones nie zajrzał tu wczoraj.

Myśl, nakazała sobie. Dokąd zanieść maszynę? Najchętniej cisnęłaby tę przeklętą rzecz do Tamizy, ale niestety taki czyn zwróciłby tylko niepotrzebnie na nią uwagę. A może Raleigh i Hayward wywiezą to świństwo z miasta i porzucą gdzieś w bezpiecznym miejscu?

Najlepiej na środku kanału La Manche.

Wyszła z rupieciarni i zobaczyła Raleigha i Haywarda. Wybiegła im naprzeciw.

- Jest tu niski wóz z platformą?

- Tak, milady. Stoi na podwórzu na tyłach stajni. - Raleigh robił wrażenie otumanionego, ale gotowego bez dyskusji spełnić każde jej polecenie. - Trzeba tylko zaprząć do niego konie.

- Pospieszmy się.

W czasie gdy mężczyźni dźwignęli maszynę drukarską z obu stron, Charlotta zebrała-pozostałe akcesoria, papier i słoiczki z farbą. Ręce trzęsły jej się z pośpiechu. Jones mógł tu powrócić w każdej chwili, a ona nie zamierzała pozwolić mu wpakować Branda do więzienia pod fałszywym zarzutem.

Idąc korytarzem za służącymi, zagryzła wargę, bo uświadomiła sobie, jak bardzo oni sami się narażają. Także i ona prawdopodobnie mogłaby zostać aresztowana pod zarzutem ukrywania dowodów winy Branda. Przecież Jones widział już tę maszynę drukarską. Ale możliwe, choć oczywiście nie jest to pewne, że udałoby się jej wymigać od odpowiedzialności, gdyby wyparta się stanowczo,

Barbara Dawson Smith  
Żar

że kiedykolwiek widziała to urządzenie lub wiedziała, co się z nim stało.

Na szczęście w drodze na dziedziniec nie spotkali nikogo. Służący załadowali maszynę na drewniany wóz, a Charlotta narzuciła na nią końską derkę, żeby ukryć ją przed wzrokiem postronnych osób. Mężczyźni bez pytania wyprowadzili ze stajni dwa konie i zaczęli zaprzęgać je do wozu. Charlotta obiecała sobie, że dopilnuje, aby Brand należycie wynagrodził ich za dyskrecję.

Ciekawe, w jaki sposób Brand mógłby wynagrodzić ją? Na myśl o pocałunku poczuła znów w głębi ciała słodki ból. Stop! Jeśli pozwoli sobie na takie marzenia, będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Postanowiła, że gdy tylko morderca zostanie schwytany, musi wrócić do Yorku. Natychmiast, nie zwlekając ani chwili. Miała nadzieję, że babcia ją zrozumie.

Oczywiście nie miała zamiaru informować babci czy kogokolwiek innego o wydarzeniach ostatniej nocy. To na zawsze pozostanie jej tajemnicą, jej i Branda. On również nie życzyłby sobie, aby ktokolwiek się dowiedział. Zdawał sobie przecież sprawę, że Różyczki próbowałyby ich zmusić do małżeństwa.

Jakby ściągnięty jej myślami, Brand wjechał właśnie na dziedziniec na swym czarnym wierzchowcu. Charlotta wiedziała, w którym momencie ją zauważył. Na chwilę ściągnął wodze, po czym puścił konia klusem, kierując się wprost ku niej.

Charlotta tak osłabła z pożądania, że musiała przytrzymać się wozu. Brand siedział na koniu dumny i wyprostowany, z rozwianymi przez wiatr włosami, co nadawało mu ten zbójcecki wygląd, który tak kochała. Dobry Boże! Jakim cudem zdołała mu odmówić?

Podjechał do niej i zeskoczył z siodła. Przesunął po jej twarzy głodnym wzrokiem i w jego oczach odmalowało się pytanie. Bo oczywiście musiał być zaintrygowany, dlaczego to ona stoi na tylnym dziedzińcu obok wozu.

Barbara Dawson Smith  
Żar

A ona gapi się na niego jak idiotka, kiedy toczy się gra o jego życie.

- Nie uwierzysz, co znalazłam...

- Co ty tu robisz? - odezwał się nieomal równocześnie.

Niestety, rozległ się też jeszcze jeden głos. Znany im już, zgryźliwy głos Hannibala Jonesa.

- Próbujecie ukryć dowód? - zapytał, stając w tylnych drzwiach stajni. Za nim pojawił się inny mężczyzna, stój kowy, w płaszczu i podkutych butach, który robił wraże nie okropnie zażenowanego własną tu obecnością.

Brand odwrócił się na pięcie. Jego twarz przybrała lodowaty wyraz.

- Mówiłem już, żeby trzymał się pan z dala od mojego domu.

- Od tej chwili będę trzymał się z dala - oświadczył Jones. ~ Znalazłem już to, czego szukałem. Chociaż, o dziwo, zniknęło to ze swego miejsca. Ciekawe, gdzie mogło się podziać?

Charlotte przesunęła się w płonnej nadziei, że zdoła ukryć przed nim ładunek wozu. Ale on wszystko wiedział, bo nie spuszczał jej z oka.

Palto łopotało wokół jego tyczkowatej figury, kiedy rażno pomaszerował do przodu i odrzucił derkę, żeby wystawić ładunek na światło dzienne.

~ No i co my tu mamy? Maszynę drukarską? I miedzianą matrycę banknotu? Wygląda na to, że pańska dama zajmuje się kontrabandą. A to czyni z niej współniczkę przestępstwa.

Brand pochylił się, zmarszczył czoło na widok maszyny drukarskiej i obrzucił Charlotte przenikliwym spojrzeniem. A potem wyprostował się na całą wysokość i przybrał swą najbardziej wyniosłą, lordowską minę.

- Nie bądź pan głupcem. To ja kazałem służącym zała dować maszynę na wóz. Zapytaj pan ich. Oni słuchają wy łącznie moich rozkazów.

Kłamał! Żeby ją chronić.

- Nie... - szepnęła Charlotte.

Raleigh przerwał jej pewnym głosem:

- To prawda - stwierdził stanowczo. - Zrobiliśmy, co pan kazał.

Stojący przy koniach Hayward twierdząco skinął głową.

- Staniecie przed sądem i będziecie zeznawać pod przy sięgą - warknął tajniak. -! pamiętajcie: jeśli złożycie fałszywe zeznania, to sami traficie do więzienia. Razem z je go wysokością.

Służący nie robili wrażenia przejętych pogroźkami.

Ani Brand.

Nonszalancko ruszył leniwym krokiem w stronę łapsa.

- To mnie ścigałeś, Jones. Zostaw ich w spokoju, to pójdę z tobą do komisariatu na Bow Street. I jeśli będziesz się przyzwoicie zachowywał, pozwolę ci nawet wsadzić się za kraty, zamknąć drzwi i wyrzucić klucz.

Barbara Dawson Smith

Żar

## Rozdział 21

### Pułapka

Zrobiłaś dokładnie to, co należało - powiedziała Charlottcie lady Enid tego samego dnia, kiedy siedziały w pokoju Różyczek. - Nic innego nie mogłaś zrobić.

- Mój wnuk ma na swoim koncie więcej przewinień niż ktokolwiek słyszał - oświadczyła ponuro lady Faversham - ale nigdy by nie dopuścił, żeby dama wzięła winę na siebie.

- Olivia ma całkowitą rację - zgodziła się lady Stokeford. - A poza tym, co by mu z tego przyszło, gdybyś i ty trafiła do więzienia?

Na logikę Charlotta musiała przyznać jej rację, ale poparcie Różyczek jakoś nie przyniosło jej ulgi. Gdyby tylko Jones pojawił się pięć minut później! Gdyby ona działała szybciej, albo gdyby znalazła maszynę drukarską wcześniej...

A jeśli nie uda się uratować Branda od szubienicy?

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, podeszła do okna i spojrzała w zapadający zmrok. Dręczyło ją wspomnienie zamkniętego za kratkami Branda, oddanego pod nadzór tego odrażającego Hannibala Jonesa. Tajniak zarekwirował wóz i odjechał nim wraz ze swym więźniem, a wyprostowany jak struna stójkowy jechał z tyłu, żeby pilnować dowodu.

Charlotta i Różyczki większą część popołudnia spędziły w komisariacie na Bow Street. Brand odmówił widzenia

z którąkolwiek z nich, a sędzia śledczy nie zgodził się na zwolnienie go za kaucją ze względu na wagę przestępstwa. Nawet zaangażowany przez lady Faversham bardzo drogi adwokat nie był w stanie załatwić wypuszczenia Branda.

Charlotta bała się, że Jones spróbuje obarczyć Branda również odpowiedzialnością za serię morderstw, chyba że ona i Różyczki zdołają wcześniej odkryć zabójcę.

Mogła tylko mieć nadzieję, że plan, który wspólnie wymyśliły, powiedzie się. Nie było kompletnie nic do roboty aż do siódmej, na którą to godzinę zostali zaproszeni Vaughnowie, oficjalnie dla omówienia przyszłości panny Dar-by. Wdzięczna dziewczyna gotowa była do pełnej współpracy i oddała całkowicie swój los w ręce Różyczek. Kiedy Charlotta zajrzała do niej przed chwilą, panna Darby pisała coś w swoim pamiętniku w poczuciu pełnego bezpieczeństwa, jakie gwarantowało jej nowe schronienie, mając pod ręką kilka książek, które wystarczały jej za towarzystwo.

- Muszę powiedzieć, Charlotto, że Brand zachował się bardzo elegancko, występując w twojej obronie - rzuciła lady Stokeford. - To mogłoby wskazywać na pewne... uczucie, jakie do ciebie żywi.

Zaskoczona Charlotta odwróciła się od okna i spostrzegła trzy pary wbitych w nią czujnych oczu. Brand twierdził, że Różyczki bawią się w swatki. Ciekawe, czego się domyślały?

-Jesteśmy tylko starymi przyjaciółmi - powiedziała ostrożnie. - Na pewno zrobiliby to samo dla każdej innej kobiety. Lady Faversham sama to przed chwilą stwierdziła.

-W takim razie odżegnuję się od własnego stwierdzenia - oznajmiła lady Faversham, zaciskając zreumatyzowane palce na gałce laski. - Zgadzam się z Lucy. Wydaje mi się, że pomiędzy tobą i moim wnukiem istnieje bliższy związek, nie tylko przyjaźń.

-Widziałyśmy, w jaki sposób patrzyliście na siebie oboje przez kilka ostatnich dni - stwierdziła lady Enid.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Wiele czasu spędzaliście razem. Czy możemy mieć na dzieję, że w powietrzu wisi jakiś romans?

Charlotta niczego bardziej nie pragnęła, niż wyrzucić z siebie cały smutek i rozpacz, które przygniatały jej duszę. Ale jak miała to zrobić, nie zdradzając równocześnie, że połączyła ich największa bliskość, jaka może istnieć między kobietą i mężczyzną? Nie tylko obawa przed potępieniem nakazywała jej milczenie. Pragnęła zachować w pamięci to bezcenne wspomnienie i cieszyć się nim w skrytości serca.

Różyczki patrzyły na nią wyczekująco, więc uśmiechnęła się niepewnie.

- Trudno to nazwać romansem, babciu. Wiesz, że różnimy się z Brandem jak ogień i woda.

- Bzdura - stwierdziła lady Stokeford. - Macie ze sobą sporo wspólnego. Po pierwsze: rodziny.

- A do tego namiętność - dodała babcia z filuternym uśmiechem i wymieniła spojrzenia z przyjaciółkami.

- Może to nie jest najlepsza chwila, żeby poruszać tę kwestię, ale... zauważyliśmy, że zniknęliście z Brandonem na całą noc. Zastanawialiśmy się, czy nie spędziliście przy padkiem tej nocy razem... w twojej sypialni.

Charlotcie zaschło w ustach. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku. A więc wiedziały! Czuła się wystawiona na ludzkie spojrzenia, udęczona, a tak rozpaczliwie pragnęła osłonić zranione uczucia.

Ale nie odczuwała wstydu. Nigdy nie będzie żałowała, że spędziła tę jedną, nieprawdopodobną noc w ramionach Branda.

Przymglone światło zmierzchu w jakiś dziwny sposób wydobywało nadzieję, malującą się na twarzach Różyczek. Charlotta pomyślała z bólem o tym, że sprawi im zawód, ale uznała, że absolutna szczerłość będzie w tej sytuacji najlepszą drogą postępowania.

- Tak, to prawda - przyznała. - Brand spędził ostatnią noc ze mną, zresztą na moje zaproszenie. I nie żałuję tego.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Różyczki jak jeden mąż odetchnęły z ulgą.

- Oczywiście, nie masz powodu do wyrzutów sumienia, kochanie - pospiesznie zapewniła ją lady Enid. - Doskonale wiemy, jak to jest pragnąć mężczyzny całym sercem i duszą. Pewnego dnia opowiem ci o nocy, podczas której wszystkie trzy spotkałyśmy naszych przyszłych mężów.

- Od tamtej nocy jesteśmy znane jako Różyczki - szepnęła lady Stokeford z tajemniczym uśmiechem.

- Od tamtej pory patrzyłam już na słoiczek róży innym wzrokiem - mruknęła pod nosem lady Faversham. - Ale mniejsza o to. Mówiliśmy o tobie, Charlotto. I o moim wnuku.

- Muszę przyznać - wpadła jej w słowo lady Stokeford

- że celowo zostawiłyśmy was samych. Miałyśmy nadzieję, że stanie się właśnie to, co się stało.

- Ja osobiście miałam pewne wątpliwości, czy ten fortel jest dobrze przemyślany - stwierdziła surowo lady Faversham i wbiła przenikliwy wzrok w Charlotte. - Czy mój wnuk zaproponował ci małżeństwo? Co ja mówię, przecież zbyt dobrze znam tego łajdaka, żeby mieć co do tego jakiegokolwiek złudzenia. Jak tylko zostanie oczyszczony z tych absurdalnych zarzutów i wypuszczony z więzienia, dopilnuje, żeby zachował się wobec ciebie przyzwoicie.

- Nie! Nie zrobi pani tego. Nie wolno pani tego zrobić.

- Charlotta odetchnęła głęboko, zaciskając dłonie. - To nasza prywatna sprawa, Branda i moja, i żadna z was nie powinna się w to wtrącać. Nie powinnyście też potępiać go za uwiedzenie mnie. To raczej ja uwiodłam jego.

Różyczki nie wyglądały na szczególnie zaszokowane. Świergotały coś w sobie tylko znanym języku.

- On nie powinien być o nic obwiniany - kontynuowała Charlotta, desperacko pragnąc wyraźnie zaakcentować swoje stanowisko. - Postanowiłam spędzić z nim jedną noc, wyłącznie jedną noc. I absolutnie nie zamierzam go zmuszać, żeby został moim mężem.

Ale gdyby nie trzeba było go do tego zmuszać, Boże...

Różyczki gwałtownie zaprotestowały.

Barbara Dawson Smith  
Zar

-Ależ on musi cię poślubić - zawołała lady Enid. - To kwestia honoru.

- Nie możemy dopuścić, żeby cię skrzywdził - stwierdziła lady Stokeford tonem rozsądnej perswazji. - Teraz je steś skołowana, ale musisz zdać sobie sprawę z konsekwencji. W końcu mogłaś przecież zająć w ciężę.

Charlotta poczuła ucisk w sercu.

- W takim wypadku samotnie wychowam to dziecko, ale nie zostanę następną lady Faversham. To moja decyzja. I żądam, żebyście wszystkie trzy przyjęły moje postanowienie do wiadomości.

- Dobrze! - rzuciła sucho lady Faversham. - Niewątpliwie przemawiasz z książęcą stanowczością i autorytetem. Jesteś zdolna i inteligentna, Brandon nie mógłby znaleźć bardziej odpowiedniej partii. Jest idiotą, jeśli nie umie tego dostrzec.

- W końcu dostrzeże - powiedziała lady Enid, patrząc na Charlotte z czułym, pełnym troski uśmiechem. - Zawsze byłam zdania, że jesteście dla siebie stworzeni.

Stworzeni dla siebie! Jak bardzo Charlotta chciała, aby te słowa były prawdą. Ale nawet Różyczki nie zdołają zmienić natury Branda. Zbyt długo był łajdakiem.

- Nie jesteśmy dla siebie stworzeni - oznajmiła z naciśkiem. - Uwiercie mi, nigdy nie będziemy małżeństwem.

- Nie czas teraz na podejmowanie daleko idących decyzji na przyszłość - podsumowała lady Stokeford dobronliwym tonem. - Wszystkie jesteśmy rozbite aresztowaniem Branda. Skupmy się raczej na wykryciu prawdziwego mordercy.

Lady Faversham ustąpiła również, jakby posłuszna niewypowiedzianemu rozkazowi przyjaciółki.

- Masz absolutną rację - zgodziła się. - Wiercie mi, po leć głowy za to bezprawne aresztowanie. A Hannibal Jo nes pierwszy położy swoją pod gilotynę.

Lady Enid pogłaskała ramię przyjaciółki.

- Odwagi, Olivio. Wszystko się dobrze skończy. Mamy konkretny plan na dzisiejszy wieczór.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Ba! Odegram swoją rolę, ale to nie wypali, zapamiętaj moje słowa - mruknęła lady Faversham. - To zbyt szalony plan. Lucy, to najbardziej szalony ze wszystkich twoich pomysłów.

- Wypali - stwierdziła stanowczo lady Stokeford. - Zaproszenia zostały rozesłane, każda zna swoją rolę i teraz musimy tylko mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

\* \* \*

Vaughnowie przyszli ostatni. Jak zwykle zachowali się obrzydliwie.

- Gdzie jest ta moja krnąbrna kuzyneczka? - zapytał lord Clifford, podając lokajowi płaszcz i kapelusz. - Miałbym ochotę przełożyć sobie to dziewczysko przez kolano i sprawić jej porządne lanie.

- Zamknij się, Clifffie. - Lydia wykrzywiła się do męża, po czym rzuciła Charlotte fałszywy uśmiech. - Byliśmy straszliwie zdenerwowani odkryciem, że Margaret znikła z naszego domu. Z ogromną ulgą przyjęliśmy wiadomość od pani, że jest bezpieczna i w dobrych rękach. Gdzie ta nasza kochana dziewczynka?

Charlotta dostrzegła w tym przedstawieniu zatrute żądło.

- W tej chwili przebywa na górze. A państwa proszę do salonu.

Charlotta odwróciła się i poprowadziła ich przez ogromny hol wejściowy. Lydia dogoniła ją.

- Spóźniliśmy się, bo wpadł do nas niespodziewanie Sefton z najbardziej fascynującą plotką. Podobno Faversham został aresztowany.

- Za fałszerstwo, spryciarz - dorzucił Clifford, drepząc po drugiej stronie Charlotty. - Czy orientuje się pani, gdzie ukrył maszynę drukarską? Przydałoby mi się jeszcze z pięćdziesiąt tysięcy funtów. -I zachichotał, jakby powie dział doskonały żart.

Charlotte kusiło, żeby dać mu w twarz, ale zdołała zachować chłód. Już nie pierwszy raz dzisiaj była pytana

Barbara Dawson Smith

Zar

przez gości o Brandona. Najwyraźniej wieść o nim rozchodziła się już w towarzystwie jak fala błota, a ona była z każdą chwilą bardziej zdeterminowana, żeby oczyścić jego imię.

- To był okropny szok ~ powiedziała. - i zapewniam państwa, że Brand nie jest winien zarzucanego mu przestępstwa. Myślę, że powinniśmy wszyscy razem ruszyć głową i podjąć decyzję, w jaki sposób mu pomóc. Dlatego zaprosiłam tu dzisiaj państwa wraz z kilku innymi przyjaciółmi Branda.

- Myślałam, że chodzi o Margaret! - zawołała zirytowana Lydia. - Cóż my moglibyśmy zrobić dla Favershama?

- Lydia ma rację, wystarczy nam własnych problemów - dodał Clifford. - Przyszliśmy tu tylko po to, żeby zabrać moją kuzynkę. Bezwzględnie odwieziemy dziewczę do domu.

- Tak, musimy nalegać... - Piskliwy głos Lydii zamarł, kiedy stanęli w arkadowym wejściu do salonu. Szturchnęła męża łokciem. - Ciii. Zobacz, jest tutaj Lane. Może jednak zostaniemy przez chwilę. Przynajmniej do czasu, kiedy Margaret zostanie sprowadzona na dół.

Charlotta zacisnęła usta. Nie miała zamiaru posyłać po pannę Darby, ale Vaughnowie nie wiedzieli, że ich podopieczna pozostanie tutaj, poza zasięgiem ich szponów i jak najdalej od Uriaha Lane'a.

Lane siedział na szezlongu obok lady Faversham, która przybrała bardzo surową minę. Złote guziki opiętej na jego wydatnym brzuchu kamizelki lśniły jak gwiazdy. Wyraźnie czuł się tu niepewnie, był nadęty i gotów do ucieczki. Kiedy Vaughnowie weszli do salonu, zrobił ruch, jakby zamierzał wstać, ale lady Faversham wyciągnęła laskę i uniemożliwiła mu realizację tego zamiaru.

- Proszę zostać, panie Lane. Przyjemnie się z panem rozmawia. Od dawna nie rozmawiałam już z mężczyzną o takim ptasim mózdzku.

- On myśli inną częścią ciała, milady - rzucił pułkownik Tom Ransom, wyciągnięty w pobliskim fotelu. Jego przy-

stojna twarz wyrażała chłodne rozbawienie. - Jaja są dla niego ważniejsze od mózgu.

Lady Faversham pochyliła się do przodu i popukała Ran-soma końcem laski.

-Usiądź prosto, chłopcze. I ugryź się w język. Są tutaj damy.

Ransom przeszył ją groźnym spojrzeniem, ale wyprostował ramiona jak na uroczystej defiladzie.

Lane zarżał głośnym śmiechem.

-Niech mu pani jeszcze dołoży. Niech go pani porządnie walnie.

- Obaj możecie ode mnie oberwać, urwipolcie. A wiercie mi, dzięki wnukowi zdobyłam w tej materii bogate doświadczenie.

Charlotta wymieniła znaczące spojrzenie ze swoją babcią, która rozmawiała z robiącym wrażenie skrepowanego Haroldem Rountree. Charlotta wysłała do niego liścik z informacją o aresztowaniu Branda i pan Rountree przyjechał do niej całe dwadzieścia minut przed wyznaczoną porą. Wykorzystał ten czas na usilne błagania, by opuścić ten dom i uniknęła dzięki temu wplątania w skandal. Wydawał się tak szczerze zatroskany o reputację Charlotty, tak głęboko oddany idei chronienia jej, że czuła się w jego towarzystwie skrepowana i usztywniona. Gdybyż on wiedział, że oddała się Brandowi...

Nie wolno jej teraz o tym myśleć! Powinna traktować pana Rountree podobnie jak pozostałych potencjalnych przestępców i uważać go za winnego, dopóki jego niewinność nie zostanie udowodniona.

Fotele zostały już wcześniej ustawione w taki sposób, żeby Charlotta i Różyczki mogły mieć wszystkich na oku. Raleigh i Hayward stali jak strażnicy po obu stronach wejścia do salonu.

Lady Stokeford gawędziła z wielobnym sir Johnem Parkinsonem, który na tę okazję zamienił białą szatę duchownego na niemodny, prosty czarny surdut i spodnie. Bujna grzywa brązowych loków wskazywała, że wiele godzin

Barbara Dawson Smith  
Żar

Barbara Dawson Smith  
Zar

spędził na pielęgnowaniu urody. Charlotta przypuszczała, że bardzo starał się upodobnić do Zbawiciela.

Poprowadziła Vaughnów w stronę trzech wolnych foteli, stojących na wprost lady Stokeford. Lydia usiadła pod zawieszonym na ścianie lustrem w złotych ramach i natchmiast odwróciła się, żeby zerknąć na swe odbicie i podziwiać wytwornie upięte ciemne włosy.

-Ej, to naprawdę ty, Parkinson? - zawołał Clifford Vaughn, wręcz promieniejąc radością, że znalazł nowy cel kpin. Poklepał duchownego po ramieniu. - Słyszałem, że za sprawą Boga odnalazłeś drogę do religii. Jaka szkoda, że kiedy przyjdzie czas, nie przyłączysz się w piekle do naszej kompanii. Stracisz piekielnie dobrą imprezkę.

Chuda twarz Parkinsona zapłonęła ewangelizacyjnym zapalem.

- Widzę, że nadal trwasz przy starych grzechach, Vaughn. Powinieneś dla własnego dobra wziąć udział w jednej z moich ceremonii w Kościele Prawdziwej Wiary. Poza niedzielą mszą spotykamy się również co czwartek na wieczornych kazaniach...

-Przestarzałe bzdury! - zawołał Vaughn, machając dłońmi o krótkich, szerokich palcach w jednoznacznym geście odrzucenia. - We czwartki są zawsze niezłe przedstawienia baletowe. Może chcesz się kiedyś ze mną wybrać? Tancerczki bywają całkiem niezłe, zwłaszcza kiedy zadzierają spódnice.

Parkinson zacisnął usta i wycelował w niego palec.

- Grzeszniku! Diabeł przez ciebie przemawia, aleja nigdy nie ulegnę szatańskim podszeptom. Nieszczęścia spadną na takich jak ty, którzy odrzucają zbawienie.

- Dosyć - przerwała mu zdecydowanie lady Stokeford. - To nie jest odpowiedni temat do konwersacji. Lordzie Cliffordzie, proszę powstrzymać się od takich prowokujących komentarzy. Sir Johnie, proszę dzisiaj zrezygnować z prób nawracania kogokolwiek. Czy wyraziłam się jasno, panowie?

Barbara Dawson Smith  
Zar

Parkinson miał minę świadcząca o całkowitym przekonaniu o własnej słuszności, ale nie odezwał się ani słowem.

Clifford przyłożył rękę do jaskrawożółtej kamizelki i wykonał przesadnie niski ukłon.

- Proszę o wybaczenie, o pani. Myślę, że nie zostaliśmy sobie we właściwy sposób przedstawieni. Czy to prawda, że jest pani jedną ze słynnych Różyczek?

Lady Stokeford skłoniła głowę.

-A pan, sir, jest jednym z najbardziej osławionych łajdaków w tym mieście. Vaughn głośno zarechotał.

- Uznany za winnego i skazany. - Usiadł obok żony, bardzo zaabsorbowanej robieniem słodkich oczu do Parkinsona, który z kolei zajęty był udawaniem, że głęboki dekolt Lydii nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

Lady Faversham wstała i zastukała laską we wspaniały dywan, żeby zwrócić na siebie uwagę obecnych.

- Teraz, kiedy jesteśmy już wszyscy w komplecie - powiedziała - czas zdradzić wam cel dzisiejszego spotkania.

- Słuchajcie, słuchajcie - wycedził przeciągle pułkownik Ransom. - Niedługo mam się spotkać w klubie z przyjaciółmi na partyjkę kart i muszę być punktualnie.

- Zostanie pan, dopóki nie wyrażę zgody, żeby pan odszedł. To dotyczy wszystkich państwa. - Księżna, wyglądająca naprawdę imponująco w swej szarej sukni, powiodła wzrokiem po szóstce gości. Clifford i Lydia byli zaniepokojeni, pan Rountree czujny, Lane zdenerwowany, Parkinson daleki i wyniosły, a Ransom niezadowolony. - Jak państwo wiedzą, mój wnuk został aresztowany pod zarzutem fałszowania pieniędzy. Oskarżenie jest kompletnie nieprawdziwe. Ktoś podrzucił podrobione banknoty do jego szuflady, a maszynę drukarską do stajni.

- Twierdzi pani, że Faversham został w to wrobiony? - zapytał Rountree z widocznym niedowierzaniem. - Proszę mi wybaczyć, milady, ale to wydaje się trochę naciągane.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Muszę się z tym zgodzić - powiedział pułkownik Ransom. - Przysnaję, są tutaj tacy, którzy chcieliby się na nim zemścić za różnego rodzaju przewiny. Ale dlaczego ktoś miałby się posunąć aż tak daleko?

Pozostali goście z aprobatą kiwali głowami i wydawali pomruki wyrażające poparcie.

- Do morderstwa - rzuciła lakonicznie Charlotta.

Słowo wpadło do salonu jak granat. Wszyscy siedzieli w milczeniu, patrząc na nią. Ich miny stanowiły różne warianty tych samych doznań - wyrażały osłupienie, czujną uwagę, fascynację.

- Tak, to miało być morderstwo - stwierdziła lady Faversham, wspierając się na lasce i wpatrując się w obecnych.

- Ktoś skonstruował tę intrygę, żeby posłać mojego wnuka na szubienicę.

- To zbyt wydumane, żeby mogło być prawdziwe - powiedziała Lydia tonem osoby lubującej się w ploteczkach.

- Kto mógłby wpaść na taki istic szatański pomysł? - Tra ciła łokciem męża. - Cliffie, ty znasz Favershama lepiej niż ja. Kto mógłby nienawidzić go do tego stopnia, żeby wy myślić tak skomplikowany plan zemsty?

Vaughn przesunął wzrokiem po wszystkich obecnych.

- Może Parkinson? Parę lat temu Faversham ukradł mu kochankę.

Wielebny najeżył się.

- Oszczerca! Ja nie chowam w sercu urazy, odpuszczam wszelkie winy tym, którzy są zbyt występni, by pójść za światłem prawdziwego zbawienia. Milady, powinna pani raczej zainteresować się bliżej samym Vaughnem. Przegrał do pani wnuka fortunę przy karcianym stoliku.

- A kto nie przegrał? - zawołał Vaughn szyderczo. -Z równym powodzeniem możesz rzucić podejrzenie na wszystkich hazardzistów z Londynu i okolic.

Lady Faversham znów zastukała laską o podłogę.

- Panowie, skończcie tę pyskówkę. Jeszcze nie wiecie wszystkiego. Lucy, powiesz im resztę?

Lady Stokeford skłoniła głowę z królewską godnością.

Barbara Dawson Smith Żar

Miała na sobie bładoniebieską suknię, stanowiącą idealną oprawę dla jej wyglądających jak korona śnieżnobiałych włosów.

- Istotnie, sytuacja jest znacznie groźniejsza, niż ujawniliśmy dotychczas. Widzą państwo, Brandon nie jest jedynym, który został wzięty na cel. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zginęło w różny sposób pięciu znanych gentlemanów.

Na chwilę zapadła cisza. Wysoki stojący zegar zaczął wybijać ósmą i wszyscy podskoczyli. A potem nagle podniosła się fala okrzyków, jak woda, która runęła z przerwanej tamy.

- Kto? - dopytywała się Lydia. - Kto został zabity? Dla czego nie słyszałam na ten temat żadnych plotek?

Uriah Lane otarł zaczerwioną twarz chusteczką do nosa.

- James Weatherby? - zapytał ochryple. - Czy on był jednym z nich?

- Tak - potwierdziła lady Stokeford. - A przed nim wiecehrabia Trowbridge został napadnięty i zamordowany przez bandytów. Lord Mellingham zginął w pojedynku. Pan Simon Wallace spadł ze schodów i skrzył kark. A sir Raymond Aldrich dostał ataku serca.

-To wszystko były tragiczne wypadki, które trudno uznać za dzieło mordercy - stwierdził z kpina pułkownik Ransom. - Na przykład pistolet Mellinghama nie wypalił. Ja to wiem najlepiej, bo byłem jego sekundantem.

Charlotta przyglądała się klasycznym, arystokratycznym rysom, silnej szczęce, wysokim kościom policzkowym, nienagannie ostrzyżonym i uczesanim włosom. Czy Ransom przyznałby się do tak obciążającego faktu, gdyby był winien?

- Brand nic o tym nie mówił - zauważyła.

- To tajemnica poliszynela - stwierdził lekko pułkownik i lekceważąco machnął ręką. - To był oczywiście niefortunny incydent, ale nie można go chyba przypisać działaniu czyjejs zlej woli.

Barbara Dawson Smith  
Żar

- Można tak zaaranżować morderstwo, żeby wyglądało na wypadek - stwierdziła lady Stokeford uszczypliwym tonem. - Pewne trucizny mogą wywołać atak serca. Człowiek może zostać zepchnięty ze schodów. Bandytów można wynająć za odpowiednią opłatą. A przy broni można manipulować.

Pułkownik Ransom z niedowierzaniem uniósł brew, ale już się nie odezwał. Pan Rountree odetchnął głęboko.

- Jestem oszołomiony - powiedział. - Lady Charlotte, od kiedy pani o tym wie?

Charlotte nie chciała ściągać na siebie uwagi.

- Od niedawna - mruknęła.

- Ale nic mi pani o tym nie powiedziała. Zadawała mi pani tyle pytań. Wielkie nieba! Czy to dlatego nie chciała pani przyjąć moich...

- Panie Rountree, proszę! Porozmawiamy o tym później. - Charlotte spojrzała na niego wymownie i Rountree zakrył ręką usta, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że mało brakowało, a ujawniłby ich najbardziej osobiste sprawy gronu ciekawskich plotkarzy.

- Tak, proszę mi pozwolić kontynuować temat - wtrąciła lady Stokeford. - Jak pewnie część z państwa już się domyśliła, istnieje związek pomiędzy wszystkimi tymi zgonami. Związek, sięgający korzeniami w przeszłość sprzed kilku lat. Do Ligi Lucyfera.

- Do tego głupiego klubu? - zawołała Lydia. - Rozpadł się przed wiekami!

- A jednak wszyscy zabici należeli do niego - stwierdziła lady Stokeford. - Podobnie jak Brandon i wszyscy zebrani tu dzisiaj panowie.

Uriah Lane roześmiał się z przymusem.

- Chyba pani nie sugeruje, że ktoś nastaje na życie nas wszystkich. To znaczy... że wszyscy mamy zostać zamordowani.

- Bzdura! - oświadczył Vaughn z nie do końca szczerym uśmiechem. - Panie sobie z nas zażartowały, prawda?

Barbara Dawson Smith

Żar

Cha, cha, cha. Jestem specjalistą od takich dowcipów!

-To nie żart - oświadczyła Charlotta. - Zapewniam państwa.

-To Sąd Boży, ot co! - mruknął sir John Parkinson, zagłębiając się w fotelu i spoglądając na pozostałych. - Wszyscy zostaniemy wymordowani we własnych łóżkach, nawet ci z nas, którzy żalują za grzechy.

-Co za brednie! - prychnęła Lydia. - Proszę natychmiast przestać wygadywać takie bzdury. To mnie przyprawia o dreszcz.

Charlotte uznała, że przyszedł czas, by wprowadzić w życie kolejny punkt programu. Lekkim skinieniem głowy dała znak swojej babci.

Lady Enid chrząknęła.

- Widzę, że to były dla państwa bardzo szokujące informacje. - Jej pulchna twarz pod złocistym turbanem była śmiertelnie poważna. - Jestem pewna, że wszystkim przydałoby się coś na wzmocnienie. Służba zaraz rozniesie kieliszki wina.

Na te słowa Raleigh opuścił swój posterunek przy drzwiach i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z pustymi rękami i spojrzał na Charlotte z konsternacją.

Zza jego pleców wyłoniła się panna Darby, niosąc srebrną tacę z dziesięcioma kryształowymi kieliszkami pełnymi wina barwy burgunda.

Przerażona Charlotta zerwała się natychmiast i pospieszyła do drzwi. Poinstruowała dziewczynę, że ma siedzieć w swoim pokoju i pod żadnym pozorem nie schodzić na dół. Panna Darby wiedziała tylko, że Vaughnowie zostali zaproszeni, by przedyskutować z Charlottą i Różyczkami kwestię Uriaha Lane'a.

Panna Darby po prostu nie miała pojęcia, że jej pojawienie się mogło kompletnie zniszczyć zastawioną przez nie pułapkę na mordercę.

-Musi pani natychmiast wrócić na górę - szepnęła Charlotta z naciskiem. - Proszę zaczekać, aż panią wezwę.

Próbowała odebrać dziewczynie tacę, ale panna Darby

Barbara Dawson Smith

Żar

przytrzymała ją z niezwykłym uporem.

- Proszę - wyszeptala ledwie doslyszalnie. - Ja... ja wszystko slyszalam. Chcę być taka odwazna jak pani. Chcę pomóc schwytać mordercę.

Och, dobry Boże!

- To godne podziwu, ale...

- Tu jesteś, krnąbrna dziewczyno! - zawołała Lydia do panny Darby. - Przyjechaliśmy, żeby cię stąd zabrać.

- Właśnie - uzupełnił Clifford. - Tylko nie uciekaj znowu. Usiądź tu, żebym cię miał na oku. - Poklepał trzecie, dotychczas wolne krzesło obok siebie.

- Ona nie może tu zostać - stwierdziła ostro lady Stoke-ford. - Proszę pozwolić jej odejść i zaczekać w bibliotece.

Ale panna Darby już ruszyła do przodu, niosąc tacę z kieliszkami. Nosiła białe rękawiczki.

Obróciła tym samym w perzynę ich starannie rozpisany na poszczególne role plan ujęcia mordercy.

Charlotta wiedziała, że powinna działać szybko.

Panna Darby zatrzymała się w pobliżu Uria Lane i postawiła tacę na stole. Kiedy sięgnęła po kieliszek i mu podała, spojrzął na nią poządlwie. Dziewczyna zamarła, a Charlotta dostrzegła w tym swoją szansę.

Porwała szybko srebrną tacę.

- Teraz ja ją wezmę.

Krótką demonstracją brawury panny Darby szczęśliwie została zakończona. Dziewczyna bez mrugnięcia okiem zrezygnowała z oporu. Uciekła pędem i usiadła w fotelu obok kuzyna. Zwiesiła głowę i skuliła ramiona, jakby chciała wydać się jak najmniejsza.

Charlotta odetchnęła z ulgą i rozdała pozostałe kieliszki. Może jeszcze nie wszystko zostało stracone. Nikt nie obserwował zbyt uważnie tej drobnej scenki. Wszyscy pragnęli jak najszybciej podnieść kieliszki.

- No, wieczór znacznie się poprawił - oświadczył Clifford Vaughn, pociągnął łyk i zaczął mlaskać wargami.

- Faversham zawsze miał najlepsze piwnice.

Lady Faversham uniosła kieliszek.

- Proponuję toast za szybkie ujęcie naszego mordercy.

- Popieram - mruknął ponuro pan Rountree. - Im szybciej ten człowiek trafi za kratki, tym lepiej.

Goście wypili do dna. Uriah Lane osuszył swój kieliszek z upodobaniem, ani na chwilę nie spuszczał lubieżnego spojrzenia z panny Darby. Charlotta z trudem powstrzymała się, by go nie uderzyć. Pewnie myślał, że dziewczyna przyszła do salonu, aby go znaleźć. Dla uspokojenia pociągnęła łyk wina ze swojego kieliszka, nie zastanawiając się, jak smakuje.

- Czy aresztowanie jest już bliskie? - zapytał pułkownik Ransom. - Czy śledztwo prowadzi tajna policja z Bow Street?

- Owszem - potwierdziła lady Faversham. - I tak się złożyło, że to my, Różyczki, zdobyliśmy dowód, jednoznacznie identyfikujący tożsamość zbrodniarza. Prawdę mówiąc, morderca siedzi tutaj, pośród nas.

Lydia zakrzuszyła się winem.

- Co? Co pani powiedziała? - zdołała wykrztusić, machając wymanikiowanymi dłońmi.

Wszyscy spoglądali niepewnie na siedzących obok gości.

- Proszę się nie obawiać! - zawołała Charlotta. - Oczekujemy przybycia policji lada chwila. Zastanie mordercę obezwładnionego już przez truciznę, której dołączyliśmy do jego kieliszka.

Zgromadzeni gwałtownie wciągnęli w płuca powietrze. Wszyscy zamarli, spoglądając na swoje puchary.

Poza Vaughnem, który wypluł z ust wino na kolana kuzynki.

Panna Darby zerwała się na równe nogi, ale za późno. Czerwony jak krew płyn zaplałił przód jej brązowej sukni i wsiąkał w białe rękawiczki.

- Przepraszam - wykrztusił Clifford pomiędzy atakami kaszlu.

Żona trzepnęła go w ucho.

- Jesteś takim baranem, Cliffie. Margaret, to drogie

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith

Żar

rękawiczki. Trzeba je natychmiast namoczyć. Daj je służącemu.

Panna Darby zawahała się, ale zdjęła rękawiczki i podała je Haywardowi. Charlotta zauważyła ciemne plamy na smukłych palcach dziewczyny, które nie dały się zmyć pomimo szorowania. Pomyślała, że panna Darby musiała rozlać atrament, kiedy pisała pamiętnik albo listy. Na skutek nalegań Lydii, panna Darby usiadła ponownie, przyjmując znów pozycję osoby niewidzialnej.

Charlotta uważniej przyjrzała się Vaughnom. Czy Clifford wypłuł wino, bo obawia się, że to jego kieliszek został zatruty? Czy to on jest przestępcą?

W winie nie było żadnej trucizny, ale podejrzani nie mogli wiedzieć, że to oszustwo, wynikające z nadziei, że morderca sam się zdradzi, bo będzie się bał wypić więcej. Problem polegał na tym, że teraz wszyscy zdawali się żywić niechęć wobec wypicia kolejnego łyka.

Pan Rountree zaglądał podejrzliwie do swego kielicha.

- Skąd możemy wiedzieć, czy szklaneczki się nie po mieszały?

Najwyraźniej wszyscy pozostali podzielali jego wątpliwości.

Prostacka twarz Uriaha Lane'a w świetle świec robiła wrażenie nalanej i bładoszarej.

Pułkownik Ransom ścisnął puchar w dłoni tak mocno, aż mu kostki zbieleły.

Lydia patrzyła na swój kieliszek szeroko otwartymi oczami, a Clifford wyglądał, jakby połknął żabę.

- Nic się nie pomieszało - oznajmiła lady Stokeford.

- Lady Charlotta jest osobą wyjątkowo odpowiedzialną.

~ Ale Margaret wzięła tacę - zaskrzeczała Lydia. - Ta idiotka mogła odwrócić tacę i przez pomyłkę otruć mnie. Czy umrę w konwulsjach?

- Może pani być pewna, że tylko morderca zostanie do tknięty skutkami trucizny - zapewniła lady Faversham.

- Pozostali państwo mogą spokojnie dopić wino.

- Ja się nie boję - oświadczył sir John Parkinson. - Bóg

ocali sprawiedliwych. - Odchylił głowę do tyłu i wypił solidny łyk, choć ręka drżała mu nieco i uрониł kilka kropel.

- To nonsens! - zawołał pułkownik Ransom i głośno odstawił swój puchar na stolik. - Nie wierzę, że dodałyście czegokolwiek do wina. Próbujecie przstraszyć jednego z nas, żeby sam się przyznał.

Charlotcie nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że pułkownik może mieć tyle zdrowego rozsądku.

- Jeśli jest pan o tym przekonany - powiedziała chłodno - to nie powinien pan się bać dokończyć swojego wina.

- Gardzę podstępami - warknął. - Nie pozwolę robić z siebie głupka. I pozostali z was również nie powinni tańczyć, jak wam zagrają.

Lydia pospiesznie, jak oparzona, odstawiła swój kieliszek. To samo zrobił Uriah Lane, którego z gruba ciosana twarz była tak blada, że robił wrażenie chorego.

Pan Rountree zawahał się, rzucił Charlottcie spojrzenie zranionej sarny i również odstawił swój puchar.

- Czy pani naprawdę sądzi, milady, że mógłbym mieć cokolwiek wspólnego z tymi ohydnyymi morderstwami?

Ten wzrok zranionej sarny uderzył Charlotte, ale miała ważniejsze sprawy na głowie. Jeśli niewinni odmówią wypicia wina, pułapka kompletnie zawiedzie. Brand zostanie skazany za fałszerstwo i stracony...

I wtedy Uriah Lane jęknął. Chwycił się za pierś, wyrwał oczami. Jak ścięte drzewo runął bezwładnie na podłogę. I znieruchomiał.

Barbara Dawson Smith

Żar

## Rozdział 22

### Zdradziecki atrament

Rozległy się pomieszane okrzyki i głośne westchnienia. ~ To on! - zaskrzeczała Lydia. - To Lane jest mordercą.

- Wielki Boże! - krzyknął Parkinson. - Czy on nie żyje?

Lady Faversham podeszła do leżącego mężczyzny i wpa trywała się w niego z niemym niedowierzaniem.

- Dostał ataku serca. Raleigh, sprowadź lekarza. Hayward, przynieś sole trzeźwiące. Musimy spróbować przywrócić go do życia.

Kiedy służący pobiegli do drzwi, Charlotta uklękła u boku Lane'a. Poklepała go po policzkach, lecz on ani drgnął. Z kącika ust sączyła mu się zabarwiona na różowo ślina. Masywne ciało ani drgnęło.

Dobry Boże! Dobry Boże!

Harold Rountree przykucnął po drugiej stronie Lane'a. Wsunął rękę pod biały, płócienny fular i dotknął byczej szyi.

- Niestety, puls jest niewyczuwalny. - Pan Rountree obrzucił Charlotte mrocznym, oskarżycielskim spojrzeniem.

- Jaką truciznę zastosowaliście?

W ustach kompletnie jej zaschło. Powoli pokręciła głową.

- Żadnej. W winie nic nie było. To był tylko podstęp, jak słusznie domyślił się pułkownik Ransom.

Dobry Boże, jak to się stało, że ich plan zmienił się w taki koszmar?

Barbara Dawson Smith

Żar

Charlotta podniosła głowę i spostrzegła, że Róźyczki zbiły się w gromadkę, tak samo przerażone i oszołomione jak ona. Chwiejnie wstała.

Lady Stokeford przycisnęła rękę do piersi.

- Widocznie Lane był tym człowiekiem, którego poszukiwałyśmy - powiedziała do przyjaciółek. - Musiał być kompletnie roztrzęsiony i serce nie wytrzymało.

- Nawet nie pomyślałam, że nasz plan może mieć takie straszliwe skutki - stwierdziła blada jak płótno lady Enid.

Charlotta słyszała je jak z oddali. Nie mogła otrząsnąć się z okropnego poczucia, że umknęło jej coś o kluczowym znaczeniu. Przyjrzała się zebranym. Lydia i Clifford trzymali się razem. Pułkownik Ransom siedział w swym fotelu sztywno wyprostowany. Sir John Parkinson złożył dłonie i poruszał ustami w cichej modlitwie. Panna Darby wstała z miejsca i wyglądała jak widmo.

Wyraz tej delikatniej twarzyczki przykuł uwagę Charlot-ty. Panna Darby wpatrywała się jak urzeczona w leżącego na podłodze Lane'a. Ale w przeciwieństwie do pozostałych zgromadzonych w salonie osób, ona jedna nie robiła wrażenia wstrząśniętej ani roztrzęsionej. Dziwny wyraz jej twarzy można by raczej uznać za... satysfakcję.

To panna Darby podała kieliszek Lane'owi.

Charlotta buntowała się przeciwko straszliwemu podejrzeniu. Czyżby panna Darby dodała trucizny do wina Lane'a? Czy chciała w ten sposób uniknąć sprzedania jej temu człowiekowi dla jego odrażających uciech? A może ten incydent łączył się w jakiś sposób z innymi morderstwami?

Panna Darby miała na palcach plamy z atramentu. A może z farby drukarskiej?

To nie miało sensu. Jakie powiązanie z Ligą Lucyfera mogła mieć ta nieśmiała, skromna dziewczyna?

Charlotta nie wiedziała, nie potrafiła sobie tego wyobrazić, ale jedno musiała koniecznie zrobić przed przystąpieniem do konfrontacji z panną Darby. Odwróciła się i pospiesznie wyszła z pokoju.

Barbara Dawson Smith

Zar

\* \* \*

Skoncentrowana na swojej misji Nan wysunęła się kuchennymi drzwiami do ogrodu. Chociaż raz ten stary, nadęty Giffles nie śledził jej kroków jak pies. Jego uwagę odwróciło od niej gigantyczne zamieszanie w salonie.

Pan Lane padł trupem na serce. Panienska robiła wrażenie kompletnie wytrąconej z równowagi, kiedy dawała Nan pilną wiadomość do doręczenia. Nan nie mogła wykrzesać z siebie ani odrobiny żalu. Pan Lane był wstrętnym typem, a skoro zmarł, to... cóż, przynajmniej nie będzie się już więcej narzucał pannom służącym. Nadal wstrząsała się ze wstrętem na przypominające nocny koszmar wspomnienie jego mięsistych łap i cuchnącego alkoholem oddechu.

Już prawie zbliżyła się do ciemnej furtki, ale w ostatniej chwili dostrzegła zagrożenie. Czarna sylwetka wyłoniła się z cienia drzew.

Nan pisnęła i podskoczyła. Gdy rozpoznała sylwetkę niewysokiego, chudego mężczyzny, panika zmieniła się w konsternację.

- Dick! Ale mnie wystraszyłeś! - Obejrzała się za siebie, na okna domu rozjaśnione blaskiem świateł. - Nie powinienś tu przychodzić.

- To tak się wita swojego chłopca? - Dick przyciągnął ją do siebie i wycisnął na jej wargach głośnego całusa. Śmierdział skwaśniałą kielbasą i tytoniem. Nan poczuła wstręt. - Masz to? Znalazłaś złoto?

Wyrwała się. Serce waliło jej z przerażenia. Postanowiła twardo trzymać się prawdy. Wzięła głęboki oddech.

- Ja... ja zmieniłam zdanie. Książę pan... on był dla mnie dobry. I to nie w porządku, żebym go okradała.

Dick wydał groźne warknięcie.

- Nie w porządku? A to jest w porządku, że ja czy ty mu simy harować na każdy kęs chleba, a ci bogacze żyją sobie jak królowie? Chcę tylko odrobiny złota, które mi się słuszy nie należy. Tak szybko zapomniałaś, co dla ciebie zrobiłem?

Barbara Dawson Smith  
Zar

- Nie - szepnęła, nie chcąc myśleć o tamtej straszliwej nocy, kiedy pomógł jej uciec, pomógł jej zmyć krew...

Dick mocno chwycił ją za ramiona i odezwał się przypochlebnym tonem:

- Więc zrób, co ci powiedziałem, Nan, moja dziewczynko. Chyba nie chcesz, żebym stracił cierpliwość.

Ogarnęło ją przerażenie, od którego ugięły jej się kolana, a postanowienie osłabło. Jednak przypomnienie zaufania, jakim darzy ją pani, dodało jej sił.

-Ja... nie mogę tego zrobić. Nie będę dla ciebie kraść. Błagam, nawet mnie o to nie proś.

- A niech cię wszyscy diabli! - Potrząsnął nią tak mocno, aż jej zęby zadzwoniły. - Powiniennem iść na policję, do nieś, że popełniłaś morderstwo i odebrać na-grodę...

Nagle ktoś go odepchnął. Nan zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Szal zsunął jej się z ramion, lecz prawie tego nie zauważyła.

Pomimo ciemności, Giffles celnie trafił Dicka w szczękę. Rozległ się głuchy odgłos uderzenia. Dick zatoczył się do tyłu i wylądował w krzakach.

Leżał, jęcząc z bólu.

Garderobiany stanął nad nim.

- Wynoś się! - powiedział rozkazującym tonem, podobnym do głosu piekielnego księcia. - Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, odeślę cię wprost do piekła.

Dick poruszył się wreszcie. Pojękując, popęzł na czworakach ku ogrodowej furtce, oglądając się raz po raz za siebie, żeby sprawdzić, czy napastnik za nim nie idzie. Furtka trzasnęła. Po chwili odgłos pospiesznych kroków ucichł w oddali.

Giffles podszedł do Nan. Podniósł jej szal i troskliwie okrył nim ramiona dziewczyny.

- Ten sukinsyn nie będzie cię już niepokoił.

Nan była tak oszołomiona mieszaniną ulgi i radości, że rzuciła się na garderobianego. Otoczył ją ramionami. Serce Nan zabiło szybciej, ale tym razem nie z trwogi.

Przycisnęła policzek do jego twarzy i wciągnęła w noz-

Barbara Dawson Smith  
Zar

drza czysty zapach mydła. Odwróciła głowę, szukając jego ust... jego pocałunku.

Objął jej wargi w szybkim, gorączkowym, przejmującym dreszczem pocałunku.

Odsunął się od niej szybko, lecz czule pogłaskał ją po policzku. Było zbyt ciemno, by mogła dostrzec coś więcej niż niewyraźny zarys jego twarzy, ale doskonale wyczuwała siłę jego spojrzenia.

- Morderstwo, panno Killigrew?

Twarda nuta w jego głosie sprawiła, że Nan zebrało się na placz. A więc słyszał pogrożki Dicka. Nan zadrżała i mocniej otuliła się szalem. Teraz Giffles naprawdę poczuje do niej odrazę. No cóż, jeśli ma prowadzić uczciwe życie, musi powiedzieć mu prawdę.

Urywanymi słowami opowiedziała mu o ojcu, o okropnych rzeczach, które jej robił i o tym, jak wreszcie mu się odpłaciła. Kiedy skończyła, ze strachem czekała na potępienie.

Giffles wziął jej rękę, splótł ich palce razem, a drugą dłoń położył na plecach dziewczyny w taki sposób, że nagle poczuła się... kochana.

- Później jeszcze o tym porozmawiamy - powiedział, - A teraz lepiej się pospieszmy. Dostałaś polecenie od swojej pani.

- Do komisariatu na Bow Street, mam złapać pana Jonesa. - Nan podbiegła, żeby dogonić Gifflesa, który otwierał już furtkę. Z sercem pełnym nieśmiałej nadziei, zapytała: - Pójdzie pan ze mną?

- Zawsze. - W smudze księżycowego światła zajaśniał jego słaby uśmiech. - Obawiam się, że jesteś skazana na tego sztywniaka. Do końca życia.

\* \* \*

Panna Darby siedziała w bibliotece na krześle o wysokim oparciu. Na jej twarzy malował się wyraz skruchy, niebieskie oczy tonęły we łzach, ręce splecione były na kolanach.

Barbara Dawson Smith

Żar

Kuliła się ze strachu przed Różyczkami, Charlottą i Hannibalem Jonesem, którzy siedzieli półkolem wokół niej.

- T- tak, otrułam pana Lane'a - przyznała. Dolna warga jej drżała. - Podśluchałam słowa mojego kuzyna. Chciał mnie oddać panu Lane. Dla... dla uciechy.

Jones zapisał coś w notesie.

- A skąd taka młoda dama jak pani wzięła truciznę?

- To trutka na szczury, sir. Ja... znalazłam pudełko w kredensie.

- Więc działała pani pod wpływem impulsu? Dostrzegła pani sposobność i wykorzystała ją pani?

- Tak, sir. - Łzy potoczyły się po białych policzkach panny Darby. - Ja... chciałam tylko, żeby się rozchorował. Żeby nie mógł... mnie tknąć. Nie wiedziałam, że on umrze.

Żołądek Charlotty zacisnął się. Dosłownie przed chwilą lekarz stwierdził zgon Uriaha Lane'a. Pozostali goście wynieśli się, łącznie z Vaughnami, którzy ulotnili się w czasie zamieszania. Na pewno już roznosili wieści wśród ludzi z towarzystwa.

Zostawili swą podopieczną na pastwę losu.

Mało jednak wiedzieli. Panna Darby doskonale umiała poradzić sobie w zaistniałej sytuacji. Była na najlepszej drodze, by przekonać Hannibala Jonesa, że śmierć Lane'a była odosobnionym przypadkiem, zbrodnią zrodzoną z trwogi i rozpacz. Będzie wspinała, opowiadając swą łzawą bajeczkę sędziemu i ławie przysięgłych.

Charlottą była idiotką, kiedy jej zaufała i wprowadziła ją do tego domu. Ale to już przeszłość.

- Pokaż panu Jonesowi plamy atramentu na palcach - powiedziała.

Panna Darby przycisnęła zaciśnięte w pięści dłonie do kolan.

- Ja... nie wiem, poco...

- Po prostu posłusznie wykonaj polecenie - rozkazała twardo lady Stokeford. - Jeśli nie masz nic do ukrycia, nie powinnaś się bać.

Panna Darby, pociągając nosem, rozchyliła pięści na ty-

fianbara Dawson Smith

le, żeby detektyw z Bow Street mógł zobaczyć wnętrze dtoni.

-Plamy atramentu - oświadczył. - Nie wiem, jaki mogłyby mieć związek ze śmiercią Lane'a.

-Wylałam atrament z kałamarza - wyjaśniła panna Darby. - Kiedy wczoraj pisałam...

- Kiedy wносиła maszynę drukarską do stajni w ubiegłym tygodniu - stwierdziła lady Faversham.

Lady Enid energicznie pokiwała głową.

- Te plamy są zbyt wyblakłe, żeby mogły powstać dopiero wczoraj.

-Kolo maszyny drukarskiej była plama z rozlanego atramentu - dodała Charlotta. - Powinien pan był to zauważyć, panie Jones, kiedy znalazł pan to urządzenie.

Zmarszczył czoło.

- Z całym należnym szacunkiem, fałszerz już jest za kratkami. Lady Faversham potrząsnęła laską.

- Do licha, mój wnuk nie jest kryminalistą. Nie sfalszował banknotów. Zrobiła to ta dziewczucha.

Lady Stokeford uspokajającym gestem położyła rękę na ramieniu przyjaciółki i utkwiała twarde spojrzenie w twarzy Hannibala Jonesa.

- Został zamordowany kolejny członek Ligi Lucyfera - powiedziała. - Nie może pan zaprzeczyć istnieniu tego związku, panie Jones. To byłby naprawdę zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Jones podrapał się w ucho ogryzkiem ołówka. Z zaciekleścią buldoga próbował za wszelką cenę zrzucić winę na Branda.

- Ona nie mogłaby unieść ciężkiej maszyny drukarskiej.

- Zapewne miała współnika - powiedziała Charlotta. I ze ściśniętym gardłem dodała: - Margaret Darby skazała jego lordowską mość na śmierć za zbrodnię, której nie popełnił.

Panna Darby jęknęła rozpaczliwie.

- Nie, nie chcę, żeby umarł.

Charlotta miała ochotę przyłożyć jej za te kłamstwa, ale

Barbara Dawson Smith  
Zar

coś w tym cichym, jęklwym głosiku potrafiło w jej duszy pewną strunę. Pomyślała, że jeśli panna Darby może tak znakomicie odgrywać przedstawienie, to ją też na to stać.

Zerwała się z fotela, upadła przed panną Darby na kolana i chwyciła w ręce jej drobne dłonie. Ciepłe dłonie, które z zimną krwią popełniły morderstwo.

Charlotta wiedziała, że nie może się wzdragać. Patrząc w oczy pannie Darby, zawołała namiętnie:

- Kocham Branda z całego serca. A on umrze, jeśli pani nie zacznie mówić. W imię naszej przyjaźni, błagam panią, niech pani nie pozwoli, żeby człowiek, którego ko cham, zawisł na szubienicy.

Panna Darby zmarszczyła się.

- Dobrze, już dobrze. Ja to zrobiłam, ja zostawiłam te banknoty. Chciałam mu tylko uniemożliwić zadawanie pytań. Ale nie pozwoliłabym mu umrzeć. On nie był jednym z nich.

- Z nich?

-Jednym z mężczyzn, którzy... mi to zrobili. - Panna Darby zadrzała. - Związali mnie i zgwałcili.

Charlotta była tylko na wpół świadoma, że Różyczki gwałtownie wciągnęły powietrze i podeszły bliżej, szeleszcząc spódnicami. Słyszała szybko przesuwający się po papierze ołówek pana Jonesa. Całą uwagę skupiła na wielkich niebieskich oczach, teraz wypełnionych prawdziwymi łzami cierpienia.

-Ma pani na myśli... Ligę Lucyfera?-spytała nieśmiało. Przecież ta grupa rozwiązała się przed czterema laty. Przecież pani miała wtedy najwyżej czternaście lat.

- To się zdarzyło trzy lata temu. Miałam piętnaście lat. Byłam z wizytą u kuzyna, ale on i Lydia wyszli z domu. Ich przyjaciele wpadli z wizytą i... - Panna Darby zacisnęła ręce na dłoniach Charlotty. - Osaczyli mnie w sypialni. Oni wszyscy po kolei... Robili rzeczy nie do opowiedzenia!

- Nigdy nie powiedziała pani o tym nikomu?

Panna Darby potrząsnęła głową i znów przeszedł ją dreszcz.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Przysięgali, że mnie zabiją, jeśli coś powiem. Później postanowiłam, że to ja ich pozabijam.

Charlotta nic nie mogła poradzić na to, że poczuła współczucie dla panny Darby i wściekłość na mężczyzn, którzy ją zgwałcili. Ale jednak... mordować ich wszystkich...?

- Ci ludzie to byli Mellingham, Wallace, Aldrich, Trowbridge, Weatherby i Lane. Kto jeszcze?

- Lane był ostatni. - Nieoczekiwanie usta panny Darby wygięły się w lekkim uśmiechu. - Wprawdzie nie w ten sposób chciałam go zabić, ale kiedy pojawiła się sposobność, nie mogłam się oprzeć.

Wstrząśnięta Charlotta wyobraziła sobie dziewczynę najspokojniej w świecie planującą morderstwo w zaciszu sypialni, choć przecież nie powinna była zaprzętać sobie główki niczym poważniejszym, niż to, jaką suknię wybrać na najbliższy bal.

- A atak na Różyczki? - zapytała Charlotta. - Miał na ce lu odwrócenie uwagi Branda?

-Tak, bo on zaczął prowadzić dochodzenie. - Panna Darby uświadomiła sobie nagle obecność trzech starszych pań i przeniosła na nie wzrok. - Prze- przepraszam. Były panie dla mnie takie miłe. Panie i lady Charlotta... - Zająknęła się. -Ja... ja już nie mogę o tym mówić.

Hannibal Jones wziął ją za ramię i pomógł jej się podnieść.

- Chodźmy. Pozostałe zeznania spiszemy w komisaria cie na Bow Street.

-I od razu wypuści pan na wolność mojego wnuka - przypomniała lady Faversham, wspierając się na lasce i wstając z fotela. - Nie powinien siedzieć za kratkami ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Jones skrzywił się.

- Tak, milady. Choć pewne opóźnienie może zostać spo wodowane mnóstwem papierkowej roboty, którą trzeba wykonać, zanim sędzia śledczy będzie mógł podpisać na- kaz zwolnienia. Bardzo panią przepraszam na pomyłkę.

Barbara Daws.onSmi.tfa

Zar

- To nie mnie powinien pan przepraszać - powiedziała lodowatym tonem lady Faversham. - Musi pan błagać o wybaczenie mojego wnuka.

\* \* \*

W jakiś czas później Charlotta krążyła po swoim pokoju. Dom był cichy, Fancy leżała zwinięta w swoim koszyku przy drzwiach garderoby. Charlotta nie była w stanie się położyć.

Potrzebowała chwili samotności, żeby przemyśleć to, co się wydarzyło. Żeby uspokoić się i wyciszyć przed powrotem Branda do domu.

Brand. Serce zadrżało jej radośnie na myśl, że wkrótce będzie wolny. Ciążące na nim zarzuty upadły i jego nazwisko zostało całkowicie oczyszczone z wszelkich podejrzeń o zbrodnię. Gdyby w tym momencie stanął w drzwiach, bez wahania rzuciłaby mu się na szyję. I zrobiliby to tu, w jej sypialni.

Idiotka! Idiotka! Idiotka!

Nie, nie może sobie pozwolić na powtórne skosztowanie zakazanego owocu. Nigdy więcej. Jedna noc pociągnęłaby za sobą drugą, a potem następną, i jeszcze następną.

Ikonicznie końców, jej serce nadal byłoby złamane, może na wet bolałoby jeszcze bardziej niż teraz. Brand ma trzy dzieci siedem lat i nie zamierza zmienić się w przykład nego małżonka.

Nawet dla niej.

Stanęła przy słupku baldachimu i wtuliła twarz w brokatową kotarę. Nie miało sensu oddawanie się marzeniom o czymś, czego nie można zmienić. Powinna wyjechać z samego rana. Babcia zrozumie. Teraz, kiedy morderca został ujawniony, już nic jej tu nie trzyma.

Panna Darby...

Nadal wstrząśnięta Charlotta uchwyciła się szansy zmiany kierunku myśli. Komu przyszłoby do głowy, że panna Darby jest zdolna do morderstwa? Przez cały czas podejrzewały wraz z Różyczkami członków Ligi Lucyfera

Barbara Dawson Smith

Zar

szukały motywów, rozglądały się za tropami prowadzącymi do rozwiązania zagadki, a tymczasem sprawczynią okazała się wyglądająca najniewinniej w świecie osiemnastoletnia dziewczyna, która nigdy nie została przez nich zgwałcona.

Charlotta czuła ogromne przygnębienie tym odkryciem. To był horror i panna Darby niewątpliwie była zań odpowiedzialna, ale Charlotta mogła zrozumieć jej obsesję.

Nie była jednak w stanie do końca zrozumieć, w jaki sposób dziewczyna popełniła pięć z sześciu morderstw. Oczywiście nie działała sama. Wynajęła Tuppera, żeby występował jako służący.

Czy zapłaciła również komuś za uszkodzenie pistoletu Mellingham, żeby nie wypalił? I komuś za napad na Trowbridge'a w ciemnej uliczce? I komuś za podcięcie żył Weatherbyemu?

Charlotta zadrzała i zaczęła rozcierać ramiona. Czy panna Darby za każdym razem wynajmowała tego samego człowieka? A może kilku różnych? I jak, na litość boską, taka szlachetnie urodzona dziewczyna zdołała nawiązać kontakt z bandytami?

To była istota sprawy.

A może panna Darby wcale się z nimi nie kontaktowała? Może jakiś mężczyzna służył jej za pośrednika, ktoś bliski, do kogo miała zaufanie? Na przyjęciu u Vaughnów, kiedy Charlotta wyznała jej, że kocha Branda i że wszyscy mężczyźni w porównaniu z nim wypadają blade, panna Darby powiedziała zastanawiające słowa.

„Tak. Chyba rozumiem”.

Charlotta wyprostowała się. No tak, panna Darby oczywiście miała współnika, ale nie zdradziła jego tożsamości, bo nie chciała, by poniósł odpowiedzialność. Skoro starała się go chronić nawet idąc do więzienia, to niewątpliwie był kimś bardzo jej bliskim.

Kimś, o kim mogła wspominać w swoim dzienniku.

Charlotta złapała świecę i ruszyła do drzwi. Osłoniła dłonią płomień, żeby nie zgasł i pobiegła ciemnym koryta-

rzem do gościnnego pokoju, który oddano do dyspozycji panny Darby.

Drzwi były lekko uchylone. Charlotta pchnęła je, weszła do ciemnego pokoju i zamknęła je za sobą. W żadnym wypadku nie chciała zaalarmować Rózynek. Miały już dość przeżyć jak na jeden dzień.

Uniosła świecę do góry i rozejrzała się dokoła. Pokój był wysprzątnany, łóżko równo pościelone, poduszki strzepnięte. Gdyby nie przerzucony przez oparcie fotela szal, nic nie świadczyłoby o tym, że pokój w ogóle był zamieszkały, choćby zaledwie przez jeden dzień.

Gdzie panna Darby mogła trzymać swój pamiętnik? W walizce?

Niestety, walizki nigdzie nie było widać. Charlotta ruszyła do garderoby, po drodze jednak zatrzymała się przy biurku. Był to całkiem zwyczajny stół, z jedną całkowicie pustą szufladą, a na blacie stał tylko porcelanowy kubek z piórami i srebrny kałamarz.

I świecznik... Knot jeszcze się tlił.

Dotknęła palcem ciepłego wosku. Ktoś tutaj był!

Z drżeniem serca odwróciła się za siebie i dostrzegła jakiś ruch. Mroczny cień mężczyzny, zmierzającego prosto ku niej.

W gardle narastał jej krzyk.

Za późno...

Pochwyciło ją silne ramię, jakaś szmata zakryła jej usta. Z przerażającą wprawą napastnik rzucił ją na łóżko twarzą do dołu i unieruchomił jej ręce na plecach. Charlotta wiła się, bezskutecznie próbując się wyrwać.

- Trochę zaboli - mruknął, głaszcząc z tyłu jej szyję. - Wybacz.

Ten głos! Znała go!

Poczuła ostry ból tuż za uchem i straciła przytomność. Zapadła się w mrok.

## Rozdział 23

### Pamiętnik

W miarę rozwoju wydarzeń Brand czuł, że coś tu śmierdzi.

Nie musiał znaleźć się w ciasnej, ciemnej, nieogrzewanej więziennej celi, żeby to wiedzieć. Mdłe światło pochodziło z wiszącej gdzieś w głębi korytarza lampy. Godzinami krążył po kamiennej posadzce i poznał już każdy centymetr jak własną kieszeń. Ściany z nieotynkowanych cegieł, wysoko umieszczone okno, ciężkie dębowe drzwi z niewielkim zakratowanym otworem. Wiadro na nieczystości w kącie i drewniana ława stanowiły całe umeblowanie celi.

Utrata wolności rozwścieczyła go i przeraziła. Nie bał się o siebie, tylko o Charlotte. Pewnie nie zaprzestała tropienia mordercy. To było w jej stylu.

Do licha, sama mogła zostać zamordowana!

Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. Usiadł na ławie i postanowił myśleć o czymś innym, a nie o tym, że Charlotte grozi niebezpieczeństwo.

Cóż, w takim razie będzie myśleć o niej w chwili ekstazy.

Poprzednia noc była o niebo przyjemniejsza od obecnej. Poprzednia noc była niesamowita od początku aż do samego końca. Dlaczego miał tego nie przyznać? To była najwspanialsza noc w całym jego godnym pogardy życiu.

Jeszcze przed tygodniem by nie uwierzył, że najbardziej biegła w swym rzemiośle kurtyzana zblednie w porów-

naniu z niedoświadczoną starą panną. Tak samo jak nie uwierzyłby w bliskość, jaką teraz odczuwał w stosunku do Charlotte, bliskość zarówno cielesną, jak i psychiczną. Działała na niego takjak żadna kobieta. I lubił ją! Naprawdę lubił jej zuchwałość i entuzjazm, jej żywość i czułość.

A szczególnie lubił to, że w niego wierzyła.

Dzisiaj gotowa była zaryzykować aresztowanie za współdziałanie z przestępcą, byle tylko go ratować. Niewiele kobiet zdobyłoby się na to wszystko, niewiele kobiet kazałoby wynieść maszynę drukarską ze stajni, załadować ją na wóz i wreszcie prawdopodobnie gdzieś zatopić. I to wszystko po to, by ratować jego tyłek.

I była tak nieugięta w sprawie śmierci George'a i Petera. „To nie twoja wina. Nie chciałeś tego. Nie zabiłeś ich i wbij to sobie wreszcie do głowy”.

Boże, jak bardzo chciałby w to uwierzyć. Już samo wspomnienie tych słów sprawiało, że obręcz ściskająca jego serce stawała się luźniejsza. Charlotta poznała jego najstraszniejszą tajemnicę, a jednak nadal go broniła.

Brand oddałby cały swój majątek, żeby tylko znaleźć się teraz w jej łóżku. Znaleźć się w niej, kochać się z nią, usłyszeć, jak wykrzykuje jego imię...

Z sąsiedniej celi dobiegł stłumiony krzyk. Jakiś pijak wrzeszczał bełkotliwie na strażnika. Potem zapadła cisza.

Brand siedział z rękami opartymi na kolanach i wpatrywał się w ciemność. Musiał przestać myśleć o Charlotte jak o swojej własności. Nie należała do niego. Ich romans się zakończył. Miała rację, że kontynuowanie go byłoby zbyt niebezpieczne.

Bo kiedy trzymał ją w ramionach, tracił wszelką zdolność logicznego myślenia, tracił rozsądek. Nie mógł ufać samemu sobie, że nie wypełni jej znowu swoim nasieniem.

A potem znowu, i znowu.

Przeraził się na wzmiankę o poczęciu kolejnego dziecka. Z Amy było inaczej. Grace nigdy nie powiedziała mu prawdy, więc nie miał pewności, aż do chwili, gdy spotkał Amy przed pięcioma laty i zobaczył oczy swojej matki.

A wtedy było już za późno. Amy uważała Michaela za swojego tatę i Brand doszedł do wniosku, że dziewczynka nie powinna poznać prawdy o swym prawdziwym ojcu. Natomiast gdyby Charlotta urodziła jego dziecko...

Do diabła!

Już sama myśl o tym była absolutnie rozczulająca. Charlotta należała do kobiet, które powinny wyjść za męża, a on obiecał sobie, że nigdy w życiu nie da się poprowadzić tą wydeptaną ścieżką. Więc nie może już nigdy się z nią kochać.

Nigdy nie będzie podniecać jej czułymi pocałunkami. Rozbierać jej, odsłaniać jej ciała powoli, centymetr po centymetrze. Nigdy nie będzie jej mieć na dywanie przy kominku, w kąpielni, ani po francusku. Skoro samą ręką zdołał wywołać tak namiętną reakcję tej kobiety, to czego mógłby dokazać językiem...?

Stop!

Brand zerwał się na równe nogi i znów zaczął przemierzać wąską jak kiszka celę. Musiała już dochodzić północ, ale był zbyt podekscytowany, by zasnąć. Do diabła, nienawidził siedzieć pod kluczem, nienawidził poczucia bezradności. Chciał być na dworze, na ulicy, chciał znaleźć mordercę. Nie ufał Jonesowi - nie był pewien, czy detektyw wykona swą pracę prawidłowo.

A komu innemu mógłby powierzyć oczyszczenie swego nazwiska?

Charlotcie i Różyczkom.

Brand opanował kolejną falę trwogi. Wiedział, że Charlotta bez namysłu narazi się na niebezpieczeństwo, może nawet robi to właśnie w tej chwili. Była przekonana, że dobrze poznała naturę mężczyzn z jego sfery, ale w rzeczywistości nie ma nawet pojęcia, jak głęboko są zdeprawowani niektórzy z jego znajomych.

Zaciskał bezradnie pięści. Krew mu w żyłach stężała na myśl o tym, że Charlotta sprowokuje mordercę. Jeśli ktoś odważy się ją tknąć, zabije go! Jeżeli kiedykolwiek zdoła wyrwać się z tej celi.

Barbara Dawson Smith

Zar

Z głębi korytarza dobiegł go pomruk niewyraźnych głosów. Trzasnęły jakieś drzwi. Odgłos kroków zbliżył się do jego celi. Była zbyt późna pora na to, by mógł mieć nadzieję, że jakiś sędzia śledczy pełni jeszcze służbę i wyraził zgodę na jego zwolnienie za kaucją. Zbyt późno, żeby ktoś mógł podjąć jakieś kroki, by go wydostać z więzienia. Dopiero rano...

Może już nigdy nie wyjdzie na wolność. Jeśli fałszywe oskarżenie zostanie podtrzymane i sąd uwierzy w dowody jego winy...

Brand zdławił rodzącą się panikę. Powinien spróbować zasnąć na tej twardej ławie, żeby rano być wypoczętym i wymyślić sposób wyrwania się z tej klatki.

Kroki zatrzymały się pod jego drzwiami. W zamku zazgrzytał klucz. Ciężkie, drewniane drzwi stanęły otworem, wpuszczając do celi smugę światła.

Hannibal Jones wetknął głowę do środka. Z jego chudej jak szkielet postaci biła wrogość. Trzymał w ręku latarnię. W bladym świetle jego twarz wyglądała jak trupia czaszka z ciemnymi oczodołami.

- Jest pan wolny, może pan wyjść - powiedział.

-Co?!

- Morderca został ujęty. Przyznał się również do podłożenia banknotów. Sędzia śledczy podpisał zwolnienia pa na z więzienia.

Brand podszedł do detektywa z Bow Street. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Kto to zrobił? Kim on jest?

- Nie on, tylko ona. Margaret Darby.

Ta cichutka jak myszka dziewczyna? Niemożliwe! -Z zimną krwią popełniła pięć morderstw? Niemożliwe!

- Sześć - sprostował Jones. - Dziś wieczór otruła Uriaha Lane'a. Wszyscy ci mężczyźni niegdyś ją zgwałcili. Mam tu jej pełne, podpisane zeznanie. - Poklepał kieszeń palta. - Została zabrana do więzienia w Newgate.

Brand nie był w stanie w to uwierzyć.

Barbara Dawson Smith

Zar

- Panna Darby nie mogła działać sama. Ktoś musiał jej pomagać. Prawdopodobnie kuzyn, Vaughn.

Detektyw zdawał się nie słuchać. Brandon ze zdumieniem patrzył na jego wykrzywioną wściekłością twarz.

- Jak to jest, milordzie, zostać wystrychniętym na duka przez kobietę? - zapytał złośliwie. - Być przez nią nie małym posłanym na szubienicę?

Ta drwina rozgniewała Branda.

-Co pana ugryzło? Nie popełniłem przecież żadnej zbrodni.

Jones wyglądał tak, jakby zmagał się z jakimś wewnętrznym demonem. Wreszcie odezwał się niskim, ochrypłym głosem.

- Pan uwiódł moją siostrę.

~ Akurat! - Ale właściwie nie był całkiem pewien, czy tak nie było.

- To prawda, na Boga. Sama mi o tym powiedziała.

- Jak się nazywa? - zapytał ostrożnie Brand.

Jones zawahał się.

- Alice. Ale pan ją znał jako... Jewel.

Jewel. Przez moment to imię nic Brandowi nie mówiło, ale potem sobie przypomniał. Miesiąc temu. To wtedy właśnie wpadł Trowbridge z tym bilecikiem. Brand grał w karty. Wygrał usługi Jewel na całą noc. Była wysoką brunetką, doskonale obeznaną ze sztuką sprawiania mężczyźnie przyjemności. I z całą pewnością nie była dziewicą.

Siostra Jonesa pracowała w burdelu. Czy ten biedak zdawał sobie z tego sprawę?

- Radzę zapytać siostrę, z czego się utrzymuje.

- Wiem, co robi. - Jones pogroził pięścią. - Trafiła tam przez mężczyzn takich jak pan. Przez przeklętych arystokratów, którzy mają za dużo pieniędzy i za mało zasad moralnych.

Brandonowi nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że jego kochanki mogą mieć jakieś rodziny. Wykorzystywał kobiety dla własnej przyjemności, ale przecież im też dawał

przyjemność. Nigdy dotychczas nie miał do czynienia z żadnym rozgniewanym ojcem lub bratem.

To nie była najlepsza chwila w jego życiu.

No cóż, przynajmniej zrozumiał wreszcie animozję Jonesa. Nawet współczuł mu do pewnego stopnia, ale co za dużo, to niezdrowo.

- Przykro mi - powiedział szczerze. - Chociaż to nie ja umieściłem tam Jewel i nie zmuszałem jej siłą. Rozumie pan?

Jones spojrzął na niego badawczo. Potem odwrócił się. Brand zdążył jeszcze dostrzec malujący się na jego twarzy głęboki smutek.

- Pomyliłem się co do pana - powiedział sztywno. - Proszę, może pan stąd wyjść.

Brand nie potrzebował kolejnej zachęty. Kiedy wypadł z celi, głęboko nabrał w płuca powietrza i poczuł smak wolności, natychmiast zaczął planować odnowienie związku z Charlottą.

\* \* \*

Porywacz stał po drugiej stronie pokoju.

Napinając sznur, którym związane miała z tyłu ręce, Charlottą nie spuszczała go z oka. W głowie jej pulsowało, czuła się jak pijana. Z powodu knebla zaschło jej w ustach. Gdy przed chwilą odzyskała przytomność, odkryła, że leży w czymś łóżku.

Nie, w doskonale znanym łóżku. Kilka dni temu leżała tu z Brandem. To było łóżko Vaughnów.

I, podobnie jak wówczas, nie było ani Lydii, ani Clifforda.

Blask ognia odbił się w jasnych włosach pułkownika Ransoma. Pochylony nad kominkiem, metodycznie wrzucał do ognia stroniczki, które wydierał z pamiętnika panny Darby. Odgłos dartego papieru przejmował Charlotte dreszczem. Wiedziała, że nie zajmie mu to zbyt wiele czasu.

Co Ransom zrobi potem?

Barbara Dawson Smith  
Zar

Barbara Dawson Smith  
Zar

Zajął mu to jeszcze mniej czasu, niż się spodziewała. Po prostu niedbale rzucił pustą skórzaną okładkę na podłogę. W rękę trzymał ostatnią kartkę - czystą.

Odwrócił się i zobaczył, że Charlotta go obserwuje.

- A, ocknęła się pani? Widzi to pani, milady?

Ransom podniósł w górę ostatnią stronę, potem włożył jeden róg do kominka i obserwował, jak zajmuje się ogniem. Kiedy został już tylko mały skrawek, starannie zdmuchnął płomień i wrzucił poczerniały rożek do paleniska.

- Postąpiłem bardzo mądrze, prawda? - powiedział. - Władze śledcze dojdą do wniosku, że stary Cliffie spalił pamiętnik. Nikt się nie dowie, że obciążał on mnie, a nie jego.

Przecież wiedziała ona. A fakt, że Ransom jej o tym mówił, świadczył, że nie ma szans na ucieczkę.

Patrzyła na niego uporczywie, starając się nie okazywać przerażenia. Znow próbowała uwolnić nadgarstki, więzy były jednak zbyt mocne. Na szczęście przynajmniej nogi nie zostały związane. Gdyby tylko zdołała przesunąć się na skraj łóżka, kiedy on nie będzie patrzył...

Ale on właśnie zmierzał w stronę łóżka. W niebieskim surducie i kamizelce w złote paseczki, w jasnobrązowych spodniach, opinających muskularne uda, pułkownik wyglądał jak wzór gentlemana. Charlotta знаła jego siłę i bała się go. Czekwała w takim napięciu, że aż nogi jej zeszywniały. Istniała niska szansa, że uda jej się go kopnąć. W najczulsze miejsce.

Zatrzymał się przy łóżku.

- Nie powinna była pani zmuszać Margaret do przyznania się - powiedział. - Stałem pod drzwiami. Wszystko słyszałem.

Charlotta sądziła, że wyszedł z pozostałymi gośćmi. A on musiał się ukryć w domu Branda, poczekać, aż wszyscy pójdą spać i dopiero wśliznąć się do pokoju panny Dar-by, żeby poszukać pamiętnika.

- Pewnie pani myśli, że ona mnie wyda - ciągnął. - Nie zrobi tego. Nigdy. Zobacz pani. To ja uratowałem ją przed

napastnikami. Od tego czasu jest mi bezgranicznie oddana. Duszą i ciałem.

Ta informacja zaszokowała Charlotte. Nic dziwnego, że panna Darby starała się chronić swego tajemniczego ukochanego. Ciekawe, czy on był jej równie oddany? A może zostawiłby dziewczynę na pastwę losu, który zgotowali jej Vaughnowie?

- Pani zniweczyła nasze plany - powiedział, zdejmując rękawiczki. - Wkrótce po ślubie mojej drogiej żoneczce miał się przydarzyć maleńki... wypadek. Widzi pani, Margaret i ja potrzebowaliśmy pieniędzy. Z czasem mieliśmy wziąć prawdziwy ślub.

Ransom nie wydawał się wściekły. Wyglądał na... podnieconego. Na jego wysokie kości policzkowe wypłynął rumieniec. Szeroko otwarte błękitne oczy błyszczały z emocji. Na przystojnej twarzy malowało się takie okrucieństwo i napięte oczekiwanie, że Charlotte po krzyżu przebiegł dreszcz.

Stał nad nią z lekkim uśmiechem.

- Kiedy pani tu weszła, ułożyłem nowy plan - kontynuował. - Uwolnię Margaret i ukarzę panią za jednym zamachem. Zanim Vaughnowie obejdą z najświeższymi plotkami mi wszystkich ludzi z towarzystwa i wrócą do domu, wsta nie świt. I wszystko będzie wskazywało, że to stary Cliffie zaplanował te morderstwa.

\* \* \*

Idąc korytarzem, Brand usłyszał stłumione szczekanie Fancy.

Minęła już północ i korytarze były puste. Raleigh powitał go we frontowych drzwiach i powiedział, że panie udały się już na spoczynek. Brand odesłał go do łóżka. Nie miał zamiaru niepokoić Różyczek. Mógł poczekać z wizytą u nich do rana.

Ale nie u Charlotty.

Nawet gdyby nie mógł znowu się z nią kochać, chciał przynajmniej wziąć ją w ramiona. Musiał ją pocałować,

Barbara Dawson Smith  
Zar

Barbarą Dawson.Smith  
Żar

poczuć jej ciepło i... znów ją pocałować. W jego żyłach tętniło pożądanie. To było dla niego całkiem nowe doświadczenie: pragnąć do szaleństwa objąć kobietę, bez żadnej nadziei na fizyczne spełnienie. Najdziwniejsze zaś było to, że wolał męczarnie w platonycznym związku z Charlottą niż zaspokojenie pożądania z jakąkolwiek inną kobietą.

Może to było coś więcej niż tylko pożądanie?

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Czułość, którą w nim wzbudziła, to było niebezpieczne, nieznane mu terytorium. Chciał zobaczyć uśmiech Charlotty, chciał znowu usłyszeć jej głos. Oczekiwanie stawało się coraz bardziej dręczące.

Stał pod jej drzwiami. Zamknięta w pokoju Fancy gryzła drzwi. Dziwne. Gdyby pies musiał wyjść na dwór, Charlottą natychmiast by go wyprowadziła.

Otwierając drzwi, poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Fancy wypadła na korytarz, a Brand wszedł do pokoju.

- Charlottą?

Stojąca na nocnym stolyczku świeca oświetlała puste łóżko, kołdra była odgięta, ale nie zgnieciona. Zajrzał jeszcze do garderoby, choć czuł już, że Charlotty tu nie ma.

Fancy znów wpadła do sypialni głośno skomląc. Jej kudłata główka była uniesiona w pozycji alarmowej. Nie przewróciła się do góry brzuszkiem, jak zwykle na jego widok, kiedy dopominała się o pieszczoty. Wręcz przeciwnie, podbiegała do drzwi i oglądała się na Branda.

- Gdzie ona jest, futrzaku? Szukaj pani. - Wyszedł za psem na korytarz.

Fancy zdawała się doskonale wiedzieć, dokąd iść. Biegła przed siebie, oglądając się od czasu do czasu na Branda. Prowadziła do części domu zajmowanej przez Różyczki. Nie weszła jednak do ich apartamentu, tylko podbiegła do znajdującego się w pobliżu pokoju. Przytknęła nos do szpary pod zamkniętymi drzwiami, chwilę powęszyła i znów zaskomliła. To był nieużywany pokój gościnny. Brand wziął świecę z najbliższego kinkietu i otworzył drzwi.

Na widok tego, co zobaczył, przeszedł go dreszcz. Łóżko było skotłowane, pościel zwiślała z jednej strony aż do podłogi, jakby stoczono tu jakąś walkę. Wszedł do środka, podążając za Fancy. Suczka wspięła się przednimi łapkami na brzeg łóżka i wydała kolejny żaloszny skowyt.

Boże! Co tu się stało? Czy Fancy próbuje mu powiedzieć, że była tu Charlottą?

Z kim? I gdzie się teraz podziewa?

Fancy przez jakiś czas węszyła pod leżącym na ziemi rąbkiem kołdry, a po chwili wynurzyła się, trzymając w pyszczku skrawek papieru.

Brand wziął go od psa. Charakter pisma różnił się zasadniczo od poprzednich listów. Te nieporządne, rozlazłe kulfony mogły wyjść tylko spod ręki Clifforda Vaughna. Kiedy do Branda dotarło znaczenie dwóch wypisanych na kartce słów, ogarnęło go śmiertelne przerażenie.

*Będziesz następna.*

## Rozdział 24

### Jeszcze jedna noc

Będiesz następna - mruknął jej do ucha Ransom. -Założę się, że nie przyszło wam do głowy, że te wszystkie liściki pisałem ja. Jestem ekspertem w dziedzinie zmiany charakteru pisma.

Pochylił się nad Charlottą. Jego ciepły oddech muskał jej szyję, przejmując ją dreszczem. Nerwowo drgnęła, żeby Ransom pomyślał, że jest sterroryzowana i słaba, czego zresztą wcale nie musiała udawać.

Serce waliło jej szaleńczo z przerażenia, utrudniając logiczne myślenie. Knebel dławił. Podstawa czaszki bolała po ciosie, który pułkownik zaaplikował jej w pokoju panny Darby.

Charlottą leżała na boku, twarzą do Ransoma. Dziękowała Bogu za ten niewielki plus. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, będzie mogła zaatakować go nogami. W tej chwili jednakże Ransom stał zbyt blisko wezłowią, żeby mogła wymierzyć mu kopniaka z odpowiednią siłą. Przeszkadzałyby jej spódnice. Miała tylko jedną jedyną szansę, której nie wolno jej było zmarnować.

Pułkownik przesunął palcami po jej czole i zaczął bawić się włosami w namiastce pieszczoty.

- Doskonale bawiłem się wyprowadzaniem w pole tego szpicla z Bow Street - powiedział. -I Favershama, z jeszcze większą przyjemnością. Cholernie chciałbym zobaczyć jego minę, kiedy wróci z więzienia do domu i odkry-336 je, że jego kochanka zniknęła.

Barbara Dawson Smith,  
Zar

Czy Brand zajrzy choćby do jej sypialni? Charlotte ogarnęła rozpacz. Powiedziała mu w sposób niepozostawiają-cy wątpliwości, że ich romans dobiegł końca. Mógł spokojnie udać się wprost do swoich pokojów, nie sprawdzając nawet, czy ona jest w łóżku. A nawet jeśli zapuka do jej drzwi, nie domyśli się, że została porwana.

Tak jak wszyscy będzie przeświadczony, że morderca siedzi za kratkami.

- Muszę przyznać, milady, że z tymi wielkimi zielonymi oczami i kasztanowymi włosami jesteś bardzo piękna. Pewnie nawet byłoby mi cię żal, gdyby nie to. - Siegnął do tyłu, przeciągnął palcami po jej bliznach i z odrazą cofnął rękę. - Wie pani, to naprawdę odrażające. Nie rozumiem, jak Brand może znieść pani dotyk.

Brand. Ostatniej nocy w jego ramionach miała wrażenie, że sięgnęła nieba. Żałowała teraz rozpaczliwie, że nie powiedziała mu, co naprawdę czuje, że nie powiedziała, jak bardzo stał się jej drogi. Schowała się w swojej skorupie jak żółw, żeby chronić swe delikatne uczucia.

Ale wówczas nawet jej przez myśl nie przeszło, że widzi go ostatni raz w życiu. Nie mogła sobie przecież wyobrazić, że przeżyje taki koszmar. Że tej nocy trafi do piekła.

Nie musiała wcale odgrywać melodramatycznej sceny, żeby drzeć i patrzeć na Ransoma rozszerzonymi w przerażenia oczami. Gdyby nie knebel, pewnie szczękałyby jej zęby.

Ransom nadal przemawiał do niej tym samym, niemal pieszczotliwym tonem.

- Nigdy dotychczas nie zamordowałem kobiety. Pani będzie pierwsza. - Położył rękę na szyi Charlotty i pogładził aksamitną skórę. - Zawsze pragnąłem poderżnąć kochan ce gardło w chwili ekstazy.

Dobry Boże! Dobry Boże! Dobry Boże!

Pochylił się i wyciągnął dolną szufladę stolika przy łóżku.

- Ale najpierw musimy odpowiednio przygotować scenę, żeby to wyglądało na robotę Vaughna - stwierdził rze czowo. Pobrząkując metalem, wyciągnął zestaw kajdanek.

Barbara Dawson Smith  
Zar



- Jak pani myśli, milady? Czy te są nazbyt ciężkie dla delikatnych kostek pani nóg? Czy będzie pani przerażona, kiedy przykuję pani stopy do słupków baldachimu?

Ransom odsłonił zęby w uśmiechu. Z żelastwem wiszącym u boku przesunął się w nogi łóżka. W chwili, gdy odwrócił się do niej, Charlotta zaatakowała.

Z całą siłą, na jaką tylko było ją stać, kopnęła go poniżej pasa. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Rzucił kajdanki i jęcząc zgiął się wpół, osłaniając obolałe miejsce.

Charlotta spuściła nogi na podłogę. W głowie jej się zakręciło, ale szybko odzyskała równowagę. Gdy tylko mocno stanęła na nogach, podbiegła do zamkniętych drzwi.

Odwróciła się, próbując nacisnąć klamkę związanymi rękami. Zamek puścił. Na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz.

Ransom gwałtownie rzucił się do przodu. Charlotta odwróciła się, rozpaczliwie próbując otworzyć drzwi stopą.

Za późno.

Klnąc szpetnie, Ransom złapał ją w pasie i rzucił na podłogę. Wrywała się i wiała, lecz knebel tłumiał jej krzyki. Ransom przygniótł ją do ziemi i było po walce.

Spódnice spętały jej nogi, a ręce cały czas miała związane. Mogła już tylko leżeć bez ruchu, oddychać z trudem i z żalną bezradnością patrzeć na zniekształcone wściekłością rysy Ransoma.

-Suka! -warknął.

Podniósł rękę, żeby ją uderzyć. Tym razem postanowiła powstrzymać drżenie. Przywołała na pomoc cały zasób dumy, podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

Ale cios nie spadł. Natomiast od drzwi dobiegło wściekle warczenie.

W następnej chwili Ransom zaklął z jękiem i odskoczył. Charlotta dostrzegła kłęb brunatnego futra wczepiony w jego nogę.

Fancy?

Brand wpadł do pokoju tuż za psem. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację i runął na Ransoma.

Barbara Dawson Smith  
Zar

Fancy podbiegła truchtem do Charlotty. Merdając ogonkiem, zaczęła lizać swą panią po twarzy ciepłym, szorstkim, cudownym języczkiem.

Rozdarta pomiędzy radością a trwogą, Charlotta próbowała usiąść, nie spuszczać z oka walczących mężczyzn. Okładali się pięściami. Rozlegały się głuche odgłosy uderzeń. Brand trafił od dołu w kwadratową szczękę Ransoma, który zatoczył się do tyłu, zrzucając ze stołu kryształowe karafki - spadły na podłogę i rozbiły się w drobny mak.

Ransom leżał na plecach i potrząsał głową jak zamroczony. Kiedy Brand pochylił się i szarpnięciem poderwał go w górę, Ransom sięgnął do buta i wyciągnął nóż.

Przerażona Charlotta zerwała się na nogi i krzyknęła ostrzegawczo, ale knebel stłumił jej głos.

Jednak Brand również spostrzegł ostrze. Pchnął Ransoma na ścianę, złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, zwiększając nacisk, dopóki nóż nie upadł na podłogę. Na koniec kolejny raz wycelował potężny cios w szczękę przeciwnika.

Ransomowi krew zalała usta. Z furią oddał cios, ale Brand odparował atak i wyprowadził własny. Po chwili było już jasne, że Ransom przegrał walkę.

Charlotta odważyła się zbliżyć na tyle, żeby kopniakiem odrzucić nóż poza jego zasięg. Wtedy Ransom upadł znowu, ale Brand nie przestał bić. Wpadł w szal i próbował zatłuc Ransoma na śmierć, a Charlotta tylko patrzyła na to z fascynacją i grozą.

Hannibal Jones wpadł do pokoju wraz z Raleighem i Haywardem. Odciągnęli Branda od Ransoma. Pułkownik był już niemal nieprzytomny, a jego twarz przypominała krwawą miazgę. Jones podniósł kajdanki i zacisnął mu je na przegubach. Dwaj służący dość brutalnie podnieśli go do góry.

Charlotta podbiegła do Branda. Miał szramę na policzku i zakrwawione kłykcie, ale wyciągnął ręce i mocno ją objął. Jeszcze dyszał ciężko i serce głośnie mu biło, ale odzyskał już panowanie nad sobą. Wyjął jej knebel, rozwiązał

Barbara Dawson Smith  
Zar

ręce i znów wziął ją w ramiona. Szepecząc jej imię, głaskał ją po twarzy i ramionach.

- Czy on cię skrzywdził? - zapytał z naciskiem. - Jak się czujesz?

- Nic mi nie jest. Och, Brand!

Pełna ulgi całowała jego posiniaczoną szczękę, przytulała twarz do jego piersi, wdychała jego zapach. Wyczuwała każde cudowne uderzenie jego serca. Z powodu szoku nogi się pod nią ugiwały. Drżała jak w febrze, szcękając zębami i gdyby Brand jej nie podtrzymał, pewnie by upadła.

Hannibal Jones chrząknął.

- Potrzebne mi pani zeznanie, milady.

- Jutro - powiedział Brand wielkopańskim tonem, opiekuńczo obejmując Charlotte ramionami. - Teraz zabieram ją do domu.

\* \* \*

Nie było nawet dyskusji o tym, gdzie Brand spędzi resztę nocy. Charlotta nie pozwoliłaby, żeby ją zostawił.

Ciemny dom pogrążony był w ciszy. Kiedy weszli do jej sypialni, Charlotta wspierała się o niego, choć w znacznie mierze odzyskała już siły. Chciała przemyć mu skaleczenia, ale Brand nie pozwolił się sobą zajmować. Stanowczym ruchem zdjął jej suknię, gorset i buty, tak że została jedynie w cienkiej koszulce. Kiedy pomagał jej się położyć, złapała go za rękę.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła.

- Nie zostawię. - Wpatrywał się w nią z natężeniem.

Potem wszedł do garderoby, żeby się umyć. Bez niego poczuła się tak osamotniona, że zaczęła drzeć. Pościel była lodowata, więc zagrzebała się głęboko pod kołdrę. Stojąca na stoliku przy łóżku świeca migotała, dopalając się w kałuży stopionego wosku. Charlotta ze zdumieniem uświadomiła sobie, że kiedy zapalała wieczorem tę świecę, nie miała pojęcia, iż w domu ktoś się ukrywa. Fancy podreptała do swego koszyka, trzy razy obróciła się w kółko i zapadła w sen. Charlotta postanowiła, że

Barbara Dawson Smith  
Zar

jutro da jej dodatkową porcję smakołyków. W drodze do domu Brand opowiedział jej, jak Fancy zaprowadziła go do pokoju, który stał się sceną porwania i jak znalazła napisaną przez Ransoma kartkę, wskazującą na winę CliffordeVaughna.

Brand wysłał służących do komisariatu na Bow Street po Jonesa, a sam przyjechał wprost do domu Vaughna. W samą porę. Dobry Boże, przecież Ransom chciał ją zgwałcić i poderżnąć jej gardło...

Brand wyszedł z garderoby bez surduta i butów. Nadal mając na sobie koszulę i spodnie, wsunął się do łóżka i mocno przytulił Charlotte, jakby chciał ją ukolysać w twardej kolebce swego ciała. Głaskał ją po plecach w taki sposób, że czuła, iż on również nadal jest wstrząśnięty jej straszliwymi przejściami.

Ciepło bijące od Branda stopniowo rozgrzało zarówno ciało, jak i duszę Charlotty, aż zachciało jej się płakać ze szczęścia. Ujęła rękę Branda i zaczęła całować opuchnięte, odarte ze skóry kłykcie, w pełni świadoma, że uratował ją przed pewną śmiercią. Po raz pierwszy od wielu godzin czuła, że przerażenie słabnie i stopniowo zanika, aż wreszcie poczuła się całkowicie bezpieczna.

- Char - mruknął Brand, przyciskając wargi do jej czoła - przez chwilę bałem się, że już nigdy nie będę trzymał cię w ramionach tak jak teraz. - Roześmiał się z goryczą. - Choć oczywiście nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek będę mógł cię objąć.

Zabolało ją stwierdzenie, że jego ramiona tylko przejściowo zapewniają jej schronienie. Gdyby to zależało od niej, nie zamieniłaby go na żadne inne miejsce na ziemi.

- To nieważne - powiedziała. - Dzisiaj to nieważne. Chcę, żebyś mnie obejmował. I będę na to nalegać.

Brand roześmiał się.

- I tak bym nie pozwolił na to, żebyś odmówiła.

Ich usta spotkały się w leciutkim pocałunku i Charlotta zaczęła się zastanawiać, czy i on odczuwa szczęście wykraczające poza czysto fizyczną przyjemność. Czy zależało mu

Barbara Dawson Smith  
Zar

na niej tak samo, jak jej na nim? Wiedziała, że na pewno tak nie jest i że Brand nie zamierza zmieniać swego trybu życia, a jednak w jej głupim sercu znowu wezbrała nadzieja.

- Ja też nie mogłam przestać o tobie myśleć - przyznała.  
- O tym, czego nie miałam odwagi powiedzieć na głos. Ale teraz to powiem. Brand, kocham cię.

Zamilkł i objął dłońmi jej twarz. Jego oczy pociemniały z przejęcia. Charlotta dostrzegła w nich pożądanie, ale i smutek.

- Charlotto, chciałbym...

Z bólem serca położyła mu palec na ustach.

- Nie musisz nic mówić. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

Tym razem jego pocałunek był namiętny i Charlotta rozpływała się w rozkoszy zespolenia z mężczyzną, który zdobył jej serce i duszę. Brand jej nie kochał, a przynajmniej nie na tyle, aby się zmienić, ale istniała między nimi więź, którą odczuwał również i on, co do tego nie miała wątpliwości. Ten pocałunek sprawił, że oboje z trudem łapali oddech, niezaspokojeni, porwani przez wir namiętności.

Ręce Branda przesuwają się w górę i dół po jej ramionach.

- Wiesz, jak dręczyć mężczyznę - mruknął z nutką wiślicznego humoru. - Tak straszliwie pragnę cię dotknąć.

-Tylko dotknąć...?

Nie potrzebował innej zachęty. Przesunął dłoń z jej talii na biodro i podciągnął do góry rąbek koszulki. Charlotta zdarła ją z gorączkową niecierpliwością. Jego palce natychmiast znalazły się między jej udami i już po chwili zagłębiały się w nią powolnymi, doprowadzającymi ją do szału pchnięciami, na skutek których gwałtownie chwytła powietrze, z oszołomienia tracąc głowę.

Kiedy przerwał, Charlotta aż jęknęła z zawodu, ale Brand oparł ją tylko o poduszki i odrzucił kóldrę, a potem przesunął się w dół i dotknął jej ustami tam, gdzie przed chwilą trzymał palec.

W pierwszej chwili była zaszokowana, widząc jego gło-

Barbara Dawson Smith

Żar

wę pomiędzy swymi nogami, lecz już pierwsze dotknięcie języka sprawiło, że była zgubiona. Utonęła w pragnieniu tak głębokim, jak studnia bez dna. Nie mogła złapać tchu. A potem zatraciła się w rozkoszy tak bezmiernej, że wydawało jej się, że umiera i trafia do nieba.

Charlotta powoli wracała do rzeczywistości. Brand nadal ją całował. Słodkimi pocałunkami znaczył drogę w górę, przez brzuch, aż do piersi. Wziął do ust brodawkę i zaczął leniwie ssać. Charlotta czuła, jak w głębi jej ciała znowu narasta żar, choć tym razem rozpalał się wolniej, spokojniej. Uwielbiała sposób, w jaki z nią postępował, bo dzięki temu miała poczucie, że jest jedyną kobietą, na której mu zależy. Nie mogła się nim nasycić, nie mogła się nasycić szorstkością jego policzków, harmonijnymi ruchami mięśni rysujących się pod koszulą, smukłością silnych nóg. A także tą męską wypukłością w okolicach rozporka.

Kiedy rozpięła guziki, Brand unieruchomił jej rękę. Oczy zajaśniały mu gorączkowym blaskiem.

- Kochanie - mruknął. - To niezbyt mądry pomysł.

- Chciałabym ci sprawić rozkosz. Tak jak ty mnie.

- Char...

Ale tym razem nie wstrzymał jej, kiedy wsunęła mu dłoń w spodnie. Wielkie nieba, jaki był gorący! Długi, gruby i jedwabisty w dotyku. Badała go palcami, ale to jej nie satysfakcjonowało. Chciała, żeby jego rozkosz była pełna. Zsunęła się w dół i pocałowała go.

Brand wyszeptał jej imię ochryplym, jęklwym głosem. Ośmielona tym Charlotta wzięła go do ust i zaczęła przesuwając dookoła niego językiem, badając, co Brandowi sprawia przyjemność. Jego palce wplątały się w jej włosy w bezgłośnym błaganiu. Charlotta nie miała dotychczas pojęcia, że Brand może być tak całkowicie w jej mocy, ani że taki bardzo intymny i niezwykle stosunek może rozniecać również jej pożądanie.

Niespodziewanie Brand podciągnął ją do góry, oparł plecami o poduszki i wtulił twarz w jej szyję. Jego potężnym ciałem wstrząsały konwulsje, aż wreszcie wyrwał mu się

Barbara Dawson Smith

Żar

chrapliwy okrzyk spełnienia. Charlotta objęła go mocno, żalując, że nie znajduje się w tej chwili w niej, czego bardzo pragnęła, choć zdawała sobie sprawę, że nie powinni podejmować takiego ryzyka. Nigdy więcej.

Kiedy jego oddech uspokoił się, Brand podniósł głowę i pocałował ją w usta pocałunkiem tak czułym i pełnym miłości, że oczy Charlotty wypełniły się łzami. Ach, gdy-byż tak mogła na niego wpłynąć, gdyby mogła zmusić go, by dostrzegł wreszcie, że on potrzebuje jej w tym samym stopniu co ona jego. Ale rozumiała go aż za dobrze. Brand tak długo wiódł życie rozpustnika, że po prostu nie umiał nagle ugrzęznąć w normalności, przy żonie i dzieciach.

Gdyby tego pragnął, zostawiłby swe nasienie w niej, w środku.

Po chwili Brand wstał z łóżka i poszedł do garderoby, żeby się obmyć. Po powrocie wziął Charlotte w ramiona i mocno przytulił. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, ograniczając się do cichych pomruków. Charlotta odprężyła się, z radością przyjmując jego ramię za poduszkę. Chciała rozkoszować się w pełni każdą chwilą spędzoną z Brandem, ale wydarzenia dwóch ostatnich dni sprawiły, że poddała się fali obezwładniającego zmęczenia. Zasnęła w jego ramionach, z twarzą na jego piersi.

A kiedy ocknęła się w jasnym świetle dnia, Branda nie było.

## Rozdział 25

### Nieobecny pan Młody

W trzy miesiące później, w dniu swego ślubu, Charlotta stała w przedsiönku kościoła w Devon i cierpliwie poddawała się troskliwości Różyczek. Są podejrzenie radosne, pomyślała, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, jak okropnie były przybite, kiedy usłyszały po raz pierwszy, że zaręczyła się z panem Rountree.

Lady Faversham poprawiła spinkę z perłami, podtrzymującą zaczesane do tyłu włosy Charlotty. Lady Stokeford wygładziła tren jej sukni z jasnozłotego jedwabiu. Babcia podała jej bukiet z białych różyczek ozdobionych złotymi wstążkami i pocałowała ją w policzek.

- Wyglądasz absolutnie cudownie - stwierdziła lady Enid i jej brązowe oczy wypełniły się łzami szczęścia. Ręka już się zrosła i nie musiała więcej nosić jej na temblaku. - Tak długo czekałam na ten dzień.

- Wszystkie czekałyśmy - dodała lady Faversham z uśmiechem zachwyty, a lady Stokeford z aprobatą kiwnęła głową.

Tak samo jak Charlotta, i one przyjęły wreszcie do wiadomości, że jej małżeństwo z Brandem nie może dojść do skutku. Wprawdzie w sercu Charlotty otworzyła się nagle bolesna rana, ale stanowczo odsunęła cierpienie na bok. Przysięgła sobie nie myśleć o nim już nigdy. Brand należał do przeszłości, przyszłością zaś był Harold Rountree.

Kiedy uporał się z rozdrażnieniem spowodowanym faktem, że był w ogóle brany pod uwagę jako ewentualny morderca, pan Rountree okazał się w najwyższym stopniu pomocny. Kilka dni po przerażającej przygodzie z pułkownikiem Ransomem Charlotta wyjechała z Londynu. Nie wróciła jednak do Yorku, lecz wybrała się z długą wizytą do Devon, do rodziców. Potrzebowała czasu, żeby uleczyć zranione serce. W otoczeniu kochających rodziców i niesfornego rodzeństwa jakoś zdołała się pozbierać. Z upływem czasu doszła do wniosku, że pomimo wszystko pragnie wyjść za mąż i założyć własną rodzinę.

Nie chciała jednak oszukiwać pana Rountree. Kiedy przyjechał do niej w odwiedziny, opowiedziała mu o romansie z Brandem, przyznała, że go kocha i że nie zamierza słuchać słów krytyki na jego temat. Pan Rountree rozsądnie trzymał język za zębami. Zabiegał o jej względy, przynosił kwiaty i drobne upominki. Towarzyszył jej w czasie przejażdżek po okolicy. Znalazł jej nawet bezpańskiego psa, by zastąpić Fancy, która została z babcią w Londynie.

Tak, dokonała właściwego wyboru. Znajdzie szczęście u boku takiego dobrego, troskliwego człowieka, jakim jest pan Rountree.

Rozległa się muzyka organowa. Różyczki rzuciły jeszcze na Charlotte ostatnie spojrzenie i pospieszyły do kościoła.

Trzy siostry Charlotty pomachały do niej, stojąc w drzwiach wejściowych. W ciągu minionych kilku tygodni znów bardzo się do siebie zbliżyły, gadając długo w noc. Na szczęście i one, i mama z przyjemnością zajęły się wszystkimi przygotowaniami do ślubu, którymi Charlotta nie bardzo się interesowała.

Siedemnastoletnie bliźniaczki, Jane i Jenny, były jej druhami, odzianymi w bładoniebieskie suknie, pięknie podkreślające ich jasne włosy i chabrowe oczy. A Susan, zamężna siostra Charlotty, wyglądająca jak matrona, miała być świadkiem. Wszystkie aż się trzęsły z niecierpliwości, żeby wreszcie zobaczyć swą najstarszą siostrą na ślubnym kobiercu.

Barbara Dawson Smith  
Żar

U boku pana Harolda Rountree, kandydata do Izby Gmin.

Charlotte ogarnęła nieoczekiwane fale paniki. Aż się zachwiała. Dobry Boże! Jak ona zdoła przeżyć tę ceremonię? Jak może wyjść za człowieka, którego nie kocha? A przynajmniej nie kocha tak gorąco i namiętnie jak Branda.

Bo nadal kochała Branda, równie gorąco i namiętnie jak dawniej.

- Ciociu Charlotto, pospiesz się, bo zapomnę, co mam robić.

Lady Amy stała przed nią, ubrana w miniaturową wersję sukni, jakie miały na sobie wszystkie damy uczestniczące w ceremonii. W okrytych białymi rękawiczkami rączkach trzymała koszyczek z płatkami róż.

Córka Branda.

Nagle ścisnęło jej się serce. Pochyliła się i pogłaskała dziewczynkę po policzku.

-Nie zapomnisz, kochanie. Pamiętasz nasze przygotowania? Bierzesz kilka płatków, rzucasz je pod nogi, liczysz do trzech i rzucasz następne.

- Dobrze, ale chodź już. - Z oczyma błyszczącymi z pod niecenia wsunęła rączkę w dłoń Charlotty i pociągnęła ją za sobą.

Za późno na wątpliwości. Jane ruszyła już główna nawa, a Jenny postępowała kilka kroków za nią. Ciemnowłosa Susan uśmiechnęła się jeszcze do Charlotty ciepłym uśmiechem, zanim podążyła za siostrami. Zgodnie ze wskazówkami, Amy wzięła pełną garść płatków róż i rozsypała je na marmurową posadzkę. Rzuciła Charlotte przez ramię szybkie, łobuzerskie spojrzenie i ruszyła przed siebie.

Potem przyszła kolej na Charlotte. Jej zażywny, łysiejący ojciec, bardzo dystyngowany w szarym surducie ze srebrnymi guzikami, stał, czekając na nią. Był emerytowanym oficerem marynarki, uhonorowanym tytułem księcia Mildon przed mniej więcej dziesięcioma laty za wyjątkowo zasługi dla Korony. Dla niej był zawsze tatusiem, szorstkim, wąsatym panem, którego w jej dzieciństwie 347

Barbara Dawson Smith  
Żar

przez znaczną część roku nie było w domu, bo ciągle pływał po morzu. Podeszła do drzwi, ujęła ojca pod ramię i poczuła na policzku podnoszące na duchu muśnięcie warg.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę ołtarza. Do tego kościoła Charlotta uczęszczała na nabożeństwa jako dziecko. Przez wysokie okna wpadało światło słoneczne. Jej dwaj podrośnięci już teraz bracia, Dominie i Mark, odwrócili się i uśmiechnęli do niej ze swych miejsc w pierwszym rzędzie. Wszystkie ławki wypełnione były gośćmi, ciotkami i wujkami, kuzynami i przyjaciółmi, ale wszyscy wydawali się Charlottcie tłumem niemal obcych ludzi.

Jej wzrok pobiegł do ołtarza. Na schodach stał na czarno ubrany pastor z modlitewnikiem w dłoni i czekał. Sam.

A gdzie pan Rountree?

Jeszcze nie przyjechał? Spojrzała pytająco na ojca, ten zaś poglądził ją po ręce. Tata zdawał się nie widzieć w tej sytuacji nic niezwykłego. Czyżby przez ostatnie miesiące była tak roztrzępana, że przeoczyła jakieś planowane zmiany w przebiegu ceremonii?

Kiedy znaleźli się u stóp ołtarza, z bocznej pokoiu wynurzyło się dwóch mężczyzn w ślubnych strojach. Wzrok Charlotty przykuła postać pierwszego z nich.

Brand!

Bukiet wypadł jej z rąk. Całkowicie wstrząśnięta, w szoku, Charlotta uwiesiła się ramienia ojca. Czyżby śniła na jawie?

Nie, to niemożliwe. Brand wyglądał zupełnie realnie, od blizny w kąciку ust po ciepłe spojrzenie przenikliwych szarych oczu.

Kiedy tak szedł wprost ku niej, jego fizyczna obecność zdawała się przytłaczać cały kościół. Obcasy jego butów stuknęły miarowo o marmurową posadzkę.

Zatrzymał się przed nią i ukląkł na jedno kolano. Zamknął w dłoni jej smukłą rękę. Gdy podniósł na nią wzrok, z jego oczu biła całkowita szczerłość.

- Najdroższa Charlotto, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Barbara Dawson Smith  
Żar

W przepelnionym weselnymi gośćmi kościele rozległy się okrzyki zdumienia.

Charlotta jednak słyszała jedynie głośnie bicie swego serca. Brand był tutaj. Chciał ją pojąć za żonę.

Połową duszy pragnęła zarzucić mu ręce na szyję i zawołać: tak, zanim Brand rozwieje się jak duch, przywołany do życia przez jej chore z miłości serce. Druga połowa tonęła w przepastnej toni niedowierzania i nieufności.

Wyrwała mu rękę.

- Musimy zamienić słowo - szepnęła z napięciem.

Jakoś znalazła siły, żeby obejść go dookoła. I dopiero wówczas zauważyła stojącego w pobliżu Michaela.

Kiedy Brand wstał, Michael uśmiechnął się słabo.

- Mówiłem ci, przyjacielu, że to zbyt wstrząsający plan - mruknął.

Brand obrzucił go ponurym spojrzeniem.

Organista rozpoczął grzmiący hymn. Pastor chrząknął i zaintonował pieśń, żeby dać przykład wiernym.

Charlotta weszła do poczekalni i odwróciła się. Ręce jej się trzęsły, więc mocno objęła się ramionami. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę stoi przed nią Brand, zuchwały i nieprzewidywalny, który wdarł się w sam środek ceremonii zaślubin.

Zamknął drzwi i odwrócił się, żeby stawić jej czoło. We wpadającym przez pobliskie okno jasnym świetle dnia wyglądał na nieco wyczerpanego, smuklejszego, kości policzkowe wyraźnie rysowały się na jego niesamowicie przystojnej twarzy. Jego spragnione spojrzenie przylgnęło do niej, jakby umierał z tęsknoty, by doczekać tej chwili.

Charlotta sama nie wiedziała, czy ma się cieszyć, płakać czy krzyczeć.

- Gdzie jest pan Rountree?

- Wniosłem znaczący wkład na jego kampanię wyborczą.

- Co?! Wyrzekł się mnie dla pieniędzy?!

- Nie... całkiem. - Brand wiercił się niespokojnie, jakby dusił go zbyt ściśle zawiązany fular. - Wiedział, że mnie

Barbara Dawson Smith  
Żar

kochasz. Sama mu to powiedziałaś w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

Charlotta nie mogła temu zaprzeczyć, ale nie mogła też tego przyznać. Ciągle dławiła ją w gardle nierealna nadzieja.

- Brand, dlaczego tu jesteś?

- Żeby się z tobą ożenić. Mam w kieszeni specjalne zezwolenie podpisane przez arcybiskupa. - Poklepał klapę swego ciemnoszarego surduta. - Jeśli damy je pastorowi, będziemy mogli zaraz złożyć przysięgę małżeńską.

Kusząca perspektywa. Nawet zbyt kusząca.

- Nie o to mi chodziło. Dlaczego naprawdę tu jesteś? Dwa miesiące temu przekonałam się, że nie zaszłam z tobą w ciążę. Przesiałam ci wiadomość o tym.

Sucho skinął głową na potwierdzenie.

- Zmartwiłem się tą informacją. Mówiąc prawdę, Char, chciałem, żebyś nosiła moje dziecko.

Dusza Charlotty rozplynęła się ze szczęścia. Czy mówił serio? Naprawdę poczuł to samo rozczarowanie co ona? Nie miała odwagi zapytać.

- Zepsułeś mi ślub. Mogłam być szczęśliwa. Byłam zdecydowana znaleźć szczęście.

- Ja dam ci szczęście - powiedział chrapliwie. - Jeśli tylko ty dasz mi szansę.

Zamknęła oczy, żeby nie ulec pragnieniu pocałowania go.

- Ty nie wiesz, czego chcę od mężczyzny.

Brand podszedł do niej.

- Próbuję się dowiedzieć - mruknął niskim, chrapliwym głosem. - Dlatego tu jestem. Może to był głupi pomysł, ale trudno mnie uznać za wymarzonego kandydata na męża. Pomyślałem, że jeśli cię zaskoczę i pobierzemy się, zanim zrozumiesz, co się właściwie dzieje, to będzie już za późno, żebyś powiedziała: nie.

Charlotta otworzyła szeroko oczy i zobaczyła, że Brand stoi tuż naprzeciw niej. Wyglądał jak wysłannik piekiel stworzony po to, by wodzić słabe kobiety na pokuszenie. - To rzeczywiście był głupi pomysł.

Brand wziął głęboki oddech i rzucił jej ten łajdacki półuśmiezek, od którego zawsze świat wywracał jej się do góry nogami. Tak jak teraz.

- Wszyscy mówili mi to samo. Ale pewnie zbyt długo byłem zły, żeby wiedzieć, jak zazwyczaj się postępuje. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy dotknął policzka Charlotty w lekkiej jak piórko pieszczocie. Jego oczy podejrzanie zwilgotniały, - Wiem tylko, że kiedy byłem z tobą, w moim życiu zaszła zmiana. Char, sprawiłaś, że zapragnąłem czegoś więcej, niż miałem.

- Nigdy nie próbowałam cię zmieniać - wyszeptala. - Ta potrzeba musiała zrodzić się w twoim sercu.

- To prawda, ale jestem tylko mężczyzną. I wiesz, chciałem umrzeć, kiedy wyjechałaś z Londynu. Nie mogę bez ciebie żyć. - Patrzył na nią z żarliwością. - Kocham cię, Charlottę Quinton. Zawsze będę cię kochał.

To właśnie chciała usłyszeć. I wszystkie jej wątpliwości zniknęły bez śladu, ustępując miejsca ogromnej fali szczęścia. Rzuciła się wprost w jego ramiona.

- Ja też cię kocham, Brandonie Villiers. Bardziej, niż uważałam za możliwe.

Ich wargi spotkały się w gorączkowym pocałunku, w którym było i uniesienie, i pożądanie, i spełnienie najskrytszych marzeń. Przyłgnąwszy do niego, gładziła świeżo ogolone policzki i małą bliznę koło ust. On także jej dotykał, błędził rękami po jej twarzy, plecach, ramionach, jakby nie był do końca pewien, czy stoi przy nim prawdziwa Charlotta.

Drzwi otworzyły się nagle. Dobiegł ich gwar zmieszanych głosów. Charlotta wyrzała zza pleców Branda, nadal zamknięta w kręgu jego ramion. W drzwiach stały Różyczki.

Wszystkie trzy uśmiechały się szeroko, szczególnie babcia Charlotty. Poniżej białego jedwabnego turbanu przyozdobionego zakrzywionym piórem pulchna twarz lady Enid promieniała szczęściem.

- No, dzieci, na to przyjdzie czas wieczorem.

Barbara Dawson Smith

Żar

Barbara Dawson Smith  
Żar

Stanowcza jak zwykle lady Faversham stuknęła laską o marmurową podłogę. Jej oczy błyszczały czystą radością.

- No dobrze. Czy wreszcie jesteśmy gotowi, żeby rozpocząć ceremonię?

Brand obrzucił Charlotte pełnym czułości, ale także niecierpliwym i trochę niespokojnym spojrzeniem.

- Co na to powiesz, kochanie? Naprawdę skończyłem z rozpustą. Wyjdiesz za mnie?

- Tak! - Pijana miłością Charlotta dotknęła palcami ust Branda. Zachwyty w jego ciemnoszarych oczach rozgrzał jej serce. - Jeśli obiecasz, że czasami, ale tylko czasami, będziesz jednak rozpustny. W zaciszu naszej sypialni.